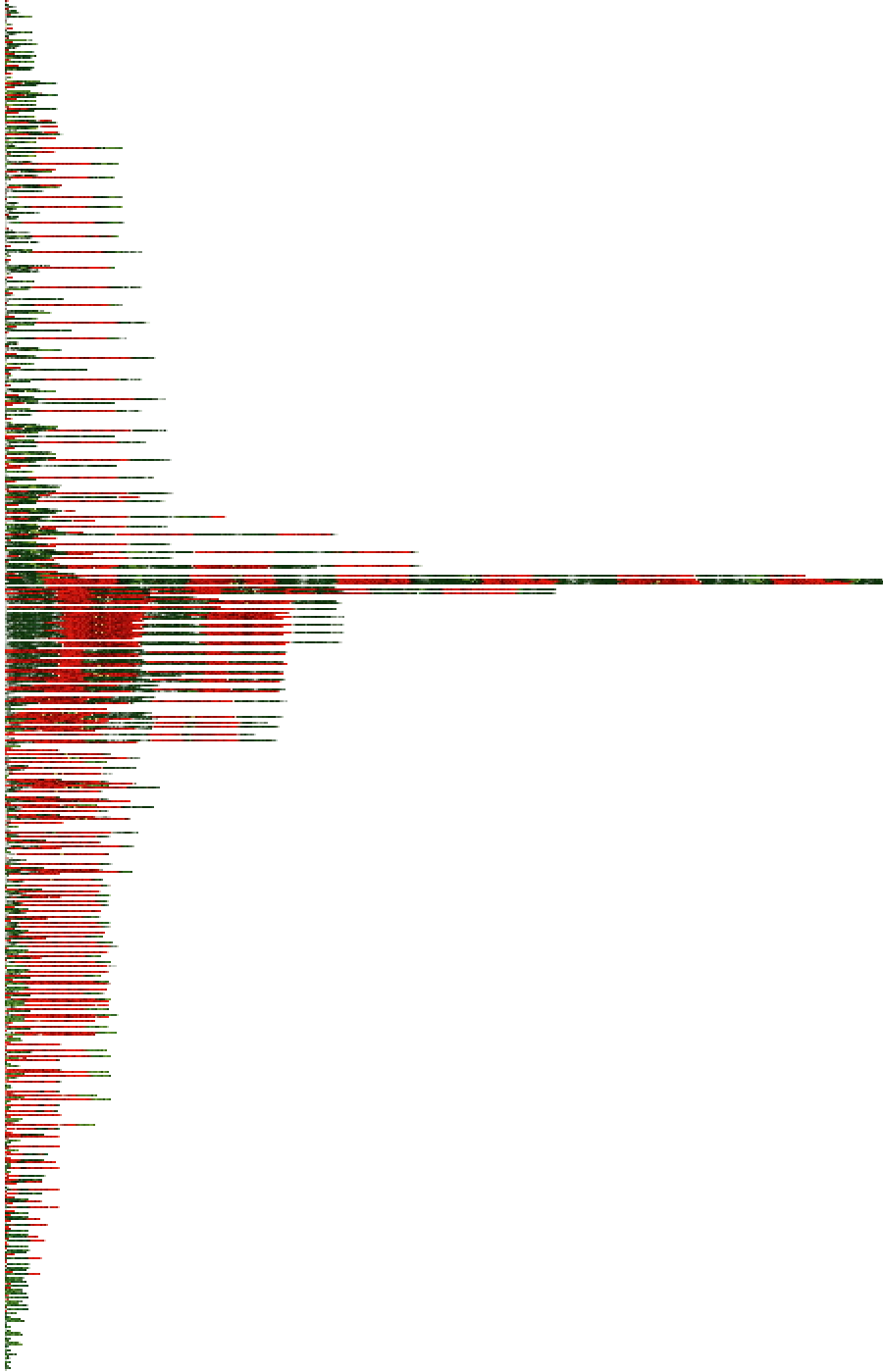




GLENN SAVAN

BIAŁY PAŁAC



Glenn Savan

Biały pałac

Przekład: Grzegorz Sowula

Mojemu Ojcu

Specjalne podziękowania dla Deb Futter i Gail Hochman, których pomocy i zachęty nie sposób pominąć.

Ale ja chcę do świtu w objęciach Mieć to żywe stworzenie, pełne Winy, niestałe, śmiertelne, Lecz dla mnie skończenie piękne.

W. H. Auden „Kołysanka” Tłumaczył St. Barańczak

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Janey nie mieszkała nigdy ani nawet nie była w kosztownym apartamencie Maxa w zachodniej części St. Louis, gdy wracał jednak po pracy do domu, brak jej obecności zaskakiwał go stale niczym nieoczekiwana smutna wiadomość. Dziś również wyczuł drobne zmiany, jakie zwykle zachodziły, gdy nie było go w domu: znikające powoli słońce, odbite złotym czworobokiem okna w szklanym blacie niskiego stolika, podświetlało nową warstwę kurzu, mimo iż sprzątał zaledwie dwa dni wcześniej. Liście regularnie podlewanego filodendrona, dzięki czemu powinny wyglądać zdrowo, opadły lekko i straciły nieco swojej mięsistości i połysku. Sprawdził, czy czarnozłoty wschodni dywan leżał równo ze szparami desek podłogi - nie: coś nieznanego, może obrót ziemi, może jakaś niewidzialna ręka, minimalnie naruszyło ułożenie dywanu.

Skorygował je obcasem buta.

Odczuwał pewien rodzaj nerwowej satysfakcji obserwując, jak rzeczywistość sama potwierdza kolejny raz zasadniczy zarzut, jaki przeciw niej wysuwał: nic nie było trwałe. Wystarczyło się odwrócić i już coś nowego psuło się, przestawało funkcjonować czy ginęło bez śladu. W

świecie, któremu nie można było ufać, który w każdym momencie mógł zaskoczyć nieoczekiwaną eksplozją, należało wygospodarować sobie swoją własną wyspę ładu i spokoju, arbitralnego i iluzorycznego nawet, ale niezbędnego do przeżycia. Fataliści Japończycy ze swym absurdalnym i śmiertelnie poważnym ceremoniałem picia herbaty pojęli to już dawno.

Zgadzał się z tym również i choć kawalerskie przyjęcie organizowane przez Horowitza miało zacząć się za niecałą godzinę, spokojnie podlał kwiaty i odkurzył stół. Przestrzeganie tych drobnych obowiązków

stwarzało pozór skutecznej walki z chaosem.

Przysiadł potem na brzegu mosiężnej ramy łóżka i zaczął się rozbierać.

Buty ustawił równo obok siebie; ich wypolerowane noski wskazywały jeden kierunek. Brudną bieliznę wrzucił do kosza, spodnie powiesił w przypisanym im miejscu wśród innych brązowych ubrań. Garderoba troskliwie ułożona w jego szafie przypominała regularną tęczę. Owo zamięłowanie do organizacji widoczne było wszędzie w jego mieszkaniu.

Książki ustawione były alfabetycznie, według nazwisk autorów, a poszczególne ich prace ułożone były chronologicznie niczym dzieci na rodzinnej fotografii. Podobnie było z płytami gramofonowymi - Bach, Haydn, Vivaldi i Mozart, osiemnastowieczni mistrzowie lekkości i uciechy, zajmowali większość miejsca. W kuchni patelnie o miedzianych dnach wisiały osobno, a aluminiowe garnki i rondle osobno, w jego domowym archiwum zaś właściwe teczki kryły zwrócone czeki i korespondencję bankową, wycięte z czasopism przepisy, listy od przyjaciół dotyczące spraw ogólnych i listy z kondolencjami, plik zdjęć Janey, których starał się nie oglądać. Już od dzieciństwa, kiedy jego pokój był jedynym zorganizowanym pomieszczeniem w maniakalnie zagraconym domu, jaki prowadziła jego matka, kształcił w sobie zamięłowanie do porządku. Po śmierci jego żony przybrało to formę obsesji i teraz nie potrafił usiedzieć spokojnie, jeśli jego najbliższe otoczenie nie przypominało logiką rozplanowania biblioteki, a czystością - sali operacyjnej.

Jego dni były równie ściśle zaplanowane. Praca w agencji reklamowej zajmowała pierwszych dziesięć godzin; wypełnienie pozostałego czasu stwarzało niejakie trudności, zwłaszcza od czasu, gdy zalew rozmaitych zaproszeń napływających tuż po śmierci Janey zaczął powoli rzednąć, by wreszcie ustać całkowicie mniej więcej po roku, gdy jego wdowieństwo przestało być nowością dla kogokolwiek poza nim samym. A więc chodziło o uporanie się z sześcioma godzinami, jakie pozostawały mu do zaśnięcia. Po sprzątnięciu ewentualnych nieporządków w mieszkaniu i drugim w ciągu dnia prysznicu spędzał pół godziny wyciągnięty na wznak na sofie, z oczami przykrytymi czarną szarfą, słuchając Bacha, Mozarta czy Vivaldiego, aż obciążający mu głowę balast biurowego dnia ustępował

wreszcie. Po muzyce przychodził czas wieczornego dziennika, po nim - robienie kolacji. Nie chciał jadać jak typowy kawaler, starania, jakimi otaczał przygotowanie posiłku sprawiały, że zasiadał zwykle do stołu dopiero po ósmej. Godziny pozostałe do spania (o jedenastej) wypełnione były

specjalnie opracowanym programem lektur. Polegał on na wybraniu któregoś z klasyków - Tolstoja, Dickensa, Twaina - przeczytaniu jego wszystkich dostępnych utworów, nawet najbardziej marginesowych i nudnych.

Wyznaczało mu to każdego wieczoru pewien skromny cel, przede wszystkim zaś uwalniało od zastanawiania się w czasie długich cichych godzin, nim sen zabierał go ze sobą - co robić, kogo czytać, gdzie zacząć. Przed trzema tygodniami rozpoczął lekturę zebranych dzieł

Szekspira. Miał już za sobą sonety, Wenus i Adonisa, Troilusa i Kresydę, Dwóch panów z Werony, przedzierał się teraz przez 3 akt Romea i Julii.

Wcześniej, przed śmiercią Janey i jego przejściem do reklamy, był nauczycielem angielskiego w szkole średniej; od tego czasu nie miał w ręku Romea i Julii. Odkrył teraz, że zmieniły się jego sympatie: wtedy utożsamiał się z postacią bohatera, podobnie jak jego dorastający, zniewolony przez hormony uczeniowie, dla których impulsywny Romeo, chorobliwie usychający z miłości i nie liczący się z konsekwencjami, był

kimś całkowicie normalnym. Obecnie jednak zachowanie Romea niepokoiło go - większość swych sympatii kierował w stronę ostrożnej Julii. Jej pełna rozsądku odpowiedź rzucona Romeowi, biadającemu w ogrodzie: „Także mam odejść nie zaspokoiony?”, stała się w ciągu dwóch ostatnich wieczorów mantrą, która pomagała mu wreszcie usnąć: „Jakiegoż więcej chcesz zaspokoienia?”*

*Tłum. Józef Paszkowski.

Nie był szczęśliwy, to oczywiste. Szczęście opuściło go jednak przed prawie dwoma laty, kiedy w którąś deszczową noc października Janey wpadła swym datsunem do rowu na poboczu Mason Road i już nigdy więcej jej nie oglądał, nawet zwłok, jako że trumnę zgodnie z żydowskim obyczajem zamknięto przed pogrzebem. Przetrwiał to wszystko z godnością i choć nigdy nie próbował wmawiać sobie, że to wystarcza, godność pozostała zdecydowanie najlepszą alternatywą. Nie oszalał, nie zabrakło mu woli, przyzwoitości czy, miał nadzieję, poczucia humoru. Zabrakło mu po prostu radości życia, a ta, jak odkrył, nie była wcale elementem warunkującym jego trwanie.

Wziął prysznic, wyjął z szafy pożyczony smoking - strój obowiązujący na przyjęciu Horowitza - i ubrał się stojąc przed tremo. Niezbyt wysoki, o szerokich ramionach, krótkich rękach i płaskich pośladkach, nigdy nie mógł znaleźć niczego, co pasowałoby bez większych przeróbek. Termin, jaki podał wypożyczalni, był zbyt krótki na solidne wykonanie pracy, irytowało go

jednak, że miał pojawić się na przyjęciu - nieważne, że miała to być tylko popijawa młokosów, którzy znali się od dzieciństwa - ubrany w coś, co nie leżało na nim dobrze. Spodnie miały workowate siedzenie, doły nogawek opadały na wierzch butów, rękawy koszuli były tak długie, że musiał zawinąć mankiety, by włożyć w nie spinki. Nic nie dało się już jednak zrobić - wpiął w klapę marynarki biały goździk.

Był przystojny i cieszył się tym; przyznawał się do owej próżności, nieporównanie większej niż u innych, gorzej wyglądających mężczyzn.

Janey lubiła nazywać go złośliwie „swoim małym Kenem”, choć dziś przypominał raczej figurynkę umieszczaną na szczycie weselnego tortu.

Miał krótko przystrzyżone, ciemne kręcone włosy, twarz niemowłeco gładką, duże czarne oczy o długich rzęsach i kapryśne, kobiece usta.

Tragedia żałoby nie odcisnęła się żadnym piętnem w jego rysach. Miał dwadzieścia siedem lat, lecz wielu ludzi brało go ledwie za dwudziestolatka; w szkole, gdzie uczył, zapuścił brodę, by odróżnić się od swoich uczniów. Przestał już ją nosić i wyglądał teraz świeżo jak zawsze.

Nieraz, gdy smutek szczególnie mu dokuczał, pragnął, by w jego rysach znaleźć można było ślady przeżytej tragedii, coś współmiernego do poniesionej straty - specjalne znamię, nierówną bliznę czy pusty oczodół, pozostałości po uratowaniu się z wypadku. W momencie katastrofy był

jednak daleko - siedział w domu, sprzątając po kolacji, kiedy Janey popełniła jakiś tragiczny błąd w drodze na aerobik. Ani on, ani nikt nie dowie się już nigdy, co dokładnie przydarzyło się w owej chwili - czy kichnęła nagle, czy zahamowała gwałtownie, by ominąć jakiegoś psa, czy zbyt długo kręciła gałkami radia, czy też po prostu w krytycznym momencie odwróciła nie wiedzieć czemu uwagę - ponieważ Janey jechała sama. Jego przystojna, pozbawiona zmarszczek i blizn twarz powinna więc teraz należeć do kogoś innego: przydałaby się zapewne mężczyźnie, który nadal miał ochotę na kobiety.

Wyszedł z mieszkania, zatrzymał się jeszcze przed drzwiami sprawdzając, czy dobrze je zamknął. Wsiadł potem do swojego volvo, najbezpieczniejszego, jak mówiono, samochodu i ruszył w kierunku centrum St. Louis - szybkościomierz wskazujący pięćdziesiąt pięć mil, obie ręce na kierownicy, ramiona przygarbione jakby w obawie. Ktoś jadący za nim mógłby z łatwością wziąć go za śmiesznego staruszka.

Horowitz, który podjął się zorganizowania swego kawalerskiego wieczoru wyłącznie sam, zarezerwował pokój w Cheshire Inn, gdzie ponad

piętnaście lat wcześniej, choć w znacznie okazalszej sali, odbyła się jego bar miewa*. Powiedział Maxowi, że zrobił to częściowo dla zachowania poetyckiej symetrii, ale również i po to, by udowodnić siedzącemu w nim wciąż wystraszonemu, nieszczęśliwemu trzynastolatkowi, że nawet gruby brzydał może w końcu zdobyć to, czego chciał. Horowitz pozostał prawiczką przez haniebnie długie dwadzieścia cztery lata; żeniąc się teraz z Rachel Fine odpowiadał jakby „a nie mówiłem” wszystkim niegdysiejszym szczeniakom z sąsiedztwa - siebie nie wykluczając - którzy wątpili w jego męskość.

Zwyczajowa ceremonia, w czasie której trzynastoletni chłopak zostaje uznany za dorosłego mężczyznę i staje się odpowiedzialny za swoje czyny.

Max wyrósł w tym sąsiedztwie, na zaniedbanej Raymond Street w University City, trzy domy od Horowitza, i był na jego bar micwie. Gdy przekraczał teraz hotelowy westybul nobilitowany stalową zbroją i gobelinem przedstawiającym polowanie na jednorożca, poszczególne epizody z tej uroczystości stawały mu tak wyraźnie przed oczyma, jak gdyby wydarzyły się zaledwie przed godziną: niekoszerna mieszanka hamburgerów i mlecznych koktajli podawanych na przyjęciu; Horowitz, którego znalazł kryjącego się w ubikacji i symulującego atak biegunki, by nie musieć pokazywać się z kimkolwiek na parkiecie; chwila, kiedy udało mu się wymknąć razem z Janey Roth - miała żółtą wstążkę we włosach - i namówić ją do ukrycia się w komórce któregoś z hotelowych portierów: gdy wreszcie zgodziła się go pocałować, jej oddech pachniał frytkami.

Nigdy przedtem nie uświadomił sobie w pełni, że dziewczęta podobnie jak chłopcy należały do gatunku ludzkiego, a zatem jeśli jadły coś przed pocałunkiem, ich usta zachowywały ów smak. Jadąc teraz windą czuł, że przebudził się w nim trzynastolatek: chłopak przenikał pełnym niedowierzania wzrokiem lata, które go czekały, i wpatrywał się w siebie, surowego i ponurego dwudziestosiedmiolatka, który nie potrafił już wylewnymi pochlebstwami nakłonić dziewczyny do schowania się w komórce - to nie było to, jego życie miało przecież potoczyć się inaczej.

Szedł korytarzem wypatrując pokoju Horowitza i starał się otrząsnąć z minorowego nastroju. Cieszyła go radość Neila - nieistotne, że sam nie miał do niej powodów - i nie chciał zepsuć swoim zachowaniem jego przyjęcia. Spróbował zmienić krok na lekki i beztroski, ale żalony efekt, jaki osiągnął, tylko jeszcze bardziej go przygnębił. Odnalazł wreszcie pokój i zapukał. Horowitz wrzasnął, żeby wszedł.

W pokoju śmierdziało. Był to zatęchły, wiszący w powietrzu odór, jaki mogłoby pozostawić wiele dni nieprzerwanej orgii kilku par nie pamiętających o otwieraniu okien czy kąpeli. Smród płynął z samego centrum pokoju, gdzie pośrodku niskiego stolika spoczywały trzy białe wypchane torby w otoczeniu gromady białych tekturowych pojemników, w jakich serwowano hamburgery w Białym Pałacu.

Trójka łąpczywie pożywiających się młodych ludzi w smokingach - Larry Klugman, Marv Miller i Horowitz - stanowiła niegdyś, wspólnie z nim, „pierwszy skład” szkolnej grupy dyskusyjnej. Sposób, w jaki przedstawiali temat o konieczności kontynuacji przez rząd federalny ulg podatkowych dla korporacji, doprowadził ich do półfinałów stanowych. Byli najlepszym zespołem, jaki ich szkoła, University City High, widziała od lat, i wszyscy twierdzili zgodnie, że w konkursie zajęliby z pewnością czołową lokatę, gdyby Klugman nie stracił głowy w krytycznym momencie. Max był świadkiem paru wydarzeń równie przykrych jak nagła trema Klugmana, który stał wtedy z rękami wbitymi w kieszenie kraciastej marynarki, szklistymi oczyma i ustami otwartymi jakby milcząco porozumiewał się z przodkami. Trwało to pełne półtorej minuty, jakie zużyć miał na miażdżące odrzucenie argumentów drugiej strony. Było to wciąż, mimo upływu lat, zdarzenie, z którego nie należało żartować w obecności Klugmana.

Max po skończeniu szkoły został nauczycielem angielskiego, potem przerzucił się na reklamę, Horowitz rozwinął swoje hobby, fotografię, w lukratywną profesję (jego specjalnością były pyszne komercyjne zdjęcia produktów żywnościowych), podczas gdy Klugman i Miller pozostali wierni swoim pierwotnym pomysłom, spełnili pokładane w nich wcześniej nadzieje i obaj zostali prawnikami zajmującymi się głównie prawem podatkowym. Za całą czwórką stały więc, mimo młodego wieku, spore pieniądze.

Horowitz otarł usta, podniósł się z krzesła i podszedł do Maxa. Jego wielkie cielsko zdawało się rozsadzać okrywający je smoking. Gdy objęli się na przywitanie, Max wtopił się niemal w ścianę tłuszczu. Horowitz roztył się jeszcze bardziej od czasu ogłoszenia zaręczyn z Rachel i cowieczornych kolacyjek w jej mieszkaniu. On zaś, przeciwnie, powoli acz równomiernie tracił na wadze. Fizyczny kontrast - wielki niedźwiedź i drobna figurynka - zbliżył ich do siebie już w dzieciństwie. Nigdy nie chciano ich w żadnej drużynie sportowej.

Powiedział Horowitzowi, jak cieszą go jego zaręczyny. Ten wykrzywił usta i wzruszył ramionami w odpowiedzi.

- Nie jesteś w ogóle zdenerwowany? - spytał go Max.

- Raczej smutny, jeśli mam być szczery. Nie wiem, czy mam tak wielką ochotę rozstawać się z dotychczasowym życiem, choć było gówniane.

Zzera mnie nostalgia... Nie jesteś głodny?

Max rzucił okiem na ślady orgii na stole.

- Nie, nie sędzę - odparł i poszedł przywitać się z Klugmanem i Millerem. Uścisnęli sobie dłonie; spytał, jak idzie i jak się mają ich rodziny. Miller, genialny szef ich grupy dyskusyjnej, który skończył prawo w Stanford, dorobił się już dwójki małych chłopaków i żony w przedwcześnie średnim wieku. Odpowiadał na pytania energicznymi kiwnięciami głowy - usta miał zapchane jedzeniem. Klugman przywołał na twarz swój ulubiony głupawy uśmiech i obwieścił: - Sherri znowu przestała mi dawać.

- Dlaczego?

- Pewnie pokapowała, jak bardzo to lubię.

W jego słowach było więcej prawdy niż mogło się pozornie wydawać.

Mikt nie potrafił zgadnąć, co połączyło Klugmana z niewykształconą, nieładną i nie dającą się lubić Sherri. Wysoka, z ciemnymi workami pod oczyma, posępnego usposobienia, wykrętna; rozmowa z nią sprawiała tyle przyjemności, co rwanie zębów, a gdy sama zdecydowała się coś powiedzieć, prawie zawsze mówiła o wszystkich i wszystkim źle. Żałował

serdecznie Klugmana, nie dlatego nawet, że był mężem Sherri, lecz że był w niej tak ewidentnie i nieszczęśliwie zakochany. W towarzystwie troszczył się o nią z taką uwagą, jakby byli na pierwszej w życiu randce.

- Ten twój ciuch jest jednak niezły - powiedział do niego. - Skromniutki, takie lubię...

- A dziękuję, dziękuję - odparł Klugman i pociągnął z plastikowego kubka coś, co wyglądało na whisky zmieszaną z wodą. Jego smoking miał wściekle różowy kolor, klapy mieniły się srebrem. - Chciałem właśnie na dziś coś takiego spokojnego.

Horowitz wrócił do stołu i zabrał się do hamburgera.

- Siadaj - rzucił do Maxa. - I jedz.

Max usiadł między Klugmanem i Millerem, wyrównał zagniecenia w zbyt luźnych nogawkach, po czym wyciągnął hamburgera z opakowania i obejrzał go dokładnie. Rozmiękła bulka poprzyklejana była do trupio sinego, rozłazącego się placka z mielonego mięsa, obrzuconego kawałeczkami przezroczystej cebuli. Zatechły odór odrzucił go, wyciągnął więc rękę z hamburgerem przed siebie: - Kto ma ochotę?

Miller wyrwał mu bułkę z dłoni. Kościsty, kojarzący się nieodmiennie z sową, na ogół pozbawiony humoru młody człowiek; cechującą go nadmierną przesadę Max przypisywał faktowi, że Miller miał już wszystko, czego mógłby w życiu pragnąć, prócz może wciąż większych dochodów, jakie z pewnością będzie musiał osiągnąć nawet siedząc beczynnie. Miał dwójkę nadzwyczaj dobrze ułożonych synów, żonę, na której mógł niezawodnie polegać, dom w ekskluzywnej dzielnicy Creve Coeur, odrestaurowanego bentleya w garażu i partnerstwo w jednej z najbardziej renomowanych kancelarii adwokackich w St. Louis. Mimo to Miller poruszał się, a nawet siadał, wyraźnie przygarbiony, jakby chciał pokazać, że wszystko, co tak wcześnie osiągnął dobrego, nie było niczym innym jak niespodziewanie nałożonym ciężarem: rolex na jego nadgarstku to zaledwie eleganckie kajdanki. Zamrugał przez okulary w grubych rogowych oprawach: - Nie chcesz nic jeść?

- Nie.

- Zaraz, chwileczkę - odezwał się Horowitz. - Wywaliłem dwadzieścia pięć centów na każdy kawałek i byłoby grzechem dać mu się zmarnować.

Pomyśl tylko o wszystkich dzieciach w Etiopii, które idą dzisiaj spać bez hamburgera z Białego Pałacu.

Max roześmiał się: - Horowitz, daruj, ale ja już nie mam żołądka dwunastoletniego szczeniaka. Jak wy w ogóle możecie z pełną świadomością jeść coś podobnego?

- To ciekawe - przyznał Klugman zapatrzony w swego zjedzonego do połowy hamburgera. - Dlaczego? Wiesz, że to paskudztwo, że dostaniesz po tym sraki, i rzeczywiście dostajesz, ale co z tego? Zanim pomyślisz, masz na siedzeniu w samochodzie całą torbę tych min przeciwżołądkowych i napychasz się nimi od początku. No, dlaczego? Czy to nie ich okropność jest taka pociągająca? Smakują jak grzech pierworodny, gdyby dało się go zjeść, mam rację?

- Zupełnie jakbyś mówił o pewnej kategorii kobiet... - zauważył Max. Klugman rozmyślał przez chwilę nad jego słowami.

- Chyba jak zwykle mówię o Sherri - stwierdził i dokończył resztę hamburgera.

- Tak czy owak - powiedział Horowitz - Rachel nie znosi tego gówna. Jeśli po ożenku wrócę choć raz do domu śmierząc Białym Pałacem, wniesie pewnie o rozwód. Może to zatem moja ostatnia szarża... -

Wyciągnął z torby dwa białe opakowania i położył jedno przed Maxem. -

No, chłopie, nie pamiętasz, jak jeździliśmy do takich Pałaców o trzeciej nad ranem? Stare dobre czasy... Zjedz jednego za nostalgię.

- Jeśli to zrobię, będę rzygać nostalgicznie przez następne dwa dni.

- To chociaż trochę frytek.

- Nie, dziękuję.

- Max, przykro mi to mówić, jednak naprawdę robi się z ciebie uparty buc.

To zabolalo; jak prawda.

- Ale chyba napijesz się ze mną? - spytał Horowitz.

- Oczywiście - odparł.

Ruszył śladem ogromnego cielska. Na zachlapanym barze stała dwulitrowa butelka Chivas Regal, dzbanek na wodę, kubełek z lodem, dwie piramidy plastikowych kubków i nic poza tym. Zapytał Horowitza, czy ma wodę sodową.

- Chcesz dodać do whisky?

- Nie, po prostu napić się.

- Wybij to sobie z głowy - orzekł Horowitz i wziął do ręki butelkę. - -

To mój kawalerski wieczór i dziś pijesz ze mną. Tylko mi nie zacznij teraz pieprzyć o zgubnych skutkach alkoholu czy niebezpieczeństwie jazdy na bani...

Problem polegał na tym, że Max był świadom wpływu, jaki miał na niego alkohol. Ostatni raz upił się kompletnie w noc śmierci Janey. Gdy policja powiadomiła go o wypadku, zadzwonił do Horowitza - był pierwszą osobą, z którą podzielił się tą wieścią, z matką nie dałby sobie rady - i gdy cała wstępna procedura dochodzeniowa dobiegła końca, obecny cały czas Horowitz poleciał po butelkę whisky, wyłączył telefon i zmusił go do picia aż do utraty świadomości. Od owego momentu dwie kolejki wystarczały, by zaczynał poddawać się panice. Musiał jednak przyznać, że całe miesiące minęły już od okazji, przy której wypił więcej niż dwie kolejki, i najprawdopodobniej ten specyficzny okres żałoby pozostał już za nim.

Poza wszystkim innym, Horowitzowi należało się z jego strony podobne, utrzymane w granicach przyzwoitości poświęcenie.

- W porządku - położył rękę na ramieniu tłuściocha. - Nalej.

- Wreszcie mówisz jak człowiek.

- Ale nie za dużo...

- Nie pieprz - uciął Horowitz. Napełnił kubek prawie do połowy alkoholem, rozcieńczył wodą i podał mu. Mieszanka miała kolor miodu.

- Chciałbym wznieść toast - obwieścił Max. Klugman i Miller podnieśli kubki, Horowitz wciągnął lekko głowę w ramiona i zaczął skubać swego kozackiego wąsa.

Nie miał pojęcia, o czym ma mówić. Po trzech latach spędzonych w szkole wiedział jednak, że najlepszym sposobem na rozpoczęcie przemowy jest otwarcie ust.

- Za Horowitza - powiedział - którego kocham... no, kocham więcej niż kogokolwiek innego. - W jego uczuciach dla matki nie było kochania, jedynie obowiązek, współczucie i wina. Stał teraz nie wiedząc, co ma mówić dalej. Horowitz odchrząknął i Max zaczął od początku: - Za Horowitza, rozkwitającego najwolniej na świecie. Czekał dwadzieścia cztery lata na pierwszy stuk, po następnych czterech zdecydował się ożenić, ale gotów jestem się założyć, że będzie szczęśliwy przez wszystkie lata, jakie mu zostały do końca. Zasluguje na to z pewnością. Lechaim!*

* Lechaim (hebr.) - Na zdrowie!

Miller klaskał w dłonie, Klugman gwizdał, wszyscy wypili.

Poczuł uderzenie alkoholu. Horowitz, zarzuciwszy mu swe wielkie ramię na plecy, poprowadził go z powrotem do stołu, po czym usiadł, sięgnął do torby, wyciągnął białe opakowanie i wbił w nie wzrok.

- Żarty, czy co? - odezwał się. - Puste.

- Jak to puste? - spytał Miller.

- Zobacz sam. - Horowitz rzucił mu pudełko.

Miller obejrzał je niczym dowód rzeczowy przedstawiany podczas procesu i poradził: - Sprawdź lepiej resztę.

Horowitz odwrócił torbę: pięć pustych opakowań spadło bezgłośnie na blat stołu.

- Co jest, do cholery! - zaklął. - Chcą mnie zagłodzić!

Max poczuł, że widok owych próżnych pudełek uraził jego czuły punkt.

Nie znosił popełniania błędów, przeoczenia spraw. Przecież Janey zginęła w wyniku bezmyślnej nieuwagi i chwila podobnie głupiego, niedbałego roztrzepania sprawi, był tego pewien, że ktoś wywoła przypadkiem Armagedon i rozniesie cały ten świat. Pociągnął mały łyk ze swego kubka.

- Oszukali cię - powiedział do Horowitza.

- Widzę - odparł tamten żałośnie i dalej gapił się na pudełka.

- I co masz zamiar z tym fantem zrobić?

- Jak to...?

- Nie pojedziesz tam z powrotem, żeby to wyjaśnić?

- Max, na litość boską, ja się bawię! Ani myślę wskakiwać nagle w samochód i...

- Horowitz, zostałeś oszukany.

- Też coś, sześć zasranych hamburgerów! Uspokój się.

Ale on zdążył się już unieść: - Wiesz, co to jest? To ta cholerna, typowa dla St. Louis bierność! Dlaczego nikt tu nie trąbi, wiesz?

- Ze co?

- Jeździłeś samochodem w innych miastach. Wszędzie ludzie używają sygnałów, tylko nie w St. Louis. Możesz przejechać na czerwonym świetle, rozwalić jakąś staruszkę i nikt na ciebie nie zatrąbi, gwarantuję ci to. To samo masz w kinach. Czy ktokolwiek powie gadułom, żeby się zamknęli?

Nie, wszyscy będą siedzieć i znosić ich paplanie, jakby potulność była obywatelskim obowiązkiem. A co się działo, gdy tę trzynastoletnią dziewczynkę zgwałcono w fontannie w Forest Park? Cały tłum ciekawskich stał, po prostu stał i się gapił...

- Max, o czym ty u diabła gadasz?

- Mówię, że nikt w tym mieście nie ma nawet krzty wyobraźni, by się zorientować, że robią go w konia.

- Słuchaj no: zrobiono mnie w konia na półtora dolara i mam to gdzieś.

Wystarczy? A jeśli to według ciebie jest podejście typowe dla St. Louis, to zgoda, jestem typowym luizjańczykiem. A teraz zostaw to wszystko z łaski swojej. Chcemy się bawić.

Przesadzał w swoich reakcjach, a może właśnie nie. Każda wielkość składa się z drobiazgów i przy drobiazgach właśnie zaczyna się deptać zasady, by w końcu zrezygnować z nich całkowicie.

- Czy naprawdę żadnemu z was nie zależy na pryncypiach?

- Zwariowałeś? - rzucił Klugman. - Jestem prawnikiem.

Miller, którego trudno było rozbawić, parsknął głośnym śmiechem.

- W którym Pałacu to kupowałeś? - Max zwrócił się do Horowitza.

- Nie powiem ci.

- Nie musisz.

Przeszukał torby, w jednej znalazł rachunek z adresem: róg Grand i Gravois, w samym sercu ciemnogrodu, jakim było South St. Louis. Zebrał sześć pustych pudełek do jednej z toreb, wrzucił do środka rachunek i podniósł się zza stołu.

- Nie będę długo - powiedział do Horowitza.

- Do diabła, Max, co chcesz zrobić?

- To, do czego żaden z was nie przykłada po prostu jakiegokolwiek wagi - odparł i wyszedł z pokoju.

Włączył samochodowy magnetofon - czwarty Koncert Brandenburski Bacha. Spokojne współbrzmienie dźwięków było kojące i pełne rozważniczym rozmowa aniołów. Zastanawiał się, dlaczego takiej właśnie - i tylko takiej - muzyki nie puszczano w sklepowych arkadach, wielkich magazynach, poczekalniach dentystów, windach. Świat złagodniałby na pewno.

Kto to zresztą wie. Jechał przecież teraz do samego jądra ciemności, choć okolice tej części South St. Louis zamieszkiwali głównie biali, nie miało to żadnego znaczenia. Młodzi mężczyźni przypominali osiłków, jakich zwykle pełno w otoczeniu super hałaśliwych zespołów heavy metal, młode kobiety obnosiły kolejną ciężę ciągnąc już za sobą przynajmniej jedno umorusane dziecko, a kierowcy na Grand Avenue mieli jeszcze mniejsze pojęcie o jeździe niż inni w tym mieście: skręcając, tarasowali ulicę wypchnąwszy się samochodem nadmiernie do przodu; jeśli nie parkowali równolegle do stojących już pojazdów, ruszali włączając się do ulicznego ruchu bez zwracania uwagi na panujący ścisk; przekraczali stale wymalowane na jezdni linie, jakby byli pijani; i zwykle byli. Dlaczego nikt nie pojmował, że samochód to coś niosącego śmierć? Reklama, jego profesja, nie była tu bez winy: samochód oznaczał zabawę, emocję, był

synonimem męskości, wyrażał styl życia i wyznawaną filozofię; był wszystkim poza tym, czym był naprawdę: ciężką metalową bryłą poruszającą się w przestrzeni bez szacunku dla ludzkiego życia, zwykle pozostającą w rękach niedorozwiniętych umysłowo jednostek.

Posuwał się wolno dalej. Zastanawiał się, dlaczego ludzie zamieszkujący południową część miasta byli tak nieprzeciętnie paskudni w porównaniu, na przykład, z mieszkańcami Clayton czy Ladue*.

* Wschodnie, niezbyt zamożne dzielnice miasta w pobliżu University City.

Nie można było zwalić wszystkiego na złe odżywianie w dzieciństwie; czy stąd brały się strąki nie mytych włosów i dziki zarost na twarzach, podkoszulki z reklamą piwa, tanie gumowe sandały, tatuaże, ponure gęby i wszechobecny brud? Sam także nie wychował się w dostatku, jeśli niedostatek oznaczać miał po prostu stały brak pieniędzy. Ojciec, sprzedawca damskiej odzieży (nie pamiętał jego twarzy, matka usunęła wszystkie fotografie), zostawił rodzinę bezpowrotnie, gdy Max był jeszcze

niemowlęciem. Matka zarabiała jako kasjerka w jednym z dużych sklepów, tak że z trudem przypominał sobie okresy z dzieciństwa, kiedy nie byłby zajęty roznoszeniem gazet, zbieraniem butelek albo puszek, ścinaniem trawników, odgarnianiem śniegu czy sprzedawaniem prenumerat, aby coś dorobić. Jednakże tutaj, na południe od granicy, jaką stanowiła Czterdziesta Czwarta Autostrada, panował inny rodzaj ubóstwa: brakowało dobrodziejstw cywilizacji, których on nie był nigdy pozbawiony. Odczucia, jakie wzbudzali w nim hoosiers, czyli nazywana tak pogardliwie przez luizjańczyków biała hołota, kazały mu się zastanowić nad kryteriami, według których rzeczywiście oceniał ludzi. Nie przepadał za tymi zgryźliwymi, sponiewieranymi dziećmi bezrobotnych pracowników browaru czy chłopów, którzy przenieśli się do miasta z Ozark**, czuł się skrępowany, z niejakim trudem przychodziło mu uważać ich za w pełni rozwinięte istoty ludzkie.

** Obszar wzniesień łączących stany Arkansas i Missouri, zamieszkały przez ubogą ludność autochtoniczną.

Wiązało się to częściowo z wychowaniem, jakie odebrał: Żydzi w większości są demokratami tylko na odległość. Wiedział, że dla podobnych uprzedzeń nie powinno być jednak miejsca w duszy pełnej tolerancji i współczucia; kłóciły się one również z niektórymi z jego lewicowych sympatii. W dyskusjach gotów był zawsze zająć stronę biedaków, rzeczywistość jednak wyglądała inaczej: nie lubił znaleźć się w ich otoczeniu, szczególnie zaś w gorący, jak ten właśnie, wrześnieowy wieczór.

Upał, z bliżej nie znanych powodów, zdawał się być czymś naturalnym dla mętów: wyciągał ich z domów, sadzał na gankach, zwiększał spożycie popularnego piwa, roztapiał resztki rozumu i czynił ich jeszcze bardziej niebezpiecznymi, gdy siadali za kierownicą wysłużonych, przerdzewiałych oldsmobili i impali.

Zahamował gwałtownie: długowłose młodzian przekraczał ulicę nie zwracając uwagi na ruch. Czyżby okazywana w ten sposób głupota miała być dowodem męskości? Zatrąbił, po czym zacisnąwszy zęby zaczął posuwać się dalej.

Biały Pałac pokazał się wreszcie: niewielki biały budynek przypominający bardziej zamek niż pałac, obudowany blankami i wieżyczkami obronnymi wyglądającymi jakby były sklezione z ogromnych łazienkowych kafli, otoczony bałaganiarskim parkingiem. Zatrzymał samochód przed budynkiem; nagłe ukłucie bólu przypomniało mu ostatnią tu wizytę.

Była to również noc celebracji: Janey, po sześciu nerwowych latach studiów, obroniła wreszcie dyplom na lokalnym University of Missouri; chcieli to uczcić kolacją w Tony's, najlepszej restauracji w St. Louis.

Czekali na stolik siedząc w barze - w sobotnie wieczory restauracja była pełna. Janey, w granatowej sukni i ze sznurem prawdziwych pereł, które dostała od rodziców (wraz z nowiutkim datsunem) w prezencie za ukończenie studiów, była w wybornym humorze i za każdym pojawieniem się barmana zamawiała kolejną czystą whisky. Pamiętał, jak rozkoszował się jej promiennym uśmiechem i pijanym spojrzeniem, upajał

dotychczasowym szczęściem, podniecony myślami o tym, które miało dopiero nadejść. Byli już prawie dwa lata po ślubie, lecz teraz dopiero, gdy jej studia wreszcie dobiegły końca, rozmawiali pierwszy raz poważnie o dzieciach. Minęło półtorej godziny, szef sali wciąż nie potrafił znaleźć dla nich stolika. Janey oparła się o jego ramię i oznajmiła: „Jestem wstawiona.

Jeśli nie dostaniemy zaraz czegoś do zjedzenia, to czuję, że padnę na oczach tych wszystkich ślicznot...” A po chwili, już wyprostowana, zaczęła bawić się perłami. I nagle roześmiała się: „Słuchaj, mam świetny pomysł: olejmy tę zasraną budę. Jedźmy do Białego Pałacu!” Kazali więc przyprowadzić samochód z parkingu, po czym, ubrani jak przystało na kolację w najwytworniejszej restauracji miasta, pojechali do południowej części St. Louis, by ucztować w tym właśnie Pałacu, przycupniętym na rogu Grand i Gravois. Następnego ranka odchorowali to oczywiście niczym para marynarzy po całonocnej hulance, ale przyjemnie było wspominać ów radosny upadek ze szczytu na bruk choćby dlatego, że ukazał Janey w jej najlepszej formie: zabawną, bezpretensjonalną, zaskakującą. W ciągu czterech miesięcy życia, jakie jej pozostały, opowiadał często historię ich wspólnej eskapady.

Wyłączył magnetofon, odpiął pas i wysiadł z klimatyzowanego wnętrza samochodu - duszny, przytłaczający upał niemal go obezwładnił. Poprawił goździk w butonierce i z torbą pełną dowodów rzeczowych wszedł do baru.

Zaduch, jaki wewnątrz panował, był nieznośny. Gdyby nie to i gdyby nie tłum mizernie wyglądających, biednie odzianych hoosiers, jaki go otaczał, można by wziąć to miejsce za prosektorium: ściany pokryte białym linoleum, wszędzie aluminiowe lamy i poręcze, beznamietne aseptyczne światło padające z sufitu. Świecić tak będzie całą noc: tu, podobnie jak w prosektorium, nigdy nie zamykano. Zajął miejsce w kolejce. Tuż przed nim

stała zgarbiona staruszka z wolem wielkości mandarynki na szyi, odwrócił wzrok w kierunku zawieszzonego wysoko jadłospisu. Można tu było znaleźć coś do zjedzenia poniżej dolara, ilu głodujących przebiedowało lata całe dzięki podobnym Pałacom? Zauważył, że hasło reklamowe - zwracał na nie uwagę - umieszczone pod znakiem restauracji było nowe i, musiał to przyznać, całkiem dobre: „Biały Pałac - jeden kęs i już się nie oderwiesz”. Zaczął się zastanawiać, kto zajmował się ich reklamą.

- Życzy pan sobie...?

Kelnerka nie była młoda; spod niebieskiej czapki z daszkiem rozsypywał się węzeł czarnych włosów, dwa luźne kosmyki spadały jej na kark niczym długie nitki. Widać było jej wyczerpanie i zniecierpliwienie.

Uzmysłowił sobie, że jest w smokingu i nagle spojrzął na siebie jej ciemnoniebieskimi, zmęczonymi oczyma - jeszcze jeden dumny elegancik z West County* odkrywający nędzę tych okolic.

* „West County” oznacza w większości miast Zachodu dzielnice uprzywilejowane, w odróżnieniu od „South County” - dzielnic ubogich.

Postawił torbę na błyszczącej aluminiowej ladzie, jaka ich oddzielała; obliczona na wysokość przeciętnego klienta sięgała mu prawie do szyi.

- Hmm - odezwał się. - Przychodzę z zażaleniem.

Kelnerka czekała bez słowa.

- Proszę zajrzeć do torby, jeśli pani łaskawa...

Jej pokryte niebieskim tuszem powieki opadły lekko, nie była w nastroju do przyjmowania reklamacji. Spojrzała niechętnie w głąb torby.

- No i co - rzuciła bez śladu zdumienia w głosie. - To sześć pustych kartoników.

Wyciągnął rachunek i pokazał jej.

- Zapłaciłem za trzydzieści hamburgerów, a pani dała mi tylko dwadzieścia cztery.

- Doprawdy?

- Tak. Proszę o zwrot pieniędzy.

Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

- A może sam zjadłeś tych sześć hamburgerów, kotku, skąd ta pewność, że ich nie dałam, co?

Nie znosił, gdy ktokolwiek, nawet nieznani mu ludzie, wątpił w jego uczciwość.

- Musi pani uwierzyć mi na słowo - odparł.

- Tak? A z jakiej racji?

- Ponieważ ja mówię prawdę.
- A ja jestem Marilyn Monroe...
- Gdybym pracował w tej knajpie, a pani była moją klientką - rzucił przez zaciśnięte zęby - poprosiłbym, by się pani kłaniała ode mnie Joemu DiMaggio*.

* Słynny baseballista amerykański, drugi mąż MM.
A teraz będzie pani tak dobra i zwróci mi pieniądze.

Kobieta spojrzała na niego z zaciekawieniem zupełnie, jak uznał, nie na miejscu. Podniosła dłoń do ucha i machinalnie zaczęła bawić się małym kolczykiem.

- Jeśli mi pani nie wierzy - powiedział - proszę powąchać którekolwiek z tych pustych pudełek. Musiałoby przecież śmierdzieć hamburgerem...

- Kotku, ja już się tyle nawąchałam, że gdybyś mi je pod sam nos podetknął, to i tak nic nie poznam.

Stracił w tym momencie cierpliwość.

- Chcę rozmawiać z kierownikiem - zażądał. - Pani się nazywa...? -

Zauważył, że jako jedyna spośród mijających się gorączkowo za kontuarem kelnerek nie ma przypiętego identyfikatora.

- Bo...?

- Bo gdy dostanę z powrotem pieniądze, złożę skargę u kierownika. Była pani wobec mnie wyjątkowo nieuprzejma.

Szerokie usta kobiety przybrały kształt prostej linii. Przycisnęła klawisze kasy, brzęknął dzwonek otwieranej szuflady i wręczyła mu pieniądze.

- Oto pana należność - rzuciła, akcentując mocno słowo „pana”. -

Przykro mi za sprawiony kłopot.

- Ile kosztuje sześć hamburgerów?

- Dolar czterdzieści cztery plus podatek.

- Dała mi pani dolara siedemdziesiąt pięć...

- Za resztę kup pan sobie wyższe obcasy - odparła i odwracając się do czekających za nim niecierpliwie w kolejce powiedziała: - Następny!

- A tu właśnie - mówił Horowitz - jest bohater bar micwy.

Na małym stoliku przesuniętym pod ścianę stał projektor; naprzeciw, przysyłając łoże z baldachimem, rozłożony był ekran: trzynastoletni tłuścioch w jarmułce na głowie, z ogromną Torą w ramionach okrytych tałesem, wystawiał w kierunku aparatu różowy język.

- Tego akurat rodzice nigdy nie powiesili w holu - mówił Horowitz.

- Dawaj następne! - wrzasnął Klugman, najbardziej pijany z całej

czwórki.

Max pił już drugą kolejkę; czuł, że alkohol uderza mu do głowy.

W kieszeni miał wciąż pieniądze, które zwróciła mu kelnerka: Horowitz odmówił ich przyjęcia, wściekły na okazany przez niego „kompleks Abrahama Lincolna”, jak to nazwał. Całe więc zstąpienie do piekieł południowej części miasta było w gruncie rzeczy na nic, z drugiej zaś strony sprawiło, że sprawiedliwość zatriumfowała, choć nikogo to poza nim nie obchodziło.

Projektor zaszumiał i zaklekotał.

- Macie tu całe przyjęcie - objaśniał Horowitz. - W sali Henryka VIII, w tym samym hotelu. To Max, tańczy z Mindy Ladinsky, a tu ja w centrum całego bajzlu. Chciałem się zapaść pod ziemię... Pierwsza moja zabawa z dziewczynami, mało się nie posrałem ze strachu. Pamiętam, że nie udało mi się żadnej przelecieć, mimo iż właśnie stałem się oficjalnie mężczyzną.

- Przez następnych dziesięć lat też ci się nie udało - przypomniał mu Max.

- Dawaj! - domagał się wrzaskliwie Klugman.

Na ekranie Max tańczył z chudą, ładniutką dziewczynką o prostych jasnych włosach związanych żółtą kokardą. Śmiejąc się do obiektywu, robiła palcami „rogi” za jego głową.

- To Janey? - spytał Miller.

- Janey - potwierdził.

- Przecież to sama skóra i kości!

- Cholera, to kiedyś ty zaczął z nią chodzić? - spytał Klugman. - W przedszkolu?

- Prawie.

- Pamiętam, jak w szkole wszyscy o was mówili, ale pojęcia nie miałem, że to sympatia z dzieciństwa. Zrzygać się można, takie to wzruszające...

Czyś ty nigdy nie miał innej dziewczyny?

- Miałem, oczywiście - odparł - ale zawsze kończyło się to powrotem do Janey. - Wypił łyk whisky; serce biło mu w dziwny sposób. Na ekranie wciąż tkwiło to samo zdjęcie. - Dobra, wystarczy - rzucił do Horowitza. -

Nie możesz pokazać czegoś innego?

- Projektor się zaciął.

- Co mu się stało?

- Właśnie próbuję znaleźć...

Musiał nadal patrzeć na Janey. W tańcu charakterystycznie opierała dłoń

na wąskim biodrze. Poczuł szczególny rodzaj zazdrości: o siebie samego, w tamtym życiu.

- Zepsuł się zupełnie czy co? - spytał.

- Zaraz, nie denerwuj się. - Horowitz stuknął kilka razy w projektor, przezrocza zmieniły się: Rachel Fine wśród bujnej roślinności, czyżby w szklarniach Climatron? Zdjęcie pochodziło ze znacznie późniejszego okresu niż poprzednie i fakt, że w przezroczach panował bałagan, irytował go nieco. Rachel miała okulary słoneczne na nosie i kwiecistą, szeroką niczym namiot, sukienkę.

- Jezu, ależ ona jest spasiona! - westchnął Horowitz.

- Ani się umywa do ciebie - stwierdził Klugman.

- Oboje jesteśmy tłuściochy, będzie z nas świetna para. Mózg mi staje, gdy o tym pomyślę.

- Nie masz się chyba na co skarżyć - orzekł Miller.

- Ja jestem gruby, ona jest gruba, ślub będzie jak się patrzy, potem wpłacimy gruby szmal jako zadatek na dom, wychowamy czereď tustych dzieci i do końca życia nie ruszymy już dupy z tego sutego miasta. Nic się nie da zrobić, koniec, pat. W mojej rodzinie są same tłuściochy, oprócz ojca. Powinniście nas zobaczyć czasem przy posiłku: banda szczęśliwych wieśniaków z jakiegoś obrazu Brueghela. A poczekajcie tylko do wesela...

Wszystkie druhnny Rachel są grube. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w niedzielę synagoga zapadła się pod tym ciężarem w ziemię.

- Nie powinienes tak mówić - strofował go Miller. - Rachel jest w porządku...

- Miller, cholera, jak tyś się w ogóle dostał do Stanford? Czy ja mówię, że ona nie jest w porządku? Powiadam tylko, że mi bokiem wyłażą te zaprogramowane w genach obyczaje rządzące naszą kulturą. Tłuściochy wychodzą za tłuściochów, paskudy łączą się z paskudami, a pięknisie znajdują sobie piękniśiów. Spójrzcie tylko na naszego uśmiechniętego Adonisa. Przyszło wam może kiedy do głowy, że zwiąże się z jakąś nieładną babą? Nie, bo dlaczego niby miałby to zrobić? Janey miała ledwie trzynaście lat, gdy wyglądała już jak żydowska Grace Kelly. A Max to przecież model żywcem z „Kwartalnika dla Panów”! Dlaczego niby Janey wyszła za niego? Jej papcio to jeden z największych żydowskich krwio pijców w mieście, a nasz Max to biedny kurdupel z Raymond Street.

Janey została jego żoną, ponieważ nie było przystojniejszego chłopaka w naszej budzie.

Horowitz nie mylił się zbyt. Bill Roth był właścicielem największej sieci kin - nie wspominając o innych inwestycjach - na terenie St. Louis, i jeśli wziąć pod uwagę obyczaje lokalnej społeczności żydowskiej, Max ożenił się ponad swój stan.

- Musimy wiecznie o tym gadać? - spytał.

- Pardon - skrzywił się Horowitz i puścił następne przezrocze.

Pech; kolejne zdjęcie Janey. Pamiętał okoliczności, w jakich zostało zrobione: pokazy jeździeckie w Queeny Park, zdobyła wtedy dwa wyróżnienia. Przełknęła łyk alkoholu i wciągnęła powietrze do płuc.

Horowitz złapał ją na grzbiecie długonogiego karego konia, wspiętego w skoku ponad białymi żerdziami przeszkody. Spod ramienia wystawała jej szpicruta, twarz była zamazana. Przypomniał sobie imię konia: Nocna Mara.

Projektor przesunął z trzaskiem następne zdjęcie.

Janey uśmiechająca się, już bez dżokejki na głowie, platynowa burza jej włosów rozświetlonych od tyłu słońcem.

Trzask.

Janey siedząca na drewnianej trybunie, z brodą opartą na dłoni, jakby czymś zaniepokojona.

Trzask.

Nigdy nie miał mocnej głowy i teraz, po drugiej kolejce, poczuł napływające do oczu łzy. Nie był to żaden rozdzierający płacz, raczej ciche, kontemplacyjne prawie łkanie, którego nikt by zapewne nie odkrył - siedział w ciemnym pokoju z twarzą w dłoniach - gdyby Klugman, podniósłszy się z trudem z krzesła, nie włączył światła idąc chwiejnie do łazienki.

Horowitz, z jedną ręką na przyciskach projektora, patrzył na niego.

- Miller - powiedział - wyłącz, proszę, tę lampę...

Gdy po blisko godzinie Klugman przestał tulić się do muszli klozetowej, Miller odwiózł go do domu. Zostali tylko we dwójkę z butelką Chivas Regal na rozdzielającym ich stoliku. Pił teraz ostrożnie, Horowitz za to nie oszczędzał się: jego marynarka, szarfa, muszka i przywiedły goździk leżały w nieładzie na łóżku, czerwona twarz zdawała się zapadać pod wpływem alkoholu.

- Wiesz, co się z ciebie robi? - mówił do niego Horowitz. - Jesteś jak ta stara wariatka u Dickensa, no ta, co to siedzi jak kołek w swojej ślubnej sukni i gapi się na weselny tort, pani Hammershammer czy jak jej tam, cholerze, było.

- Havisham*.

* Bohaterka „Wielkich nadziei” porzucona przez niedoszłego męża w dniu ślubu i od tego czasu niezrównoważona psychicznie.

- Niech będzie. Więc zaczynasz być jak stara Havisham.

- Horowitz, powiedz mi jedną rzecz: kiedy mija przepisany okres żałoby dla mężczyzn?

- Co to ma za znaczenie, dla ciebie już dawno się skończył. - Horowitz przechylił butelkę do swojego kubka. - Max, ja rozumiem, że widok Janey rozkłada cię jeszcze pół roku po jej śmierci, nawet rok, ale nie po dwóch latach, na litość boską! Przecież to patologia! Nie chciałem ci tego mówić, stary, ale rzygać mi się chce od tej twojej ciągłej bolesti.

- To co mam według ciebie zrobić?

- Zaczynaj żyć od nowa.

- Żyję.

- Nie pleć bzdur, wiesz dobrze, o czym mówię! Kiedy byłeś ostatni raz z kobietą?

Westchnął i pochylił się do przodu: - Spróbowałem raz, jakiś czas temu. Ale nic z tego nie wyszło.

- Max, odpowiedz na moje pytanie: kiedy byłeś ostatni raz z kobietą?

- Koło Bożego Narodzenia.

- Z kim?

- Jedna z dziewczyn z biura umówiła mnie ze swoją kuzynką.

- No i?

- Bardzo ładna niewiasta, co mnie zaskoczyło... Zjedliśmy dobrą kolację u Spira, potem zaprosiła mnie do siebie.

- Przeleciałeś ją?

- Nie.

- Dlaczego nie, do cholery?

- Bo na stoliku zobaczyłem puszkę na datki, wiesz, taką z dziurą na monety w wieczku. Zacząłem ją oglądać, miała przyklejone zdjęcie wschodu słońca ze sloganem w stylu „Wspomóż słoneczny blask” czy coś podobnego. I dopiero na dole zauważyłem napisane małymi literkami, że datki należy przesyłać na adres jakiejś chrześcijańskiej organizacji w Lynchburg w Virginii.

- Kurwa, i co z tego?!

- W Lynchburg, jeśli zapomniłeś, ma swoją główną siedzibę Jeriy Falwell*.

*Kaznodzieja
telewizyjny,

organizador

i

przywódca

ultrakonserwatywnego kościoła niezależnych baptystów zwanego Morał Majority z siedzibą w Lynchburgu.

I ona z pewnością należała do tych faszystów, co jej chyba powiedziałem wprost, bo mnie w końcu wyprosiła.

- Miałeś szansę przelecieć babę i polityka ci przeszkodziła?!

- Sto procent racji: właśnie polityka. Ale sam powiedz, przespałbyś się z neonazistką?

- Na twoim miejscu, Max, spałbym z samą Ewą Braun! Czyś ty nie zauważył, że nie ma na świecie lepszego ode mnie specja od zajoba, jaki wywołuje przewlekłą i nie zaspokojoną chęć? Doskonale wiem, co to robi z człowiekiem... - Horowitz pociągnął z kubka i otarł usta rękawem. -

Czemu nie skończysz wreszcie tego żałobnego maratonu i nie zwalisz jakiejś dupy? Nic prostszego dla ciebie, wystarczy, że staniesz przy barze i już możesz wybierać.

- A jeśli ci powiem, że nie mam ochoty na walenie?

- Ochota na walenie leży w ludzkiej naturze, rany boskie!

Złożył przed sobą dłonie jak do modlitwy; gest jeszcze ze szkoły, gdy musiał tłumaczyć uczniom jakieś szczególnie skomplikowane zagadnienie.

- Posłuchaj, choć i tak nie uwierzysz: świadomie postanowiłem żyć przez pewien czas w celibacie.

Horowitz wykrzywił się do niego i zaczął szarpać wąsy, po czym opróżnił swój kubek i rzucił: - Ze co?

- Przemyślałem wszystko, to w tej chwili najlepsze dla mnie wyjście.

Neil, ja wciąż mam stracha. Przed komplikacjami, nieporozumieniami, tym, że stracę kontrolę, a to znaczy, że nie jestem gotów do podjęcia związku. I jeśli tego nie potrafię, to nie mam również ochoty na zdobywanie rutynowymi kłamstwami kobiet, których i tak nie mam zamiaru traktować poważnie. Masz tu całe tłumaczenie. Wystarczy?

Horowitz dolał sobie whisky, zachlapując przy okazji stół.

- Czemu po prostu nie rozejrzysz się za babą, która ciebie nie brałaby poważnie? - zapytał.

- Dlaczego niby miałbym szukać akurat takiej?

- Dla zwykłej ordynarnej przyjemności pierdolenia, cholera!

- O to właśnie chodzi: prosta, ordynarna przyjemność. Mogę się na razie bez niej obejść.

Horowitz wychylił kubek, zamrugał oczyma i beknął.

- Zapisz się na śmierć, jak będziesz ciągnął w tym tempie.

- Ty jesteś Max Baron? - zabelkotał Horowitz. - Spotkaliśmy się już kiedyś, prawda?

- Przestań.

Horowitz zwałił się łokciami na stół. Obrzmiałe od alkoholu powieki ledwie ukazywały szparki oczu. - Mam ci powiedzieć, co to wszystko znaczy? To nie celibat, to nekrofilia. Będziesz wierny Janey, dopóki nie przepisz się z jakąś inną. Na tym to, kurwa, polega.

Zabolało... odwrócił się, wbił wzrok w ciemny kąt pokoju. Słowa Horowitza dyktowała przyjaźń, wiedział to, i najpewniej kryła się w nich prawda. Ale czy cała? Nie można części prawdy wziąć za całość. Trudno mu było jednakże nie zgodzić się z tym, co powiedział Horowitz: praktycznie biorąc, pozostawał nadal wiernym mężem.

Kiedy odwrócił się z powrotem, ten spał już oparty ramionami o blat stołu. Z otwartych ust ściekała mu na koronki rękawa białej koszuli strużka śliny. Rozbudził go z trudem i zataczając się niczym nieudolny trener z ogłupiałym niedźwiedziem doprowadził do łóżka. Horowitz padł

bezwładnie na materac. Odpiął mu koszulę, wyciągnął pasek i zdjął buty.

Postawił je równo obok siebie, z noskami skierowanymi w jedną stronę i, jak gdyby pchnięty do działania tą rutynową czynnością, zabrał się do porządkowania pokoju. Gdy po jakimś czasie wieszał w szafie marynarkę Horowitza, w pomieszczeniu panował niemal doskonały porządek. Jedyne wyjątek stanowiło białe pudełko po hamburgerze, które przeoczył pod stolikiem. Ruszył już, by je podnieść, gdy nagle powstrzymał się: cóż on właściwie wyprawiał? Nie można było wszak rozsądnie wytłumaczyć porządkowania hotelowego pokoju, gdy rano miała to i tak robić sprzątaczką. Z drugiej strony pozostawienie tego jednego pudełka na podłodze byłoby absurdem, złamaniem pewnej przyjętej reguły. Podszedł

bliżej, schylił się... poczuł nagle przyływ obezwładniającego znużenia, wystarczy.

Usiadł za stołem, podniósł swój kubek i wypił. Po drugiej whisky czuł się lekko wstawiony, ta wprawiła go w stan natężonego spokoju.

Horowitz miał rzeczywiście we wszystkim rację: hołubił swoje cierpienie, nie przyznawał się do nekrofilii, stał się przedwcześnie posuniętym w latach „starym malutkim”. Do głowy przyszła mu teraz nowa, błuźniercza prawie myśl: w gruncie rzeczy to Janey miał najbardziej dość.

Widział to teraz wyraźnie: bokiem mu wychodziła ona sama, jej brak, jej śmierć, wszystkie jej obrazy bez końca odkrywane wśród resztek kramu, jaki pozostał mu w sercu. Zmarli trzymali się mocniej niż żyjący.

Zmarli bezustannie się czegoś domagali. Nikt nie był tak nieustępliwy jak oni. Gdy Janey żyła, mógł przynajmniej od czasu do czasu oderwać się od niej.

Trzeba by teraz... no, co można by teraz zrobić?

Trzeba by się teraz napić. Nieważne, dlaczego.

W hotelu były dwa bary, nie miał jednak ochoty na siedzenie w przyzwoitym lokalu. Jeśli się zalać, to w jakiejś ordynarnej spelunie, gdzie Janey, gdyby żyła, nie postawiłaby nogi za nic w świecie.

Rozdział drugi

W Maplewood, naprzeciwko sklepu z przecenionymi wyrobami, stał Cousin Hugo's, żałosna, obita zielonymi deskami knajpa z parkingiem oświetlonym niczym więzienny spaceriak. Przed paroma laty była sceną jakiegoś wyjątkowo odrażającego mordu, którego szczegółów już nie pamiętał, i owa atmosfera tragedii nadal - tak sobie wyobrażał -

wyczuwalna w tym miejscu, jak i fakt, że była to najgorsza spelunka w pobliżu hotelu, jaka mu przyszła do głowy, skierowały go właśnie tu.

Wjechał na parking pełen jeepów, półciężarówek, samochodów mieszkalnych i tych samych, zapewne starych i przerdzewiałych oldsmobili i impali, które polowały na niego w South St. Louis. Tu jednak było nie South St. Louis z wiekowymi budynkami z czerwonej cegły, rozpadającymi się powoli w cieniu browaru Anheuser-Busch, a Maplewood niedaleko Dogtown, popularne przed drugą wojną światową handlowe śródmieście rozciągnięte wokół nieczynnej już walcowni Scullin Steel, z charakterystyczną teraz dla niego atmosferą zaniedbania.

Siedział w samochodzie słuchając Eine kleine Nachtmusik. Wysiadł w końcu i zaczął szukać wejścia. Za kręgiem świateł rzucanych przez parkingowe reflektory, rozgwieżdżone niebo otwierało się niczym wachlarz: nieczęsto widziało się konstelacje tak jasno i czysto. Nisko nad horyzontem, z łatwo rozpoznawalną trójgwiazdą przepaską, świecił

Orion-Łowca, również ofiara wypadku. Jego kochanka, księżycowa bogini Artemida, sama wyśmienita łowczyni, przypadkowo przeszła mu strzałą serce, gdy wspólnie zasadzali się na lwa (w niewiadomy sposób

musiała się widocznie pomylić...). Skruszona, umieściła go w niebie pośród innych nieśmiertelnych. Pomyślał, że w starożytności znacznie łatwiej było znaleźć wy tłumaczenie bezsensownych wypadków, skoro wiadano, że los pozostaje w rękach kluczes*, jakimi byli sami bogowie.

* kluczes (jid.) - matoly, półgłówki.

Najprawdopodobniej pozostali nimi nadal - nie mógł pogodzić się z judeo-chrześcijańską koncepcją rozsądnego, sprawiedliwego i dobrego niczym ojciec Bóstwa. Zwariowany, płochy kosmos opanowany przez przewrotne demony i folgujących sobie półbogów - wszystko wskazywało na istnienie takiego właśnie układu.

Wszedł do środka. Wieczór zdawał się obfitować w coraz to gorsze zapachy: w pomieszczeniu unosił się smród zwietrzałego piwa, tanich perfum, oleju do smażenia i ludzkiego potu. Bar był pełen młodych ludzi -

robotnicza „sól ziemi”, typy dwukrotnie głosujące (jeśli w ogóle) na Reagana, bo pasował do ich wyobrażenia kowboja - i pośród ich szerokoskrzydłych kapeluszy, czapek z długim daszkiem, przykrótkich obcisłych podkoszulków i niebieskich džinsów jego wieczorowy strój był

tak krańcową anomalią, że nikt nie spojrział nawet na niego, gdy niewidzialny w swym smokingu przepychał się pomiędzy zgromadzonymi, by zasiąść wreszcie na wysokim stołku przy barze. Nad barem wisiał

transparent z ręcznie malowanym napisem „Chuck & Joan - wszystkiego najlepszego z okazji urodzin syna!”, w rogu na niewielkim ruszcie skwierczały hamburgery. Hamburgery, smrodliwe pomieszczenia i hołota stanowiły tematy, na których zdawała się opierać fuga tego wieczoru.

Brodaty barman z gniewną twarzą, zachwalający na koszulce Grateful Dead, przyjął jego zamówienie: Chivas Regal z wodą w wysokiej szklance.

Przełknął trochę whisky - smakowała słodko, jak zwykle, gdy wypilo się jej za dużo - i spostrzegł, że obserwuje go siedząca przy końcu barowej lady kobieta. Gładka, rdzawa sukienka bez rękawów ukazywała kościste ramiona, w uniesionej dłoni palił się papieros; za arabeskami unoszącego się dymu jej wzrok był uparty niczym wzrok dziecka.

Nie bardzo wiedział, co ma zrobić; mógł ją oczywiście zignorować, ale podniósł szklankę w przyjaznym geście.

Ręka kobiety powędrowała nagle w górę, do ciemnych włosów upiętych w kok, z którego wymykał się niesforny kosmyk. Poprawiwszy go, kobieta zdusiła papierosa, zabrała torebkę i wstała. Przeszła obok nie spojrzawszy na niego; odwrócił się na stołku i patrzył, jak prześlizguje się między gęstwą

stolików w sąsiednim pomieszczeniu, odginając kark jakby dla podkreślenia urażonej czymś, tak sądził, dumy. Dopiero teraz spostrzegł, jak osobliwie była zbudowana: miała zadziwiająco wąskie ramiona, takąż talię, pod nią zaś zwisały niczym dojrzała gruszka obfite pośladki, nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do całego ciała. Podskakując lekko, ściśnięte opinającą je tkaniną sukienki przesunęły się poniżej niebieskiego neonu kierującego do toalet i zniknęły mu z pola widzenia.

Kallipygos pomyślał sięgając znów po szklankę. Było to jedno z owych tajemniczych i zasadniczo bezużytecznych określeń, jakże drogich sercu nauczyciela czy byłego nauczyciela języka pod każdą szerokością geograficzną. Znaczyło po prostu: o wydatnym tyle. W głębi duszy uważał takie wielkie zady za wstrętne; muskularne, chłopięce prawie pośladki Janey stanowiły zawsze jego ideał. Ów monumentalnej wielkości posterior u tak skądinąd drobnej kobiety był jednak w jakiś plugawy sposób pociągający i właściwie chętnie przyjrzałby mu się raz jeszcze. Nie myślał

o spędzeniu nocy z tą kobietą, z żadną kobietą. Jego zainteresowaniem kierowała wyłącznie acz perwersyjnie estetyka, mówił sobie, by po chwili zacząć się zastanawiać, w jaki sposób mógł swym niewinnym uniesieniem szklanki urazić ową kallipygijską niewiastę. Czy potraktowała to jako seksualną zaczepkę? A może sama miała na to ochotę i odebrała przyjazny w intencji gest jako odtrącenie? Stracił kontakt z kobietami do tego stopnia, że nie był już w stanie właściwie ocenić powodów jej zachowania. Język sygnałów seksualnych był językiem jak wszystkie inne: nie używany, ulegał zapomnieniu. Pewnie, że w ostatnich czasach tyle był mu potrzebny co chiński, tym niemniej irytowało go, że ta kobieta tak opacznie odczytała jego znak. Niewykluczone zresztą, że mylił się całkowicie: może po prostu poczuła gwałtowną potrzebę pójścia do toalety.

Przestał o tym myśleć i sięgnął po alkohol.

Ktoś trącił go lekko w ramię.

Odwrócił się na stołku: przed nim stała kobieta w skromnej rdzawej sukience. Na jej twarzy błąkał się rozluźniony alkoholem grymas, oczy błyszczały w świetle; skrzyżowanymi ramionami przyciskała do piersi torebkę kołysząc cały czas biodrami niczym dziewczynka nieśmiało zabiegająca o względy. Jej makijaż był przerysowany, perfumy zbyt ciężkie, wymykający się wcześniej kosmyk włosów wpięła znów w kok.

Nie mógł jej rozpoznać, mimo iż wydawała mu się mgliście, denerwująco znajoma.

- Hej... - rzucił, uśmiechając się uprzejmie.
- Hej, hej. Mój Boże, ale ten świat jest mały!
- Doprawdy? - nie przestawał się uśmiechać.
- Kotku, nie poznaje mnie pan?
- Będzie pani musiała odświeżyć moją pamięć...
- Nie ma sprawy - roześmiała się. - Ma pan dolara siedemdziesiąt pięć, by postawić damie kolejkę?

Poczuł, jak uśmiech znika mu z twarzy. Nie poznał jej pewnie dlatego, że nie miała na sobie restauracyjnego przyodziewku. Swoją drogą w Białym Pałacu nie zwrócił zbytniej uwagi na jej twarz, twardą, prawie męską, ostrą w rysach: wydatny nos, wysokie kości policzkowe, silna szczeka, szerokie usta. Skóra mocno opalona, migdałowe w kształcie oczy o niepokojącym odcieniu głębokiego błękitu, niepokojącym, gdyż wydawały się nie należeć do reszty twarzy. Czyżby była mało prawdopodobnym

efektem
związku
czerwonoskórej

Indiarki

i

Skandynawa? Domyślił się, że dobiegała końca trzydziestki, choć równie dobrze mogła być o pięć lat młodsza lub starsza. Nie był w stanie powiedzieć, czy mu się podobała, czy też nie; oceniana w tradycyjnych kategoriach, z pewnością nie była ładna.

- Da mi pan wreszcie usiąść obok siebie - spytała - czy też wciąż się pan na mnie wścieka?

Prawdę powiedziawszy, nadal był na nią wściekły - tak o ten głupi docinek na temat jego wzrostu, jak i o jej podejrzenie, że nie mówił prawdy, nie chciał jednak uważać się ani pozwolić, by ktoś, łącznie z tą obcą kobietą, uważał go za człowieka pamiętliwego. Poprosił ją, by usiadła.

- Dzięki serdeczne - odparła. - Z chęcią sobie klapnę.

Położyła torebkę i usiadła obok niego na stołku; jej szerokie pośladki zrobiły się jeszcze szersze. Poprawiła włosy, wyciągnęła z torebki paczkę winstonów i nadal uśmiechała się do niego.

- No właśnie - powiedziała, przypalając sama papierosa (nie nosił nigdy zapalniczki). - Czy to nie cudaczne, znowu tak wpaść na pana?

- Rzeczywiście - potwierdził z uśmiechem, choć z niewiadomych powodów wcale go to nie dziwiło. Czuł w tym jakieś zrzędzenie losu.

- Powinnam chyba pana przeprosić, nie? Za te dodatkowe obcasy. To nie było w porządku, prawda? Ale widzi pan, kochany, miałam piekielny dzień, zgoniona byłam jak pies, no i tu pan, akurat w takim momencie...

Można powiedzieć, że jestem raczej popędliwa - roześmiała się śmiechem przypominającym pohukiwanie sowy. Zakryła usta. - No tak, i znowu gadam o wzroście. Bardzo pan na to wrażliwy?

- Zawsze miałem ważniejsze zmartwienia na głowie - odparł.

- To w porządku. Bo słuchaj, kotku, jeśli czegoś nie znoszę, to niskiego faceta z kompleksem niskiego faceta. Najwięksi skubańcy, jakich w życiu znałam, to były właśnie konusy z pretensjami do Bozi, że im wzrostu nie dała. Ale pan mi na takiego nie wygląda...

- Niech pani dalej to roztrząsa, a nabawię się takich kompleksów - powiedział.

Kobieta roześmiała się.

- Chryste, ale się uczepliłam, nie? Tylko że widzi pan, kochany, wypłam już jednego albo dwa...

- A co pani pije?

- Wódkę z tonikiem, jeśli można.

Przywołał gniewnego barmana i zamówił dla nich po kolejce. Kobieta wsparła łokieć na barze, brodę podparła dłonią i nachyliła się w jego stronę. Poprzez tuman jej tanich perfum wyczuł inny, bardziej głęboki zapach, charakterystycznie kobiecy, jak gdyby kochała się w ciągu ostatniej godziny i nie wzięła potem kąpieli. Możliwe, że był to zapach, jaki panował stale w Białym Pałacu; tak czy inaczej, woń ta nie wydawała mu się, mimo cechującej go zazwyczaj wybredności, bynajmniej nieprzyjemna i zaczął się zastanawiać, jaki był tego powód.

Barman postawił przed nimi szklanki. Jej wódka z tonikiem kosztowała dolar siedemdziesiąt pięć. Nie było w tym nic specjalnie dziwnego: w okolicy musiało być przynajmniej z tuzin równie tanich knajp, sprzedających mieszane alkohole w tej właśnie cenie. Przypadkowy zbieg okoliczności sprawił jednak, że poczuł się ofiarą płątanego mu figla.

- A jak to się stało, kotku, żeś tu wylądował? - spytała kobieta. - To chyba nie jest miejsce dla pana. Pan mi raczej wygląda na faceta z West County.

- Nieprawdaż? - odparł. - A jeśli ja pani powiem, że wygląda na mieszkankę South City?

- Wiele się pan nie pomyli - uśmiechała się wciąż do niego, on zaś nie przestawał wdychać, smakować niemal, jej specyficznej woni.

Cierpiał zawsze przez swój nadwrażliwy nos, tym razem jednak nie potrafił się zdecydować: odrzucał go ten zapach czy pociągał? I, ciągnąc rozważania dalej, do jakiej kategorii mógł zaliczyć tę kobietę? Nie był

nawet w stanie powiedzieć, czy rzeczywiście miał ochotę wdawać się z nią w dyskusję, czy też wolałby siedzieć przy barze samotnie. Nie zdarzało mu się rozmawiać z kimś wywodzącym się z tak całkowicie odmiennej klasy społecznej (w St. Louis, inaczej niż na przykład w Chicago czy Nowym Jorku, istniały świąty rzadko zazębiające się ze sobą) i być może sama nowość doświadczenia sprawiała, że stawiał kolejki tej podchmielonej, niechlujnej kobiecie - po prostu boosier, zwykłemu kocmołuchowi -

niezależnie od tego, jak oceniał jej towarzystwo.

- No więc jak? - spytała kobieta. - Jak pan trafił do tej nory?

- Czysta akcydencja.

- A jak to będzie po naszymu?

- Szczęśliwy przypadek.

- Tak? Dlaczego szczęśliwy?

Tu go miała.

- Coś czuję, że pan to po studiach - orzekła.

- A pani? - zapytał. Bzdurne, niemądre pytanie, ta kobieta jednak odbierała mu w jakiś sposób panowanie nad sytuacją.

- Jasna sprawa, kotku - odparła sięgając po szklankę. - Właśnie w zeszłym tygodniu dostałam dyplom Harvarda.

Odchyliła się do tyłu, opróżniając szklankę. Zauważył teraz - dlaczego nie wcześniej? - że pod opiętym materiałem sukienki nie było prawie biustu. Kobieta złapała jego spojrzenie i odpowiedziała pytającym uśmiechem. Zaczerwienił się.

- Coś bym jeszcze wypić - powiedziała. - Znaczy, jeśli pan nie ma nic... Zamówił nową kolejkę.

Przyglądał się jej, jak obserwuje barmana, i przez głowę przebiegła mu myśl, że właściwie jest wcale przystojna. Po chwili odwróciła profil pod innym kątem i musiał zrewidować wyrok. Jego ocena wahała się z sekundy na sekundę: ordynarna, pospolita, lekko odpychająca - w szczególności, zmienny niczym żywe srebro sposób uroczą. Jej twarz mieniła się niczym twarz z sennych widziadeł.

Spytał ją o imię.

- A po co to panu?

- Żebym nie musiał nazywać pani Mildred.

- Skąd pan wie, że nie mam na imię właśnie Mildred?

- A ma pani?

- Nie.

- Więc jak?

Zaciągnęła się głęboko papierosem, powoli wypuściła dym.

- Nora - powiedziała.

- Nora jak?

- Po prostu Nora.

- Nie ma pani nazwiska?

- Pewnie że mam.

- Ale to zastrzeżona informacja...

- Zgadza się. Szybko pan przyswaja. - Na barze stanęła kolejna wódka z tonikiem. - A jak pan ma na imię?

- Mildred.

- Bez jaj - rzuciła klepiąc go lekko w ramię.

- Jestem Max.

- Max...?

- Max Baron.

- Fajnie.
- Dlaczego?
- Och, nie wiem. Takie krótkie i ładne... jak pan.

Uznał, że lepiej tego nie roztrząsać.

- A skąd to cyrkowe przebranie?
- Byłem na kawalerskim przyjęciu.
- Żeni się ktoś?
- Jeden z moich przyjaciół.

Patrzyła na niego znad brzegu przechylonej szklanki.

- A pan jest żonaty?
- Hm... nie. Zauważyła jego wahanie.
- Był pan? - Tak.
- Rozwiedziony? - Nie.

Jej oczy zdawały się przybierać okrągły kształt. Oparł się o bar i złożył razem dłonie jak do swej wypróbowanej nauczycielskiej modlitwy.

- Moja żona nie żyje od dwóch lat - wyjaśnił. Nora zmarszczyła brwi.
- A pan taki młody... Na co umarła, jeśli mogę wiedzieć?
- Zginęła w wypadku samochodowym.
- Jezu, przecież to... no, przykro mi. A ile pan w ogóle ma lat?
- Dwadzieścia siedem.
- To miał pan wtedy dwadzieścia pięć. Skinął głową.
- A ona ile?
- Tyle samo.
- Cholera...

Sięgnął znów po swoją szklankę, cały lód zdążył się już stopić. Nawet kiedy postanawiał się upić, brakowało mu prawdziwej brawury.

- Może wolałby pan zmienić temat? - zapytała.
- Raczej tak.
- Bo widzę, że to wciąż pana boli.
- Mieliśmy zostawić tę sprawę.
- Racja - przyznała. Wyciągnęła z pudełka kolejnego papierosa. - Następną kolejkę ja stawiam, zgoda?
- Nie, dzisiaj na moje konto.
- A co pan właściwie robi? - spytała. - Nie, zaraz, cicho... aktor!
- Pudło.

- To się pan marnuje, kotku. Pan wygląda jak Tony Curtis, mówił to ktoś panu? Gdy był młodszy, oczywiście. Widział go pan kiedyś z Marilyn w Pół

żartem, pół serio? Bo właśnie go pan przypomina. Jak nie był przebrany w kieckę, ma się rozumieć.

Roześmiał się.

- Mówiono mi, że wyglądam jak Ken. - Poczul przesądny lęk, że mówiąc to zdradził sekret, który mieli wspólnie z Janey. Spróbował obrócić to w żart. - Tyle że w przeciwieństwie do lalki mam pępek.

- Daję głowę, że reszty też panu nie brak... - zaśmiała się swoim sowim śmiechem. - Aktor nie, więc co?

- Reklama. Pracuję dla Spindler Advertising, może pani o nich słyszała.

- I co tam robicie?

- Piszę teksty reklamowe.

- Znaczą, jak te w telewizji?

- W radiu, telewizji, czasopiśmie, wszędzie.

Aż otworzyła usta z podziwu: splendor wielkiego świata.

- Patrzcie, patrzcie! Jaki pana kawałek mogłam widzieć?

- Nie robiłem jeszcze zbyt wielu rzeczy dla telewizji - odparł. - Pracuję dopiero dwa lata, a reklamy telewizyjne opracowują fachowcy z większym stażem.

- No proszę.

- Słyszała pani może którąś z tych radiowych reklam Baumann's Hams?

- Jasne. Jak ta z tymi dzieciakami w sierocińcu?

- O właśnie, tę ja robiłem.

- Jakaś taka dziwna.

- Nie uważa pani, że jest zabawna?

- Nie, dziwna.

- Trudno. Miała być śmieszna - powiedział zirytowany, bo uważał zawsze, iż potrafi komponować pełne humoru teksty reklamowe. Zdawał sobie oczywiście sprawę, kto go krytykował, tym niemniej poczuł się zawiedziony. Wyciągnął rękę po swoją rozwodnioną whisky.

- Jest pan pierwszym reklamiarzem, jakiego spotkałam, wie pan? Kotku, z tobą gadać to prawie jak z kimś sławnym!

- Przesadza pani - rzucił. Zastanawiał się wciąż, dlaczego uznała jego reklamę za mało zabawną, i zaczął analizować teraz użyte w niej dialogi.

- Rany boskie, jak opowiem dziewczynom w robocie, że tak sobie Popijałam z prawdziwym facetem od reklamy!... Powiedzą na pewno, że jestem patologiczny łgarz.

Podniósł na nią wzrok, zaskoczony użyciem przez nią przymiotnika

„patologiczny”. Jaką inteligencją obdarzona była właściwie ta kobieta?

Zaciekawiony, nagle chciał dowiedzieć się czegoś więcej o niej samej.

- Dobrze, ale niech mi pani powie teraz coś o sobie - zaczął. - Mężatka?

- Siedziałabym tu z panem, gdybym miała męża?

- Pojęcia nie mam.

- No to słabo mnie pan zna.

- Wcale pani nie znam - odparł. - A więc niezamężna.

- Tego nie powiedziałam.

- Zdawało mi się, że dopiero co mówiła pani, że nie jest mężatką.

- Niech się pan tak nie śpieszy z wnioskami! - Podniosła lewą dłoń do góry, by zobaczyć obrączkę na palcu.

- Zgoda, w takim razie ustalmy parę rzeczy - rzucił zniecierpliwiony tym dziecinny przekomarzaniem. - Jest pani mężatką i nie, nosi jakieś nazwisko, ale mi go nie powie. Dzieci pani ma? A może też ma i nie ma równocześnie?

- Czemu zadaje mi pan te pytania?

- Czemu pani na żadne nie odpowiada?

- Jesteśmy w wolnym kraju, nie?

- Napije się pani jeszcze jednego?

- Chętnie.

- Teraz nie zwleka pani z odpowiedzią...

Nora zadarła brodę.

- Jeśli będziesz do mnie mówił takim tonem, kotku, to zawsze mogę sobie znaleźć inne miejsce.

Nie chciał, żeby odchodziła, i nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Po co właściwie tak z nią wojował? Stłumiony gniew, zapewne, jaki pozostał mu po ich pierwszym zetknięciu w Pałacu, ale to nie było wszystko: ta kobieta w jakiś sposób działała mu na nerwy.

- Przepraszam - powiedział - nie chciałem pani urazić.

- W porządku, nie gniewam się. Kto wie, może następnym razem otworzę się przed panem i opowiem o moim dziadowskim życiu. Kiedyś wszystko to opiszę i wcale mnie nie zdziwi, jeśli będzie z tego bestseller.

- To niech pani mówi.

- Może powiem...

Wymigiwała się jednak dalej. Przyznała, że mieszka w St. Louis, ale nie chciała powiedzieć, w jakiej części; domyślał się, że musiało to być w pobliżu, być może w którejś z bardziej południowych dzielnic, nie wyglądała,

prawdę powiedziawszy, na mieszkanek West County. Czy zawsze mieszkała w St. Louis? Nie, jej rodzina przeniosła się tu z małego miasteczka, gdy była dzieckiem. Jakiego miasteczka? Nie powiedziała. Jak długo pracowała w Białym Pałacu? Za długo, odburknęła. Podobało jej się tam? Odpowiedziała pogardliwym parsknięciem. Czy miała wobec tego jakieś inne plany? Z całą pewnością nie miała zamiaru spędzić reszty życia w tym bajzlu. Co więc chciała robić? To, jak się dowiedział, nie był jego zasmarkany interes.

Stracił wreszcie cierpliwość.

- Ciężko nam prowadzić normalną konwersację, nie uważa pani? Czuję się jak dentysta wrywający zęby... - Pomyślał nagle o żonie Klugmana i z niezrozumiałego powodu zakołatało mu serce. - Czy jest jakaś przyczyna tej pani tajemniczości?

Szerokie usta Nory zmieniły się w prostą linię, ciemnobłękitne oczy wyglądały niczym żetony do gry.

- Jakiego mydła używała żona? - zapytała.

- Słucham?

Zaciągnęła się nowym papierosem. Przyciśnięta dłonią zapalniczka stuknęła o bar.

- To chyba nie takie trudne pytanie, co? Każda kobieta ma mydło, które lubi. A pana żona? Ivory? Camay? Coś bardziej fikuśnego?

Janey używała Pure Castille. Kupowała je w sklepach zdrowego żywienia, razem z całymi stertami innych kosztownych produktów zapełniających ich lodówkę i łazienkową szafkę. Sprzedawane w niebieskich plastikowych butelkach, zawierało olejek miętowy. Tak właśnie pachniała, gdy przychodziła do niego w nocy: usta o smaku specjalnej miętowej pasty, jej słodki ciężar kołyszący łóżkiem... Poczul ciarki na plecach.

- Zamurowało cię czy co, kotku? - zapytała. Podniosła swoją szklankę. - Czego to ludzie nie uważają za swoje prywatne sprawy...

Ta wstawiona, niewykształcona zapewne kobieta zdobyła właśnie punkt sprytnie wykorzystując metodę rozumowania Sokratesa. Nie wiedział już dłużej, z kim właściwie rozmawia.

Nora kiwnęła się w jego kierunku. Uśmiechała się znowu.

- Wie pan co, cieszę się, że tu na pana dzisiaj wpadłam. Za cholerę tego nie wytłumaczę, ale jakoś cię lubię, chociaż ciężko się z tobą dogadać. -

Położyła dłoń na jego udzie. - Oo, popatrz tylko, jaki spięty! Zupełnie jak

mały chłopak przed zaśnięciem.

- Proszę cofnąć tę rękę.

Podniosła brwi.

- Niedotykaliski?

- Nie, ale zostawmy to raczej na płaszczyźnie towarzyskiej.

- Niczego innego nie chcę!

- Więc dlaczego nie zabierze pani ręki?

Cofnęła posłusznie dłoń, po czym wzruszyła ramionami i poprawiła się na stołku.

- A przyjaciółka co dzisiaj porabia? - spytała nie patrząc na niego.

- Nie mam przyjaciółki.

- Bez kawałów, taki przystojniak jak pan? I ja mam w to pewnie uwierzyć, co?

- Tak, ma pani w to uwierzyć. Właściwie ma pani wierzyć we wszystko, co mówię. Dziwak, prawda? Ale taki już jestem.

- W porządku, nie ma się co tak unosić - powiedziała. - Przekonana tylko byłam, że na takiego przystojnego faceta kobiety muszą się rzucać bez ustanku. - Roześmiała się i trąciła go ramieniem. - Cholera, wypiję jeszcze trochę i sama się na pana rzucę! Ej, Max, co ty na to? Nie chciałbyś, żebym dzisiaj straciła dla ciebie rozum?

Musiał natychmiast postawić sprawę jasno i jednoznacznie.

- Noro, tu nie o panią chodzi, po prostu nie mam dziś ochoty pójść z kimkolwiek do łóżka.

Znowu podniosła brwi.

- No, mocno powiedziane... Ale nie jesteś pedał, co?

- Ja... przestałem się interesować kobietami od śmierci żony.

- Eee tam, po prostu nie masz ochoty na mnie - odwróciła wzrok w kierunku skwierczących na ruszcie hamburgerów. Dłonią uniesioną do prawego ucha zaczęła obracać mały kolczyk, jak śrubę, która miała przytrzymać luźno kołaczące się myśli. - Ale dlaczego? - spytała. - Za stara jestem? Za brzydka dla ciebie? Spiłam się za bardzo, czy co?

- Czemu pani nie chce mi uwierzyć? To moja wina, Noro, nie pani.

- Gadu-gadu. Trudno, myślałam, że jakoś skuszę takiego ulizanego młodziaka, jak ty, typka z West County, reklamiarza, i te rzeczy, ale się pomyliłam. Cholernie się pomyliłam.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Z pewnością nie zamierzał zranić jej uczuć, ale co miał teraz robić? Pójść z nią do łóżka z czystego

altruizmu?

- Noro - powiedział - cieszę się ze spotkania, miło było porozmawiać, ale na mnie już czas.

- Och nie, zostań jeszcze, wypijemy ostatnią kolejkę!

- Pewien jestem, że przekroczyłem już swój limit.

- Nie wyglądasz mi na pijanego. No, Max, naprawdę tylko po jednym, co? Ja płacę, nie ma sprawy. Słuchaj, nie chcę jeszcze iść do domu, a poza tobą nie ma w tej dziurze nikogo, z kim miałabym ochotę pogadać.

Nagle współczucie, jakie poczuł dla tej dosyć mu przecież obojętnej kobiety, zdumiało go: pijana, podstarzała, zdesperowana, w sobotnią noc usiłująca bezskutecznie poderwać o blisko dziesięć lat młodszego od siebie mężczyznę w jakiejś zakazanej knajpie, błagająca o chwilę więcej rozmowy. Nic mu się nie stanie, jeśli wypije z nią jeszcze jedną kolejkę.

Kolejek było oczywiście więcej, przynajmniej tych wypitych przez Norę. Przerzucił się na wodę, ona pozostała przy wódce z tonikiem, a im bardziej była pijana, tym bardziej stawała się otwarta, nie przekraczając wszakże zakreślonej sobie granicy. Zdecydowała się opowiedzieć mu o swej największej tragedii: o tym, że jej trzynastoletni syn umarł na białaczkę, a mąż ją z tego powodu porzucił. Wywnioskował z jej słów, że zdarzyło się to mniej więcej przed pięcioma laty, ale był to nieomal jedyny szczegół, jaki udało mu się z niej wyciągnąć. Opowiadała o tych wydarzeniach używając tak szablonowych i banalnych określeń, że zdawać się mogło, iż obaj, jej cherubinek i nie wart wspomnienia mąż-nicpoń, wyszli spod jakiejś ogólnej, standardowej sztancy. Nie chciała mu powiedzieć, czego uczył się jej syn, jak wyglądał jej mąż, jak układały się stosunki pomiędzy nimi trojgiem, co było przyczyną choroby. Gotów był

okazać jej współczucie, trudno wszakże było współczuć fantomom. Nie ustawał jednak w swych bezskutecznych indagacjach aż do chwili, gdy błysnęły lampy i barman zaczął warkliwie wypraszać wszystkich gości.

W bezlitosnym świetle jej makijaż przypominał charakterystycję cyrkowego klauna; postarzała się jakby, zmatowiała, zniszczyła.

- Słuchaj no - zwróciła się do niego. - Opowiedziałam ci tyle po to tylko, żebyś wiedział, że ja to wszystko, coś przeszedł, rozumiem. Sama wiem, jakie to piekło. Naprawdę, wiem.

Nie chciało mu się jej sprzeciwiać, choć miał już dość podobnego współczucia. Nikt nie mógł wiedzieć, co przeszedł, ponieważ tylko on był mężem Janey. Wszyscy chcieli wierzyć, że tragiczne doświadczenia

można było wymieniać, że zapewniały przynależność do jakiegoś bractwa rozpacz o egzaltowanym, telepatycznym współdczuwaniu; czynili tak zapewne dlatego, że potrzebna im była wiara, iż tragedie również czegoś uczyły, nie stanowiły wyłącznie całkowitej straty, że nagrodą za brak było osiągnięcie nowego stopnia rozumienia. Nie uważał jednak, że okres żałoby był dla niego szczególnie pouczający. Pojął jedynie to, co powinien był wiedzieć już wcześniej: że nikt nie uniknie swego losu.

Poczuł znów ostrą woń, Nora opierała się o niego.

- Hej - rzuciła - coś się ciebie muszę spytać. Myślisz, że jestem za pijana, żeby prowadzić?

- Jest pani pewnie zbyt pijana, żeby stanąć - odparł.

- No to mógłbyś mnie może podrzucić? Czy to za duże wymaganie? Nie mieszkam daleko, nie, parę ulic stąd. Max, zrobisz to dla mnie? Będziesz prawdziwym dżentelmenem i odwieziesz mnie do domu?

Znowu miał wrażenie, że nabiera go w przemyślny sposób. Głowa chwiała jej się na boki niczym wodny kwiat o niewidocznej łodydze.

- Nie chciałbyś chyba, żebym miała wypadek, co?

Uśmiechnęła się. Był jej. Wiedziała to.

- Gdzie pani mieszka? - zapytał.

Rozdział trzeci

Nora, jak się okazało, mogła iść całkiem swobodnie. Wskazała mu swój samochód, gdy mijali rozświetlony parking: stary, mocno poobijany chevrolet impala, upstrzony cętkami odprysków farby; pomyślał, że nie chciałby spotkać jej kiedykolwiek na równorzędnym skrzyżowaniu. Nie wydawała się teraz tak pijana, jak wcześniej, w barze; możliwe, że zwyczajnie naciągnęła go na tę przejażdżkę, aby jeszcze raz spróbować go uwieść, ale nie miało to już w tej chwili znaczenia. Obiecał odwieźć ją do domu, więc obietnicę wypełni. Cóż zresztą mogłaby zrobić: zaatakować go i obezwładnić?

Nie była, niestety, wdzięcznym pasażerem: zaczęło się od dziecinnej kłótni, gdy kazał jej zapiąć pasy. Za nic, wywoływały w niej klaustrofobię.

Spokojnie powiedział jej, że może wybierać: albo założy pas, albo będzie czekać w samochodzie aż wytrzeźwieje i będzie mogła jechać sama - co woli. Potem, gdy już ruszyli, spytała go, czy nie mógłby puścić jakiejś innej taśmy.

- To Mozart - wyjaśnił.

- Może, ale łeb mi od niego pęka.

- Nie od Mozarta, Noro, tylko od tych wszystkich wódek. Dlaczego się pani nie odpręży i nie posłucha spokojnie przez parę minut? To Eine kleine Nachtmusik, jedna z najpiękniejszych kompozycji, jakie kiedykolwiek powstały.

- Niech sobie będzie. Nie podoba mi się.

- A czego by pani chciała posłuchać? Jaką muzykę pani lubi?

Wzruszyła ramionami, potem zaczęła bawić się ramiączkiem sukienki.

- Masz coś Oak Ridge Boys? - spytała.

Idąc na kompromis w ogóle wyłączył magnetofon. Okazało się oczywiście, że musiał jechać znacznie dalej niż owe „parę ulic”: mieszkała w Dogtown, zaniedbanej małej dzielnicy na południe od Forest Park, która, jeśli wierzyć lokalnym legendom, w 1904 roku zajmowana była przez robotników najętych do budowy Wystawy Światowej. Wyjaśnienie pochodzenia nazwy było tyle, ilu wyjaśniających: Dogtown nazywał się Dogtown, ponieważ wśród napływowych robotników byli Litwini, którzy jedli psy, Chińczycy, którzy jedli psy, Indianie z plemienia Czarnych Stóp, którzy jedli psy...*

* Dogtown (ang.) - dosłownie: Psie miasto.

Twierdzono, że kiedyś urzędował tu miejski hycel. Według innych wersji osiedleńcy zawsze trzymali dużo psów. Nora także nie potrafiła rozwiązać tajemnicy.

- Pewnie się tak nazywa, bo naprawdę trzeba zejść na psy, żeby tu zamieszkać.

Otoczona wciąż nakładającymi się na siebie woniami papierosów, tanich perfum i osobliwie lepkiej kobiecości, rzuciła się na nieoczekiwany temat: Marilyn Monroe i tajemnicze okoliczności jej śmierci. Rozprawiała o tym z prawdziwym zapałem, ewidentnie nafaszerowana różnymi lekturami.

Wiedziała na przykład, że Marilyn, która starała się za wszelką cenę utrzymać ładne piersi i w tym celu spała całe życie w biustonoszu, znaleziono rankiem po jej domniemanym samobójstwie nagą. Dlaczego, chciałyby wiedzieć? Być może przestało ją obchodzić, jak będą wyglądać jej piersi po śmierci, podpowiedział. Nora parsknęła pogardliwie i pytała dalej: czy nie uważa, że Jack Kennedy sprzątnął ją delikatnie przy pomocy CIA, aby uchronić reputację swego młodszego brata (bo przecież wszyscy wiedzieli, że Bobby kręcił z Marilyn)? A jej słynny dziennik, który przepadł tak zagadkowo? I po co w ogóle miałyby się zabijać właśnie wtedy, gdy wszystko zaczynało się dla niej lepiej układać? Nie przestawała rozwijać

najróżniejszych teorii, przytaczając gorliwie detal za detalem i przerywając jedynie dla zaciągnięcia się papierosem czy wskazania mu drogi pośród wąskich, niesamowicie o tej porze wyglądających uliczek Dogtown. Mijali niewielkie domki mieszkalne, ciemne sklepiki, zapuszczone narożne bary, aż wreszcie Max, prowadzący wciąż z przesadną ostrożnością pijaka o nieczystym sumieniu, wykręcając na jej podjazd pozwolił sobie na luksus chwilowego odwrócenia uwagi i wjechał

prosto w słupek skrzynki pocztowej.

W momencie zderzenia samochód wytracił już prawie szybkość, rzuciło ich jednak w przód i w tył niczym manekiny w pozorowanych kraksach.

Hałas samego uderzenia zagrział mu w uszach jak wystrzał.

Wypadek. Miał wypadek.

Przyjrzał się całej scenie z jakiegoś oddalonego punktu poza ciałem. Ten wypadek nie mógł mieć żadnych tragicznych skutków, to pewne: oboje siedzieli nadal przypięci pasami, przednia szyba była cała, nie czuł żadnego bólu. Nora przysłaniała usta dłonią zaśmiewając się do rozpuku.

- Bingo! No i co ty na to? Wiózł pijak pijaka...

- Nic ci się nie stało? - spytał nieoczekiwanie grubym głosem.

- Skądże, wszystko w porządku. Martw się raczej o samochód.

- Masz szczęście, że kazałem ci założyć pas - powiedział.

- Mój ty herosie! - odpowiedziała kpiąco.

Wysiadł na miękkich nogach i zaczął sprawdzać szkody. Skrzynka spadła na ziemię, stalowy słupek nachylał się niczym gap w stronę czarnej dziury, jaka została po przednim reflektorze. Konstelacja okruchów rozbitego szkła rozrzucona była u skraju podjazdu.

Zaułek, przy którym stał jej dom, wypełniały jednakowo nieciekawe, małe prostopadłościowe wyglądające jak domki na planszy do gry w „Monopol”. Z tyłu wyrastał poszarpany zarys budynków nieczynnej walcowni. Usiadł stękając na trawniku, powoli opadł na plecy. Okolica nie była najcichsza: wokoło cykały głośno świerszcze, sąsiedzkie psy przebudzone hałasem ujadały i szczekały jak wściekłe.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu, Nora usiadła obok niego na trawie.

- Mam nadzieję, że jesteś ubezpieczony - odezwała się po chwili.

- Prowadzenie samochodu bez ubezpieczenia jest niedozwolone - odparł.

- Na bani też nie wolno prowadzić, kotku.

Milczał przysłuchując się koncertowi psiego chóru z Dogtown.

- Wiesz co? - powiedziała. - Chodź do środka, zrobię ci kawy, dobrze?
Nie chcesz chyba jechać do domu w tym stanie?

Odwrócił głowę w kierunku jej sylwetki, ciemnej na tle rozgwieżdżonego nieba. Jakiś instynkt podpowiadał jej najbardziej przekonujące argumenty i wiodła go tam, gdzie od samego początku chciała: do swojej nory. Przekręcił głowę, by spojrzeć na swój zraniony samochód. Miała oczywiście rację: bez trzech albo czterech kaw nie pojedzie nigdzie.

- Dobry pomysł - przyznał podnosząc się.

- No to chodźmy.

Ruszył za jej ciężko przewalającymi się pośladkami przez trawnik, wspinał się na mały ganek i wszedł do domu. Drzwi były otwarte, Nora nie zawracała sobie głowy zamykaniem ich na klucz.

Włączyła światło w holu, podążył jej śladem. Chaos, jaki panował w mieszkaniu, przypomniawszy mu dom jego matki, niepoprawnej zbieraczki rupieci, która niczym chomik zdążyła zgromadzić tyle bezużytecznych szpargałów, że niektóre pokoje stały się po prostu niedostępne. Mieszkanie Nory wyglądało jak po wizycie chuligańskiej bandy: na podłodze w holu i dalej, aż w głąb pokoju, leżały porzucone niczym pozostałości po wyuzdanym pokazie szczątki garderoby: nylonowe rajstopy, kolorowe majtki, dżinsy, tenisówki, skąpe biustonosze - czarne, białe, cieliste. Pokój był jedną wielką katastrofą: na niskim stoliku piętrzyły się brudne talerze i szklanki, popielniczki pełne niedopałków, zmięte opakowania po gotowych posiłkach. Rozkopana pościel zalegała sofę, wszędzie porozrzucane były pisma, dywan zalany był deszczem popiołu, odłamków plastiku, strzępków papieru,

znów
jakimiś
rajstopami,

zgniecionymi

chusteczkami

higienicznymi. Stracił jakby rezon, czuł się tu jak strażak gapiący się na pożar, którego nie wolno mu gasić.

Jej brak gustu był wprost zadziwiający: tylną ścianę pokoju zajmowało ogromne, wściekle kolorowe słońce zachodzące nad morzem. Obok wisiały trzy egzotyczne gracje z pluszu o gigantycznych piersiach przeczących sile ciężenia, każda z innej barwy kwiatem we włosach. Musiały z pewnością należeć kiedyś do jej męża - niemożliwe, by wybrała je sama - ale co w takim razie robiły wciąż w tym mieszkaniu? Naprzeciw sofy, nie opodal szerokiego okna, wisiał czarno-biały plakat z Marilyn w płaskiej monterze na głowie, w holu zaś, gdzie właśnie stał, była najzwyczajniejsza fotograficzna kaplica jej poświęcona: co najmniej trzy tuziny mniejszych zdjęć, wszystkie porządnie oprawione, z Marilyn pozującą przed kamerą w najróżniejszych strojach, nastrojach i przekrojach jej kariery: brykająca na plaży, wylegująca się z kieliszkiem szampana w wannie, ciągnąca za ucho Joego

DiMaggio,

tańcząca

Carlem
Sandburgiem,
zadumana,
przysłuchująca się ćmiącemu fajkę Millerowi.

- Co cię właściwie łączy z MM? - zapytał.

- Moja ulubiona postać, tyle - wzruszyła ramionami.

- Dlaczego?

- Cholera, nie wiem... bo była taka piękna i taka pokręcona, i życie miała takie tragiczne... Widziałam każdy jej film przynajmniej dwa razy.

Powstrzymał się od jakichkolwiek przycinków, był przecież barbarzyńcą w ogrodzie.

- Co będzie z tą kawą? - zapytał.

Poprowadziła go do kuchni, przepaszając po drodze za bałagan, jaki panował w mieszkaniu - w tym tygodniu ledwo jej czasu starczyło, by głową kiwnąć, co dopiero robić porządki - i zaczęła sprzątać z małego laminowanego stołu resztki starego posiłku: półmisek z pomarańczową wyschlą bryłą czegoś, co wyglądało na spaghetti z puszki, nadjedzoną kanapkę z białego chleba, szklankę ze śladami mleka, słoik majonezu. W zlewozmywaku pleśniała góra naczyń.

Zapytał o łazienkę. Pełne zaskoczenie: łazienka była idealnie czysta. W plastikowym pojemniku leżały kolorowe, świeże mydełka, równo poukładane ręczniki wyglądały na czyste, kosmetyki na półkach stały w szeregu, umywalka lśniła. Kłapa jak i deska toalety pokryte były niebieskim sztucznym futrem. Stał nad muszlą, podniósł deskę i długo, z napięciem oddawał mocz. Opuścił klapę z powrotem, był w mieszkaniu kobiety. Cóż mogło wyjaśnić istnienie tej oazy czystości i porządku w tak zabałaganionym domu? W domach, pomyślał, podobnie jak w ludziach, kryły się rozmaite anomalie, nie pasujące do ogólnego wzoru. Sposób, w jaki Nora prowadziła gospodarstwo, przypominał zachowanie brutalnego mordercy, który mimo popełnianych zbrodni chodzi co rano na mszę i zawsze pamięta o urodzinach matki.

Wrócił do kuchni. Nora siedziała przy stole, na blacie stała butelka Smirnoff Silver, druga z tonikiem i różowy porcelanowy łąbądź-popielniczka: między wzniesionymi skrzydłami tlił się kolejny winston.

Rozpuściła pod jego nieobecność włosy i stał teraz zaskoczony ich pięknem: spadały, bujne i gęste, aż do końca pleców, tak lśniaco czarne, że gdy poruszyła się na krześle sięgając po alkohol, rozbłysły niebieskimi

odblaskami.

Patrzył na nią czując niewytłumaczalny ucisk w piersi.

- Boję się, że nabujałam ściągając cię tutaj - powiedziała. -

Przysięgłabym, że miałam w szafce całą świeżą puszkę kawy, ale coś mi się zdaje, że się pomyliłam.

- Nie masz żadnej kawy? - spytał.

- Przykro mi - wzruszyła ramionami. Za chwilę uśmiechnęła się do niego.

- A co byś powiedział na łyk czegoś mocniejszego zamiast kawy?

- Do jasnej cholery, Nora. Chciałbym dowieźć dupę do domu w jednym kawałku!

- Czyli nie chcesz się napić?

- Nie, dziękuję uprzejmie - odparł zdejmując marynarkę. W mieszkaniu było gorąco, a jego własna temperatura podskoczyła w ciągu ostatnich sekund o dobrych kilka stopni.

- Nie dojedziesz do domu bez kawy?

- Wolalbym nie kusić znowu losu.

- To czemu nie zadzwonisz po taksówkę?

Zajrzał do portfela: trzy dolary, z całą pewnością nie wystarczy na powrót do Kirkwood. Czyżby wszystko wydał na jej wódki? Przypomniawsobie jednak, że sam pił drogą whisky.

- Czekaaj, zobaczę, ile ja mam - powiedziała.

- Nie - zaprotestował. - Nie chcę brać od ciebie.

- To będzie tylko pożyczka, kotku.

Z całą pewnością nie wyglądała na osobę, która mogłaby pożyczyć dwadzieścia albo więcej dolarów potrzebnych mu na dojazd do domu; wzięcie od niej pieniędzy oznaczało poza tym kolejną wizytę czy przynajmniej wymienienie numerów telefonu, a tego wolał nie robić.

- Zostaw, nie szukaj - upierał się.

- Proszę bardzo, tylko co masz zamiar zrobić?

Widział już, że w zasadzie pozostało mu jedynie spędzenie nocy (zaproszenie wisiało w powietrzu) w tym nieprzyzwoicie zabałaganionym domu, z tą na poły odpychającą, na poły pociągającą, niezrozumiałą kobietą, która prawdopodobnie będzie robiła wszystko, by go uwieść.

Spojrzał na swój nareszcie już zwiędły goździk i cisnął nim w stronę przepelnionego kosza na odpadki. Kwiatek wylądował na pudełku po „Hostess Ding-Dongs”, po czym zsunął się w głąb niebieskiego kartonu po jajkach. Zupełnie jakbym rzucił ręcznik na ring, pomyślał.

- Wiesz, co ci powiem? - Zaciągnęła się papierosem. - Przecież możesz u mnie spać. Mam tu rozkładaną sofę, jakoś się na niej zmieścisz. Co ty na to?

- Dziękuję za propozycję.

- No bo co innego mógłbyś zrobić, kotku, pieszo iść do domu?

- W porządku, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Obiecuj, że będziesz miła.

- Znaczy, żadnego barabara?

- Właśnie.

- Dobrze - rzuciła pokazując mu zęby w uśmiechu. - Będę miła, obiecuję... - Omiotła go niby to pytającym, pożądlivym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu: mały szczeniak z wystawy sklepu zoologicznego, którego spontanicznie zachciało jej się kupić i zabrać ze sobą do domu. -

Ale teraz - dodała - skoro już się nigdzie nie wybierasz, co byś powiedział

na malutkiego przed snem?

Spytał, czy nie ma w domu jakiejś whisky.

W nocy miał sen:

Zabawę świąteczną, jaką co roku urządzała jego agencja, tym razem zorganizowano z niewiadomych powodów pomiędzy kolosalnymi, pełnymi blasku podporami St. Louis Arch. Sięgającą nieba konstrukcją zdobiła czerwona i zielona bibułka, u wierzchołka umieszczony był ogromny wieniec z choiny, a na samym szczycie siedział machający ręką św.

Mikołaj. Przepychał się przez gęsty i zgiełkliwy tłum, lekko wystraszony, gdyż nie mógł nikogo rozpoznać wśród zgromadzonych. Nie przypominali wcale ludzi, jakich zwykle spotyka się na imprezach organizowanych przez agencję reklamową - niechlujny, pijany w sztok motłoch przewalał się wokół z nieodłącznymi baryłkami piwa Buscha. Wtrynili się na grandę, pomyślał. Rosemary Powers, jego szefowa, ujęła go pod ramię.

„Jak ci się to podoba?” - spytała.

„Właściwie nie wiem - odparł. - Nie mogę poza tym pojąć, dlaczego robimy to akurat tu, pod Łukiem...”

„Przecież to Południowe Wrota” - powiedziała.

Pomyliła się: Łuk określano mianem Zachodnich Wrót. Tak czy owak nie wyjaśniało to niczego.

„Spóźniłeś się” - zauważyła.

„Musiałem skończyć parę rzeczy w biurze”.

„Wiesz, co o tobie mówią - pogroziła mu ostrzegawczo palcem. - Praca bez zgrywy, Max jak nieżywy...”

Zachichotał bezsensownie, nie wiedząc, co miała na myśli.

„Jest tu ktoś, kto chciałby cię zobaczyć - rzuciła nagle Rosemary. - Ktoś bardzo, bardzo szczególny...”

Nagle znaleźli się w pomieszczeniu przypominającym przychodnię lekarską: paprotki w doniczkach, stojaki na czasopisma, aseptyczny odór.

Na rozstawionych wokół krzesłach siedziały niewyraźne postacie.

„Oto ona, narzeczona...” - zanuciła Rosemary.

Jego matka, zaaferowana i podniecona jak zwykle, prowadziła za rękę bladą kobietę w niebieskim szpitalnym szlafroku.

„Spójrz! - wrzasnęła prawie. - Spójrz, Max! Popatrz tylko, kogo tu przyprowadziłam!”

Serce mu zamarło: Janey. Nie była to jednak Janey, jaką zapamiętał: stała przed nim wychudzona, jak upiór, z potarganymi włosami o nienaturalnym kolorze, sterczącymi wokół głowy jak wariacka aureola.

„Była chora - powiedziała jego matka - ale teraz jest już całkiem w porządku”.

Czuł tylko żal i strach, była jednak jego żoną i musiał zachowywać się jak mąż. Ujął jej dłoń: była drobna i zimna niczym wisiołek noszony u bransoletki.

Janey...?”

Uniosła twarz: w jej oczach zobaczył śmierć. Gdzieś tu tkwił jakiś potworny błąd.

Otworzyła usta: usłyszał chrapliwy, zwierzęcy prawie jęk.

Janey, czego chcesz?”

„Zaspokojenia”.

„Jakiegoż więcej chcesz zaspokojenia?”

Jednym ruchem zerwała z niego całe ubranie. Przyparła go aż zatrzeszczały zębra; leżał na plecach na podłodze, jej twarz przesuwiała się w dół jego piersi, w dół brzucha. Wracaj, pomyślał. Musisz wrócić, jesteś nieżywa.

Znowu usłyszał jej gardłowy pomruk - ujęła go w dłoń - poczuł gorąco jej ust. Wracaj.

Otworzył oczy - przed nim była Marilyn.

Nie, to tylko jej plakat, w monterze matadora, z lubieżnym uśmiechem. Szaleństwa snu trwały dalej: czuł, że ktoś go połyka, wysysa, spija;

podniósłszy głowę zobaczył lśniący wachlarz czarnych włosów, zakrywający mu brzuch, a za nim wzniesione mięsiste, o miedzianej barwie pośladki, które to podnosiły się, to znów opadały, i pojął, nie wiedząc nawet, co czuje - wdzięczność? oburzenie? jeszcze coś? - że właśnie był gwałcony przez Norę.

Rozdział czwarty

Przyglądał się jej czynnościom pełen zdumionego niedowierzania, wciągając głęboko w nozdrza jej niezwykłą woń: mieszaninę krwi, ziemi, tytoniu, tanich perfum. Wirująca kurzem plama słonecznego światła zawędrowała aż do rozłożonej sofy, na której leżeli oboje, przydając skórze Nory nierealnej, złocistej poświaty. Jej masywne uda wzniesione były wysoko do góry, piegowate ramiona rozsuwały jego nogi; prawą dłoń zaciskała u nasady jego wyprężonego łakomie członka, lewą przytrzymywała z tyłu włosy. Jej głowa pochylała się powoli i głęboko nad jego łądzwiami, jakby przytakując zdecydowanie niezaprzeczalnym prawdom, które wreszcie stały się dla niej jasne.

Doszedłby zapewne do siebie i bronił się, gdyby nie gwałtowność i nagłość jej ataku. Zanim otrząsnął się ze snu i pojął, co się dzieje, posunęła się już tak daleko, a on był tak podniecony, że wewnętrzny głos wzywający go do oporu brzmiał równie daleko, pusto i bezsensownie jak pokrzykiwania ulicznego wariata. Dlaczego miałby się opierać? Po co? Kto miałby na tym skorzystać? Gdzieś głęboko tkwiła jednak zadra: uzmysłowił sobie nagle, że była to napaść, gwałt na jego osobie, złamanie obietnicy, nie mówiąc już o niebywałej hucpie... i jakby dla przewyciężenia jego oporów Nora pochyliła się jeszcze bardziej, głębiej, głębiej i głębiej, aż wreszcie z dna gardła nadeszło wyzwajające dotknięcie i zdławiła, wciąż nie wypuszczając go z ust, jego obronę do ostatka.

Głowa opadła mu na poduszkę. Och, nieważne, jaka była ta kobieta, do rzeczy zabierała się z prawdziwym znanstwem. Jego doświadczenie w sprawach seksu było, mimo jego urody prowokującej rozliczne okazje, niezbyt bogate; większość swego dorosłego życia spędził na ogół wierny Janey. Jedyne okresy rzeczywistej swobody przeżył w czasie dwóch lat nauki w Tulane - skróconych przedwcześnie dla skończenia studiów na lokalnym Washington University - a i to głównie dlatego, że długie okresy rozłąki z Janey stały się zbyt trudne do zniesienia. Przypuszczał, aczkolwiek nigdy nie

zadał sobie trudu dokonania faktycznego obrachunku, że przespał się z mniej więcej tuzinem kobiet, nigdy jednak nie trafił w ręce czy usta tak wytrawnej specjalistki, jak Nora. Z Janey wyglądało to inaczej: odgrywała ów akt w nastroju słodczy, wahania i nadziei, niczym mała dziewczynka nakłoniona do tańca przed kręgiem podchmielonych już dorosłych. W podejściu tej kobiety nie było nic z pokory. Nie była to żadna łaska z jej strony, robiła to, co lubiła robić. Czuł, że właściwie było jej obojętne, czyjego członka akurat miała na podorędziu, i że nie zmartwiłaby się też zbytnio, gdyby po przebudzeniu zignorował ją i znowu zasnął, byle tylko pozwolił jej robić swoje.

Świadomość tego podniecała go dalej, poczuł krew napływającą gwałtownie w pachwiny, uniósł się nieco łapiąc jej rozgrzane, pokryte piegami ramiona i wymówił jej imię.

Podniosła wzrok. Jej oczy były nienormalnie przekrwione. Zaczęła go uwalniać z dręczącą powolnością, niezdolnie, milimetr po milimetrze, ze ściśniętego gardła, z pieszczoty ust, z delikatnego zwarcia zębów, które świadomie przeciągała, aż wreszcie wypadł oswobodzony. Uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

- Nie ma jak śniadanie w łóżku...
- Dzień dobry - wymamrotał.
- Nie jesteś na mnie zły, co?
- Sam nie wiem.
- Mam to robić dalej?
- Tak.
- Poproś.
- Proszę.
- Ładnie poproś...

Wiedział, o co jej chodziło: chciała dowodów, nie do obalenia, jego współludzka. Nie miało to w tej chwili najmniejszego znaczenia; liczyło się jedynie to, że brak jej pieszczoty był torturą. Przełknął ślinę, gardło miał suche jak papier, i powiedział: - Proszę...

Jej język prześliznął się po purpurowym, nabrzmiętym członku... rzuciła się na niego jeszcze raz.

Opadł znów na poduszkę - tandetną i miękką, którą obdarowała go poprzedniego wieczoru, wiedząc już zapewne wtedy, co będzie z nim robić rano - gdy wydobyła mu z głębi trzewi głośny jęk. Szarpnął się, wbijając dłoń pomiędzy poduszkę a oparcie sofy - pod palcami wyczuł szeleszczący

celofan. Podniósł go do oczu: nie dojedzona porcja chrupek. Pod nazwą „Ozark’s Best” wyrysowany był karykaturalny wiejski gamoń chrapiący pod drzewem. Był więc w ustach kobiety, która nie tylko podjadała podobne rzeczy, ale i chowała opakowania po nich za poduszkami sofy. A jednak mimo to lub, perwersyjnie, właśnie dlatego czuł, że za chwilę eksploduje w jej ustach niczym fajerwerk. Odrzucił torebkę za sofę i usiadł, ujmując jej wciągnięte właśnie policzki w dłoń.

- Nora...

Podniosła głowę i wypuściła go z ust.

- Cicho - powiedziała - nic nie mów i nie ruszaj się. Leż i niech ci będzie dobrze. No już, rób, jak mówię.

Próbował spełnić jej polecenie, ale nie trwało to długo; chciał, musiał być w niej, wejść tam, gdzie łączyły się te monumentalne uda. Chwycił ją pod pachami i podciągnął do góry, przesuwając się coraz wyżej, aż wreszcie dotknęła ustami jego ust: głośny, nieświeży oddech; nie chciał jej całować, ale zrobił to i, ku jego zdziwieniu, smakowała słodko.

Zmagające się ze sobą języki, dłonie pieszczące lędźwie... zdawało mu się, że palce owiewa mu krótkie gorące tchnienie z jej wilgotnej, pokrytej runem bruzdy. Ujęła go w dłoń i wprowadziła do środka; przysiadając na piętach, wygięła plecy i wstrząsnęła dumnie kruczoczną głową. W rombie słonecznego blasku wyglądała niczym figura z polerowanego brązu. Mocne uda, krągłe ramiona, ale lekkie zmarszczki na szyi, luźna skóra brzucha, tłuste fałdy w talii zdradzały jej prawdziwy wiek. Niczym Gracja z Wiosny Botticellego przywodziła na myśl dojrzałą, słodką gruszkę, choć nawet sam mistrz obdarzyłby ją pełniejszymi piersiami: jej kawowego koloru sutki sterczały na mało co odznaczających się, płaskich nieomal wzgórkach. Włosy łona były gęste i bujne, granatem czerni nie różniące się od włosów na głowie. Wcisnął dłonie w jej pachwiny, kciukami trzymając się kości miednicy; podparta w ten sposób, zaczęła się kołysać, nabierała szybkości i rytmu niczym lokomotywa... krzyknęła krótko i opadła na niego, dysząc ciężko wprost w jego ucho. I nagle, pnąc się coraz szybciej na szczyt, zaczęła mówić.

Nie, to nie była żadna mowa, w żadnym zrozumiałym dla niego języku.

Wyrzucała z siebie potok namiętnych sylab, kadencją i modulacją przypominających mowę, znaczeniem jednak nie różniących się od paplaniny

dziecka

czy
opętającego

mamrotania

nawiedzonych:

chropowatość niemczyzny, płynność włoskiego, osobliwość suahili, melodyjność chińskiego. Przekonywała, pytała, besztala, chwaliła: obłąkane pierwotne dźwięki, ekstatyczna konwersacja z jakąś prastarą, głębszą częścią siebie samej, archaicznym gadem czy ptakiem. Wsłuchiwał

się zafascynowany, zauroczony, zadziwiony, aż do momentu, gdy zdało mu się, że słyszał raczej niż odczuwał ich nierozzerwalne złączenie, i wtedy porwała go ze sobą, zagarnęła całego i rzuciła w bezgłośnie ognisko huraganu.

Później, nie wiedział kiedy, wrócił do przytomności otrzeźwiony niczym solami jej wonią wzmocnioną potężną dawką seksu. Leżała na nim, wielka, spocona, ciężka i nie mógł odetchnąć. Za oknem, może na sąsiednim podwórku, radio przekazywało transmisję z meczu Cardinals*, musiało więc być już po południu.

*Lokalna drużyna baseballowa.

Ponad nim, na suficie, był zaciek przypominający kształtem kontynent afrykański; mniejsza plama w prawo od niego mogła ujść za Madagaskar.

Zaszczekał pies i wkrótce cała horda przyłączyła się niczym chór.

Dwa lata celibatu... i dopiero tu, w pieskiej dzielnicy, na rozkładanej sofie w ohydny mieszkaniu, padł wreszcie pokonany. Zaskakujący był

fakt, że w ogóle go to nie dziwiło; zdążył już zapomnieć starą prawdę odkrywaną z każdym wejściem w kobietę, że to najzwyczajniejsza z wszystkich ludzkich czynności.

Nora poruszyła się, protestując mrukliwie niczym dziecko budzone wbrew woli, po czym oderwała się od niego z charakterystycznym mlaśnięciem rozklejanych ciał. Uśmiechnęła się przytrzymując włosy z dala od twarzy.

- Jesteś taki piękny, że aż boli, gdy patrzę na ciebie...

Nie był w stanie zrewanżować się podobnym komplementem. Jej braki - ciężkie pośladki, obwisła talia, zaskakująca płaskość biustu, dziwaczne połączenie twardej, brązowej twarzy Indianki z intensywnie niebieskimi, choć przekrwionymi teraz oczyma Skandynawki - intrygowało go i podniecało, nie potrafił jednak znaleźć sposobu, by powiedzieć jej to w formie komplementu.

- Niewąski z ciebie numer, wiesz? - powiedziała. - Mózg mi normalnie stanął, słowo daję!

Chrząknął i uśmiechnął się do niej; nie był w stanie niczego powiedzieć.

- Pewnie myślisz, że się na ciebie zasadziłam.

- Mhm...

- Ale nie było siły, żebym cię namówiła na łóżko, co?

- Zgadza się.

- Na pewno nie jesteś na mnie zły?

- No, złamałaś obietnicę...

- Jaką obietnicę?

- Mówiłaś wieczorem, że będziesz miła.

Uśmiechnęła się do niego.

- A nie byłam?

A więc miał do czynienia z urodzoną jurystką, przebiegłą i dzielącą włos na czworo.

- Byłaś - odparł. - Byłaś bardzo miła.

- Więc o co chodzi...

Układając się na sofie, zaczęła grzebać w bałaganie zalegającym stolik, aż wreszcie znalazła paczkę winstonów i zapalniczkę. Patrzył, jak zaciągała się przypalając papierosa i widok jej wciągniętych policzków wywołał znów podniecenie.

- Czy zawsze tak... rozprawiasz podczas seksu? - zapytał.

- Jak rozprawiam?

- Nie pamiętasz? Paplałaś zupełnie jak nawiedzona.

- Co mówiłam?

- Nic. Nic zrozumiałego.

Wykrzywiła się.

- Nie pamiętam, żebym coś mówiła - odparła.

Wiedział, że to prawda. O swojej ekstazie - słowo to trafnie określało jej stan - mogła wiedzieć tyle, co ktoś budzący się z głębokiej hipnozy. Czy zdarzyło jej się już kiedyś wpaść w podobny trans? A może był po prostu pierwszym mężczyzną, który jej o tym powiedział? Podrapała się w żebra; wygięcia i łuki jej ciała, przesłaniającego teraz światło słoneczne, obrysowane były złotem. Zdawała się być żywą zagadką, sfinksem, jak plaster miodu tak pełną sekretnych przejść i ukrytych cel, że sama dla siebie stanowiła tajemnicę. Schyliła się i zaczęła drapać w kostkę... poprzez cienką skórę przeświecał kręgosłup, baśniowy poblask przepadł gdzieś, nagle stała się nieprzyjemnie zwyczajna: nieładna, skacowana, starzejąca się kobieta, od dawna potrzebująca kąpieli, budząca się z kolejnej przygody na śmietniku, w

jakim mieszkała. Sama myśl, że miałby próbować połączyć obie te wizje, była męcząca. Położył się, wpatrując się w Afrykę dryfującą na popękany morzu sufity.

Długie chłodne palce dotknęły jego jąder: - Chyba znowu bym coś zjadła... - powiedziała.

Rdzawy kwadrat słonecznego światła przesunął się z sofy na ścianę, obramowując teraz niedokładnie plakat z MM w jej matadorskim kapeluszu. Po wszystkich tych olimpijskich wyczynach powinien właściwie paść, jak Nora, która chrapała obok odwrócona do niego majestatycznym tyłem, zamiast tego jednak stał nagi wśród koszmarnej rumowiska pokoju, wypompowany, oczyszczony i pełen ciekawości.

Rzucił jeszcze raz okiem w jej kierunku sprawdzając, czy dalej śpi, po czym podszedł do aż zbyt gładko wyściełanego fotela, na którym powiesił ubiegłego wieczoru starannie złożone spodnie i wciągnął je na siebie.

Miał

zamiar zwiedzić dokładnie jej mieszkanie.

Gdyby miał zrobić listę swoich wad, nadmierna ciekawość byłaby pewnie jedną z najgorszych. Matka i Janey napadały na niego regularnie za czytanie ich korespondencji, przeglądanie portfeli, grzebanie w szufladach, inspekcje samochodowych schowków. Wścibskość mogła być co najwyżej lekkim grzechem, choć wolał uważać ją za przesadnie rozwinięty nawyk intelektualnej dociekliwości: czym innym wszak była wiedza jak nie stosowanym wścibstwem? Oczywiście, że naruszy tym jej prywatność, ale czyż ona okazała jakikolwiek respekt dla jego prywatności? Dopiero co zgwałcony czuł, że ma prawo dowiedzieć się czegoś o swej gwałcicielce. A poza tym, gdyby opowiedziała mu nieco więcej o sobie, nie musiałby teraz zniżać się do podobnego myszkowania. Uzbrojony w owe argumenty, ruszył prosto do lodówki.

Przede wszystkim czuł wściekły głód - ostatni raz jadł przed wyjściem na przyjęcie Horowitza - uważał poza tym, że zawartość lodówki określa charakter człowieka równie dobrze jak stojące na półkach książki.

WątpA czy znajdzie tu chociaż jedną półkę, lodówka wydawała się więc pewniejszym miejscem. Był to stary General Electric, model wielki i antyczny-W zamrażalniku, nie odmrażanym chyba od epoki lodowcowej, znalazł torbę frytek OreIda, kilka pasztecików Swanson, pizzę Tombstone i puszkę soku pomarańczowego Minutę Maid, same znane firmy. Nie było w tym nic dziwnego: pracując w reklamie wiedział, że biedacy kupowali

wyłącznie takie produkty. Tracili pieniądze na przereklamowane wyroby, ponieważ bali się śmiertelnie marnowania pieniędzy w ogóle. Produkty niemarkowe można było znaleźć tylko w lepszych dzielnicach; w swoim mieszkaniu miał pełno takich rzeczy.

Sprawdzał dalej; główna komora lodówki była przykrym widokiem: kostka masła, karton jajek, butelka toniku i słoik majonezu, a poza tym wyłącznie produkty Oscara Mayera: boczek, mortadela, parówki. I to wszystko... żadnych pikli, sera, warzyw czy owoców. Jakiż żalosny, beznamiętny, pozbawiony wyobraźni charakter mógł odżywiać się w ten sposób, a przecież temperament, z jakim brała się do seksu, wskazywał na coś zupełnie innego. W łóżku zmieniała się w gorliwą wyznawczynię zdrowego, dobrego żywienia...

Zrobił sobie grubą kanapkę z wędliną na białym pieczywie. Była tak pozbawiona smaku, że prawie nadawała się do zjedzenia. Żując zawzięcie, myszkował dalej. W kuchennej szafce stały tanie talerze z niebieskiego plastiku, plastikowe filiżanki i spodki, szereg reklamowych szklanek z wizerunkami filmowych bohaterów, które musiała podebrać w tanich jadłodajniach typu Wendy's czy Burger King. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że owa produkcja uboczna wielkich kampanii reklamowych była dobrodziejstwem ubogich. Nora musiała z pewnością należeć do kobiet, które regularnie przychodziły na rozmaite „wielkie otwarcia” magazynu, banku czy salonu samochodowego po to tylko, by zabrać wszystko, co było do zabrania: popielniczki z reklamowym sloganem, kalendarze, parasolki, słoje na słodycze, balony... nieważne co, ważne, że za darmo. Rosemary, jego szefowa, wspominała mu o tym szczególnym rodzaju klienteli, która gotowa była co miesiąc zmieniać bank tylko po to, by zdobyć obiecany za otwarcie konta upominek. Z trudem umiał sobie wyobrazić kogoś skłonnego do równie żalostnej grabieży i proszę, kochał się właśnie trzy razy pod rząd z „kimś” takim... Kanapka rosła mu w ustach. Napił się wody i szperał dalej w szafkach. Znalazł całą stertę słodkich płatków śniadaniowych, okropną puszkową karmę - jakieś gotowe spaghetti i nadziewane naleśniki ~ i nieprzeliczone opakowania rozmaitych ciastek i ciasteczek. Można by pomyśleć, że miał do czynienia z dziesięcioletnią dziewczynką. I skąd, odżywiając się w ten sposób, brała energię do takiego kochania? Graniczyło z cudem, że w ogóle jeszcze oddychała...

Przeszedł do holu, gdzie powinna była wisieć kolekcja fotografii rodzinnych. Poza wizerunkiem Marilyn i trzema nagimi gracjami nie

napotkał dotąd niczego innego. Brak zdjęć jej byłego męża nie dziwił go.

Jego matka pozbyła się fotografii ojca, gdy ten ich zostawił; on sam, w geście samoobrony, trzymał wszystkie wizerunki Janey w dolnej szufladzie biurka. Ale co z ukochanym zmarłym synem? Można by przypuszczać, że wciąż żywe matczyne instynkty każą jej pamiętać o nim; kapliczka w holu poświęcona Marilyn powinna być kapliczką jej dzielnego aniołka... Być może miała jego zdjęcia w sypialni. Otworzył ostatnie drzwi po lewej stronie, tuż za łazienką, i znalazł się w pokoju, który był tak nieprawdopodobnie zabałaganiony, jak reszta mieszkania.

Na podłodze kłębiły się części garderoby. Łóżko było nie zasłane.

Obracający się wentylator stukał w oknie otwartym na podwórko zarosłe gęsto trawą; za nim zaczynała się już walcownia. Na szafce nocnej stały dwie brudne szklanki z bohaterami kreskówek, zmięte różowe chusteczki higieniczne i popielniczka tak zapchana niedopałkami, że nie mógł nie wysypać jej natychmiast do stojącego pod spodem kosza, również domagającego się opróżnienia. Sprawdził mimochodem miękkość łóżka i mało nie upadł, gdy ugięło się cofając i powróciło falą. Materac wodny...

cóż tu robił materac wodny? Nic poza tą jedną rzeczą nie ujawniało wyrafinowania w stylu Nory. Zaczął się zastanawiać, jak przebiegałoby kochanie się z nią na tej luźnej, falującej, bijącej o ciało powierzchni i gardło ścisnęło mu wracające pożądanie. Niemożliwe, by znów miał na nią ochotę, przecież jego bezlitośnie skatowane gruczoły nie były w stanie tak szybko się podnieść - wybryk mózgu, zbyt długo pozbawionego seksu.

Musiał się znów przyzwyczaić do czegoś takiego jak pożądanie. A jednak...

Otworzył pojedynczą szufladę szafki. No i proszę: duża plastikowa butelka olejku do masażu, a obok trzy wibratory. Serce biło mu mocno.

Jedna z atrap była mniej więcej jego rozmiaru; słyszał nieraz, że jak na mężczyznę o tak miernej posturze obdarzony był zaskakująco dużym przyrodzeniem. Następna, gruba i zakrzywiona niczym banan, miała u nasady trzy rzędy gumowych frędzli postrzępionych jak liście paproci.

Spróbował ją zgiać, ale nie chciała się łatwo poddać. Trzecia miała kształt tępo zakończonego pocisku; zdziwiła go jej waga. U spodu miała przełącznik, przesunął go i pocisk zaczął wibrować. Sprawdził wszystkie trzy szybkości.

Usiłował wyobrazić sobie Janey chowającą podobne zabawki dla własnej, prywatnej satysfakcji, lecz nie potrafił. Nie była pruderyjna, ale też trudno

byłoby określić ją jako opętaną seksem, podobnie zresztą jego.

Kochali się z pewną dozą ceremonii, która zresztą w ogóle cechowała ich codzienne życie. Oboje byli wykwinnymi, pełnymi rozwagi ludźmi i być może fakt, że ich małżeństwo nie trwało jeszcze zbyt długo powodował, że traktowali je jako coś kruchego, delikatnego. Wiedział, że każdego popołudnia Janey, niczym modelowa amerykańska żona, powita go całusem na progu; wiedział, że każdy niedzielny poranek spędzą na sofie czytając w milczeniu kupiony przez niego w Clayton The New York Times i zajadając łośosia z bajgele; i tak samo wiedział, że gdy nadchodziła pora kochania się (zawsze w nocy, nigdy rano), Janey zapali świece przy łóżku i pójdzie do łazienki, on nastawi jakąś płytę - Tristana i Izoldę Wagnera czy Szeherezadę Rimskiego-Korsakowa - i rozbierze się, by czekać pod kołdrą, aż wróci Janey: w nocnej koszuli, z wymytymi zębami i łonem pachnącym jakimś kobiecym kosmetykiem; i w powolnym, pełnym dostojności oszołomieniu wonią mięty, świeżego obleczenia i czystych ciał, łagodną muzyką, migotaniem świec i składanych sobie wzajem miłosnych wyznań kochali się niczym nowożeńcy. Nigdy (czy musiał o tym myśleć właśnie teraz?) nie dobierał się do jej pośladków, nie zrywał z niej ubrania, nie wskakiwał nawet razem z nią do wanny. Nigdy nie kochali się w jakichś szczególnie ryzykownych warunkach. Jedyny raz, gdy oglądali wspólnie film pornograficzny - Klugman pożyczył video i zaprosił ich na pokaz -

Janey wyszła pełna obrzydzenia do kuchni, gdzie siedziała Sherri, zostawiając ich obu ironizujących dla pokrycia zmieszania. Zdradziła mu nawet, że - w co wierzył - masturbowała się tylko parę razy w życiu, nie znajdując w tym zbytnej satysfakcji. Ich współzycie nie wykraczało poza przyjęte granice: wystarczająca doza obyczajnego seksu, czasem trochę lubieżności i świntuszenia - to wystarczało, na więcej sami nie mieli ochoty i wzajemnie się o tym przekonywali.

Tu jednak miał do czynienia z kobietą, dla której „pożądliwość” znaczyła tyle, co dla samicy w okresie rui, kobietą przesiąkniętą seksem od brudnych stóp po lśniące włosy, zabierającą się do kopulacji tak, jak zwierzę rzuca się na jądło, zachłannie i bez poczucia winy. Nie powstrzymałaby się, jak przypuszczał, przed niczym: mógłby ją związać, nasikać jej na twarz, kazać jej zgwałcić go od tyłu - żaden z tych pomysłów nie kusił go specjalnie, ale serce waliło mu mocno. Chciał jej znowu.

Wyłączył wibrator - czuł jeszcze mrowienie we wnętrzu dłoni - włożył go z powrotem do szuflady i zamknął ją cicho. Zmusił się do zwrócenia

uwagi w innym kierunku. Po drugiej stronie łóżka stał chybotliwie wyglądający stolik z przestarzałym, niewielkim gramofonem z plastiku - podobny kupił sobie jeszcze jako chłopak; odrzucał przez całą zimę śnieg, by na niego zarobić. Przykleknął i zaczął przerzucać płyty: Tammy Wynette, The Oak Ridge Boys, Loretta Lynn, Hank Williams junior i senior, Willie Nelson, Charlie Pride - muzyczne slumsy. W rogu toaletki leżała kupka książek: tytuły, jakich mógł oczekiwać: Marilyn Normana Mailera, Norma Jean Freda Guileasa, jakieś czytało, romans i Radość z seksu zastępująca jej zapewne często kartkowaną Biblią. Na podłodze obok piętrzyła się sterta kobiecych pism uwieczniona numerem Cosmopolitan i wpółotwartą torebką. Skrzyżował ramiona spoglądając z zastanowieniem.

W środku znalazłby z pewnością portfel, prawo jazdy, jej nazwisko, wiek...

Grzebanie w jej torebce wykraczało już jednak poza zwyczajne wścibstwo i graniczyło z kradzieżą. Ale jak inaczej miał się tego dowiedzieć? Tyle że, po co chciał to wiedzieć? Czyżby zamierzał znów się z nią spotkać?

Z głębi mieszkania doszedł go odgłos spuszczonej wody. Uciekł z sypialni, przemknął obok łazienki, nie zastanawiając się otworzył frontowe drzwi i stanął w oślepiającym słońcu. Otoczyła go kakofonia dźwięków: głośny hałas heavy metalu, warcząca kosiarka do trawy, ujadanie psów.

Zorientował się nagle, że stoi boso, bez koszuli, i cofnął się z powrotem do holu. Czekająca na niego z założonymi rękami.

Miała na sobie karminowy, zakończony frędzlą płaszcz kąpielowy.

Włosy zebrała z tyłu w koński ogon, z twarzy zmyła resztki makijażu.

Musiała być starsza, niż mu się początkowo wydawało. Nie miała prawie wcale brwi, były wyskubane do cienkich łuków, skóra policzków przypominała ścienny tynk. Stała bez śladu uśmiechu.

- Wygląda, że ci się tak cholernie śpieszyło - powiedziała - żeś nawet ubrania zapomniał.

Spróbował obrócić to w żart: - Ciepło dzisiaj...

Pomięła tę głupekową odpowiedź milczeniem. Czuł z bezpodstawną pewnością, jaka cechować może paranoika, że wiedziała doskonale o jego ukradkowym buszowaniu po domu, że nie spała wyteżając słuch, rozpoznając każde jego poruszenie, każde otwarcie i zamknięcie kolejnej szafki i szuflady.

- Zobaczą cię jeszcze kiedyś? - zapytała.

Opuścił wzrok i przyglądał się jej żyłastym dłoniom ściskającym okryte

czerwonym materiałem przedramiona: kostki zrobiły się żółte, potem różowe, znów żółte. Miała prawo, oczywiście, zadać to pytanie, ale jego bezpośredniość jak i gorycz jej tonu wytrąciły go z równowagi.

- Chyba mówię wyraźnie - powtórzyła. - Czy się jeszcze kiedyś spotkamy?

Spróbował marnego wykrętu: - Dlaczego akurat ja mam decydować? ponieważ ja zadałam pytanie po to, byś ty mógł wybrać. Czy może tego też nie rozumiesz?

Oparł się o ścianę, dłonie wbił w kieszenie spodni. Na podłodze obok jego stóp leżała skłębiona niczym śpiący wąż para rajstop. Czuł, że znalazł się w ślepym zaułku. Jedyne, co mógł naprawdę zrobić, to podziękować jej za niezapomniany wieczór, pocałować na pożegnanie i uciec jak najszybciej. Cóż innego mogło wchodzić w grę? Kolejne spotkanie? Ale gdy spojrział znów na tę nieładną, zniszczoną twarz, stracił odwagę.

- Ile masz lat? - zapytał.

Zadarła brodę do góry. - Zgadnij.

- Nora, proszę, bez zgadywanek. Powiedz mi po prostu.

- Jestem starsza niż wyglądam, tak mi przynajmniej mówiono.

- To znaczy...?

- Mam czterdzieści jeden lat - powiedziała. - W grudniu będę miała czterdzieści dwa. A ty ile masz, dwadzieścia siedem? Chryste Panie, dziura między nami jak cholera! Założę się, żeś nigdy nie miał takiej starej baby czy tam nawet trochę młodszej, co?

- Nie.

- No i co jeszcze chcesz o mnie wiedzieć? Właściwie normalne, przejechałeś się na próbę, to teraz musisz zajrzeć pod maskę. Pytaj, proszę bardzo.

Czekała.

- Czemu nie przeprowadzisz ze mną wywiadu, jak wczoraj wieczorem? - zapytała w końcu. - Wiesz już, jaka jestem w łóżku. A może tylko tego chciałeś się dowiedzieć?

- Zaraz, chwileczkę! Nie zapominaj, że to ty mnie poderwałaś, ja się nie prosiłem.

- Ale też bardzo się nie broniłeś.

- Nie było sposobu.

Oparła się o ścianę tuż obok kolekcji fotografii MM i opuściła luźno ramiona wzdłuż ciała, jak gdyby bezbronność tej pozy miała sprowokować

go do sprawienia jej za wszelką cenę bólu.

- Myślisz pewnie, że jestem głupi, ciemny kocmołuch?

- Noro...

- Zamknij się. Tak myślisz i taka jestem. Nigdy nie skończyłam szkoły, w Pałacu siedzę już prawie sześć lat, bo się nie nadaję do innej roboty.

Jeszcze ci coś powiem o sobie: nie mam zwyczaju wyszukiwania sobie po knajpach facetów. Miałam kiedyś, szczerze. Kiedyś w ogóle robiłam wiele rzeczy, o jakich pewnie wolałbyś nie słyszeć... Ale wreszcie miałam tak dość tych wszystkich popierdolonych skurwysynów, z którymi łądowałam, że olałam facetów zupełnie. Wiesz, że jesteś pierwszy od ponad roku? Nie żeby mnie nikt nie chciał, opędzić się nie mogłam, bądź spokojny. Tylko że ostatnio przyszło mi do głowy, że może zasługuję na kogoś lepszego niż te typy, jakie się zwykle za mną oglądają... śmieszne, nie? I potem spotkałam ciebie. - Znowu skrzyżowała ramiona, kopnęła w bok pojedynczy czerwony pantofel leżący na podłodze koło jej nogi. - Musiałam chyba naprawdę zgłupieć, żeby spodziewać się, że ty będziesz chciał ze mną kręcić. Nie jestem raczej w twoim typie, co? Ale masz w sobie coś takiego... za cholere nie potrafię powiedzieć co, ale masz... - Patrzyła wprost na niego; mrugnęła oczami i wciągnęła chrapliwie powietrze przez nos. - Więc kiedy tak siedziałeś ze mną i piłeś w Cousin Hugo's, pomyślałam sobie, cholera, Nora, dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Właśnie tak, dokładnie: że dziwniejsze rzeczy się zdarzały... - Wzruszyła ramionami. - No więc widzisz. Jestem grubo za stara dla ciebie, bez grosza, głupia i nieładna. Z pewnością wstydzilibyś się przedstawić mnie swoim znajomym. Co więc masz zamiar zrobić, Max?

Najgorsze, wręcz nie do zniesienia było to, że chciał jej. Chciał jej już, teraz, jak stała, z obnażoną twarzą, wyskubanymi brwiami, wciąż wyczuwalnym nieświeżym zapachem seksu; chciał ją wziąć tu, na podłodze, na ściółce z porzuconych butów, majtek, zmiętych chusteczek i kłaków kurzu - niech szlag trafi zdrowy rozsądek i przezorność, najważniejsze, by jeszcze raz zapaść się w tę niepamięć!...

Ale wiedział także, co musi jej powiedzieć: - Noro, przykro mi...

Wykrzywiła twarz w pogardliwym półśmiechu: - Wiesz co? - powiedziała. - Przez chwilę myślałam, że się postawisz i zadziwisz mnie.

Część druga

Rozdział piąty

- Na co miałbyś ochotę, Max? Batonik? Wafle? Spróbuj może tych migdałowych makaroników. Pieką je w Missouri Bakery... Czysty orgazm.

- Dziękuję, Rosemary - powiedział siadając w fotelu przed jej biurkiem.

- Dopiero co jadłem lunch.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się do niego.

Sięgnęła po ciastko do zawsze pełnej rozmaitych słodczy misy z orzechowego drewna stojącej na blacie, zamknęła je bez gryzienia w ustach i z jękiem mającym wyrażać rozkosz opadła znów na głęboki, kryty skórą obrotowy fotel. Rosemary zawsze miała zmysłowy stosunek do życia.

Potrafiła pogryzać coś bez przerwy cały ranek, by mimo to zasiąść ze zdwojonym apetytem do lunchu. Paliła mocne, aromatyczne papierosy z importu, English Ovals albo Bałkan Sobranie, a w picciu dawała radę najsilniejszym głowom. Od kilkunastu lat żyła otwarcie z kobietą, znacznie od siebie młodszą, masażystką z zawodu (uważał to połączenie za doskonałe) i mimo tego ciągłego dogadzania sobie wyglądała bardzo dobrze jak na czterdziestoczteroletnią kobietę: zawsze uważne, okrągłe szare oczy, sprytna, piegowata niczym u urwisa twarz i krótko przycięte włosy koloru młodej marchewki. Nie mogła ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilogramów.

Urządzenie gabinetu Rosemary służyło jej hedonizmowi: cudownie wygodny fotel - miał okazję go wypróbować - który dawał się rozłożyć na płasko, mahoniowe biurko w kształcie bumerangu, dzięki czemu wszystko znajdowało się w zasięgu ręki, rozłożysta miękka sofa pasująca bardziej do dużego mieszkania niż do biura, fotele, w których bez trudu można było uciąć sobie drzemkę. Ścian nie pokrywały oprawione ogłoszenia, nagrody, wyróżnienia i wykpiwające ich profesję karykatury z New Yorkera, co było przyjętym w agencjach zwyczajem, na przeciwległych krańcach

pomieszczenia
wisiały

dwie
ogromne,
umożliwiająca odprężenie się reprodukcje Lili Moneta. Wszyscy schodzili się tu spontanicznie niczym do przytulnej kuchni, gdy biurowe imprezy zaczynały dobiegać końca. Mały bar i zestaw stereofoniczny dopełniały ciepłej atmosfery.

Ludzie pracujący w agencjach reklamowych rzucali zwykle słuchawką telefonu, biegali wściekle korytarzami i przemierzali gabinety krokiem nawiedzonych lunatyków. Rosemary przesuwiała się z ospałym spokojem dobrze nakarmionej lwicy. Nie bardzo pojmował, jak tego dokonywała; z pewnością nie ignorowała panującego tempa i napięcia, raczej wykorzystywała je niczym ryczące fale, po których ślizga się z osobliwym zaufaniem surfer. Być może właśnie ta obojętność pozwalała jej trwać w zawodzie, gdyż wiedział, iż pomimo jej wysokiej renomy w środowisku, sterty lokalnych i krajowych nagród oraz nieszablonowych, wzorcowych kampanii z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, które wciąż wspominano, Rosemary w gruncie rzeczy gardziła reklamą. Twierdziła, że nie ogląda nigdy telewizji ani nie słucha radia: reklamy doprowadzały ją do pasji. Hydraulicy, lubiła mu powtarzać, nie muszą wszak kochać się w rurach i muszlach klozetowych, by wykonywać swoje zajęcie. I jak dobry hydraulik wiedziała, co ma robić, cieszyła się swoim profesjonalizmem i starała się za wszelką cenę nie zastanawiać nad celowością wykonywanej pracy, która także polegała na przenoszeniu gówna z miejsca na miejsce...

Wierzył jej tylko połowicznie, choć gdy się głębiej zastanowił, nie potrafił

powiedzieć, co sam robił w zawodzie, którego właściwie nie znośił, podobnie jak ona.

Wiedział doskonale, co odciągnęło go od uczenia: pracował zbyt ciężko, a płaca była zbyt niska. Gdyby Bill i Sara Roth nie wspomagali ich finansowo w latach małżeństwa, sprawy wyglądałyby znacznie gorzej i Janey musiałyby zapewne skończyć studia w ciągu czterech, nie zaś sześciu lat i jak przeciętny śmiertelnik szukać pracy. Nie mógł jednak nie zarzucić sobie swoistego lenistwa, gdyż mimo konieczności brania wielu nadgodzin dopiero po śmierci Janey zdecydował się szukać innego zajęcia. Jego dotychczasowy świat legł w gruzach i jedyne, co było w tym pozytywne, to fakt, iż mógł teraz owe szczątki układać w dowolnym porządku. Przyszła mu do głowy praca w reklamie, ponieważ wiedział, że przynosi pieniądze, ufał swoim

umiejętnościom literackim i uznał, że musiałby być skończonym idiotą, gdyby nie umiał pisać lepszych tekstów niż te bezsensowne bzdury, jakich wysłuchiwał w programach lokalnego radia.

Sara Roth skontaktowała go z Bernardem Wine, przyjacielem rodziny i emerytowanym dyrektorem artystycznym, który zgodził się pomóc mu przygotować

zestaw

fikcyjnych
reklam.

Życzliwy, pokasujący

astmatycznie Wine twierdził, że wrodzony talent Maxa robi na nim silne wrażenie, zachęcał go stale do pracy i ozdabiał jego niezręczne slogany i rozdmuchane teksty ilustracjami pasującymi jak ulał do kobiecych pism z końca lat pięćdziesiątych. Uzbrojony tym sposobem w teczkę prac wątpliwej jakości, kompletną nieznajomość fachu i kilka nazwisk podsuniętych mu przez Wine'a, zaczął zbierać grzeczne odmowy z wszystkich odwiedzanych agencji. Gdy wyczerpał listę Wine'a - dwa nazwiska okazały się należeć do zmarłych - usiadł z książką telefoniczną i rozpoczął wydzwanianie po biurach zgodnie z alfabetem, od A. Przy S - i agencji Spindlera - dzwonił już mechanicznie, popychany jeszcze swoistym, pełnym złości uporem, ale pogodził się właściwie z faktem, że do końca życia pozostanie nauczycielem. Podejrzewał zresztą, że całe to szukanie nowej pracy miało pomóc mu oderwać uwagę od żaloby. Z

rozmowy jednak, jaką przeprowadziła z nim Rosemary Powers, wyszedł zaskoczony. Miał, jak się okazało, szczęście, gdyż jej tekściarz wymówił pracę przed paroma zaledwie dniami i Rosemary nie zdążyła jeszcze dać ogłoszenia do prasy, gdy zadzwonił. Dobrze się również stało, że wszedł do jej gabinetu tak znużony dotychczasowymi odmowami, iż na jej pytania odpowiadał z absolutną szczerością człowieka, któremu nie pozostało już nic do stracenia.

Rosemary przeglądała jego prace bez słowa, wypalając jednego papierosa aż do filtra i zapalając zaraz drugiego. Zamknęła teczkę, odsunęła ją na bok i spytała go, co sam sądzi o swych projektach.

- Są do niczego - odparł.
- Racja.
- Ale umiem przynajmniej skleić sensowne zdanie...
- Owszem.
- I potrafię logicznie argumentować...
- Zgadza się.
- Ale nie wiem absolutnie niczego na temat reklamy...
- To prawda.
- Poradzi mi pani więc, żebym został przy uczeniu, tak?
- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami.
- Cóż innego może pani powiedzieć? Przecież to oczywiste. Nie mam

kwalifikacji.

Zmrużyła oczy uśmiechając się.

- To po to chciał się pan ze mną widzieć? Żeby móc mi powiedzieć, dlaczego mam pana nie przyjmować do pracy?

Teraz on się roześmiał.

- W porządku. Uważam, że powinna mnie pani zaangażować wyłącznie na podstawie przyszłych osiągnięć, bo to jedyne, czym się będę mógł wykazać. Przekonałem panią?

- Niech mi pan powie, dlaczego nie chce być nauczycielem.

- Pieniądze.

- Zrozumiałe. Lubi pan w ogóle uczyć?

- Lubię znaleźć się w klasie, lubię swój przedmiot, lubię większość uczniów... a do reszty straciłem cierpliwość.

- Skąd pan wie, że do reklamy nie zabraknie panu cierpliwości?

Nachylił się w jej stronę.

- Pani Powers...

- Niech mi pan mówi Rosemary.

- Dobrze, Rosemary, wypaliłem się jako nauczyciel. Nie mogę pani obiecać, że będę w nowym zawodzie dobry, mogę natomiast przyrzec, że poświęcę mu całą energię, entuzjazm i uwagę. Potrzebuję... no, potrzebne mi jest coś nowego w życiu.

- Dlaczego?

Opowiedział jej o Janey, choć nie miał bynajmniej zamiaru tego robić.

Gdy skończył, siedziała milcząc przez dłuższą chwilę, wchłaniając jego opowieść. Poczęstowała go potem ciastkiem, ale odmówił. Odchyliła się z fotelem do tyłu, zjadła powoli swoje ciastko i zaczęła mówić patrząc w sufit:

- Nie zna się pan zupełnie na reklamie. To minus, ale reklama nie jest żadną wielką tajemnicą i można się jej nauczyć. Plusy to pana żywa inteligencja, fakt, że potrafi pan pisać, i to, że jest pan nauczycielem. Z

nauczycieli wyrastają najlepsi uczniowie, nieprawdaż? Poza tym lubię pana. Jedno chciałabym tylko ustalić: wydaje się pan bardzo napalony i to jest dobre; ale czy jest pan napalony na tyle, żeby przez jakiś czas marznąć? Jeśli miałabym pana zaangażować, podkreślam: jeśli, będzie pan zarabiał stawkę kulisa tak długo, dopóki się pan nie wykaże. Gotów?

- Tak.

- Nie można prowadzić przedsiębiorstwa opierając się tylko na intuicji - powiedziała. - Z drugiej strony nie da się zrobić dobrego interesu bez

niej. -

Przechyliła głowę i spojrzała na niego uważnie bystrymi szarymi oczami.

-

Oczywiście, jeśli pana przyjmę i okaże się pan dobry, szybko dostanie pan wyższą stawkę. Zdolny tekściarz jest w stanie zarobić w tym fachu kupę pieniędzy... - Roześmiała się. - W gruncie rzeczy dlatego właśnie robię to, co robię. Mam ogromnie kosztowne zachcianki. Ale wie pan, co było moją prawdziwą ambicją, kiedy byłam kilka lat młodsza od pana?

- Nie mam pojęcia.

- Chciałam być nauczycielką angielskiego.

Przyjęła go do pracy tydzień później, z pensją siedmiu tysięcy dolarów rocznie. Pod jej kuratelą przekroczył swoje własne oczekiwania. Odkrył, że pisanie tekstów reklamowych wymagało właściwie zdrowego rozsądku i swoistego lekkiego dowcipu - obie te cechy trudno było znaleźć nawet u starych wyjadaczy. Jego gwiazda zaczęła szybko wschodzić: w ciągu niecałych dwóch lat przepracowanych u Spindlera dostał cztery podwyżki i klienta, wytwórnę wędlin Baumanna, którego kampanię prowadził sam.

Nie miało znaczenia, że, podobnie jak Rosemary, nie czuł najmniejszej satysfakcji, gdy głosił maluczki przesłanie swego klienta; próba sił, jaką było dla niego opanowanie nowej dziedziny, przesłaniała wszelkie inne względy.

Rosemary była jego mistrzem w agencji, on był z kolei jej prymusem. Choć nierzadko go konfundowała, podziw, jakim ją obdarzał, był bezgraniczny, i myślał czasem, że gdyby życie potoczyło się inaczej - Janey nigdy nie istniała, Rosemary miała dwadzieścia lat mniej i nie tkwiła tak zawzięcie przy swoim lesbijstwie - mógłby łatwo się w niej zakochać.

Może zresztą już się w niej na swój sposób kochał.

Tego popołudnia przyszedł specjalnie wezwany. Poprosiła go, żeby zamknął drzwi. Zamknięte drzwi oznaczały zwykle w agencji jakieś nieprzyjemności: wymówienie, spory finansowe, surową reprimendę. Jak zwykle nie śpieszyła się z wyłuszczeniem sedna sprawy.

- Gdzie jadłeś lunch? - spytała.

- W domu.

- Ja byłam w O'Connell's, zamówiłam sobie ten ich wielki sandwicz z wołowiną... Mogłabym tam mieszkać, mówię ci, żeby tylko mieli jakieś miejsce do spania.

- Rosemary, czemu kazałaś mi zamknąć drzwi?

Wzruszyła lekko ramionami.

- Musimy omówić parę spraw na osobności. Przyjemnych, nieprzyjemnych. Najpierw te nieprzyjemne. Może byś zajrzał do tej dużej teczki, tej w rogu biurka?

Położył ją na kolanach i otworzył.

- Jak widzisz, pismo przyszło na ręce Lou Baumanna. Przekazał je do mnie, bardzo zdenerwowany całą sprawą. Przeczytaj sam, tylko proszę, bez żadnych docinków.

List pisany był na maszynie, papier zdobila oficjalna pieczęć stanowa.

Szanowny Panie,

Pozwalam sobie wyrazić ubolewanie z powodu rzekomo zabawnej reklamy, jaką Pańska wytwórnia nadaje przy pomocy prywatnej rozgłośni radiowej KMOX. Jej akcja ma miejsce w sierocińcu i opiera się na absurdalnym i uwłaczającym założeniu, iż dzieci otoczone opieką instytucji społecznej potrafią odmówić jedzenia szynki (w rzeczywistości nader rzadko ją dostają), ponieważ nie jest to szynka Baumanna.

Od dwunastu lat pracuję jako opiekun społeczny, zajmując się szczególnie problemami dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej.

Uważam, że podobnie jak wszyscy obdarzony jestem normalnym poczuciem humoru, w Pańskiej jednakże reklamie nie znalazłem niczego śmiesznego; przeciwnie, wydała mi się wyjątkowo niesmaczna i pozbawiona wyczucia. Pracownicy wydziału opieki społecznej mają dość kłopotów z wypełnieniem swoich zadań bez „pomocy” propagandówek szerzących ideę - na nieszczęście zyskującą coraz bardziej na popularności w naszych konserwatywnych czasach - iż tzw. sierotki wiszące na państwowym garnuszku nie zasługują w pewnym sensie na naszą uwagę i troskę.

Nie jestem w stanie pojąć, w jaki sposób tak okrutna i potencjalnie ogromnie szkodliwa reklama mogła trafić na fale radiowe. Zapewniam Pana, iż uczynię wszystko, co w. mej mocy, by moja rodzina, znajomi i współpracownicy podobnie jak ja odmawiali zakupów Pańskich wyrobów.

Z poważaniem

Dr Robert Hamilton Zastępca Dyrektora Programu Opieki Dziecięcej st.

Missouri

PS. Kopię niniejszego listu przesyłam na ręce p. Roberta Hylanda z rozgłośni KMOX.

- Założę się, że Oliver Twist też mu się nie podobał - powiedział.
- Prosiłam cię, bez kawałów. Słuchaj teraz: Baumann wycofuje reklamę.
- Co?
- Właśnie to.

Sięgnął po stojącą na biurku popielniczkę i wysypał ją do kosza, będąc myślami zupełnie gdzie indziej.

- Może przejechałbyś przy okazji dywan, skoro już sprzątasz...?

Wzruszył ramionami, wbił ręce w kieszenie i zaczął przemierzać jej gabinet.

- Rosemary, ilu ludzi słyszało tę reklamę? Dwieście tysięcy? I z powodu skargi jednego jedyne go wariata program idzie na półkę? Gdzie w tym, do cholery, jest jakaś logika?

- Liczy się właśnie pojedynczy wariat.

- Dlaczego?

- Wolalabym, żebyś przestał łaźnić. Wcale nas to nie uspokaja.

Usiadł i założył nogę na nogę.

Rosemary odgięła oparcie fotela zupełnie do tyłu. Tak półleżąc, i ostrym nosem wycelowanym w sufit, lubiła wygłaszać swoje prelekcje na temat teorii i praktyki reklamy.

- Max, to był doskonały kawałek.

- Pewnie, że był doskonały.

- Ale przesłanie było opaczne. Obawiam się, że muszę przyznać Hamiltonowi rację. Nie powinnam była puścić tego kawałka, reklama nie może nigdy doprowadzić do jakichkolwiek kontrowersji. Musi być tak bezwonna, wyidealizowana i wyprana z realiów jak, powiedzmy, nazistowska wizja obchodów millenium, gdzie grupa jasnowłosych niebieskookich półbogów w skórzanych portkach swawoli na alpejskim zboczu.

Roześmiał się.

- Ludzie chcą wierzyć w taki świat, Max. Jak myślisz, dlaczego Reagan wygrał z tak ogromną przewagą? Bo zamiast kampanii wyborczej prowadził kampanię reklamową, która, jak każda dobra propaganda, zapewniała nas, że wszystko jest OK. - Zapaliła nowego papierosa i wypuściła w kierunku sufitu kolumnę dymu. - Jedyne rodzaj cierpienia, jaki dopuszcza reklama, to łupież

albo poczta przychodząca z opóźnieniem.

Nie ma miejsca na choroby umysłowe, rozwody, morderstwa, wojny, gwałty, na nic, co kłóciłoby się z konceptem, że wszelkie nasze problemy rozwiąże jedna wizyta w domu towarowym. Jeśli bowiem odbiorcy nie uwierzą - choćby przez tych sześćdziesiąt sekund, kiedy przyciągamy ich uwagę - że szczęście można zdobyć bez trudu, w jaki sposób mamy ich przekonać, że bielsze zęby załatwią raz na zawsze ich odwieczne kłopoty z płcią przeciwną? Jeśli nie sprzedamy osiągalnego szczęścia, nie sprzedamy pasty do zębów. Tak to wygląda. Dlatego też pokazujemy, jako tło naszego kupczenia,
słodki,
nierealny,

nieprawdziwy

obraz

odmóżdżonej

amerykańskiej idylli, i w takim obrazie nie ma miejsca na żadne sierocińce czy coś w tym stylu. W idealnym świecie każdy chłopczyk i dziewczynka mają mamusię i tatusia. Dlatego też nigdy nie powinnam była zezwolić na twoją reklamę. - Wydmuchała idealnie okrągłe kółko dymu. - No i co ty na to? - spytała.

- Zastanawiam się właśnie - odparł.

Rosemary miała skłonność do przesady, niezbędną, jak przypuszczał, w tym zawodzie. Mimo to należało podchodzić ostrożnie do jej słów. Zwykle było w nich tyle prawdy, by cała argumentacja zdawała się być nie do obalenia, i dopiero bliższa analiza ujawniała jej braki. Musiał jednak przyznać, że siedziała w fachu od dwudziestu lat i, w tym momencie przynajmniej, nie dostrzegał żadnych błędów w logice jej rozumowania.

- A teraz o rezultacie - powiedziała wracając do pozycji siedzącej.

Spojrzała na niego, jakby chciała się usprawiedliwić. - Baumann nie życzy sobie, byś prowadził dalej jego kampanię.

Wielobarwne owale wodnych lilii, płaskie na ogromnej reprodukcji, którą miał przed oczyma, nabrały nagle głębi i poczuł, że tonie. Usiadł

twarzą w twarz z Rosemary, rozogniony niesprawiedliwością decyzji: zajmował się wyrobami Baumanna od roku i w tym czasie skoczyły na rynku I z czternastej na siódmą pozycję. Wiedziała o tym sama. Pochyliła lekko i do przodu, z dłońmi złożonymi na notatniku, zaczęła: - Max, nie bierz tego tak bardzo do serca. Powiedziałam ci zresztą, że mam również dobre wieści. Tak czy inaczej, ta decyzja nie ma nic wspólnego z tym, jak pracujesz. Twoje wyniki są naprawdę doskonałe i nie daj sobie wmówić czegoś innego. Ktoś po prostu załatwił cię u Baumanna -

przez skórę czuję, że to jego syn, wyjątkowy matoł - i ten uznał, że reklama z humorem nie pasuje do jego produktów. A że sprzedaż wzrosła to oczywiście drobiazg, stary Baumann nie da sobie zamącić w głowie jakimiś tam faktami. Koniec zatem z zabawnymi reklamami i jednocześnie koniec z tobą, bo on o tobie wie tylko tyle, że piszesz teksty „do śmiechu”.

- Mogę napisać każdy tekst, Rosemary, tylko przy śmiesznych trzeba się więcej nagłowić.

- Mówiłam mu to. Max, przekonywałam go cały ranek, ale nie ustąpił, chce koniecznie kogoś nowego. Zdecydowałam więc, że zajmie się nim ktoś stary, Baumanna dostanie Eddie Labodiak. Eddie nie spłodzi niczego

naprawdę zabawnego nawet, gdybyś mu przystawił pistolet do czoła, więc myślę, że będziemy mieć spokój. Tymczasem... - Zdusiła papierosa, skrzyżowała ramiona opadając na oparcie i zmrużyła oczy. - Tymczasem postanowiłam, że przejmiesz Fidelity Federal. Zdaję sobie naturalnie sprawę, że jesteś wciąż początkującym tekściarzem, ale mówiąc między nami uważam, że niedługo będziesz lepszy od najlepszego Eddiego, i jak zwykle gotowa jestem pójść na ryzyko. Kontrola należec będzie oczywiście dalej do mnie, ale ty będziesz odwalać większość roboty.

Możemy mieć trochę kłopotów z Kellerem, który w Fidelity odpowiada za reklamę; przyzwyczał się do Eddiego i jego stylu, ale będę z tobą. -

Uśmiechnęła się do niego szeroko, co robiła nader rzadko ze względu na powykrzywiane, zażółcone nikotyną zęby, najsłabszy punkt jej powierzchowności. - No i jak ci się to podoba, Max? Strata wynagrodzona?

Przez ostatnich pięć lat reklamą Fidelity zajmował się Labodiak, podstarzały, wymięty, kończący się właściwie typ, z którym nigdy nie nawiązał bliższego kontaktu. Fidelity Federal był niezaprzeczalnie największym klientem Spindlera, dającym roczny obrót w wysokości ponad pół miliona dolarów. Przez plecy przebiegły mu ciarki: dochodził coraz szybciej do celu. Zaskoczyło go, że poczucie zrealizowanego zamysłu nie różniło się zbyt od uczucia strachu: podłoga zadrżała nagle niczym tafla wodna.

- A zatem...? - spytała Rosemary.

- A zatem pochlebiam sobie.

- Nie robię tego po to, by ci schlebiać. Potrafisz poprowadzić ich kampanię?

- Właściwie nie wiem - odparł. - W gruncie rzeczy nie mam bladego pojęcia o reklamie finansowej.

- Nauczę cię - powiedziała. - Chcesz ich czy nie?

- Jasne, że chcę.

- No to bierz.

- A co z Labodiakiem?

- O, pewnie zagrozi, że odejdzie. Albo może rzeczywiście odejdzie, by jak zwykle wrócić następnego ranka. Znasz go zresztą.

Nie przepadał za nim, ale nie podobało mu się, że niepowodzenia Eddiego mają stanowić stopnie jego własnego sukcesu. Rzecz jasna, tak postępowano w interesach, a on był, oczywiście, człowiekiem interesu.

Mimo to nie uśmiechało mu się wcale spotkanie z tym zgarbionym,

woniejącym pleśnią, rozczochranym starym niezgułą, czego z pewnością nie uniknie jutro. Będzie mu musiał powiedzieć coś pojednawczego.

- Wyglądasz na zmartwionego - zauważyła Rosemary.

- Szkoda mi Eddiego.

- Minie ci... W tym tygodniu zaczynamy z Fidelity, a za dwa miesiące, gdy zobaczę, jak ci idzie, porozmawiamy o podwyżce.

Dziękował jej wylewnie.

- No już, koniec - orzekła.

Wciąż podekscytowany, uznał to za pożegnanie i podniósł się z fotela.

- Chwileczkę, narwańcu. Musimy omówić jeszcze jeden drobiazg.

Usiadł z powrotem. Rosemary przyglądała mu się przez moment, po czym wstała zza biurka i założywszy ręce za plecami stanęła przed panoramicznym oknem wychodzącym na Clayton Road.

- Pomyślisz z pewnością, że jestem cholernie małostkowa, zwłaszcza teraz, gdy okazałam ci tyle zaufania z Fidelity. Ale nie daje mi to spokoju i dlatego muszę ci o tym powiedzieć... - Jej dłonie poruszały się w ciągłym młynku. - Dzisiaj wróciłeś z lunchu godzinę później, wczoraj nadciągnąłeś z powrotem dobrze po drugiej. Mógłbyś to wyjaśnić?

- Rosemary, nie wydaje ci się, że mnie trochę krzywdzisz?

- W jaki sposób?

- Psiakrew, wiesz doskonale, co się dzieje w biurze! Każdy zwykle bierze przynajmniej...

- Nie mówię o każdym, mówię o tobie - przerwała mu wyglądając dalej przez okno. W ciemnozielonym kostiumie, z krótko przyciętymi włosami i rękoma splecionymi z tyłu przypominała sierżanta na placu musztry. -

Byłeś od samego początku wzorem cnót, Max. Nie wychodzisz na dwugodzinny lunch, przynajmniej do tej chwili. Nie narzekasz, gdy cię proszę, byś został dłużej, nie skarżysz się, że masz zbyt dużo pracy, nigdy nie przekraczasz terminu... powiedziałabym nawet, że chyba ci do głowy nie przyszło przeciągnąć termin. Cała reszta gapi się we własny pępek albo plotkuje jak stare baby, ty zaś co pięć minut jesteś u mnie z nową wersją czy świeżym pomysłem. To nie w twoim stylu, Max, takie pozwalanie sobie. Kiedy świętemu wlepiają mandat, robi się z tego heca na pierwszej stronie. Dlatego chcę, żebyś wytłumaczył swoje spóźnienia w ostatnich dwóch dniach. - Odwróciła się teraz do niego; nie wiedzieć czemu wyglądała na trochę onieśmioną. - Masz dzisiaj krawat... - zauważyła.

- Rosemary, zawsze noszę krawat.

- Racja. Niezły ze mnie obserwator, nie ma co gadać. Dobrze, w takim razie zapytam wprost: szukasz innej pracy?

- Co ci do głowy przychodzi?

- A co ma mi przychodzić? Przecież nie upijasz się w tym czasie.

- Rosemary, mnie tu jest dobrze. Musiałbym na głowę upaść, żeby rozglądać się za czymś innym. - Pomyślał nagle, czy Fidelity nie było czasem przynętą mającą go zatrzymać w agencji; możliwe, ale mało prawdopodobne. Nie oddałaby mu Fidelity, gdyby nie uważała, że da sobie radę. Poza tym nie było się co zastanawiać, klient był już jego.

Rosemary usiadła z powrotem w fotelu i zaczęła bawić się ołówkiem.

- A więc, jeśli nie szukasz pracy i nie uchlewasz się, to co na Boga robisz w czasie tych dwóch godzin?

Poczuł, że się czerwieni.

Odrzuciła ołówek za siebie i wybuchnęła śmiechem.

- Wybacz, chyba powoli głupieję na starość... - Z trudem pozbyła się uśmiechu. - W porządku, ale odtąd żadnych popołudniówek, zgoda? Różnić się możesz po godzinach pracy, jak wszyscy inni.

Przytaknął skinięciem głowy.

- Max? Mogę cię o coś zapytać? To absolutnie nie moja sprawa, ale...

- Strzelaj.

- To poważne?

- Jestem właśnie w trakcie poznawania.

- Ach.

Słyszał, jak wciągała powietrze przez nos.

- Jeszcze jedno niedopuszczalne pytanie i dam ci spokój - powiedziała - Czy to pierwsza kobieta od czasów Janey, o której myślisz poważnie?

- Nie wiem, czy myślę o niej poważnie - powtórzył. - Poza tym, tak, to pierwsza kobieta, z którą jestem od śmierci Janey.

- Tak myślałam. Nie wiem czemu, ale tak właśnie myślałam. -

Spoglądała na niego z nieukrywaną macierzyńską troską. - Zrobisz coś dla mnie? - zapytała. - Będiesz uważał? Mam wrażenie, że po tym wszystkim, co przeszedłeś, łatwo, bardzo łatwo możesz pójść na żywioł.

- A czemu miałbym nie iść na żywioł?

- Czysto egoistyczne powody: potrzebuję twojej głowy. A wiem, co się dzieje z moją, kiedy się zakocham.

- Rosemary, proszę: nie wnioskuj od razu, że jestem zakochany.

- Dobrze - uniosła brwi.

Wstał z fotela.

- Mogę już iść?

- Oczywiście. I gratuluję.

Nie wiedział, czego konkretnie mu gratulowała, nowego klienta czy nowego romansu. Miała rację: z jego głową zaczynało być niedobrze.

Otworzył drzwi.

- Max?

- Tak?

- Uważaj, naprawdę - powiedziała.

Rozdział szósty

Próbował, ale nie można ująć przed nieznanym, a nie potrafił przewidzieć, iż ta niewytłumaczalna obsesja zaatakuje jego organizm niczym wirus, że gorączkę powstrzymać można na pewien czas jedynie aplikując kolejną silną dawkę bakcyli.

Wyszedł od Nory w niedzielę po południu - stała w drzwiach w swym ogniście karminowym płaszczu kąpielowym niczym pałący wyrzut sumienia - w kieszeni miał złożoną kartkę papieru z jej numerem telefonu.

„Wisisz mi nową skrzynkę pocztową - powiedziała - nie ma siły, żebym ją sama kupiła, nie stać mnie”. Miał szczerzy zamiar wypełnić zobowiązanie, choć to wyłącznie dzięki jej naleganiom przywiózł ją do domu z Cousin Hugo's. Nora nie miała pieniędzy, on tak. Dostarczy zatem nową skrzynkę, mimo iż zmusi go to do ponownego spotkania.

Świadomość tego pełniła rolę furtki, przez którą Nora przypominała o sobie niczym natrętny, nieproszony gość. Wieczorem pojechał jak zwykle w niedzielę do matki; nie potrafił się skupić, co zauważyła i zaczęła wypytywać go raz po raz, czy czuje się dobrze, czy ma mu zrobić herbaty, czy miałby ochotę się położyć na chwilę... Wykpiwszy się przeziębieniem, wrócił wcześniej do siebie. Nastawił Wariacje goldbergowskie, wyciszającą, najłagodniejszą muzykę jaką znał, jednak myśl o Norze nie opuszczała go, niczym widmo domagające się uznania swego istnienia, biegła za nim z pokoju do pokoju, dysząc mu w kark, podzwaniając łańcuchami, zagłuszając delikatne, odmierzone, trzeźwe tony Bacha.

Przewracając się w łóżku w oczekiwaniu na sen pomyślał o Janey, pełen zdziwienia, że właściwie przestał o niej myśleć. Wreszcie uwolnił się od niej. Nie był jednak wolny, a tylko przeniesiony niczym skutny kajdanami więzień

z jednej celi do drugiej. Miejsce smutku zajęło dręczące pożądanie; chciał tej starzejącej się kobiety, która pracowała w taniej knajpie, w mieszkaniu miała bałagan przypominający mu dom jego matki, błędnie akcentowała wyrazy, zostawiała puste opakowania pod poduszkami na kanapie i której, gdy się dobrze zastanowić, właściwie nie lubił. Wiercił się w łóżku, próbując znaleźć przyczyny. To tylko seks, no bo cóż innego? Jej wytworność, inteligencja i czar? Nie wolno mu było zapomnieć, że żył bez kobiety przez blisko dwa lata, mógł się więc spodziewać, że przywiąże się irracjonalnie do pierwszej odpowiadającej mu biologicznie osoby, jaką napotka. Każda kobieta mogła mu dać to samo, co Nora. Ale jeśli rzeczywiście o to chodziło, jeśli liczyć się miał tylko seks, dlaczego nie oddawał się teraz, gdy znowu odkrył swą cielesność, nieprzerwanym erotycznym harcom z najróżniejszymi kobietami? Odżyła w nim znów bestia seksu - czemu więc nie przymierzał się do poigrania z całym zwierzyńcem? Horowitz miał rzeczywiście rację: wystarczyło stanąć pośrodku sali i wybierać. Albo, jeszcze prościej, mógł odnowić kontakty z wszystkimi kobietami, jakie próbowały go zająć po śmierci Janey: Judy Solomon, najlepsza przyjaciółka Janey, która dzwoniła do niego nim zdążył upłynąć miesiąc od pogrzebu; Linda z działu mediów, Sheila, recepcjonistka - w agencji miał praktycznie do wyboru cały harem. Jeszcze aktorka, zaangażowana przez niego do reklamówki Baumanna, Katherine albo Kathleen, sam już nie pamiętał, dała mu swoją wizytówkę, gdy skończyli nagrywanie, sugerując wspólny wieczór przy butelce wina. Nie ciągnęła go jednak żadna z nich. Chciał Nory, chciał jej pociętych żyłami dłoni, sutek barwy kawy, monstualnych pośladków, wciągającej, przyprawiającej o utratę zmysłów woni.

Cisnął przepoconym jaśkiem o ścianę, wstał, przez chwilę zastanawiał się, czy nie podnieść go i nie położyć znów na łóżku, ale machnął ręką i poszedł do kuchni, by zrobić sobie kakao. Przeszedł z kubkiem do pokoju i rozsiadł się na sofie, ustawivszy kubek obok na niskim stoliku. Sięgnął po tom Szekspira, otworzył na ostatnim akcie Romea i Julii. Bez sensu, choć według planu miała to być jego lektura, ale do diabła z planem: przypadłości pary nieszczęsnych kochanków najmniej go w tej chwili zajmowały. Poszukał Wieczoru Trzech Króli. „Jeśli muzyka jest miłości strawą, dajcie mi waszej muzyki do zbytku”* - też niedobrze.

*Tłum. Leon Ulrich.

Właściwie wszystkie komedie były do niczego, zbyt przesiąknięte romantyzmem. Spróbował Króla Leara, ale nie potrafił skupić się na lekturze:

Nora niczym wąż prześlizgiwała się pomiędzy wierszami.

Odłożył w końcu książkę. Jego uregulowany system nagle przestał funkcjonować i nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Pomyślał o sprzątnięciu mieszkania, ale było już przecież nienagannie wysprzątane; co więcej, nie miał wcale ochoty na robienie porządków - kusilo go, by wyrzucić półki z książkami, rozsypać śmieci z kosza po podłodze, wybebeszyć biurko, porozbijać talerze o ścianę. Na zegarze była jedenasta. Nora pewnie jeszcze nie spała; zaledwie paru jego znajomych kładło się tak wcześniej jak on, poza tym wstała dopiero po południu. Najlepiej byłoby zadzwonić, pomyślał, umówić się, kiedy ma przywieźć nową skrzynkę i zapomnieć o całej sprawie tak szybko, jak się da. Kto wie zresztą, może tak właśnie będzie, może kiedy ujrzy ją znowu, całe to opętanie minie, zobaczy ją w rzeczywistym świetle i nie poczuje już niczego. Im wcześniej to robi, tym lepiej. Spróbuje wpaść do niej jutro wieczorem, po pracy. A jeśli szaleństwo nie minie...? Nie chciał o tym myśleć. Wyciągnął z portfela kartkę z jej numerem i zaczął dzwonić. Choć czekał w nieskończoność, nie podnosiła słuchawki.

W poniedziałek rano spróbował połączyć się z nią z biura. Tym razem odpowiedziała po dziesiątym dzwonku.

- Taak? - Jej głos był niewyraźny.

- Nora, tu Max. - Kto?

- Max. No, facet, z którym spałaś wczoraj.

- Nie pamiętam, żebym faktycznie spała... - Zaśmiała się.

Przełknął ślinę.

- Obudziłem cię?

- Uhm. Miałam wczoraj nocną zmianę i wróciłam dopiero nad ranem.

Max... Proszę, co za miła niespodzianka. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś zadzwonisz.

- Mówiłem ci, że przywiozę nową skrzynkę.

- Kotku, faceci mówili mi już niejedno...

- Teraz widzisz, jak słabo mnie znasz - powiedział i zaraz się zorientował, że użył zdania, które często powtarzała.

Odwdzięczyła się jednym z jego powiedzonek: - To prawda. Słabo cię znam.

Zaczął się denerwować. Rzucił okiem na leżący przed nim blok: podświadomie zapełnił

całą
stronę

kwadratami

kwadratach

umieszczonych w kwadratach. Odłożył .pióro.

- Słuchaj, pomyślałem sobie, że może wpadnę dzisiaj wieczorem z tą skrzynką...

- No proszę, jak miło.

- Tyle że muszę ją najpierw kupić, a nawet nie znam twojego nazwiska, by je umieścić na skrzynce.

- To może kupisz całą paczkę liter, a ja sama to zrobię?

- A może ty po prostu powiesz mi, jak się nazywasz?

- No dobrze: Cromwell.

Wciąż stremowany, spróbował zażartować: - A jak się ma Oliver?

- Kto?

- Oliver Cromwell.

- To chyba nikt z mojej rodziny... Mieszka w St. Louis?

- Nie - odparł.

- No to skąd go znasz?

- Oliver Cromwell nie żyje.

- Przykro mi... Jeden z twoich kumpli?

- Niezupełnie - odparł. Poczł zalewającą go falę przygnębienia. Nie wiedziała, kim był Oliver Cromwell. Czy to ważne? Nie, jeśli rzeczywiście miał tylko zamiar przywieźć jej nową skrzynkę. Ale co chciał zrobić naprawdę? I czy, jeśli naprawdę chciał znowu rzucić się z nią do łóżka, to że nie wiedziała, kim był Cromwell, nabierało nagle znaczenia? Czy kogokolwiek w gruncie rzeczy obchodziło, co ona wie o Cromwellu?

- Więc chcesz wpaść dzisiaj z tą skrzynką?

- - Tak - usłyszał swój głos.

- A o której kończysz?

- O piątej.

- Będę w domu całe popołudnie.

- Przyjadę pewnie koło szóstej.

- Dobrze. Pamiętasz, co ci wczoraj mówiłam? Że myślałam, że się postawisz i mnie zadziwisz? Właśnie to zrobiłeś. Dzień później, ale to nic...

- Nora, ja chcę tylko przywieźć tę skrzynkę.

- Jasne - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

W czwartek wieczorem, cztery dni od rozpoczęcia ich romansu, jeśli tak można było to nazwać, przyjechał do niej z torbą wiktuałów, dwiema butelkami szampana i nowiną o przydzieleniu mu kampanii Fidelity Federal.

Wchodząc przez nie zamknięte jak zwykle drzwi zauważył kolejny już raz słupek, skrzynkę i mały worek cementu, które zgodnie z obietnicą przywiózł w poniedziałek... leżały nie tknięte w rogu holu, świadectwo niecierpliwości ich żądz: brakowało im czasu, by zjeść choć kanapkę, co dopiero bawić się w zakładanie nowej skrzynki na listy, „...krewcy jak mały albo wilki w czas wesela”, przypomniał mu się werset z Otella*.

*Tłum. Józef Paszkowski.

Pierwszy raz od czasu początkowych tygodni małżeństwa czuł ból przyrodzenia, gdy oddawał mocz; całą miednicę miał jak posiniaczoną i cudem powstrzymywał się w biurze od chodzenia na szeroko rozstawionych nogach. Nawet Nora, którą powoli zaczynał uważać za niezniszczalną maszynę, ujawniła wreszcie, że i ona jest tylko człowiekiem: w południe, podczas ich pośpiesznego zbliżenia, poskarżyła się na ból i poprosiła go, by z niej wyszedł. Nie zaspokojona, odkryła wtedy przed nim swą kolekcję erotycznych zabawek i pokazała mu, jak i gdzie ma jej przykładać ową wibrującą najwyższymi obrotami maszynę, aż udało mu się doprowadzić ją do orgazmu, wyciągniętą na stercie poduszek niczym podrzędna odaliska eksponująca obnażone sine pachy i ponaglącą go obłąkanie w swym prywatnym, pozbawionym sensu języku ekstazy.

Rznęli się, pomyślał, jak musieli to robić pasażerowie tonącego Titanica, gdy orkiestra grała „Bliżej do Ciebie, mój Panie”, czy jak mieszkańcy Moskwy na wieść, że Napoleon stoi na rogatkach: by stracić wszelką świadomość zbliżającej się nieuchronnie katastrofy. Katastrofa zaś, której oni próbowali uniknąć, dumał przeskakując między rozrzuconymi w holu częściami garderoby, polegała na tym, że poznając się coraz lepiej zdawali sobie coraz bardziej sprawę, że ich związek był od początku skazany na zgubę. Od niedzieli udało im się znaleźć zaledwie pięć minut czasu na rozmowę.

Dziś miało być inaczej. Przy taszczył ze sobą cały zestaw rekwizytów, które miały mu zapewnić niewinne zajęcie: chciał sprzątnąć najpierw jej kuchnię, zapalić potem świece, otworzyć szampana, przygotować coś porządnego do jedzenia, uprzeć się przy rozmowie. Czuł się stanowczo zbyt obolały, by zgodzić się na bardziej męczące zajęcie.

Krzyknął w głąb mieszkania.

- Max? - usłyszał. - Tu jestem, w kuchni! Mam zajęte ręce, więc przyjdź.

Zbliżając się do kuchni wyczuł - chyba niemożliwe? - zapach amoniaku: Nora, w dżinsach, trykotowej koszulce i chustce w czerwonej kostkę klęczała

na podłodze pucując pogodnie niczym przepelniona energią, zaradna gospodyni domowa z reklamy pasty do podłóg. Szczęście osiągalne.

Usiadła wykrzywając twarz w grymasie, dłońmi dotknęła obolałych pleców.

- Niespodzianka, co? - odezwała się.

W kuchni panował porządek.

- Za twój awans.

- To niezupełnie awans...

- To za obojętnie jak go zwał. Powodzenia, Max. Rób pieniądze.

Stuknęli się szklankami zdobionymi postaciami z Wojen gwiazdnych, które wyniosła z jakiegoś baru.

- Zaraz, zaraz - powiedziała - mam przecież porcelanowe filiżanki w szafce w...

- Noro, nie. Lubię pić szampana z mojej szklanki z Darth Vaderem. A poza tym musisz widzieć bąbelki. Jak ci smakuje?

- Prawie taki dobry, jak ty...

Wiedział już, że nie ma co spodziewać się pomocy z jej strony. Włosy miała zebrane razem; dobre choć to, puszczone luźno mieniącą się kaskadą mogły skierować go bezpośrednio do jej sypialni. Kusa, różanego koloru bluzka bez rękawów ujawniająca absolutną pustkę w miejscu piersi, sprawiała, że zaczynał się już łamać w swym postanowieniu. Wolał nie spuszczać oczu z jej twarzy.

- Dobrze - odezwała się. - Więc jak teraz zobaczę w telewizji jakąś reklamę Fidelity, to będzie twoja robota?

- Nie tylko moja, pokręciła głową.

- Popatrz, i pojęcia nie miałam, że się pruję z tak ważną osobą...

Uśmiechnął się z rozbawieniem, ale jej słowa sprawiły, iż uniesienie, z jakim opowiadał o nowych obowiązkach, nagle wydało mu się absurdalne. Nie przypuszczał, by w tym co powiedziała kryła się jakaś ironia, ale też nie był całkowicie pewny... miał wciąż trudności z oceną jej inteligencji.

- Wiesz, że jakbym powiedziała dziewczynom w Pałacu, że mój przyjaciel to wielka figura w reklamie... nie, roześmiałyby mi się w twarz, słowo daję.

- To nie jest wcale taka wielka sprawa... - odparł, poruszony użytym przez nią określeniem „przyjaciel”. Ale jak miała go nazwać? Któryś z ocierających się o pornografię bluesowych eufemizmów pasowałby może lepiej: „słodka rurka z kremem”, „kucharczyk”, „dzielny nurek”. Jednakże

każdy mężczyzna nazwany w ten sposób utrzymywałby związek wyłącznie w sferze łóżkowej.

- Jeśli to nie taka wielka sprawa, kotku, to z jakiej okazji ten szampan i reszta?

Wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Więc dobrze, to jest duża rzecz. Ale nie tylko to miałem na myśli.

Chciałem z tobą porozmawiać.

Spojrzała na niego pustym nagle wzrokiem.

- Porozmawiać... o czym? - spytała powoli.

- Cholera wie, o wszystkim. Rzecz w tym, że od niedzieli wymieniliśmy może ze sto słów...

Rozluźniła się, wypuściła powietrze z płuc.

- Myślałam, że powiesz mi, że już nie chcesz mnie więcej widzieć.

Musiał to przemyśleć. Oczywiście, mógł zacząć i tak, ale przecież chciał ją widzieć. Chciał być z nią w tej chwili, chciał zostać na noc i nieważne, że któregoś dnia, już niedługo, będzie musiał się z nią rozstać.

- Powiedz coś - rzucił.

- Dobrze.

Spoglądali na siebie bez słowa.

Końcem palca zaczęła kreślić kółka na blacie stołu.

- Może porozmawiamy o tym, co się dzisiaj wydarzyło? - zaproponowała.

- Proszę bardzo. Co się dzisiaj wydarzyło?

Podniosła na niego wzrok.

- Myślałam o tobie - oznajmiła. - Właśnie to.

- Ja też o tobie myślałem.

- A o czym myślałeś w szczególności?

- Ze powinniśmy rozmawiać.

Roześmiała się i uderzyła dłonią w stół.

- Zupełnie cię nie rozumiem - przyznała.

Ja też zupełnie cię nie rozumiem, pomyślał.

Podniosła swoją szklanę z wizerunkiem Luke'a Skywalker'a i wypila szampana. Sięgnął po butelkę, dolał jej znów.

- Wiesz, mam pomysł: możemy poplotkować - zaproponowała.

- O kim?

- Jezu, nie wiem... o wszystkich. Ten twój kumpel, na przykład, co umarł, Oliver Cromwell. Możesz o nim coś ciekawego powiedzieć?

Szykując
kolację,
zaspokoił

jej
ciekawość

fragmentem

siedemnastowiecznej historii Anglii, ale wkrótce zaczęło jej brakować cierpliwości. Dzięki doświadczeniu zdobytemu w szkole potrafił rozpoznać, kiedy tracił zainteresowanie słuchaczy, jakiś wewnętrzny upór kazał mu jednak teraz kontynuować lekcję. Obserwowała go przez pewien czas niczym mało zajmującego telewizyjnego prezentera, podniosła się, by opróżnić łabędzią popielniczkę - czyżby jego irytujące narowy były tak zaraźliwe? - usiadła znów za stołem, dopiła szampana, wylała resztę z butelki. Ciągnął dalej swój wykład nie przerywając pracy, zły na nią, że się nudziła, na siebie, że nudził i na nich oboje, że mimo starań prowadzenie normalnej konwersacji okazało się niemożliwe. Może rozpiekał ich tłumiony seks? Może powinni byli najpierw się kochać, a potem dopiero rozmawiać? Ciągnął jednak nadal swój wykład.

- Kotku - przerwała mu - gdzie schowałeś tę drugą butelkę?

- Do lodówki - odparł, rzucając czosnek na rozgrzany olej. - W tym czasie - mówił dalej - wydawało się, że Cromwella opuściło szczęście... i Podeszła do niego z butelką szampana.

- Mógłbyś to otworzyć? - zapytała. - Jestem wyjątkowa oferma...

- Mam wrażenie, że mało cię interesuje, o czym mówię.

- Niespecjalnie.

- Nie ciekawi cię nawet, czy Cromwell straci głowę?

- No, pewnie tak, nie? Max, nie gniewaj się, ale od tej twojej gadki o Anglii, purytanach i całej reszcie tylko mnie głowa boli.

Wszystko, co było mu bliskie, wywoływało u niej ból głowy, na przykład Mozart.

- Nie obchodzi cię historia - stwierdził.

- Chyba nie.

- - A te książki o MM, które czytasz? Przecież to też historia.

- - No tak, pewnie, ale inna.

- Jak to inna?

- Bo MM mnie obchodzi. - Podała mu butelkę. - Mógłbyś ją wreszcie otworzyć? Napijemy się razem.

- Wiesz, co ci powiem? - Usiadł przytrzymując butelkę kolanami. -

Gdy ludzie nie mają pojęcia o historii, muszą spieprzyć teraźniejszość.

Weź Reagana... - Wypchnął korek palcami; jego wystrzał i uchodzący w ślad za nim spieniony płyn dały częściowo upust frustracji, jaką zaczynał czuć. Napełnił obie szklanki i podszedł z nimi do Nory. - O czym to ja

mówiłem? - zapytał.

- O Reaganiu.

- A, tak. Więc jeśli ten facet przeczytał w życiu choć jeden podręcznik historii, to zjem tę szklankę.

- Lubię go - powiedziała.

Wstrzymała oddech.

- Co?

Wzruszyła ramionami i wypła łyk szampana.

- Wygląda na takiego miłego staruszka...

- No i jakie to ma u diabła znaczenie, że wygląda na miłego staruszka?

Spojrzała na niego.

- Czemu się na mnie wydzierasz?

Czemu się na nią wydzierał?

- Przepraszam - powiedział - ale szlag mnie trafia, gdy mówię o Reaganiu.

- Szlag cię trafia, gdy mówisz nie tylko o nim.

- Pewnie masz rację - przyznał.

- No więc co jest złego z Reaganem?

- Może to, że jest właśnie takim miłym staruszkim, gdy jego polityka jest tak błędna i niebezpieczna.

- Tyś pewnie głosował na Mondale'a albo kogoś takiego.

- Owszem, tak, nie pomyliłaś się.

- No i masz prawdziwego zwycięzcę...

- Nora - obniżył głos. Nie chciał krzyczeć ani dać się ponieść nerwom. -

Jesteś uboga, zarabiasz ledwo powyżej socjalnego minimum. Gdyby Reaganowi udało się wprowadzić swoją politykę, nawet i socjalnego minimum by nie było. A jeszcze w dodatku jesteś kobietą. Czy nie rozumiesz, że ten typ jest twoim naturalnym wrogiem?

- Kotku - odparła opierając się tak jak on na kuchennej ladzie. - Ronald Reagan nie stworzył biedaków ani też ich nie zlikwiduje, nikt zresztą tego nie zrobi. Czy ty naprawdę myślisz, że miałabym się lepiej, gdyby ktoś inny był prezydentem? Gównu, przecież to wszystko jeden wielki pic.

Każdy się burzy i pluje na to, co się dzieje w Białym Domu, w Izraelu czy gdzie tam jeszcze, a w gruncie rzeczy nie robi to najmniejszej różnicy.

Przecież to zupełnie jak liga baseballowa. Pamiętasz, jak tu się gotowało, gdy Cardinals mieli grać? Jezu, myślałbyś, że świat się kończy! I co, następnego ranka każdy wstał jak zwykle i wszystko było po staremu,

dokładnie tak, jak dzień wcześniej. A w polityce jest tak samo, jeśli mam ci powiedzieć. Wiele hałasu o nic.

Nie bardzo wiedział, co go więcej irytowało, jej bezmyślna nonszalancja czy nieświadome użycie szekspirowskiego tytułu. Jej argumentom brakowało sensu, tym niemniej rozpatrując problem ze swojego punktu widzenia miała rację: żaden prezydent Stanów Zjednoczonych nie był w stanie ułatwić jej życia. Trąciła go ramieniem.

- To co dzisiaj robisz na kolację?
- Spaghetti carbonara.
- Nigdy nie słyszałam o czymś takim.
- To włoskie danie, z Rzymu.

- Domyśliłam się, że to włoskie, po tym „spaghetti” - wymawiała obce słowa jak przeciętna kelnerka z St. Louis, którą wszak w rzeczywistości była. Spytała go o składniki.

- W gruncie rzeczy makaron z boczkiem i jajkami...

Wykrzywiła się z obrzydzeniem jak dziecko.

- Zobaczysz, że ci będzie smakować - powiedział.

Nie smakowało jej jednak. Dziobała makaron widelcem, przemieszczała go na talerzu, spróbowała trochę - bez przerwy zarzekając się, jakie wspaniałe - by w końcu zostawić prawie całą porcję. Zjadłaby pewnie wszystko, gdyby powiedział, że to spaghetti a la Oscar Meyer. Dla pocieszenia zjadła parę porcji sałaty i prawie cały chleb czosnkowy; skończywszy szampana, popijała jedzenie wódką z tonikiem. Głównym tematem ich dyskusji (omal zaczynał już żałować, że tak bardzo nalegał na rozmowę) były jej rozmaite utrapienia w pracy, w sumie mało istotne, chociaż czuła się wykorzystywana: kłótnie przy ustalaniu dyżurów, prawdziwe albo wyimaginowane seksualne zaczepki szefa, brak awansu na kierowniczkę, mimo sześciu przepracowanych lat; w każdym przypadku miała

oczywiście

najszczerze
chęci,
była
ofiara

tragicznego

nieporozumienia, jej racja była bezsprzeczna... Spostrzegł, że miała egocentryczny zwyczaj wplatania w opowieść ludzi, o których mówiła po imieniu, bez zadania sobie wprawdzie trudu zapoznania z nimi rozmówcy, jak gdyby wszystkie banalne szczegóły jej życia miały stanowić powszechną wiedzę. Jego matka wypowiadała się w taki sam nieznośny dla niego sposób... Przerzywał teraz Norze bez przerwy. - Więc mówię do Sheili... -

Poczekaj, kto to jest Sheila? - Pracujemy razem, kręci z Marvinem. - A kto to jest Marvin? - Mówiłam ci przecież, ten kierownik nocnej zmiany, któremu natrzaskam kiedyś po mordzie, jak się nie nauczy trzymać tych swoich brudnych łap przy sobie... - I tak wyglądała ich rozmowa. Wkrótce miał równie dość jej epopei skarg, jak ona jego wykładu z historii Anglii.

W przeciwieństwie do niej jednak starał się nie okazywać znudzenia; kwestia wychowania, pomyślał i poczuł natychmiast rumieniec wstydu: jakim prawem mówił o dobrym wychowaniu, on, który nie znał nawet własnego ojca? Prawdziwa klasa: udawać zainteresowanie dla jej biadolenia po to tylko, by wpuściła go później, podrażnionego, do łóżka, gdy cały właściwie czas skrycie ją lekceważył. Cóż więc robił siedząc za jej stołem, skoro takie były jego odczucia? Czy jednak rzeczywiście tak właśnie czuł? Sam nie był pewien; w gruncie rzeczy nie był już pewien niczego poza tym, że nawet ów deprymujący pierwszy wspólny posiłek nie zdołał stłumić jego palącego pożądania. Chciał delikatnie wsunąć dłonie za różowy materiał bluzki, odsłonić pokryty siatką delikatnych zmarszczek kark, zatopić swą winę i zamęt w głębi jej smakującego tytoniem pocałunku.

Ciepły blask świecy palącej się na stole zmiękczył jakby i złagodził jej rysy; patrzyła na niego błyszczącymi oczyma i wyglądała na szczęśliwą.

- Wiesz - powiedziała - to było naprawdę bardzo miłe z twojej strony... -

Sięgnęła przez stół i ujęła go za rękę. Jej dłoń była znacznie większa od jego. - Dziękuję ci za kolację, Max. Była wspaniała.

Spojrzał z ukosa na jej spaghetti, zakrzepłe na talerzu. Niepotrzebnie zmuszał ją do jedzenia tego właśnie dania, powinien był zrobić steki.

Chodziło mu przecież o sprawienie jej przyjemności, a nie o kształcenie jej kulinarnego gustu.

- Chcę ci coś powiedzieć... - zaczęła. - Może to sentymentalne, ale co z tego. Jesteś chyba jednym z najsympatyczniejszych, jeżeli nie najsympatyczniejszym mężczyzną, jakiego poznałam. Naprawdę. Wiem, że znamy się raptem parę dni, ale to niczego nie zmienia; jesteś miły, uprzejmy,

pełen troski. Jesteś... no, džentelmen. Oczywiście tylko wtedy, kiedy trzeba... - Ścisnęła jego dłoń śmiejąc się. - Pewnie, że może się okazać, żeś taki sam skurwiel, jak wszyscy inni. Ale na razie cieszę się, że cię spotkałam.

- Puściła jego dłoń, sięgnęła po papierosy i odpaliła jednego od płomienia świecy. - Wiesz, że nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie zrobił dla mnie kolacji?

Poczuł wzruszenie. - Żartujesz chyba...

- Słowo harcerza.

- Twój mąż nigdy dla ciebie nie gotował?

Parsknęła pogardliwie: - Jeszcze czego! Piekł coś czasem na ruszcie, jak się zebrało parę osób, ale dziś po raz pierwszy ktoś zrobił taką wspaniałą kolację tylko dla mnie. Dziękuję ci, Max. Poczulałam się... - Odłożyła uważnie papierosa pomiędzy skrzydła łabędziej popielniczki. - Poczulałam się piękna.

- Chodźmy się kochać - rzucił zdławionym głosem.

Zadrapania i sińce, jakie wciąż oboje nosili, sprawiły, że, chcąc oszczędzić sobie nowego bólu, kochali się z nieznaną im wcześniej czułością. Potrzebowali godzin, jak im się zdawało, na osiągnięcie wzajemnego zaspokojenia. Wróciwszy potem do pokoju z papierosami, po które wyskoczyła do kuchni, stanęła przed nim naga, budową przypominająca nieodparcie gruszkę, z palącym się winstonem w ustach.

Widział, że zastanawia się nad czymś, ale pytanie, jakie mu zadała przysiadając na brzegu łóżka sprawiło, że zaskoczony wybuchnął śmiechem.

- Masz coś z Włocha?

W piątek szło mu w pracy jak po grudzie. Pierwsze zadanie, jakie otrzymał w ramach nowej kampanii, nie było zbyt ciekawe; chodziło o przeznaczoną do gazet reklamę nowego, uproszczonego sposobu brania pożyczki: oszczędzający wypisywał po prostu czek na sumę nie przekraczającą umówionego wcześniej limitu. Z głową pękającą od niewyspania i ledwo patrząc na oczy, wciąż czując obecność Nory, spędził całe przedpołudnie na ogłupiającej żonglerce słowami, aż wreszcie wymyślił slogan, który, choć może niezbyt oryginalny, służył wyznaczonemu celowi: „Damy ci pytanie: podpis czy żyrowanie”. Z pracowni graficznej pożyczył gruby mazak i blok rysunkowy, wypisał hasło, dodał nakreślone jakby dziecięcą ręką, zantropomorfizowane wieczne pióro i ruszył z tym do Rosemary.

- Nie wydaje mi się, by Marv Keller oczekiwał pornograficznych sloganów - orzekła obejrzawszy jego projekt.

- O czym ty mówisz?

- „Damy cipy tanie: podpis czy żyrowanie?”...

- Przecież to: „Damy ci pytanie...”

- Ale tak nabazgrane... - Uśmiechnęła się z przekąsem. - Proszę, nawet penisa tu dołożyłeś.

- To ma być wieczne pióro - odparł.

- Aa, pióro... No popatrz, nie poznałam. Tak czy inaczej wydaje mi się, że idziesz złym tropem. - Oddała mu blok. - Coś cię gryzie? - zapytała.

Miała rzeczywiście rację: światło między literami było złe, stąd kontuzja. Usiadł na ogromnej sofie i spojrzał jeszcze raz na swoje dzieło.

- Zaciąłem się, Rosemary...

- Zdarza się każdemu tekściarzowi.

- Ale dotąd mi się nie zdarzyło.

- Najwyższy czas. Przynajmniej wiesz, że także jesteś człowiekiem. Zjedz czekoladkę. - Podsunęła mu wykwintne pudełko. Pokręcił głową.

Wybrała jedną i paznokciem zrobiła mały otwór w spodzie. - O, wspaniale, kokosowa! Moja ulubiona. Czy to nie wstętne, sprawdzać tak drogie słodycze? Okropne nawyki... - Patrzyła, jak wierci się na sofie. - Mam pomysł - oznajmiła nagle. - Zostaw wszystko i zrób sobie dzisiaj wolne.

Przestał kiwać nogą. - Ty chyba żartujesz.

- Poważnie. Idź do muzeum. Udawaj, że jesteś bezrobotny. Piękny dzień dzisiaj...

- Ale nie mogę tak rzucić wszystkiego!

- Dlaczego nie?

- To taka amatorszczyzna, fuszerka...

- Max, nie proponowałabym ci czegoś podobnego, gdybym się nie mogła bez ciebie obejść. Ale dzisiaj akurat mamy mało na tapecie i powinieneś to wykorzystać.

Podniósł się. - Dziękuję za propozycję, ale czuję się pobity i nie chcę stąd wychodzić w takim stanie.

- Czy mógłbyś usiąść? - powiedziała. W jej głosie brzmiało polecenie. - Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że jesteś perfekcjonistą.

- I co w tym złego?

- Nic, dopóki nie posuwasz tego za daleko. Oczywiście, że spodziewam

się po tobie doskonałych wyników. Ale chcę cię ostrzec przed dążeniem do nich za wszelką cenę, po trupach, bo w końcu zaczniesz się podświadomie nagradzać drobnymi, okazjonalnymi dozami niepowodzenia. Rozchmurz się wreszcie. Wiesz, co będzie, jeśli zaczniesz znów męczyć się z tym ogłoszeniem? Rozłożysz się na nim. Wiem, jak to jest: zaciąłeś się i im bardziej się starasz, tym mniejszy daje to efekt. Po co więc masz dzisiaj tracić bezskutecznie siły, kiedy możesz zamiast tego pójść na spacer do parku? Nie zamęczaj się, Max... Idź do zoo.

Znów się podniósł. - Czy to rozkaz?

Westchnęła w odpowiedzi. - To prośba.

Wrócił do swego pokoju i siedział nad projektem aż do zamknięcia biura.

- Chryste Panie, ale z ciebie dzisiaj menda! Boję się w ogóle coś przy tobie powiedzieć.

- Nie podoba mi się to słowo, Nora. I proszę, byś go przy mnie nie używała.

- To tylko słowo.

- Co to znaczy: „tylko słowo”? To nie bańki mydlane. Słowa, pech chciał, coś znaczą. Ludzie zabijają się z tego powodu.

- Max, już ci mówiłam, że mi wisi, czy ktoś jest czarny. Ale są Murzyni i są czarnuchy, i gdybyś się wychował tak jak ja, znałbyś różnicę. Cholera, każdy czarny powie ci to samo! Ten skurwiel, co przyszedł dziś do Pałacu i zaczął okładać tę biedną dziewczynę, że wszyscy widzieli, no, jak byś go inaczej nazwał? Tylko czarnuch!

Stał w otwartych drzwiach kuchni, wpatrzony w strumienie deszczu.

Sylwetka walcowni zdawała się poruszać niczym poszarpana czarna flaga.

Odwrócił się do Nory: w płaskim świetle lampy jej makijaż wyglądał wręcz wyuzdanie. Miał ochotę złapać ją za wątle ramiona i wytrząść z niej ten pełen ignorancji upór.

- Skurwiel pozostanie tak czy owak skurwielem - orzekł. - Ale co, u diabła, ma to wspólnego z kolorem jego skóry?

Podniosła ostentacyjnie wzrok w górę, po czym podeszła do kuchennej lady, by wziąć swoją szklankę.

- Przykro mi bardzo, ale był czarny i był skurwielem, więc według mnie mówimy o czarnuchu. Nie widziałeś, jak lał tę biedną małą. Zrzygać się można było.

- Nie w tym rzecz, do cholery!

- A w czym?
- W tym jak brzmisz, kiedy mówisz coś podobnego.
- No dobrze - skrzyżowała ramiona i oparła się plecami o ladę. - Więc jak brzmie?

Wciągnął policzki spoglądając na nią.

- Zatkło cię? Jak? Powiedz! Jak głupi ćwok, prawda? To chciałeś powiedzieć?

- Tak.

- Więc czemu, do cholery, nie potrafisz tego z siebie wydusić?

Nie mógł wytrzymać z nią dłużej w tym samym pomieszczeniu. Zabrał swoją szklanę z whisky rozcieńczoną wodą (w ciągu paru tygodni jego popijanie zmieniło się pod jej wpływem radykalnie) i wycofał się w chaos pokoju. Zrzucił egzemplarz Cosmopolitan z jednego z zakurzonych foteli, strzepnął papierosowy popiół i opadł ciężko na siedzenie. Dalej się już nie da. Doszli do grubego muru dzielącego ich światy, od dziś ten związek, czy znajomość, mógł się tylko pogarszać. Musiał być ślepy w ogóle go zaczynając, i jeśli miał choć trochę rozumu czy odwagi, powinien to teraz skończyć.

Weszła w milczeniu do pokoju i usiadła naprzeciw niego na sofie.

Dłonią uniesioną do ucha zaczęła obracać kolczyk. Z wszystkich jej osobliwych cech, których rozpamiętywanie w samotności wywoływało ból - ciężki, kołyszący chód, wściekle denerwująca woń, śpiewny, nosowy akcent - ów szczególnie nawyk był prawdopodobnie najbardziej skuteczny w działaniu: każdym małym przekręceniem kolczyka obluźowywała jakby jego postanowienie.

- Nie chcę się z tobą kłócić - powiedziała.

- Ja też nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- To idziemy się kochać?

- Może najpierw byśmy coś zjedli?

- Nie sądzę, żeby akurat kolacja miała nam poprawić humor - orzekła.

Przebudziła się z krzykiem.

Deszcz szemrał jednostajnie, w pokoju panowała ciemność. Przycisnęła się do niej, próbując opanować jej szarpanie na rozkołysanej powierzchni wodnego materaca, powtarzając szeptem: „Już dobrze, już dobrze”.

Uspokoili się w końcu, opadła na poduszki, ale oddychała gwałtownie,

przełykając suchą ślinę. Wymacał ręką szklanekę, którą stawiała zawsze na podłodze obok łóżka, gdy szli się kochać, i podtrzymał ją pomagając przełknąć nieświeżą wodę. Kiwnęła parę razy głową, jak gdyby dając mu znak, że wróciła jej świadomość, i dopiła resztę wody sama. Przyłożył dłonie do jej przepony: żebra dudniły rytmem serca. Wyciągnął się obok niej.

- Nora? Co to było? Co ci się śniło?

Pokręciła tylko głową w odpowiedzi.

- Pamiętasz?

- Tak.

- Ale nie chcesz mi powiedzieć.

- Nie.

- Przyniosę ci świeżej wody...

Przytrzymała go kurczowo.

- Max...?

- Jestem przy tobie.

Rozluźniła się trochę.

- Wiesz, na co mam ochotę?

- No?

- Na kąpiel...

Poszedł do łazienki. Klęcząc przy wannie patrzył, jak woda uderza o białą emalię, zaczyna kręcić się i wirować, i gdy poczuł na twarzy gorąco pary pomyślał, że po raz pierwszy od początku ich związku nie czuł żadnych wątpliwości.

Weszła do łazienki w swoim karminowym płaszczu, blada i wycieńczona niczym chore dziecko.

- Czemu jesteś taki dobry dla mnie? - zapytała.

Rozdział siódmy

Gdy przebudził się w sobotę rano, był sam; Nora odrabiała podwójny dyżur, miała wrócić dopiero wieczorem. Leżał na falującym materacu, wgapiiony w żalosne pęknięcia na suficie; przypomniał sobie w pewnej chwili, że tego dnia mijają druga - wedle żydowskiego kalendarza -

rocznica śmierci Janey. Zapomniałby jak zwykle o tym, gdyby nie jego matka: pozornie roztrzepana, pamięć miała niczym plemienny mędrzec, i nie było daty urodzin, śmierci, rocznicy ślubu czy nawet numerów

telefonicznych albo adresów, bieżących i dawno nieaktualnych, których zabrakłoby w przepastnej kartotece jej pamięci. Żaden kuzyn nie był na tyle daleki, siostra czy brat na tyle odlegli, by nie mogli liczyć na jej kartę z życzeniami na urodziny czy któreś ze świąt; nie szkodzi, że zwykle ignorowali je i nie rewanżowali się niczym. Nie do pomyślenia więc było, aby jego matka pozwoliła sobie zapomnieć o rocznicy śmierci Janey. Janey była jedną z niewielu osób w jej życiu, a kto wie czy nie jedyną, która okazywała jej autentyczne przywiązanie (uczucia, jakie manifestował on sam, były zaledwie odbiciem synowskich obowiązków), matka więc pokochała ją i kochała nadal niczym ulubione dziecko. W czasie ostatniej niedzielnej wizyty przypominała mu raz po raz, że obiecał zabrać ją właśnie dziś na cmentarz; wychodził już, gdy wmusiła mu grubą, cielistej barwy świecę, którą miał zapalić dzień wcześniej o zachodzie słońca.

Wiara sama była mu wprawdzie obojętna, ale skrupulatnie przestrzegał rytuałów i świeca i pewnością paliłaby się, jak rok temu, gdyby nie Nora. Nie był w swoim mieszkaniu od czwartku, kiedy to wpadł tam po pracy, by zabrać parę przyborów toaletowych i kilka zmian ubrań. Prawdę powiedziawszy, rocznica śmierci Janey wypadła mu zupełnie z głowy; zamroczenie, jakie wywołał w jego pamięci ostatni tydzień, przypominało efektem tydzień kuracji wstrząsowej; z ledwością przypominał sobie, jak wyglądało jego życie siedem dni wcześniej, przed poznaniem tej kobiety.

Usiadł pośród skotłowanej pościeli, nagi i wyprężony poranną erekcją; odszukał na nocnej szafce swój zegarek zasłonięty cuchnącą popielniczką: dochodziła jedenasta rano. Obiecał matce, że wpadnie po nią w południe, powinien więc zacząć się zbierać. Siedział jednak dalej na łóżku skrzyżowawszy nogi, gapiąc się na stertę nieświeżej bielizny porzuconej na podłodze.

Dwa martwe lata... jak gdyby ktoś złośliwie wywrócił urodziny na nice.

Za każdym razem będzie starszy o rok, podczas gdy Janey, zatrzymana śmiercią niczym motyl w bryłce bursztynu, nie przekroczy nigdy swoich dwudziestu pięciu lat. Radość zastąpi smutek, świeczki, które Janey zdmuchiwałyby w dniu urodzin na torcie - świece zapalane dla uczczenia jej pamięci; celebrowanie, w której brał udział on sam tylko z matką, odbędzie się w zatłoczonej kwaterze żydowskiego cmentarza w University City, w pierwszym tygodniu października, gdy słodkawe wonie jesiennego rozkładu zaczną być wyczuwalne w powietrzu. Janey zginęła na jesieni, zawsze będzie umierać na jesieni, jak Persefona. Ale czy on zawsze będzie ją oplakiwać?

Czas przyniesie odpowiedź; wiedział tylko, że teraz, gdy siedział nagi i obrzmiały na wodnym materacu, emanujący przez skórę mocnym, niczym woń czosnku, zapachem Nory, nie miał najmniejszej ochoty na odwiedzanie czyjegokolwiek grobu. Czuł, że w chyleniu głowy nad złożonym do ziemi ciałem jego zmarłej żony kryje się jakieś monstrualne zakłamanie, teraz zwłaszcza, po tygodniu wytężonych cielesnych igraszek z Norą; podobnie mógłby zachowywać się szef mafii składający wieniec na trumnie rywala, którego sam kazał zlikwidować. A poza tym, czy ta wulkaniczna erupcja pożądania nie położyła wreszcie kresu jego upartej żalobie i nie stanowiła w pewnym sensie powtórnego pochówku Janey?

Niech spoczywa w spokoju, pomyślał. Mógł przecież zawsze zadzwonić do matki i wytłumaczyć się nagłą chorobą.

Nie mógł, wiedział o tym dobrze. Obiecał jej to wcześniej, nie wspominając już o tym, że sam niejako sprawił, iż bez niego nie mogła dostać się na cmentarz. Kilka miesięcy po śmierci Janey przekonał matkę, że zrobiła się zbyt nerwowa, by prowadzić samochód, i zabrał jej prawo jazdy. W efekcie, musiał nieraz spełniać rolę jej szofera, wożąc ją na zakupy, losowania bingo, spotkania w klubie Żydowskich Weteranów Wojny, wreszcie na cmentarz; niedogodność, to pewne, ale przynajmniej o jednego szaleńca mniej na drogach.

Podniósł się z łóżka, przedarł się przez bałagan sypialni do orzeźwiająco czystej łazienki i wykąpał jak człowiek mający przez cały dzień do czynienia z toksycznymi substancjami; nie chciał, stojąc nad grobem Janey, poczuć nagle zapachu Nory.

Obojgu, Janey i jemu, rozmyślał jadąc do matki, wyszłoby z pewnością na dobre, gdyby wymienili się dzieciństwem. Oboje byli jedynekami, zamianę więc cechowałyby swego rodzaju akuratność. On wziąłby jej ogromny pokój na pierwszym piętrze paskudnego, pseudotudorowskiego domiszcza w Ladue*, razem z godnym bajkowej księżniczki łóżem z baldachimem i wykończonymi błękitem oraz złotem meblami w stylu francuskiego południa Stanów, ona zaś mogłaby ulokować się na tyłach małego bliźniaka jego matki, w przeszklonej werandzie, która za jego czasów była świątynią ładu i porządku; owa połączona z brakiem wygod ciasnota przydałaby się jej bez wątpienia.

*Elegancka dzielnica w zachodniej części miasta.

Obojgu brakowało pewnych cech: Janey twardości charakteru i życiowego realizmu, jemu większego dystansu do tego, co robi, umiejętności

rozluźnienia się; zmiana warunków pomogłaby z pewnością, jak pokazuje przykład księcia i żebraka, skorygować owe cechy. Mógłby wtedy rzeczywiście przestać uganiać się za dodatkowym groszem, ślęczyć nad książkami niczym rabin, nadzorować bez przerwy matkę, a zamiast tego znaleźć czas na tenisa, zabawy świeżo upieczonych dorosłych, lekcje konnej jazdy. Bez wątpienia nie nadużyłby również kredytu w sklepach Saksy i Neiman-Marcusa, którym Janey szafowała bez opamiętania od szesnastego roku życia. W zamian mogłaby przejąć jego odbiorców gazet i właścicieli trawników, które regularnie przystrzygał; poznałaby, co znaczy nie mieć służby, samej natomiast być pokojówką jego matki. Być może nawet nauczyłaby się sama gotować, zmuszona w końcu wstrętnym jedzeniem serwowanym u niego w domu: pomidorową z puszki, zatopioną w majonezie sałatką z tuńczyka albo zwęglonymi grzankami z serem.

Obie matki też zresztą byłyby szczęśliwsze. Wybuchowy temperament jego matki potrzebował takiej właśnie córki, jaką była Janey: cierpliwa, zadowolona, niewymagająca, łatwo okazująca przywiązanie. Max zaś stanowił (Jla Sary Roth intelektualnego kompana, jakiego nie był w stanie zapewnić jej ani mąż, Bill, wpatrzony w siebie, jowialny, jak miś z humorystycznego komiksu, ani Janey, którą Sara zwykle potępiała za jej materializm, próżność i brak - w jej odczuciu - dyscypliny umysłu. „W głowie ma tyle, co pierwsza lepsza wchodząca w świat panna - powiedziała mu kiedyś. - Nie rozumiem, doprawdy, jak ona się nie nudzi”. Sara przypuszczalnie oceniała swą córkę zbyt surowo, Janey była znacznie inteligentniejsza niż wynikało ze słów jej matki; on sam w podobnie przesadny sposób traktował swoją matkę, co wypominała mu Janey.

Potrafiła wysłuchiwać jej nie kończącej się litanii skarg z wyrazem żywego zainteresowania, jakie zdawało się nie opuszczać jej twarzy, spokojnie i z czułością gasić płomienie rodzącej się hysterii, bez specjalnej namowy poświęcać jej czas jedząc wspólne posiłki, grając w karty czy jeżdżąc co wtorek na wieczór bingo - w jaki sposób tego dokonywała, było dla niego czarną magią.

I jeśli rozważać dalej tę zamianę ról, czy nie byłoby doprawdy lepiej, gdyby to on był rodzicem, jego matka zaś - dzieckiem? Przemieszczanie się autorytetu rozpoczęło się, gdy był jeszcze bardzo mały. Pamiętał, że jako pięcio- czy sześciolatek domagał się, krzycząc głośno, by pozmywała brudne naczynia zalegające od paru dni zlewozmywak, i jak stał na krześle próbując zrobić to sam, gdy matka odmówiła. To on przecież odkurzał

mieszkanie, on mył podłogi.

Za czasów podstawówki wpadał czasem do domu w przerwie na lunch i ukradkiem sprzątał. Matka była niepoprawnym zbieraczem wszystkiego, nie potrafiła niczego się pozbyć i w efekcie dom był zwykle tak zagracony bezużytecznymi śmieciami - plastikowymi torbami wypchanymi rolkami papieru toaletowego, folią aluminiową, paczkami waty i wacików w ilości wystarczającej do przetrzymania obłążenia, nieprzebranymi stosami żółknących starych gazet, stertami ozdobnych papierów wyratowanych po odpakowaniu prezentów i dawno nieaktualnych katalogów domów wysyłkowych, popsutymi sprzętami - że wstydził się przyprowadzić nawet Horowitza. Za każdym razem, gdy wracała z pracy do sprzątniętego pod jej nieobecność domu, wpadała w szal, wyzywała go od kanalii, złodziei, nędznych zdrajców, po czym najczęściej wybiegała na małe podwórze za domem, gdzie stały śmietniki plujące jej skarbami, i zawzięcie taszczyła wszystko z powrotem. To on jako kilkunastoletni wyrostek pilnował, by oddawała w terminie samochód do przeglądu, on likwidował subskrypcje pism w rodzaju Pstrąg i Strumień czy Zapalony Wędkarz, na jakie naciągnął ją jakiś domokrażca, mimo iż z całą pewnością nie mogły jej interesować; on wreszcie, czternastoletni, zorientował się, co oznaczały owe telefoniczne i listowne upomnienia i rozpoczął wtedy swoją nieprzerwaną kampanię pouczeń, jakich udzielał jej w sprawach finansowych; od tego czasu jej comiesięczne płatności i stan jej konta były na jego głowie.

Ilekcroć odwiedzał teraz znane stare kąty, uderzała go i zasmucała rozbieżność między stanem obecnym a wizją zapamiętaną z dzieciństwa.

Zmniejszyły się proporcje, wszystko skurczyło się, wyglądało bardziej ubogo, jakby przepełnione wstydem: bryłowate małe budynki, rzadko większe od domu, w którym mieszkała Nora, zaniedbane karłowate trawniczki, popękane chodniki, zmęczone drzewa. Jego stara szkoła średnia, nieczynna już, z oknami zabitymi deskami, zbyt była niepozorna i wyblakła, by mógł w niej naprawdę spędzić tyle lat, lat wczesnego rozkwitania umysłu. Należał do tych szczególnych dzieci, które autentycznie lubiły chodzić do szkoły; gdy mijał teraz ów stary budynek, martwy, przydatny jedynie wandalom, za każdym razem czuł skurcz w sercu. Całe sąsiedztwo zresztą przeszło w inne ręce: kiedyś podzielone mniej więcej równo między Żydów i niemieckich katolików, w połowie lat siedemdziesiątych zaanektowane zostało przez Murzynów z pobliskiej North Side. Większość mieszkających tu Żydów wywędrowała, nie chcąc widocznie narażać na szwank swego

liberalizmu, do Creve Coeur i Olivette w zachodniej części miasta. Ci, którzy pozostali, byli - podobnie jak jego matka - zbyt biedni, by przenieść się gdziekolwiek. Jadąc wzdłuż Partridge Street minął żylastego, o prawie czarnej skórze starca w słomkowym kapeluszu, pielącego swój zarośnięty ogródek, potem grupę murzyńskich dzieci kopiących miękką piłkę pośrodku ulicy; przejechał obok wysokiej młodej Murzynki w turbanie, pchającej przed sobą wózek dziecięcy, i przyhamował, by lepiej przypatrzeć się jej pośladkom - imponujące, bez wątpienia, niczym dwie uwięzione dzinsami kule - przypomniały mu Norę: powiedzieć jej, że nie ma tyłka białej kobiety? Pewnie zdrowo by za to oberwał, pomyślał skręcając w Raymond Street.

Dom, w którym mieszkała matka, przypominał od frontu owe schematyczne, rysowane przez dzieci w przedszkolu chałupki: kwadratowa bryła, spiczasty daszek, drzwi pośrodku ściany i dwa okna po obu ich stronach. Brakowało tylko komina z zakrętasem ołówkowego dymu i siedzącego z przodu psa o ludzkim uśmiechu. Zaparkował na ulicy, podjazd przed domem był zbyt wyboisty, by ryzykować. Będzie musiał się tym zająć, gdy tylko wpadną mu jakieś dodatkowe pieniądze; pewnie na wiosnę, kiedy z remontem podjazdu będzie już dwa razy więcej roboty...

Jego matka pracowała wciąż, od dwunastu już lat, w tym samym sklepie w Olivette (nie był w stanie pojąć, jak mogli tam z nią wytrzymać), przynosząc do domu zaledwie sto dolarów tygodniowo. Resztę uzupełniał z własnej kieszeni, mimo iż wiedział, że sporą tego część matka przeznaczą na loterię stanową, partyjki bingo czy pozbawione sensu okazjonalne nabytki, jak maszyna do szycia zbierająca kurz w jadalni (nie miała pojęcia o szyciu) czy członkostwa rozmaitych klubów książkowych (brakowało jej cierpliwości, by skończyć jakikolwiek tom). Spierali się o to od lat i nieraz już groził, że nauczy ją oszczędności, kiedy utnie jej pomoc finansową.

Nigdy tego nie zrobił. Matka nie była w stanie przyjąć żadnej nauczki, on zaś z kolei nie potrafił pozbyć się przepelnionego winą poczucia obowiązku. Mogła wyrzucać te pieniądze od razu do kosza, on i tak posyłałby je dalej.

Zapukał do drzwi i stał czekając, aż otworzy i odrygluje nieskończoną liczbę skomplikowanych zamków - usunie barykadę, która miała ją chronić przed okrutnym terrorem szwarces*.

*szwarces (jid.) - Murzyni, tu: czarnuchy.

Nie był pewien, czy jej sąsiedztwo stało się rzeczywiście aż tak niebezpieczne, ale lepiej, by okazywała przesadne obawy niż niedbałą beztroskę. Poza wszystkim, jaka dzielnica była bezpieczna? Zanotował w

pamięci, że musi omówić z Norą jej zwyczaj zostawiania mieszkania bez zamknięcia. Tymczasem drzwi stanęły otworem.

Okrągła różowa twarz, oczy jak zwykle rozszerzone niepokojem.

Dziewczęce loczki zebrane z tyłu na karku były bardziej kasztanowe niż ostatniej niedzieli, pewnie znów była u fryzjera. Matka zaczęła siwieć po przekroczeniu trzydziestki; teraz, mając pięćdziesiąt sześć lat, musiała być kompletnie siwa pod niezliczonymi pokładami farby. Wyglądała na młodszą, z paroma zaledwie zmarszczkami na miękkiej, pozbawionej jakby ostrości twarzy kobiety, której wiek przegonił dorosłość.

- Jesteś już! - powitała go. - Powiedziałeś dwunasta trzydzieści, a jest dopiero dwadzieścia po i jestem jeszcze niegotowa! Czemu mnie tak zawsze gonisz?

Wykrzyczała to wszystko, krzyk był jej normalnym tonem. Czy bała się, że nikt jej nie słucha, czy też nikt jej rzeczywiście nie słuchał, ponieważ zawsze krzyczała - klasyczne pytanie z gatunku „co pierwsze: jajko czy kura”, nad którym dawno już łamał sobie głowę. Zignorował jej wrzaski, wszedł do środka - wciąż tkwiły tu zapachy dzieciństwa - i uścisnął ją.

Objęła go mocno.

- Jak się masz? - zapytał, znając doskonale odpowiedź.

- Nie mogę narzekać... - zaczęła.

- Więc nie rób tego - wtrącił, rozsiadając się w starym fotelu, kolorem przypominającym złotego spaniela.

Przesuwając z powrotem zasuwę i przekręcając zamki w drzwiach recytowała litanie dolegliwości: bóle w stopach, kłopoty z zatokami, zatwardzenie, zawroty głowy:

- ...więc wybrałam się do doktora, do Dorfmana, i wiesz, co mi powiedział? Że to wszystko urojenia, zdrowa jestem jak koń, mówi.

- Bo jesteś zdrowa jak koń - powiedział. Nigdy nie była w szpitalu; nawet śmierć Janey, która wpędziła ją w depresję trwającą równie długo jak jego, nie odbiła się na jej zdrowiu fizycznym. W luźnej czarnej sukni i czarnych sznurowanych półbutach, ulubionych przez staruszki, jej korpulentna, przysadzista postać emanowała wcale niemałą energią, jak zawsze płynącą w niewłaściwym kierunku.

- Ten Dorfman, lepiej nie mów mi nic o nim, to zwykły gonif*. Ja mu płacę i co on mi daje? Nic! Aspirynę mam wziąć i przestać się tak przejmować, mówi.

*gonif (jid.) - złodziej, oszust.

- Dobra rada - orzekł.

Odwróciła się od drzwi z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Muszę jeszcze do łazienki... - Wyszła szybko z pokoju.

Rozejrzył się wokół. Choć rupiecie tu zgromadzone nawet nie umywały się do wcześniejszych „kolekcji”, pokój nadal spełniał rolę domowego śmietniska: z pół tuzina toreb na zakupy rozstawionych było niczym pijane warty w rozmaitych miejscach na podłodze, sterta egzemplarzy Post-Dispatch zaczynała przerastać sofę, stół podpierał górę tekturowych pudełek. Zauważył coś jeszcze: fotografie... stały jak dawniej na stoliku, gzymsie kominka, telewizorze i półkach, wypełniając resztki powierzchni nie zastawionej jeszcze bukietami plastikowych kwiatów, tandetnymi figurynkami z gipsu czy popielniczkami upamiętniającymi miejsca, w których nigdy nie była.

Krótko po śmierci Janey jego matka zebrała zdjęcia jej i reszty rodziny i zniosła do piwnicy. Od tego czasu ich nie widział. Podniósł się z fotela i podszedł, by przyjrzeć się im z bliska. Ukochani, nieznani mu rodzice jego matki, pozujący sztywno w tradycyjnych żydowskich strojach (fotografia pochodziła z Rosji): dziadek w czarnym kapeluszu, ze splamioną jakby patriarchalną brodą, babka ponura, azjatycka w ciemnej wiejskiej sukni i związanej pod brodą chuście.

Zdjęć ojca nie było nigdzie, choć wedle opowieści matki (którym niespecjalnie ufał) wyglądać miał wypisz-wymaluj jak Errol Flynn; jedyny powód, utrzymywała, dla którego została jego żoną. Na kilku mniejszych fotografiach byli rozmaici krewni z Chicago, spotykani tak rzadko, że równie dobrze mogliby mieszkać na Syberii. Lwią część kolekcji stanowiły jednak zdjęcia Maxa i Janey; jej powtarzały się chyba nawet częściej.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego matka schowała zdjęcia Janey - sprawiały jej zbyt dużo bólu. Czemu jednak razem z nią wywędrowała do piwnicy reszta rodziny? Nie potrafiła na to inaczej odpowiedzieć, niż że „źle to wyglądało, wszyscy bez niej”. Domyślał się w gruncie rzeczy prawdziwego powodu: nie mogła znieść myśli, że Janey musi przesiadywać sama w ciemnej i ponurej piwnicy, zesłała więc wszystkich krewnych, by dotrzymywali jej towarzystwa. Żydowskość jego matki była tylko sprawą przyzwyczajenia i formy; w głębi duszy była poganką, animistką: fotografie rodzinne uosabiały żywe bóstwa domowe.

Poprawiając gorset i przekrzykując hałas spuszczonej wody, matka weszła do pokoju.

- To znowu Dorfman! Ja mu mówię, że muszę co chwilę latać do toalety i czy on mi coś daje na to? Nie, on...

- Mamo...

- ...mi każe brać aspirynę i uspokoić się! Jak to ma...

- Mamo! - krzyknął.

Przestała w pół słowa, wpatrując się w niego.

- Dlaczego ustawiłaś zdjęcia z powrotem? - zapytał.

- Za wcześniej?

- Skądże znowu, dwa lata minęły od...

- Za wcześniej! Wiedziałam, że za wcześniej! Nie powinnam ich była przynieść przed...

- Psiakrew, mamo, czy możesz przestać krzyczeć i wysłuchać mnie?

Skrzywiła usta, zamrugła oczami.

- Czemu wyciągnęłaś je właśnie teraz?

Wzruszyła ramionami: - Miałam sen.

- Jaki sen?

Matka podeszła do niego, z jednej z półek zdjęła zrobiony przez fotografa portret Janey w stroju do konnej jazdy. Wciągała powietrze przez nos przypatrując się trzymanemu zdjęciu.

- W środę w nocy - powiedziała - śniło mi się, że przyszłam do domu i Janey siedziała właśnie tu na sofie, żywa jak każde z nas. Wyglądała... no, pięknie, tak pięknie... Porozmawiałyśmy więc sobie, zagrałyśmy partyjkę remika, zupełnie jak dawniej, i potem spojrzała na mnie i spytała: „Mamo, gdzie są moje zdjęcia?” Więc powiedziałam jej, że zabrałam je do piwnicy, bo, no, nie żyła przecież, a ona zaczęła się śmiać i śmiać.

„Dlaczego myślisz, że nie żyję?”, odezwała się potem. I wiesz co, Max?

Obudziłam się w tym momencie taka szczęśliwa; naprawdę myślałam przez parę chwil, że pomyliłam się, Janey nie umarła. I... sama nie wiem...

Tego dnia wyciągnęłam zdjęcia z powrotem. Brakowało mi ich.

- Mnie też - przyznał.

- Więc to nie za wcześniej? - spytała go.

- Nie - odparł. - Nie za wcześniej.

Nazwiska na nagrobkach przypominały soczystością swego brzmienia składniki pikantnego barszczu: Pinkus, Mandelbaum, Fish, Ladinsky, Pretzel, Adelman, Zuckermann, Blitz... Żadnych cicho leżących, śpiących spokojnie Smithów czy Jonesów. Dotrzymując matce kroku pomiędzy gęstwą kamieni cmentarza Chesid Shel Emeth wyobraził sobie owych komicznych,

nieokrzęsanych Goldfarbów, Nachmannów, Shlotzkich i Mermelsteinów wciąż cuchnących cebulą, żujących cygara, obgadujących profity i straty, skarżących się na bóle krzyża i rozgrywających kolejne rozdania, każdy pod swoimi sześcioma stopami ubitej ziemi. Nawet sam wygląd cmentarza był żydowski: odmienny, archaiczny, z nagrobkami poupychanymi gęsto jeden przy drugim, wyrastającymi, gdzie tylko pozwalało miejsce. Jeśli uznać anglikańskie cmentarze, jasne i otwarte niczym pola golfowe, za miejskie kluby zmarłych, to tu z pewnością był

odpowiednik Lower East Side* z przełomu stulecia, ledwo potrafiącej wchłonąć ciągle napływających z innego świata emigrantów. Matka, dla której był to znany teren, prowadziła bez zastanowienia poprzez labirynt ścieżek do grobu Janey.

*Tradycyjna dzielnica emigrantów na Manhattanie, obecnie stanowiąca część East Yillage i Chelsea.

- O Boże! - jęknęła. - Zobacz, co tu narobili!

Grób wyglądał rzeczywiście mizernie: z kopczyka wyrastały wysokie do kolan zielska, jeden z narożników naruszył jakiś pojazd - na ziemi widać było jeszcze ślady opon.

- Tych ludzi powinno się wystrzelać - orzekła. - Dokładnie to samo było w zeszłym tygodniu, gdy przyszłam tu z Dolores...

- Przychodzisz tu z przyjaciółkami? - zdziwił się.

- Pewnie, dlaczego nie? Wszystko wyglądało tak samo! Zadzwoiłam do tych oszustów, obiecali, że to poprawią i co? Sam widzisz! I tacy uważają się za Żydów!

- Powiem Rothom, żeby to załatwili.

- Rothowie! - prychnęła pogardliwie. - Ci są za bardzo zajęci liczeniem pieniędzy, żeby sobie głowę zawracać takimi drobiazgami.

- Mamo, na Boga, przecież to grób ich córki!

- Guzik ich to obchodzi, zarozumialców.

Pochylona, zaczęła z pasją wyrywać chwasty porastające grób. Gdy ziemia była już oczyszczona, matka - czerwona, dysząc z wysiłku -

porwała w strzępki dwie garście trawy i podała mu jedną. Ostrożnie zamknął ją w dłoni. W plecy dmuchał im mocny wiatr, szarpał czarną koronkę welonu, przypiętego do kapelusza matki. Rzuciła trawę w kierunku grobu - wiatr poniósł ją dalej. Stękając, opadła na kolana, porwała nową garść trawy i wklepała ją w ziemię kopca.

- Rzuć teraz swoją - powiedziała.

- Masz w ogóle pojęcie, co to ma oznaczać? - zapytał.

- Okazujesz zmarłym swój respekt.

Widział, jak robiła to za każdym razem, gdy przychodzili na cmentarz, ale nigdy nie był w stanie znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia owego rytuału. Tak czy inaczej, pochylił się jak ona w stronę grobu i pozwolił, by wiatr przeniósł trawę w kierunku kopca. Stali przez jakiś czas w milczeniu. Grób Janey, poza przypomnieniem mu perwersyjnie świeżych, zbyt świeżych, by zasługiwały na granit, dat urodzin i śmierci, nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Nieznośnie oficjalny monument nie miał z nią nic wspólnego; powinni byli uczcić ten dzień odwiedzinami w mieszkaniu na Wydown, gdzie spędził z Janey lata ich małżeństwa, w ich szkole, w stajniach jeździeckich czy nawet w dziale odzieży damskiej u Saksa. Grób był obojętny i bezosobowy jak każda statystyka. Dziś jednak, gdy ochota, jaką miał na Norę, dodawała wszystkiemu nowych barw, z łatwością mógł sobie wyobrazić Janey siedzącą pod kopcem pośród robaków, wyprostowaną, z wyrazem zdziwienia na twarzy: „Dlaczego akurat właśnie ona, Max? Zaskakujesz mnie; zawsze wierzyłam, że masz dobry gust”.

Matka grzebała w torebce, aż wreszcie wyciągnęła niewielką broszurkę z tekstem kadiszu, modlitwy za zmarłych, po hebrajsku i w angielskiej transliteracji. Znał główny sens słów: nie było w nich żadnej wzmianki o śmierci, opiewały za to radośnie akt stworzenia, samego Stwórcę -

Stwórcę, którego nie chwaliłby nawet w Niego wierząc. Gdy więc matka wydostała z torebki jarmułkę i zaczęła mu ją wciskać razem z broszurką, nie wyciągnął rąk z kieszeni marynarki.

- Nie będę odmawiał kadiszu, mamó.

- Jesteś mężem, kto ma mówić?

- Mamó, powtarzamy to za każdym razem, gdy tu przychodzimy. Nie wierzę w Boga i nie mam zamiaru modlić się do Boga, w którego nie wierzę.

Spojrzała na niego ze złością. Z niepojętych powodów jego odstępstwo od wiary, mimo iż manifestowane otwarcie od dzieciństwa (sprzeciwiał się stanowczo lekcjom w hebrajskiej szkole i uroczystościom bar micwy), zawsze wzbudzała jej kompletne zaskoczenie.

- A co ty jesteś... goj?

- Goje też wierzą w Boga.

- Nie opowiadaj czegoś podobnego tutaj! - zasyczała.

Ponad jej ramieniem dojrzał kobietę, która z pochyloną głową stąpała wąską ścieżką odmierzonymi, pełnymi nagłości krokami: Sara Roth. Na

przetkanych siwizną włosach miała mały czarny kapelusz w kształcie łódki, krótka woalka sięgała czubka jej nosa. W ręku trzymała pęczek stokrotek, ulubionych kwiatów Janey. Gdy ich dostrzegła, uśmiechnęła się wymuszenie: nie oczekiwała, że ktoś zakłóci tu jej spokój.

Zostawił matkę przy grobie i ruszył w kierunku Sary, wzruszony jej widokiem, ale i chcąc zarazem przeszkodzić ewentualnemu zderzeniu obu nie znoszących się wzajemnie kobiet.

Nie widział Sary od lipca, kiedy to zdradziła mu któregoś wieczoru po obfitej kolacji i paru kieliszkach koniaku, że ich cotygodniowe spotkania przysparzały jej zbyt wiele bólu. „Przy tobie Janey nagle wraca do życia - przyznała. - Normalnie jest jakimś aniołem czy duchem, zwykłym wspomnieniem i tylko tak mogę to znieść, Max. Może tak właśnie powinniśmy traktować naszych zmarłych, jeśli chcemy ciągnąć to życie dalej, uznać, że ich nie ma. Ale gdy siedzę z tobą, ona znów siedzi obok, moja córka, rozumiesz? To rozdzieranie rany... Nie bądź na mnie zły, ale po prostu czuję się ostatnio marnie. Chcę jakiś czas pobyć sama”. Od tego momentu nie próbował nawiązać kontaktu. Czuł nieraz gwałtowną potrzebę jej towarzystwa, mimo iż mógłby obwiniać ją za to odtrącenie.

Nie potrafił jednak; czy był w stanie powiedzieć, co i ile mogła znieść? Dla niego strata Janey nie oznaczała straty córki, a tym bardziej córki zawsze denerwującej, która nigdy już nie miała znaleźć wspólnego języka z matką.

Sarę i Janey łączyło wiele spraw nie załatwionych, które miały takimi pozostać.

Przyciągnął ją do siebie gniotąc bukiet stokrotek; pod ciemną tkaniną płaszcza wyczuł napięte mięśnie jej szczupłych pleców.

- Wybacz, że się tak wyobcowałam...
- Ależ, Saro! Powiedz lepiej, jak się czujesz? Wyglądasz...
- Cicho. Lepiej nic nie mów. Dobrze wiem, jak wyglądam.

Postarzała się przez ostatnie dwa miesiące. Skóra twarzy opinała jeszcze ciaśniej kości, mocno podkrążone z bezsenności oczy widoczne były mimo osłony woalki. Miała zawsze problemy ze spaniem, ale ostatnie dwa lata były rzeczywiście okropne. Pozostała jednak nadal przystojną kobietą, twarzą przypominającą mu wciąż Janey: taki sam patrycjuszowski zarys wysokich kości czoła i policzków, taki sam lekko, uroczo za szeroki u podstawy nos, takie same chabrowe oczy z charakterystycznym wyrazem zadziwienia.

- Brakowało mi ciebie - przyznał.
- To niezdrowe, taki brak spotkań, prawda?

- Dla mnie z pewnością.

Sara spojrzała w kierunku jego oddalonej o parę metrów matki, która obserwowała ich ze złością.

- Lepiej pójde się z nią przywitać, zanim się znowu pokłócimy...

Podeszła do niej, uścisnęły sobie ręce: - Miło cię widzieć, Edith. Jak twoje zdrowie?

Raz przynajmniej matka zaniechała recytacji rozwlekłego katalogu swych nieszczęść. Wzruszyła ramionami.

- Chyba nie mogę narzekać.

- To dobrze, bardzo mnie to cieszy. Wybaczysz mi, że jeszcze przez moment zajmę twego syna?

Oficjalność Sary onieśmielała matkę. Podniosła rękę w jakimś niepojętym geście. Sara podeszła do niego z powrotem.

- Mam ochotę zjeść z tobą lunch - oznajmiła. - Chcesz?

- Wiesz przecież, że tak.

- Nie, ja nie wiem, czy ty chcesz. Nie wybaczam równie łatwo jak ty, Max, a uważam, że cię zawiodłam.

- Zapomnij o tym - powiedział. - Z przyjemnością zjem z tobą lunch. Musimy porozmawiać.

- O czym?

Niespodziewanie wiedział o czym. Czuł gwałtowną potrzebę rozmowy z nią, mówienia godzinami, nie o Janey jednak - tę omówili co do szczegółu już wiele razy - a o Norze. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat Sara miała wysłuchać jego spowiedzi, ale jej właśnie chciał wszystko wyznać - nie Horowitzowi, nie Rosemary.

- Co byś powiedział o najbliższej sobocie w Chez Louis? Dasz radę? - spytała.

- Bez problemu.

- Wiesz, gdzie to jest?

- Zapomniałaś już? Zabrałaś tam Janey i mnie zaraz po ogłoszeniu naszych zaręczyn.

- Faktycznie. Doprowadziła mnie do pasji, to pamiętam. Nie chciała niczego jeść.

- Była zdenerwowana...

- Janey w ogóle nie była w stanie się zdenerwować.

Jego matka, zła, że ignorowano ją tak długo, przepchnęła się bliżej Sary i szarpnęła ją za rękaw płaszcza.

- Wiesz, że dziś jest rocznica śmierci Janey? - wykrzyknęła niemal.
Sara cofnęła się o krok.

- Oczywiście, że wiem, Edith. Dlatego przecież tu przyszedłam.

- Aha, a wiesz, że trzeba zapalić świecę dwadzieścia cztery godziny przed...

- Zrobiłam to wczoraj wieczorem.

- Potrzebujesz jeszcze świeczek? Wzięłam u Schucka trochę więcej, bo pomyślałam, że...

- Dziękuję, Edith, wystarczy mi tyle, ile mam.

- Wystarczy ci?

- Tak.

Matka zamilkła, poprzez suknię zaczęła poprawiać gorset; więcej dobrych rad nie miała, wszystkie okazały się niepotrzebne.

Sara wyminęła ją i złożyła stokrotki na grobie; przyglądała się im krótko, stojąc z założonymi rękoma. Wtedy podszedł bliżej.

- Nie wiem, po co tu w ogóle przychodzę - powiedziała. - W niczym mi to nie pomaga... A co tu się u diabła stało? - spytała zauważywszy dopiero teraz rozjechany narożnik.

Był to sygnał dla jego matki, która podbiegłszy do nich, zaczęła, przekrzykując wiatr, wyrzucać z siebie jeremiadę przeciw zarządowi cmentarza. Sara, z woalką przyciskaną podmuchami do twarzy, wytrzymywała krzyki przez chwilę, po czym uniosła dłoń, by uciszyć Edith: - Zajmę się tym.

- Ach, ty nie znasz tych szmendryków* tak jak ja! Dzwonisz i dzwonisz, i...

*szmendryk (jid.) - nedorajda, offerma.

- Powiedziałam, że się tym zajmę - powtórzyła Sara zbyt ostro. Kłótnia wisiała w powietrzu.

- Nie podnoś tylko na mnie głosu! - Matka wypięła do przodu pierś. - Jeszcze czego, będzie tu na mnie wykrzykiwać!

- Przecież to ty krzyczysz, Edith.

- Uspokój się, mamó - zwrócił się do niej.

Wymierzyła palec w jego stronę.

- Ty się tu nie wtrącaj!

- Ani słowa więcej! - złapał ją za ramiona.

Zignorowała go, wygrażając palcem tuż przed kamienną twarzą Sary: - Posłuchaj no tylko, pani Roth! Nie mam może takich pieniędzy ani takiej

klasy jak ty, nie mieszkam w Ladue, nie należę do Tempie Israel* i nie zadzieram nosa, ale jestem też człowiekiem i należy mi się respekt! Bo jak dobrze powąchać, pani Chwalipięcka-Roth, to twoje gówno śmierdzi tak, jak moje!

*Lokalna synagoga, odpowiednik parafii.

Sara przyglądała jej się spoza szarpanej wiatrem woalki. Gdy odezwała się, w jej głosie było raczej zmęczenie niż gniew: - Edith, jest mi obojętne, jak się do mnie odzywasz, bo mało mnie w gruncie rzeczy obchodzisz. Ale obchodzi mnie pamięć mojej córki, zapowiadam ci więc, że jeśli kiedykolwiek jeszcze wywołasz podobną scenę przy jej grobie, postaram się, by cię tu nigdy więcej nie wpuszczono.

I nie myśl, że nie potrafię tego przeprowadzić. Rozumiesz?

Matka milcząco wbiła wzrok w ziemię, ale rozumiała doskonale.

- I jeszcze jedno, o czym powinnaś wiedzieć, moja Edith: jak się ma tyle pieniędzy co ja, gówna w ogóle nie śmierdzi.

Ścisnęła go na pożegnanie za łokieć.

- Do zobaczenia w sobotę w południe - powiedziała i ruszyła szybko do wyjścia.

Nie miał pojęcia, co go wyzwoliło: może nerwy zszarpane popołudniowym konfliktem na cmentarzu, może pożądanie pozbawiające go resztek samokontroli, ale w nocy, gdy wchodził w nią od tyłu, a ona bełkotała w ekstazie jak zaczarowana, otworzył nagle usta, zapomniał o sobie i zaczął nagle pleść po swojemu.

Wszystko było zdumiewająco proste: zgłoski płynęły nieprzerwanie, naładowane, elektryzujące, staccato, pozbawione sensu, nie do powstrzymania. Z jakiegoś dalekiego miejsca przysłuchiwał się z niedowierzaniem ich wspólnej przemowie - pletli i trajkotali jak dwie małpy w ogarniętej płomieniami klatce. A potem zatracił się zupełnie, nie wiedział, co się dzieje, i nie był nawet świadom własnej obecności, gdy orgazm przenikał go od środka dreszczem.

Ślub Horowitza odbył się w niedzielę; ceremonia zaczęła się dwadzieścia minut później niż planowano, Max był pierwszym drużbą.

Pucołowate druhny Rachel, z wypiekami na twarzach i śladami łez w oczach, wszystkie w brzoskwiniowego koloru sukienkach, przypominały zgromadzenie przerośniętych cherubinów. Oslaniający nowożeńców baldachim nie zawalił się, chociaż Horowitz wstrząsnął nim solidnie, gdy obcasem zmiażdżył na proch kieliszek do wina. Przyjęcie w Le Chateau było

chaotyczne, bogate i przyprawiające o zawrót głowy; „miłość” była naczelnym tematem. Wszystkim wydawało się, że Max dawno już zapomniał o swojej żalobie, chcieli więc wiedzieć - zwłaszcza Judy Solomon, Brenda Ladinsky i Teri Fox, które znał od czasów szkoły średniej - jak sobie teraz radzi z kobietami. Starał się usilnie być precyzyjnym, niczego nie precyzując: w gruncie rzeczy, cokolwiek to miało znaczyć, nie zaczął jeszcze umawiać się z nikim; w paru momentach owych przyjacielskich indagacji żałował, iż nie ma przy nim Nory, której obecność położyłaby kres pytaniom.

Nie zabrał jej ani nawet nic jej nie powiedział o ślubie Horowitza.

Wymyślił zamiast tego - pierwsze kłamstwo, kamień milowy - że musi spędzić wieczór z matką. I dopiero w samochodzie, gdy lekko wstawiony wracał już z weselnego przyjęcia, uzmysłowił sobie wyraźnie powody kłamstwa: poszedł bez niej, ponieważ nie chciał, by go z nią widziano.

Miała więc rację: wstydził się przedstawić ją komukolwiek ze swoich znajomych. Dbał o to, co ludzie o nim myślą.

Uznanie tego faktu zmusiło go do zastanowienia się nad związkiem z Janey. Jeśli tak obawiał się o swoją reputację, że krył Norę przed światem niczym jakieś dwugłowe monstrum, czy nie reputacja właśnie stanowiła jeden z sekretnych powodów, dla których zdecydował się ożenić z Janey?

Zdobywając ją, zdobył jednocześnie największy poklask w życiu: każdy mężczyzna chciał jej, każda kobieta jej zazdrościła, wszyscy rodzice zachwycali się nią, a przedstawiana w jakimkolwiek towarzystwie wywierała podobne wrażenie jak naturalnej wielkości posąg ze szczerego złota. I oczywiście nie było to tylko samo piękno; nic w jej postaci nie wymagało usprawiedliwień z jego strony. Przy piramidzie rozmaitych braków, jakie cechowały Norę, Janey nabierała cech świętości, ale -

pomyślał wyłączając magnetofon, by móc lepiej przysłuchiwać się swemu dumaniu - jak w każdej świętej tak i w niej kryło się głęboko jakieś uproszczenie. Śliczna Janey, słodka Janey, radosna, nieskomplikowana.

Może Sara miała rzeczywiście rację. Ciekawe, jak długo wytrzymałby z takim wcieleniem doskonałości.

Ich małżeństwo też wydawało mu się teraz podejrzenie bezproblemowe, dziwnie spokojne, jak tafla jeziora, której nic nie burzy. O co się w ogóle spierali? O pieniądze - ulubionym hobby Janey było, poza konną jazdą, kupowanie zbędnych rzeczy - nawet i w tych sporach jednak brakowało prawdziwej pasji, jako że dzięki jej rodzicom nie musieli się nigdy kłopotać o pieniądze. Inne nieporozumienia? Usiłował sobie przypomnieć jakieś stare

zale, ale nic poważnego nie przychodziło mu do głowy. Było w tym coś osobliwego, podejrzanego wręcz... czyżby byli na poły tylko świadomi swego związku? Powodów do skarg na Norę, którą znał ledwie tydzień z okładem, miał za to tyle, że spisane wypełniłyby niejeden tom, a wszystkie podsycaly tylko jego pasję. I jeszcze jedna uderzająca rzecz: choć nie miał wątpliwości, że kochał Janey i nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby kochać Norę, musiał przyznać, że nigdy nie czuł wobec Janey tak dręczącej żądz, nigdy nie opętała go tak doszczętnie myśl o niej. Ale dlaczego? Mógł to wytłumaczyć tylko w jeden sposób: Janey ewidentnie mogła być obiektem uczucia, gdy Nora stanowiła wyraźne tego przeciwieństwo, i być może miłość do kobiety tak na nią zasługującej nie mogła być niczym wyjątkowym. W jego uczuciach dla Janey nie było ambiwalencji, zwątpienia, sprzeczności, spięć i, zapewne, zapału.

Nie dawało mu to spokoju przez całą drogę do domu. Postanowił spać tej nocy u siebie na dowód, że potrafi obejść się przez całą dobę bez wątpliwej pociechy, jaką dawało towarzystwo Nory. Gdy powiesił jednak smoking i stanął przed pustym łóżkiem, dumając nad zimną, nieprzytulną przestrzenią, która go tu oczekiwała, jego zdecydowanie zachwiało się.

Wciągnął szybko dzinsy i koszulę i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Rozdział ósmy

Wyjęty żywcem z planszy „Monopolu” domek był nie oświetlony, niewyraźny kwadrat na tle ciemnego nieba. Jej przerdzewiały samochód stał na podjeździe, musiała więc już się położyć. Wszedł przez nie zamknięte frontowe drzwi, wewnątrz było ciemno niczym w lunaparkowej jaskini grozy. Po omacku, mało nie pośliznąwszy się na jej rajstopach, dotarł do ściany kaplicy Marilyn, przesunął palcami po wiszących fotografiach i przełączył znaleziony kontakt; dalej ciemno; żarówka?

Zawołał Norę - cisza. Posuwając się wzdłuż ściany przeszedł korytarzem do sypialni. Przez okno wpadało akurat tyle światła, by mógł dojrzeć puste łóżko i nieruchomy, wyłączony wentylator. Wrócił tą samą drogą, macając przed sobą w miękkiej ciemności niczym ślepiec zbliżający się do skraju przepaści. Niespodzianie oładnęło nim przecucie straty: utraci ją, jeśli nie w tej chwili czy wkrótce, to na pewno któregoś dnia; to pełne paniki rozpaczliwe szukanie jej po omacku stanowiło próbę. Powtarzał głośno jej imię.

- Tu jestem - odezwała się wreszcie.

Był właśnie w kuchni, jej głos doszedł z drugiej strony siatkowych drzwi oddzielających ogródek. W bezksiężycową noc było tu prawie tak ciemno, jak w mieszkaniu. Sąsiedzkie psy prowadziły wciąż swoje nocne spory. Czarny przytłaczający kształt walcowni wydawał się podchodzić do samego skraju jej działki. Leżała rozciągnięta na leżaku; żarzący się pomarańczowo koniec papierosa tkwił gdzieś ponad nią. Nie był w stanie powiedzieć, czy zwróciła głowę w jego stronę.

- Cholera, nie przypuszczałam, że się tu dzisiaj pokażesz - powiedziała.

- Co to za powitanie?

Odpowiedział mu tylko stukot kostek lodu w szklance.

- Nie za jasno tam miałeś, co? - rzuciła.

- Mało sobie karku nie skręciłem. Co się stało?

- Nie ma prądu.

- Dlaczego?

- Nie płaciłam rachunków, dlatego.

- Od kiedy?

- Wystarczająco długo.

- Ile miesięcy, powiedz?

- Trzy.

- Noro, na Boga!...

- Biedacy są rzeczywiście wstrętni, nie?

Nie słyszał przedtem w jej głosie tego niskiego, zjadliwego tonu.

Poznawał inną Norę, dotąd troskliwie przed nim skrywaną: zgryźliwą, użalającą się nad swym losem, małostkową. Wyczuwał nieomal fizycznie płynące od niej fale wrogości, liżące jego koszulę... to tylko wiatr, zorientował się po chwili. Koniec jej papierosa zatoczył w ciemności łuk, by zajaśnieć mocniej, gdy zaciągnęła się głęboko.

- Wyłączyli pewnie, kiedy byłam w tej swojej zasranej robocie - stwierdziła.

- Czemu mi nic wcześniej nie mówiłaś?

- Znaczy miałam cię błagać o jałmużnę?

- Pożyczyłbym ci.

- Dziękuję, ale nie, obejdzcie się.

- Dlaczego?

- Nie chcę być ci dłużna.

- To dałbym ci te pieniądze!

- Nie chcę twojego czy czyjegokolwiek miłosierdzia. Dam sobie sama dobrze radę, bez łaski.

- Ach tak, dobrze? A kiedy ci zabiorą samochód, będziesz sobie radziła doskonale?

Wyrzuciła niedopałek w ciemność.

- Wiesz co - powiedziała - lód mi się już stopił. Może byś mi przyniósł nową szklankę, co? Zwykle się nie opierasz, zauważyłam... No, zrobisz to dla mnie? W zlewie jest cała torba.

Chciał się sprzeciwić, spytać, dlaczego jest tak pełna wrogości, ale bał się właściwie każdej odpowiedzi.

- Przynies ten lód, naprawdę - dodała. - I weź od razu tę butelkę wódki, jak już będziesz w kuchni.

Poszedł zastanawiając się, dlaczego był tak potulny. Miał nieczyste sumienie, to pewne, ale czy ona mogła się tego domyślać? Czyżby wyczuła jego obawę, tak jak zwierzęta wyczuwają podobno strach? Napełnił dwie szklanki lodem - sam miał również ochotę się napić - i zabrał ze sobą wódkę. Nie spojrzała na niego ani nie podziękowała, gdy podał jej szklankę.

Rozłożył oparty o ścianę drugi leżak, usiadł obok niej i nalał sobie alkoholu.

- Dobrze się bawiłeś na weselu? - zapytała.

Postawił ostrożnie butelkę na ziemi. Odchylił się do tyłu i zamknął oczy; poczuł nieomal ulgę, że potrafiła powiedzieć to tak bezpośrednio. Można było mieć wrażenie, że na świecie panował nadal porządek.

- Skąd wiesz? - odparł pytaniem.

- Zadzwoiłam do twojej matki. Nie myśl sobie tylko, że cię próbowałam sprawdzać, nic takiego. Nie miałam przecież żadnego powodu przypuszczać, że mnie bujasz, nie? No więc, jak wróciłam do domu i zobaczyłam, że nie mam światła, wkurzyłam się i chciałam z tobą pogadać.

Zadzwoiłam do informacji, potem do twojej matki i proszę, niespodzianka.

Oczy przywykły mu już na tyle do mroku, że mógł bez trudu wyłowić jej profil. Twarda indiańska twarz Nory była zamknięta i nieprzystępna.

- Czemu mnie okłamałeś?

Podniosła butelkę, przechyliła ją nad swoją szklanką. Odstawiła wódkę z powrotem i czekała.

- Mowę ci odjęło? - ponagliła go. - Dobra, to inaczej: dopiero co ją spotkałeś czy znacie się już jakiś czas?

Potrzebował chwili, by pojąć, o czym mówiła, i zaskoczony omal nie parsknął śmiechem.

- Jezu, aleś ty dzisiaj cichutki - stwierdziła i pociągnęła łyk. - Opowiedz mi o niej, co? Jaka jest?

- Nora, jesteś...

- Albo nie, nic mi nie mów, daj mi zgadnąć. Lubię zgadywanki, choć pewnie już zapomniałeś... Dobrze, zaraz... po pierwsze, młoda, to musowo.

Pewnie takie dziecko, jak ty. I ładna, obowiązkowo, musi przecież być ładna, nie? Milusia, młoda, świeżutka i ładniutka z wielkim cycem i słodką małą dupcią... ciepło, ciepło, prawda? I założę się, że to studentka, możesz z nią pogadać o książkach i historii...

- Nora, przestań! Mylisz się kompletnie.

- Naprawdę? Nie studentka? Chcesz mi powiedzieć, że szlajałeś się cały czas po naszych slumsach?

Przyjął ten przytyk w milczeniu.

- Ale w jednym jestem na pewno od niej lepsza, to wiem na sto procent - orzekła. - W pierdoleniu mnie nie pobije, nie ma siły. Może jestem głupi kocmołuch, ale to jedno umiem doskonale, zgadza się? I lubisz to, nie, Max? Lubisz, i to jak! Ale co więcej można we mnie, kurwa, lubić?

- Do jasnej cholery, Nora, dosyć już! - Stał ze szklanką w dłoni, zwrócony w kierunku ciemnej walcowni. Odwrócił się, by spojrzeć na nią: podciągnęła kolana rozłożona dalej na leżaku, białka jej oczu przebijały mrok. - Nie ma żadnej innej kobiety, rozumiesz? Czasem wolałbym, żeby była jakaś, ale nie ma. Boże, nie potrafię nawet spojrzeć na inną kobietę, bo od razu myślę, jak bardzo chcę ciebie.

- Wymyśl lepiej coś bardziej przekonującego.

Rzucił za siebie szklankę z niedopitą wódką. Klęczał teraz przy jej leżaku:

- Noro, nie wiem, co się ze mną dzieje, ani dlaczego, często nawet nie mogę uwierzyć, że coś takiego się dzieje, ale to prawda i musisz mi zaufać.

Nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety tak, jak ciebie. Nawet żony.

Podciągnęła kolana jeszcze wyżej i wbiła w niego wzrok.

- Nie mów tak. Jak możesz coś podobnego gadać?

- Bo to prawda.

- Pijany jesteś? Powiedz, upiłeś się na tym weselu?

- Wyglądam na pijanego?

- Wyglądasz na szalonego. Masz takie dziwne oczy...

- To przez ciebie, Noro...
Poprawiła
się

niespokojnie

na
siedzeniu,
wstrząsając

lekko

rozpuszczonymi włosami. Spojrzała na niego przez ramię... nagle wychyliła się do przodu, przybliżyła się, zarzuciła mu rękę na kark, przyciągnęła, prawie dotknęła jego twarzy swoją; poczuł znów alkohol, papierosy, ją samą, zapach smażonego mięsa i cebuli, którego jak zwykle nie zmyła po powrocie z pracy - perwersyjnie zmysłowa mieszanina.

- Nie mów nigdy czegoś podobnego, jeśli nie myślisz tego serio. Wiesz, to, co o żonie, że nawet ona... To aż szarpie człowieka w środku... jeśli masz coś innego na myśli.

- Wiesz dobrze, że nie.

- Max, jak możesz mówić, że kochasz mnie bardziej niż żonę?

Odchylił się do tyłu i przysiadł na piętach.

- Tego nie powiedziałem.

- Więc co powiedziałeś?

- Że cię bardziej pragnę.

- No, a co to do cholery za różnica?

- Nie wiem, nie potrafię powiedzieć.

- Więc skąd wiesz, że to nie miłość?

- Nora, nie wiem. Wiem tylko, że bez ciebie czuję się zupełnie skończony.

- A gdy jesteś ze mną?

- Też, ale w innym sensie.

- A gdy cię wykończę w łóżku? - spytała bez cienia humoru w głosie. - Pomaga ci to pozbierać się do kupy?

- Na jakiś czas.

Wzdrygnęła się, zapaliła papierosa i odwróciła głowę w kierunku walcowni. Jej uniesione kolana dygotały lekko.

Wydała mu się niechlujna i wielkopańska zarazem: szerokie uda wyłaniające się z nogawek paskudnych szortów ze sztucznego tworzywa, pochodzących na pewno z jakiegoś sklepu z przecenioną tandetą; nie czesane włosy opadające w strąkach na plecy niczym grzywa wodorostów lub winorośli. Na poły plebejska, na poły olimpijska - chciał ją złapać za ramiona i wytrząsnąć te sprzeczności.

Chropowatym, nieswoim głosem spytał, czy go kocha.

Dmuchnęła chmurą dymu.

- Jezu, nie mam pojęcia. Cholernie bym chciała wiedzieć... Ale powiem ci jedno, Max: za każdym razem, gdy się umawiamy i przychodzisz jak

obiecałeś, punktualnie, tak jak to ty potrafisz, wtedy, wiesz, czuję taką wdzięczność, że to aż obrzydliwe. Bo właściwie nie spodziewam się ciebie wcale zobaczyć, wiesz? Myślę wciąż, w porządku, Nora, dziś wreszcie facet oprzytomnieje i koniec zabawy, więcej go nie spotkasz, ciesz się, że ciągnęło się to aż tak długo. Taka chwila przyjemnego wytchnienia w tym twoim zasranym życiu. Więc kiedy jednak przychodzisz, czuję... no... -

Westchnęła.

- Wtedy właśnie myślę, że cię kocham. Ale potem przypominam sobie, że spotkaliśmy się ledwie w ostatnią sobotę, i znów nie mogę powiedzieć...

- Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do niego. - Zadowolony?

- Co ma do rzeczy, jak długo się znamy?

- Nikt się nie zakochuje w tydzień, kotku.

- Oczywiście że tak. Wiesz, ile trwa cała akcja Romea i Julii? Trzy dni! To wszystko. Trzy dni i już.

- Ale, Max, to tylko sztuka!

- To nie jest tylko sztuka, to Szekspir.

- Dobrze, niech ci będzie; tak czy inaczej nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia i całe te romantyczne bzdury. Czegoś takiego nie ma, kotku, a już na pewno nie zdarza się to dorosłym.

- Pewna jesteś?

Wypiła do końca swoją wódkę.

- Nie - odparła. Postawiła pustą szklankę na ziemi. - Wciąż nie wiem, dlaczego mi zełgałeś.

Nie potrafił dobrze kłamać, a tu napotkał stary problem: jedno kłamstwo wiodło nieodwołalnie do drugiego. Nie mógł sobie pozwolić na powiedzenie całej prawdy, jeśli chciał się z nią jeszcze spotykać, ani też na przyznanie się do jednego łgarstwa, jeśli dziś miał z nią pójść do łóżka.

Spytał, czy była na żydowskim ślubie.

- Ostatnio nie - prychnęła.

Zaczął jej wyjaśniać, że z pewnością wypytywano by ich bezlitośnie o ich związek i że nie chciał poddać jej takiemu doświadczeniu zaraz na początku znajomości. Przeraziło go i zdumiało zarazem, jak gładko i przekonująco to brzmiało. Zamiast więc, mówić, opowiadać jej o nadchodzącym ślubie Horowitza po to tylko, by w końcu jej ze sobą nie zabrać, pomyślał - teraz oczywiście widząc błąd takiego rozumowania - że nie wspomni w ogóle o całej uroczystości. Przyznał, że poszedł po najmniejszej linii oporu, pomylił się całkowicie, prosił o przebaczenie.

Przypatrywała mu się z uwagą, w końcu wzruszyła ramionami.

- Cholera z tym wszystkim - stwierdziła. - Każdy ślub jest taki sam, żydowski czy nie.

Wstydział się tak łatwego zwycięstwa. Może urodził się po to, by profesjonalnie manipulować prawdą; pewnie powinien był pójść do reklamy zaraz po studiach.

- Chcę, żebyś wiedział - powiedziała cicho, patrząc znów w kierunku walcowni - że niczego tak nie znoszę, jak robienia mnie w konia. Już lepiej, żeby się chłop na mnie rzucił z pięściami, niż żeby miał łągać; przynajmniej ma się szansę obrony. Wiesz, naprawdę myślałam, że jesteś uczciwy. Ale chyba znowu się pomyliłam...

Wiedziała doskonale, jak mu dopiec. Godna była uczyć nauczyciela: najpierw zburzyła jego wizję samokontroli, teraz brała się za wyobrażenie, jakie miał o sobie. Zakładanie czegokolwiek na własny temat przestało być bezpieczne.

- Powiedz mi wreszcie, że mi przebaczasz - poprosił.

Trzymała go przez chwilę w milczącej niepewności.

- Raz, zgoda - odezwała się wreszcie. - Ale drugi raz za cholerę.

Rozdział dziewiąty

- Czasem rozmyślam nad poziomem mojej inteligencji - mówiła Rosemary. - Zawsze dowiaduję się na końcu, co się wokół mnie dzieje.

Pamiętasz, jak Bill Sampson z działu graficznego ożenił się z tą, no, jak jej tam? Ta anemiczna mała z obsługi mediów?

- Denise - podpowiedział.

- Zgadza się. Wiesz, kiedy się zorientowałam, że coś jest między nimi?

Jak przyszło zaproszenie na ślub. Ci tutaj romansują na całego dosłownie za moimi drzwiami, a ja nie mam o tym najmniejszego pojęcia! Nie, żebym się specjalnie zajmowała prywatnymi sprawami, ale mimo wszystko... A, zostawmy to. - Otworzyła butelkę irlandzkiej whisky, którą wyjęła z barku za biurkiem, i napełniła szczerze szklanki. - Więc kiedy Marv Keller ogłosił, że przechodzi na emeryturę, byłam oczywiście jedyną osobą w obu agencjach, która się tego nie spodziewała. Wiedziałam, że chorował na cukrzycę, jasne, ale nie zdawałam sobie sprawy, że to tak źle wygląda.

Nigdy nie dawał po sobie nic poznać, Max, zawsze taki cichy, bez własnego zdania, zgodny, że właściwie nie zwracałam nawet uwagi, gdy na

naradach siedział tak, jakby powoli rozpływał się w powietrzu. Myślałam, że to jego styl... - Westchnęła ujmując szklankę. - Taak, zatem po ośmiu latach Keller odchodzi z Fidelity Federal, a ci chcą w ciągu paru tygodni mieć już nowego szefa reklamy. Miejmy nadzieję, że potrwa to znacznie dłużej.

- Dlaczego?

- Lepiej wypij.

- Rosemary, nie pojmuję tego twojego przygnębienia. Keller odchodzi na emeryturę, znajdują nowego szefa, w porządku. Co w tym takiego strasznego?

Rosemary obdarzyła go jednym z kontrolowanych uśmiechów, maskujących jej fatalne uzębienie.

- Zapominam nieraz, że jesteś wciąż nowicjuszem w branży, dopiero gdy palniesz coś podobnego...

- Co takiego palnałem?

- Max, masz tu klasyczny, podręcznikowy przykład sytuacji, w jakiej agencja traci klienta. Nowy szef - albo szefowa - obojętnie kimkolwiek by był, będzie musiał szybko pokazać, że trzyma wszystko w garści dokonując rozmaitych radykalnych zmian. Innymi słowy, jest to wyznaczenie terenu, nad którym rozciąga się twoja władza. A najprostszym, najszybszym i najmniej nieprzyjemnym sposobem dowodzenia tego jest zrezygnowanie z usług dotychczasowej agencji i zaangażowanie nowej, wybranej czy zaaprobowanej już przez ciebie. Nawet nie jestem ci w stanie powiedzieć, ile razy byłam świadkiem czegoś podobnego. Skąd, myślisz, wzięła się połowa naszych klientów? Wystarczy plotka, że gdzieś szykują się zmiany na poziomie kierowniczym, i już krążymy tam jak sępy. - Wychyliła swoją whisky szybkim męskim ruchem, odstawiła szklankę i wsparła się ciężko na skrzyżowanych na blacie biurka ramionach. - Boję się - powiedziała. -

Dawno się już tak nie bałam.

Nie chciał poddać się jej ponurości.

- Rosemary, prowadzimy kampanię Fidelity Federal od ponad dziesięciu lat, czy to się nie liczy?

- Nie w tej branży.

- A co z ostatnią robotą?

- Klienta interesuje tylko, co zrobiłeś dla niego dziś rano.

- Przecież wciąż mamy do czynienia z ludźmi, nieprawdaż? Gdzieś tu musi być miejsce na lojalność.

Jego nie tknięta nadal szklanka stała na biurku. Rosemary pchnęła ją

lekko w jego stronę: - Napij się.

Upił trochę.

- Więc myślisz, że możemy ich stracić? - spytał.

- Pół na pół.

- Mimo że nawet nie wiesz, kto ma być tym nowym szefem?

- Dlatego jestem optymistką i oceniam szanse na pięćdziesiąt procent.

- A co, jeśli się okaże, że to rozsądna osoba z nie rozdętym ego?

- Pójdę na pielgrzymkę do Lourdes, a potem wstąpię do klasztoru.

- Roześmiała się. - Max, ludzie z normalnym ego nie zajmują się administracją i zarządzaniem, raczej sprzedają piwo w wesołych miasteczkach albo coś w tym rodzaju...

Przebiegł go nagły dreszcz. A więc jego nieoczekiwane szybka, niczym „nie zawiniona” kariera w agencji mogła teraz zamienić się w równie gwałtowny upadek. Przełknął trochę alkoholu i zadał pytanie, bojąc się odpowiedzi:

- Co będzie, jeśli stracimy Fidelity?

- Stracimy jedną trzecią dochodów.

- A wtedy?

- Zwolnimy jedną trzecią ludzi.

- Mnie też?

- Pewnie tak. Jesteś wciąż jeszcze nowy, rozumiesz...

- A ciebie?

- Całkiem możliwe.

- Więc co robić?

- Nic. Czekać. - Wywołała kolejny uśmiech i dołała whisky do szklanek.

- Możemy również przestać zamartwiać się - orzekła - i coś wypić.

Wyszedł z jej biura dopiero po siódmej; zanim dojechał do mieszkania Nory, był już pijany. Siedziała na sofie w swym postrzępionym karminowym płaszczu kąpielowym, szklanka z wódką w dłoni, telewizor niecały metr przed nią. Oglądała jakiś program rozrywkowy, zaśmiewając się z dowcipów, których nie tylko nie wyczuwał, ale gdyby nawet je rozumiał, z pewnością nie uznałby ich za zabawne. Pocałował ją, swoją królową, księżniczkę domową: jej rozluźnienie i oszalały taniec języka zdradzały, że była równie jak on wstawiona. To, że byli pijani tak wcześnie, przestało być czymś niezwykłym. Wkroczyli w okres, który zakreślać miał później w pamięci jako ich fazę alkoholową czy raczej jego fazę; jej wytrwałe upijanie się trudno było nazwać fazą. Ostatni raz hulał

podobnie w czasie pierwszego roku studiów w Tulane, kiedy nadmiernie długi okres bez Janey zerwał wszelkie wiążące go ograniczenia. Teraz znów dryfował w morzu alkoholu dzięki kobiecie. Trunek był

nieodłącznym elementem ich związku już od pierwszego wspólnego wieczoru w Cousin Hugo's, choć dopiero teraz zaczynał jej dorównywać w liczbie wychylanych szklanek; ona zaś, być może zachęcona tą niespodziewaną dla niego brawurą, podniosła poprzeczkę i piła jeszcze ostrzej. Wiezorami (utrwaleniu się tego zwyczaju sprzyjała podróż poślubna Horowitzów do Meksyku) przynosiła mu jego pierwszą whisky z wodą - w jednej z kuchennych szafek, wepchnięta pomiędzy torebki rozmaitych paskudztw, stała jego butelka J&B - i zaczęli pić, przerywając czasem dla zjedzenia kolacji czy wyprawy do któregoś z pobliskich barów, aż wreszcie zwalali się na jej wodny materac; pozwalając pożądaniu narastać przez całą noc, odkładali najczęściej kochanie się do rana, kiedy rozbudzeni rzucali się na siebie z zawziętą niecierpliwością zwierząt. Najczęściej, musiał przyznać, była to zabawa: pełna zmysłowości, niebezpieczna zabawa, jakiej dotąd rozpaczliwie brakowało mu w życiu. Nagle był bardziej nastolatkiem, niż wtedy, gdy mógł sobie na to naprawdę pozwolić. Którejś ciepłej październikowej nocy wzięli jej poobijaną impalę z dziurą w podłodze i popsutym tłumikiem, by pojechać do kina na świeżym powietrzu, gdzie na przemian pili wódkę prosto z butelki, jedli gorące kaczany kukurydziane, oglądali nieuważnie jakiś bezsensowny film i kochali się niezgrabnie na skrzypiącym i brudnym tylnym siedzeniu: pierwszy raz, kiedy udało mu się to wreszcie w samochodzie. Innej nocy, zabrawszy śpiwory i alkohol na rozgrzewkę, rznąli się na spokojnych, nie patrolowanych gruntach Concordia Seminary, tuż za górującym pomnikiem Lutra; na krańcach ogrodu zoologicznego, gdzie stały wielkie jaja żeliwnych klatek dla ptaków, pamiątki Wystawy Światowej z 1904 roku, w żółtym świetle okrągłego księżycyca pili zdrowie zagapionych nieruchomo flamingów; któregoś wczesnego poranka jedli mózdzki z jajkiem w Irv's Good Food przypatrując się różowiejącym ścianom, gdy za ich plecami podnosiło się słońce; niejeden raz, po pijanemu i być może pochopnie, wyznawali sobie wzajemnie miłość.

Piątkowego wieczoru, w połowie maratońskich bachanalii, obwieściła, że ma ochotę na tańce. Kazała mu czekać w pokoju aż się przebierze, wreszcie wyszła, puszając się jak paw i śmiejąc, w dzinsach, haftowanej traperskiej koszuli, kowbojskich butach o wysokich obcasach i spiczastych noskach, z żółtą chustką zawiązaną na szyi, i pojechali do South Fork Saloon na Grand

Avenue, parę przecznic od jej Pałacu. Tancbuda przypominała ciemną i brudną stodołę, ale po paru minutach podchmielony i być może dlatego pełen wyrozumiałości uznał, że tak właśnie powinno być. Nikt tu nie udawał, że pochodzi z zabitej dechami prowincji - to on, gość z innej kultury, w marynarce z renomowanej firmy i krawatem wetkniętym w kieszeń, próbował się jakoś znaleźć w otoczeniu autentycznej „soli ziemi”. Przygrywający zespół, pominąwszy jakoś prezentowanej sieczki, był zdumiewająco dobry: czyste brzmienie, mocne męskie głosy, łagodna harmonijka. Starszych było na deskach tyle samo, co młodzieży, a grana wciąż tradycyjna teksańska polka dopuszczała demokrację nieznaną w dyskotekach czy salach balowych: przynajmniej raz piękno nie krążyło wokół piękna, a brzydota nie upychano z brzydota: sprośni dziadkowie, którym koszule wyłaziły z portek, okręcali gibkie dziewczyny o podrygujących pośladkach, tłuste damy w ogromnych kowbojskich kapeluszach ścisnęły talie wywijających nimi młodzieńców, pary stawały się trójkami, trójki zamieniały się w czwórki, aż rzędy trzymających się ramionami tancerzy skakały i wyrzucały nogi w powietrze obracając się niczym szerokie, nieśpieszne w ruchu, wieloskrzydłowe wrota. Tu oto, myślał sącząc swoją whisky, urzeczywistniała się pionierska wizja amerykańskiej równości. Wprawdzie nie dostrzegął w tłumie ani jednej murzyńskiej twarzy, ale... nawet utopia ma swoje granice.

Nora była w swoim żywiole. Oczy jej błyszczały, wilgotne od wódki usta wtórowały tekstom piosenek, dłonią, nie kryjąc się z tym bynajmniej, masowała pod chwiejącym się drewnianym stołem jego krocze.

Przechyliwszy się, krzyknęła mu do ucha: - Chodź tańczyć!

- Nie dam rady! - odkrzyknął.

- Pomogę ci.

- Następny kawałek.

- Ale dlaczego?

- Dlatego! - wrzasnął znów i przycisnął jej dłoń do sztywnej krzywizny swojego ciała.

Wybuchnęła śmiechem i chwyciwszy go za przegub wyciągnęła na zatłoczone deski podłogi. Tancerz był z niego żaden, ale pewna ręka Nory i jego pijacki luz pomogły mu wypracować swoisty rodzaj skacząco-posuwistego ruchu, całkiem niezłe jego zdaniem imitującego właściwy krok. Odrzucała wciąż do tyłu głowę ze śmiechem, czy w uznaniu jego starań, czy też rozbawiona niezgrabnością naśladownictwa, nie dbał o to.

Nie posiadał jej wdzięku ani umiejętności, widząc ją teraz czuł ogarniające go wzruszenie: jego podstarzała dziewczucha, jego królowa motłochu... Żółta chustka, którą obwiązała kark, wydawała mu się szczególnie zalotna, delikatny, jednorazowy porporzec jasności otaczający tę wrażliwą szyję -

przypatrywał jej się ze zdumieniem ściskającym serce; to nie mogło być nic innego, tylko uczucie.

Łysy tłuścioch z brzuchem jak wielki bęben odbił mu Norę. Cofnął się i z zadowoleniem obserwował ich taniec nim nie zorientował się, że jego sztywność wcale nie ustąpiła. Wrócił do stołu, gubiąc przy tym Norę w tłumie.

Gdy muzyka przestała grać, padła ciężko obok niego na krzesło i rozluźniła chustkę.

- Czemuś mnie zostawił temu bęcwałowi?

- Jakiemu bęcwałowi?

- Temu grubemu. Wiesz, co ten skurwiel zrobił? Za dupę mnie zaczął łapać! Chciałam mu przyłożyć kolanem w jaja, ale ten jego cholerny bandzioch mi przeszkodził. - Uniosła szklankę, rzucając okiem przez ramię. - Jezu, nie cierpię, kiedy jakaś świnka idzie do mnie z łapami!

- Na pewno potrafisz sobie poradzić - orzekł.

Wzruszyła ramionami i przechyliła szklankę.

Kołysząc się szeroko na boki, jak przy nadmiernym przeciążeniu, tłuścioch podchodził właśnie do ich stołu. Guziki kraciatej czerwonej koszuli ledwo trzymały ją do kupy, w tatarskiej twarzy widać było szparki oczu i okrągłe policzki. Skinął znacząco w stronę Nory, po czym pochylił się, oparł dłonie o stół i spojrzał z góry na Maxa.

- Chcę pogadać z twoją kobitą - oznajmił.

- Nie mamy o czym mówić - ucięła krótko.

Tłuścioch gapił się dalej na Maxa. Jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek

ludzkiego
wyrazu:
szeroka,
obojętna,
tępa

i

nieprzenikniona niczym blok betonu.

- Przynieś mi piwo - powiedział.

Czuł, jak serce tłucze mu się o żebra.

- Proszę?

- Proszę? O co ty, palancie, prosisz?

Nora położyła mu dłoń na karku.

- Ja nie... chyba nie zrozumiałem, co pan powiedział.

- Powiedziałem, żebyś mi przyniósł piwo.

Stał jakby obok siebie, gdzieś poza własnym ramieniem.

- Czemu sam sobie nie przyniesiesz? - Usłyszał swoje pytanie.

- Bo ci powiedziałem, żebyś ty to zrobił, palancie.

- Nie jestem kelnerem. Widzisz tę kobietę, o tam, w kowbojskim kapeluszu? Z tacą w dłoni? To właśnie kelnerka. Czemu jej nie poprosisz o piwo, jeśli już jesteś tak kurewsko leniwy, że nie chce ci się po nie iść samemu?

Nie wiedzieć czemu spodziewał się teraz ciosu w oko. Postanowił nie mrugnąć.

Tłuścioch uniósł dłonie i zmarszczył brwi patrząc dalej na niego.

Wstrząsnął potem ramionami i wyciągnął rękę.

- Clark - przedstawił się.

Ujął jego dłoń o palcach tłustych jak u bobasa.

- Max.

- Jestem wlany.

- To widać.

Mężczyzna przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

- Piwo? - zaproponował.

- Nie, dziękuję.

- Odpierdol się, dobrze? - wtrąciła się Nora.

Tłuścioch wyglądał teraz na skrzywdzonego.

- Dajcie spokój, chciałem się tylko z wami zabawić - rzucił. Odszedł ciężkim krokiem, kołysząc się mocno z boku na bok, z powrotem w tłum.

- Chodźmy stąd - powiedziała.

Dopiero na ulicy wszystko do niego dotarło; odreagowywał to wybuchem szaleńczego humoru. Lamy wzdłuż Grand Avenue pochylały się niczym nisko zawieszony księżyc, za to jego głowa sięgała nieba.

- Uuu-iii! - wykrzyknął, gdy ruszyli chodnikiem wzdłuż ulicy. Jej dłoń

ściskała jego łokieć, obcasy stukały rytmicznie o płyty... - Niech to szlag! - powiedział. - No, coś podobnego!

- Już byłam pewna, że ten matoł rozwali ci od razu łeb - przyznała. - Byłeś wielki, rozumiesz?

- Miła, jestem wielki jak cały Teksas!

- Zwariował, jak Boga kocham! - Roześmiała się.

- Tak, proszę pani, ale ja tylko chciałem się z wami zabawić. Bo ja to jestem taki głupi niemyty chamuś z St. Louis od południa i mi w dupę miło, że panią zapoznałem. Clark się nazywam, taa, proszę pani, nie inaczej, tak właśnie jest.

Ścisnęła go za łokieć.

- Wystarczy już - uznała. - Przestań.

Ale on nie mógł już się zatrzymać.

- Patrzajcie ludzie: nie poradzę, żem ewolucyjnie wybrakowany australopitek z mózdzkiem jak ziarnko grochu. Dobry Bozia w swojej łaskawości takim mnie po prostu stworzył. Mamusia i papcio byli braciszkiem i siostrzyczką, wszyscyśmy wzrosli żrąc gówna i kukurydziane placki...

- Przestań - powiedziała. - Naprawdę.

- ...a dzieciństwo zleciało mi na mieleniu krup i marzeniach, że kiedyś nauczę się tańczyć shimmy, jak moja siostra Kate, co to ją któregoś pięknego dnia wezmę za żonę, jeśli mnie tylko zechce, a także na podpalaniu kociaków, com je naftą wpierw oblewał. Niczego żem się nie nauczył po szkołach, bom zbyt był zajęty dymaniem tej starej krowy Bessie, najlepszej dupy z tej strony Mississipi i o tyjyle cwańszej od całej reszty klanu...

- Zamknij się - rzuciła, stając w miejscu.

- Cholera, tam skąd pochodzę, z książek mielimy papier w toalecie i zlinczowalibyśmy każdego, kto znał więcej słów niż...

Uderzyła go w twarz: mocny, piekący policzek, częściowo zahaczający o nos. Światła uliczne eksplodowały niczym super-gwiazda, nogi się pod nim ugięły. Potem poczuł obejmujące go ramiona.

- Po prostu się zamknij - powiedziała.

- Nora...

- Już nic nie mów.

Nie przestali pić. W połowie drugiego takiego tygodnia osiągnął stan permanentnego, chwilami tylko ustępującego zmęczenia; nerki miał jak posiniaczone. Nie odbijało się to jednak o dziwo na jego pracy, wykonywanej

nadal bez zarzutu, co oczywiście popychało go dalej.

Wiedział doskonale, dlaczego doprawiali romans alkoholem: łagodził on miejsca potencjalnych konfliktów, upraszczał wyobrażenia, jakie mieli o sobie nawzajem, rozmywał zasadniczą niezgodność charakterów. Nadawał również nowy, konspiracyjny wymiar ich związkowi: byli już nie tylko kochankami, ale także kompanami od kieliszka, kolaborantami w rozpuście, dziwnie dobrana para zalewająca się w zaciszu tylnych stolików McCausland Tap, dwa zmordowane ciała wracające do przytomności na zatechłej scenie wodnego łoża Nory, ich głowy dźwięczące w pełnym zrozumienia unisono.

Był jednak jeszcze jeden powód, dla którego podtrzymywał tę pijatykę: alkohol sprawiał, że Nora zaczynała opowiadać. W pierwszym tygodniu bąkała co nieco, w drugim już mu się zwierzała. Dowiedział się na przykład, że jej przodkowie pochodzili prawie w całości z Irlandii, poza jednym z pradziadków, który ożenił się z pełnokrwistą Indianką z plemienia Osagów.

- Diabelska kombinacja, mówię ci, Irlandczycy i Indianie, zwłaszcza w rodzinie tak trunkowej, jak moja. Jedni nie mogli przestać pić, drudzy nie wiedzieli, jak pić. - Siedzieli w ich ulubionej niszy w McCausland Tap, puste szklanki ustawione w rzędzie, niczym oddział podpitych żołnierzy oczekujących rozkazów. Jej oczy o migdałowym kształcie niemal świeciły.

- Jezu, nigdy nie widział takich potwornych ochlaptusów. Ojciec pił, i to jak, ale matce nikt nie potrafił dorównać. Ta pociągała od zawsze. No, a ja sama, jak tak opowiadam o picciu... Ale nie jestem alkoholiczką, widzisz chyba?

- Udajesz całkiem nieźle.

- I kto to mówi... Powinieneś mnie widzieć, gdy byłam małą. Cała indiańska krew w naszej rodzinie musiała płynąć we mnie. Miałam długie czarne włosy, zupełnie proste, matka zaplatała z nich dwa warkocze, znaczy, kiedy była na tyle trzeźwa, że nie olewała tego, jak wyglądam, i ojciec dostawał wtedy białej gorączki. Nie mógł ścierpieć, że w rodzinie była krew czarnuchów, uważał, że każdy, kto nie był biały, musiał być czarnuchem, taki był ciemniak... Jak się zalał, nazywał mnie Pocahontas, i wyżywał się na mnie z jakąś specjalną złością. Lał też i moich braci i siostrę, ale ze mną było tak, jakby całymi nocami kombinował jakieś specjalne rzeczy.

- Na przykład jakie?

- Takie - ująwszy jego dłonie zacisnęła je na szklance. - Kazał mi trzymać ręce w ten sposób, potem wlewał wrzątek do szklanki, a ja musiałam

wytrzymywać, aż mi łzy zaczynały lecieć.

- Po co?

Wzruszyła ramionami, podniosła szklankę do ust.

- A czort go wie... O, ja byłam niezły gagatek, nie ma co gadać, połowa z tego, co ten trep wymyślił, pewnie mi się należała.

- On jeszcze żyje?

- Umarł, gdy miałam jedenaście lat. Jedna z maszyn w walcowni zraniła mu rękę, ale odmawiał opieki lekarskiej tak długo, że gdy wreszcie wzięto go do szpitala, umarł na zakażenie krwi. Więc jeśli się będziesz kiedyś zastanawiać, skąd we mnie tyle uporu, to po tatusiu. Zawzięta jestem jak ten skurwiel.

Jej matka, dowiedział się innego wieczoru, zmarła parę lat później na marskość wątroby. Nora dorastała objając się między domami opiekuńczymi, aż jako siedemnastolatka poznała Jacka Cromwella i wyszła za niego.

- A on? - zapytał.

- Co on?

- Co to za typ?

Prychnęła pogardliwie: - Naprawdę cię to wszystko interesuje?

Człowiek, którego opisała, był wyjątkowo odrażającym typem: pijak, gwałtownik, ignorant, gbur. Pracował w browarze, żył w barach, do domu przychodził tylko po to, by ją pobić.

- Ale kochanek z niego był!... - Leżała na łóżku wsparta o piramidę poduszek, ze szklanką wódki na płaskiej piersi. - Potrafił sprawić, że czułam się niczym słup z dziurą po sęku. I, skubany, taką miał potencję, że tylko mnie przeleciał, a już byłam w ciąży. Dlatego zresztą żeśmy się pobrali. Pierwszy raz było to w jego samochodzie, za starym budynkiem VFW w Maplewood, i proszę, zaraz mnie załatwił.

- Nie byłaś z nim nigdy szczęśliwa?

- Z całą pewnością nie.

- Nawet w pierwszych miesiącach?

- Wiesz, wszystko to szlag trafił w dniu ślubu. Straciłam dziecko, to jedna rzecz. Wtedy chyba zaczął się po raz pierwszy wyzywać na mnie, zupełnie jakby czekał, aż dojdę do siebie i będę się mogła bronić. A zaraz potem znowu byłam w ciąży, więc odczepił się na jakiś czas. Ale to już zawsze tak było: lał mnie, gdy miałam pusty brzuch, robił mi dziecko, dawał na parę miesięcy wytchnąć. W końcu było tak, że szłam z nim do łóżka tylko po to,

żeby zająć w ciążę i mieć trochę spokoju... - Przełknęła łyk i spojrzała na Maxa. - Okazało się potem, że mam niewydolną macicę.

To oczywiście dla Jacka było zbyt skomplikowane, nic nie mógł pokapować. Wiedział tylko jedno: chciał mieć syna, a ja mu go nie dawałam. Kiedy się czasem solidnie zaprawił, krzyczał, że tracę dzieci jemu na złość. Z pewnością bym to zrobiła, słowo honoru, gdybym tylko wiedziała, jak to zorganizować, tak go już wtedy nienawidziłam.

Powiedziałam mu nawet kiedyś, że te wszystkie poronienia wywołuje on sam, że to w nim jest coś chorego. Skurwiel był tak dumny, że mi chyba uwierzył.

- Kiedy urodził się Charley?

- Najpierw muszę ci opowiedzieć coś jeszcze o Jacku.

- Dobrze.

Pociągnęła długi, powolny łyk i zaczęła mościć się na poduszkach.

- Wiesz, miał taki zwyczaj, że z paroma kumplami z browaru, też niezłymi głupkami, zaczynał dłuższą pijatykę. Czasem trwała parę dni: nie dzwonił, nie odzywał się, nic. Kilka razy, jeszcze na początku, wychodziłam z siebie ze strachu. Rozumiesz, ja tu siedemnaście czy osiemnaście lat, najpewniej w ciąży, żadnej rodziny czy przyjaciół, żeby do nich zadzwonić, łązę w kółko po domu widząc już chłopca martwego w jakimś rowie. Ale ciągnęło się tak latami, w końcu doszło do punktu, że za każdym razem miałam nadzieję: może wreszcie jest martwy. A potem któregoś dnia, kiedy jak zwykle balował w okolicy, poroniłam znowu. To już był prawie szósty miesiąc, ciało miałam osłabione do szczytu i zaczęłam krwawić jak ciężka cholera. Czulałam się opuszczona, nie miałam grosza na taksówkę, nikogo, kto mógłby mi pomóc... nie wiem tylko, czemu nie wpadło mi do głowy, żeby zadzwonić po karetkę. Więc przygotowałam się na śmierć. Pamiętam, że wlałam do wanny, bo nie chciałam zapaskudzić pościeli... możesz to sobie wyobrazić? Musiałam zemdleć, bo gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam Jacka, pijanego w dupę i plotącego coś od rzeczy. Zanim dojechaliśmy do szpitala, straciłam tyle krwi, że przez jakiś czas nie wiadomo było, czy się wygrzebię. Doktor powiedział, że jeszcze tylko godzina i byłabym już trupem... No, po tym wszystkim uznałam, że to Jack jest trup. Mógł robić, co chciał, już mnie to nie bolało, bo już go nie było, nie istniał. Nieboszczyk, z którym przyszło mi żyć. A potem urodził się Charley...

I tu zaczynało się jej milczenie. Choćby lał w nią wódkę bez końca, wciąż opowiadała o synu w najbardziej ogólny, wyidealizowany sposób: był dobry,

słodki i kochany niczym mała Ewa z Chaty wuja Toma, podobnie jak ona oddał ducha w spokoju i zgodzie ze światem, po czym powędrował prosto do nieba w ciżbie radosnych aniołków. Zaczynał

wątpić, czy Charley kiedykolwiek istniał. Gdzie bowiem podziały się wszelkie na to dowody? W całym domu nie było żadnych jego zdjęć, żadnych szkolnych pamiątek na ścianach, pożółkłych komiksów upchniętych pomiędzy stosami numerów jej Cosmopolitan, okrytych kurzem rękawic baseballowych w szafie. Nie miało to sensu, chyba że ukrywała coś starannie, a cokolwiek to było, przekraczało prawdopodobnie swą szpetotą wszystkie dotychczas zdradzone mu tajemnice. A zatem, mimo wielogodzinnych,

starannie
aranżowanych
przesłuchań,
podlewanych alkoholem, wciąż go czekało przełamanie sekretnego kodu tej kobiety, w której zakochał się - nie usiłował już wmawiać sobie, że jest inaczej - coraz beznadziejniej.

Rozdział dziesiąty

- A zatem - Sara Roth wyławiała kandyzowaną wiśnię zatopioną w cocktailu - opowiedz mi o niej.

Miał szczerzy zamiar to zrobić. Przez ostatnie dwa tygodnie (odwołała ich umówiony na poprzednią sobotę lunch twierdząc, że czuje się „za ponuro”, by spotykać kogokolwiek) przygotowywał się psychicznie do tej rozmowy. Teraz jednak, w spokoju łagodnie oświetlonego wnętrza restauracji, pojął, że przeliczył się, czy to z porą swej spowiedzi, czy też z wyborem spowiednika. Niepotrzebnie chciał ujawnić istnienie Nory, poza tym Sara nie wyglądała na gotową do przyjęcia żadnych denerwujących nowin. Powiedziała mu prawie natychmiast po zajęciu miejsca przy stole, że przez cały tydzień bardzo źle sypiała, i przeprosiła go z góry za wszelkie nierozważne wypowiedzi, jakie mogą się jej w związku z tym przytrafić.

Przyszła la spotkanie w gładkiej bluzce cytrynowego koloru, ze ślubną obrączką na palcu i makijażem tak delikatnym, jak gdyby chciała, niczym nie upiększona, z opuchniętymi powiekami i ściągniętymi ustami, udowodnić mu przegraną walkę o sen.

Upił nieco ze swojej szklanki. Wciąż szumiało mu trochę w głowie po nocnej orgii z Norą, ale łyk alkoholu bynajmniej mu teraz nie pomógł.

- Czy mam cię ciągnąć za język? - Uśmiechała się do niego. Jego ociąganie się było nawet wdzięczne: ot, pełen skrępowania zakochany młody człowiek.

- Nie będzie mi łatwo mówić o niej.

- Dlatego, że byłam twoją teściową?

- Dlatego, że jestem tchórzem - odparł.

Uniosła brwi. Przy stole wyrósł niespodzianie kelner: wysoki, wyprostowany młodzian; proste jasne włosy opadały mu zbyt nisko na kark.

- Nie zdecydowaliśmy się jeszcze, Julian - zwróciła się do niego Sara. -

Ale proszę przynieść nam następną kolejkę za parę minut. - A gdy kelner

oddalił się, rzuciła do Maxa: - No, już, zaczynaj. Jaka ona jest?

Złożył uważnie obie dłonie jak do modlitwy.

- Jest... inna - powiedział.

- Inna niż kto?

- Janey, na przykład.

- Myślałeś, że oczekuję, iż znajdziesz nową Janey?

- Janey była tylko jedna.

- Ach, nie pleć bzdur. Tysiące ich chodzi wokół.

- Co to ma niby, do cholery, znaczyć?

- Mam już po prostu serdecznie dość wysłuchiwania peanów na jej cześć, ciągłego idealizowania jej... - Wzruszyła ramionami. - Nie była żadną wyjątkową dziewczyną, raczej w miarę stereotypową, rozpieszczoną żydowską princessą ubóstwiającą konie, tenisa, własne odbicie w lustrze i wszystko, co dało się kupić. Kochałam ją, to pewne, ale nie pozwolę, by robiono z niej teraz kogoś, kim nie była. Ciężko mi przyszło przez ostatnie dwa lata bronić się przed tego typu bałamuctwami, strasznie ciężko. I trudno jest pamiętać rzeczy takimi, jakimi były naprawdę, gdy każdy wokół ciebie nieustannie pisze na nowo historię. Boże, żebyś słyszał Billa mówiącego o niej! Można pomyśleć, że to skrzyżowanie Matki Teresy z Albertem Einsteinem.

- To ciekawe - przyznał.

- Co w tym ciekawego?

- Janey powiedziała mi kiedyś, że musiałyby zdobyć nagrodę Nobla, by zyskać twoją aprobatę.

- Zbyt wielu szans nie miała...

- Na Nobla czy twoją pochwałę?

Zmrużyła powoli błękitne, zmęczone oczy, potem upiła łyk koktajlu.

- Nie gniewaj się, Max - powiedziała. - Wcale nie chciałam sprowadzić rozmowy na ten temat. Ale ostrzegałam cię, że może mnie ponieść...

gięliśmy nie mówić o Janey, tylko o twojej nowej przyjaciółce.

- Przepraszam cię, mnie też wszystko dzisiaj drażni.

- Tak jak mnie. Zostawmy to, opowiedz coś o niej. Żydówka?

- Nie - odparł uśmiechając się.

- Oczywiście ładna?

- Raczej nie... a właściwie sam nie wiem. Nie potrafię się zdecydować.

- Coraz bardziej interesujące. Inteligentna?

- Tego też nie potrafię powiedzieć.

Nerwowo bawił się kolorową plastikową słomką, którą mieszał swój koktajl, świadom, iż Sara cały czas przypatruje mu się badawczo. Uchylił lekko drzwi, za którymi kryła się Nora; zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zatrzaśnie ich natychmiast, później nie będzie już w stanie tego zrobić: jedno wyznanie więcej i cała reszta posypie się niczym zawartość przepelnionej szafy w teatralnej farsie.

- Ile ma lat? - spytała.

Odrzucił powykrecaną słomkę na nieskazitelny obrus.

- Czterdzieści jeden - odparł.

- Ile?!

- Miałaś nie okazywać zaskoczenia.

- Prawda, tak, przepraszam, ale... Boże, Max, przecież to praktycznie moje pokolenie! Gdzieś ty ją znalazł?

- Wybrałem się na podryw do domu starców.

- W porządku. Nie powinnam się tak podniecać, wiem, ale tyle jest pięknych młodych dziewcząt, a ty akurat musisz z taką starą babą... Max, wybacz, chyba trochę za bardzo sobie pozwalałam.

- Nie, nie - zaprzeczył. - Całkiem słuszne pytanie: dlaczego akurat z taką starą babą?

Pikolak zabrał ze stołu zniszczoną słomkę.

- Może to nawet ma sens - powiedziała - że wiążesz się teraz ze starszą kobietą.

- Doprawdy? - Od samego początku oczekiwał takiej właśnie reakcji z jej strony. - Jaki sens?

- Nie złość się tylko na mnie, gdy ci powiem.

- Bez obrazy.

- Po tym wszystkim, co przeszedłeś, podświadomie rozglądasz się zapewne za typem matki... - Czekala na jego odpowiedź. - Co o tym myślisz?

- Mam matkę.

- Nie masz, kochanie. I nigdy nie miałeś.

Skończył swój koktajl.

Prawdą było, że Ignął do starszych od siebie kobiet. W czasach, kiedy uczył, nie było chyba wykładowczyni angielskiego, która nie uznałaby go za swego protegowanego. Teraz znowu siedział ze swą byłą teściową...

Nawet za życia Janey wiązała go z Sarą dziwna, wręcz wyjątkowa zażyłość. Do tego jeszcze Rosemary Powers: znów był podopiecznym osoby

łączącej w sobie wychowawczynię, matkę i protektorkę. Jak dotąd, nic nie odbiegało od reguły. A Nora? Aż parsknął śmiechem.

- Bardziej już nie mogłaś się pomylić. Jeśli w tym związku ktoś ma pełnić rolę matki, to ja. Nie potrafię sobie jej wyobrazić wychowującej kogokolwiek.

- Raczej dziwne jest to, co mówisz.

Prawda, pomyślał.

- Pozwól, że o coś cię jeszcze spytam - odezwała się po chwili. - Młode dziewczyny potrafią sprawić całą masę kłopotów. Dojrzała kobieta, która już niejedno przeżyła... no, chyba jest w stanie zapewnić ci wszelkie wygody.

Czy nie tak, Max? Spokojnie ci się żyje?

- Jak na diabelskim młynie.

- Och? Kłóćcie się?

- Kłóćmy, i to jak.

- Kto zwykle zaczyna? - Ja.

- Ty? Trudno mi w to uwierzyć. O co się kłóćcie?

Westchnął.

- Nie jestem w stanie zaakceptować jej taką, jaka jest.

- A jaka jest?

Gdyby powstrzymał się, by wyobrazić sobie jej prawdopodobne reakcje - zaskoczenie, przerażenie, obrzydzenie - z pewnością nie powiedziałby słowa więcej. Rozpędzony, zrobił z niej dalekiego i obcego wręcz słuchacza, niezdolnego do ferowania wyroków, widział tylko parę błękitnych, zmęczonych oczu

zawieszonych po drugiej stronie restauracyjnego stolika - otworzył zatem zwyczajnie usta i zaczął mówić. Im więcej ujawniał, tym więcej odważał się ujawnić; praktycznie nie pozostawił niczego, co według niego mogłoby mieć jakieś znaczenie.

Opowiadał jej o wszystkim, od pierwszego spotkania w Cousin Hugo's do ostatniej pijatyki, od uwielbienia Nory dla Marilyn po jej frenetyczny bełkot w czasie seksualnych porywów. Zjadł przyniesione danie, nie czując zupełnie jego smaku, stracił umiar w picciu. Przysłuchiwała się bez słowa jego gorączkowemu monologowi, aż wreszcie, gdy pikolak sprzątnął nakrycia, a on kończył swoją opowieść, sięgnęła poprzez stół i ujęła jego dłoń.

- Przydałoby się nam trochę świeżego powietrza - stwierdziła. -

Przejdziemy się?

Znów pijany, wyczerpany, osobliwie ożywiony, pozwolił jej wyprowadzić się pod ramię z półmroku restauracji w oślepiające światło dnia. Biurowce finansowej części Clayton, wyludnionej jak zwykle w sobotę, lśniły w ostrym, srebrnym blasku listopadowego słońca jak gigantyczne kostki cukru. Przeszła z nim Forsythe Boulevard, aż doszli do ocienionego skwerku przy bibliotece. Usiedli na jednej z ławek, oddzieleni od siebie milczeniem śledzili wzrokiem nieliczne samochody poprzez szeleszczącą zasłonę brązowych liści. Wreszcie odezwała się: - Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

Wyjawiał tajemnicę, przytłaczający ciężar znikł więc przynajmniej na chwilę, przestał być problemem i niespodzianie dla samego siebie poczuł, że w gruncie rzeczy niewiele go interesowało zdanie Sary. Musiał jednak jej wysłuchać, oparł się zatem wyprostowany o zimną ławkę, wbił pięści w kieszenie marynarki i starał się skupić uwagę.

- Nie będzie to przyjemne - zaznaczyła.

- W porządku.

- Jestem w dodatku spięta...

- Nie usprawiedliwiaj się.

- Dobrze, nie będę. - Wzięła głęboki oddech. - Zostaw to. Zostaw to jeszcze dziś, jeśli tylko możesz. Max, na litość boską, ostatnia rzecz, jaka ci teraz potrzebna, to kolejna życiowa katastrofa! A z tego, co mi opowiedziałeś, wynika, że aż się o to prosisz.

Czuł, jak rośnie w nim sprzeciw.

- Mówisz tak, jakbym wszystko robił specjalnie.

- Robisz. Podświadomie, ale...
- A skąd ty niby wiesz, co siedzi w mojej podświadomości?
- Max, proszę... Opowiedziałeś mi o tej kobiecie, bo chciałeś wiedzieć, co o tym myślę. Nie odbieraj mi teraz głosu, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.

- Przepraszam - rzucił. - Mam chyba przed tym lekkiego stracha.
- Całkiem słusznie.

Wiatr rozdzierał zasłonę zeschniętych liści; ich nieustający szelest brzmiał niczym dźwięk dobiegających z daleka oklasków.

- Bo cóż to właściwie za kobieta, Max? Z całej twojej opowieści wynika, że to po prostu biedna łachudra. Nie gniewaj się, ale uprzedzałam cię, że będę szczerą.

- Mów dalej.

- Nie możesz się z nią zaprzyjaźnić, mało tego, chyba jej nawet nie lubisz. Pochodzicie z zupełnie odmiennych środowisk, wasze życie ma całkiem inny styl. Taki związek może prowadzić tylko ku katastrofie. Nie mówię ci zresztą niczego nowego, wiesz o tym doskonale sam. Dlaczego więc upierasz się przy tym?

- Ty mi powiedz.

- Czujesz paniczny strach i próbujesz się jakoś obronić.

- Też mi sposób, niech to szlag! - roześmiał się.

- To jest sposób, posłuchaj tylko. W tym mieście znalazłoby się tysiące młodych, odpowiednich kobiet, które tylko czekają, by pokazać się z mężczyzną młodym, przystojnym, inteligentnym i porządnym, jak ty.

Dlaczego więc nie umawiasz się z żadną z nich? Bo się tego boisz, podejrzewam. Przeraza cię wizja bliskiego związku z właściwą dla ciebie kobietą, z którą przyszłość miałaby szansę... i nagła utrata tej kobiety, jej odejście, tak jak to stało się z Janey. Twój organizm nie zniósłby kolejnej straty, czy też uważasz, że nie zniósłby. Co zatem robisz? Rzucasz się na kobietę, która jest jedną wielką pomyłką, kobietę, którą nie możesz w skrytości ducha nie pogardzać. Angażujesz się w związek od samego początku skazany na niepowodzenie, a więc na dobrą sprawę nie zaangażowałeś się w nic. Jaką stratą będzie utrata Nory? Pozbyciem się kłopotu, naprawieniem błędu, niczym więcej. Zyskasz tylko, na tym w każdym razie polega zwariowana logika. Rzeczywistość jednak jest zupełnie inna. Rzeczywistość jest wyłącznie destrukcyjna: igrasz z uczuciami tej biednej kobiety i swoimi własnymi; zwłaszcza to jest bardzo niebezpieczne.

Udajesz w okropny, pokrętny, nieuczciwy sposób miłość, gdy naprawdę właśnie miłości się boisz; powtarzam ci więc, zostaw, wycofaj się jak najszybciej potrafisz, zbierz się do kupy i znajdź sobie kobietę, z którą odżyjesz. Jak długo, myślisz, możesz się katować?

- Mam zamiar sprawdzić - odparł.

Dotknęła jego ramienia.

- Max, nie odrzucaj moich słów, nie mówię tego wszystkiego, by cię urazić. - Usiadła zwracając się do niego twarzą, smutna i jakby wystraszona.

- Byłam zbyt surowa?

- Nie. Wszystko, co powiedziałaś ma sens, sto procent sensu.

- Naprawdę?

- Ma sens, tyle że jest to gównem warte, to jedyny problem. - Stał przed nią, wręcz biło od niego absolutnym przekonaniem. - Sprzedałaś mi podręcznik psychologii, nic innego, jak masę wspaniale wyglądającego psychoanalitycznego śmiecia. Czy naprawdę uważasz, że stać by cię było na takie eleganckie, nie do obalenia argumenty, gdybyś choć zbliżyła się do prawdy? Wszyscy jesteśmy pokrętni, nikt nie kroczy prosto. Osobowość to nie jest jakiś zasrany rysunek techniczny, nie można jej tak odczytywać!

- Nie wściekaj się.

- Nie wściekam się. A zresztą, jeśli nawet, to co? Najwyższy czas, żebym się wreszcie trochę powściekał. - Z pięściami wbitymi w kieszenie maszerował tam i z powrotem przed ławką, na której siedziała Sara, krucha i lalkowata w swym podbitym futrem żakiecie. Miał ochotę złapać ją za ręce i wtłoczyć w nią całą swoją prawdę, której był pewien. - Pozwól, że ci powiem, kim Nora nie jest - odezwał się w końcu. - Nie jest matką, nie jest przekreśloną na opak Janey ani też nie jest składem moich nerwic. Z twoich słów dałoby się wywnioskować, że należy do jakiejś specjalnej kategorii kobiet, kobiet całkowicie wymiennych. Mógłbym iść do byle jakiej speluny w South St. Louis, poderwać następną prostą, starzejącą się babę: nie ma żadnej różnicy, przecież chodzi tylko o zaspokojenie tej mojej wariackiej potrzeby, żeby być z kobietą, którą z gruntu pogardzam, prawda? Czy nie to właśnie mówisz?

Patrzyła na niego bez słowa.

- Otóż ja potrzebuję Nory. Chcę być z tą właśnie kobietą, która pracuje w Białym Pałacu na rogu Grand i Gravois, i mieszka we wstrętnym domu w Dogtown. Jej właśnie chcę. I nie podsuwaj mi żadnych przyczyn takiego właśnie stanu. Dlaczego miałyby być jakaś specjalna przyczyna? Janey

umarła, zakochałem się w Norze. Oto dwa twoje przypadki, zgadza się?

Twoje dwa przypadki. No i teraz powiedz mi, ładnie, przekonująco, bezsprzecznie, dlaczego akurat się przydarzyły.

- Max...

- Powiedz!

- Nie są ze sobą związane.

- O nie, są. Są z całą pewnością.

- W jaki sposób?

- Oba wydarzyły się bez powodu, z żadnym nie mogę sobie dać rady, a oba sprawiają, że mam zafajdane życie.

Chciał mówić dalej, ale nagle zapłakał. Nie było żadnego okresu przejściowego: paradował przed nią i wrzeszczał, by w następnym momencie klęczeć z twarzą wciśniętą w szorstki, pachnący perfumami materiał jej spódnicy, próbując złapać oddech między spazmami.

Nie dotknęła go, nie odezwała się do niego, nie odepchnęła ani też nie przyciągnęła go bliżej; po prostu siedziała, zamknięta w sobie, dając mu odczuć wyłącznie swą mało konkretną, ale jednak wyraźną ciekawość.

W ciągu następnych dni spróbował wziąć się w garść i przynajmniej częściowo odzyskać kontrolę nad sytuacją. Pierwszy raz od tygodni odkurzył starannie i wysprzątał swoje mieszkanie; oddał do czyszczenia wschodni dywan, pojechał wreszcie do warsztatu, gdzie wymieniono reflektor i zreperowano przedni błotnik jego volva; odnowił kontakt z Horowitzami i umówił się z nimi na spotkanie w końcu tygodnia, by obejrzeć przezroczą z ich podróży poślubnej do Meksyku; przestał pić, butelkę whisky w kuchennej szafce u Nory zastąpił tuzinem puszek z lemoniadą. Gdy odmówił po raz pierwszy towarzyszenia jej w piciu, przyjęła bez zastrzeżeń jego tłumaczenie, że nerki i wątroba dawno już domagały się wytchnienia. Następnego wieczoru jednak, gdy siedziała ze szklanką w ręku oglądając Dallas, on zaś, uparty abstynent, przerzuciał

jedno z jej kobiecych pism, wciągnęła nagle głośno powietrze przez nos, opadła całym ciężarem na sofę i obwieściła: - Nudzi mnie to.

- Zmień kanał - powiedział. - Albo najlepiej zgaś to całkiem.

- I co wtedy?

- Poczytam ci. - Przechylił się w stronę telewizora, wyłączył go i otworzył pismo na pierwszym znalezionym tekście. - No proszę, artykuł, na jaki czekaliśmy: „Jego pierwsza wizyta - droga do jego serca wiedzie przez twoje mieszkanie. Mam nadzieję, że się skupiłaś...”

Prychnęła i pociągnęła długi łyk ze swojej szklanki.

- „Pamiętaj, że dom czy mieszkanie muszą być idealnie czyste.

Wszystko, naprawdę! Podłogi, ściany, okna, nawet wierzch lodówki, nie odkurzany od czasu prezydentury Cartera”. Słuchaj, doskonała rada! Coś mi się zdaje, że to szalenie pożyteczny tekst. „Nie, nie zostawiaj w widocznych miejscach żadnych osobistych rzeczy! Sprzątnij pudełko tamponów, które zostawiłaś na sedesie, i antykoncepcyjny żel leżący przy łóżku. I, na Boga, schowaj gdzieś głęboko depilator! To noc pełna romantyki, iluzji, fantazji. Przyziemna rzeczywistość, jeśli wieczór będzie spełnieniem marzeń, każe na siebie długo czekać. Wstaw też do wazonów świeże kwiaty..

Podniosła się z sofy.

- Czemu nie wywalisz tego pieprzonego magazynu, nie odstawisz w diabły twoich zakichanych ziółek i nie napijesz się ze mną czegoś uczciwego?

- Nie chcę nic pić - odparł.

- Takie samotne picie to żadna frajda.

- Więc proszę, masz tu moją lemoniadę.

Sięgnęła dłonią do kolczyka.

- Uważasz, że jestem alkoholiczką, co?

- Uważam, że pijesz za dużo. - Odłożył na bok pismo.

- Przyganiał kocioł garnkowi! A kto jak nie ty zalewał się ze mną wieczór w wieczór przez ostatnie dwa tygodnie?

- Ale przestaję - zauważył.

- Nie jestem pijaczką! Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak wygląda pijak.

Ja to po prostu lubię... Wypiję szklaneczkę i czuję się lepiej, co w tym złego?

- Nie mówiłem, że jest w tym coś złego - zaznaczył.

- Nie musisz, wystarczy, że siedzisz tu z tymi twoimi siuškami, jak jakiś świętoszek.

- Nora, jesteś niemądra.

- A ty jesteś zwyczajnie upierdliwy.

- W porządku, nie chcę się kłócić. Ja zostanę przy swojej lemoniadzie, ty przy swojej wódce z tonikiem, zgoda?

- Mnie pasuje.

- To dobrze.

- Nie mów mi tylko, co mam robić.

Westchnął tak, jak wzdychał - pokonany - kłócąc się z matką.

- Musiałbym być chyba jeszcze większym idiotą, niż jestem, by próbować ci to powiedzieć...

Skrzyżowała ramiona.

- Jak mam to rozumieć? Ze jesteś idiota, bo się spotykamy?

- Nie pleć bzdur!

- Bo jeśli rzeczywiście tak myślisz, możemy wszystko skończyć tu i teraz. Dość mam problemów w życiu, by się jeszcze obarczać facetem, który myśli, że nie jestem go godna.

- Więc co robisz na twojej sofie, jeśli tak niby to myślę?

- Niezłe pytanie, co?

Musiał odpowiedzieć półgłosem, bo twarz jej złagodniała i sięgając znów do koleczka powiedziała:

- Chyba cię nie zrozumiałam...

- Mówiłem, że to ja nie jestem ciebie godny.

- Lepiej nie ciągnij tak ostro tych ziółek - odparła mu. - Na mózg ci się rzuca...

Wiedział jednak, że jego słowa kryły prawdę. Gdyby rzeczywiście był jej godny, nie musiałby się jej wstydzić; zabrałby ją na przykład do Horowitzów na pokaz przezroczy, nie próbowałby troskliwie acz z zachowaniem wszelkich pozorów unikać w czasie ich dwutygodniowej pijackiej peregrynacji miejsc, gdzie mógł ich dostrzec ktoś z jego znajomych; miałby na tyle odwagi, by otwarcie mówić o miłości i wprowadzić Norę w swój świat, nie bacząc, że naraża na szwank swoją reputację, to wyjątkowo wyczulone monstrum.

Poruszony falą pożądania i skruchy, wziął ją w ramiona. Pragnął nieomal, by, broniąc własnej godności, odepchnęła go... ale uległa.

Oglądali dziesiąte albo jedenaste zdjęcie ruin w Chichen Itza. Rachel Horowitz, pyzata, z błyszczącymi oczyma, w sombrero na głowie i luźnej sukni okraszonej egzotycznymi kwiatami, stała na pierwszym planie, podobnie zresztą jak na co najmniej połowie przezroczy. Jej centralne usytuowanie, przysłaniające melancholijne ruiny, sugerowało delikatnie -

jak zwykle tego typu ujęcia - swoisty imperializm, poczucie własności: patrzcie tylko, co odkryliśmy! Rachel spełniała tu rolę współczesnego, amerykańsko-żydowskiego konkwistadora, którego zabrano do ojczyzny łup stanowiła fotograficzna dokumentacja pełnej triumfów obecności.

Ucieszyło go, że Horowitz, profesjonalny bądź co bądź fotograf, pozwolił sobie na tak proste, przepełnione samozadowoleniem kompozycje:

świadomość artysty pokonał zapal żonkosia. Nie był więc jedynym, który zapomniał o świecie, porwany namiętnością...

- Następne! - rozdarł się Klugman.

Sherri, którą Klugman wciskał w sofę wyciągniętym ramieniem, poruszyła się zapalając papierosa. W chwilowym błysku oka dostrzegł jej zmarszczone brwi.

- Przestałbyś wreszcie - rzuciła bezdźwięcznym głosem.

- Co mam przestać? - spytał Klugman.

- Krzyczeć „następne” po każdym zdjęciu. Jak dziecko... a przy tym denerwujesz.

- Gówno prawda! Staram się tylko, by nam Horowitz nie zasnął.

- Z pewnością nie śpi. Neil, nie śpisz, prawda?

- Pewnie - odparł z rozwagą w głosie Horowitz.

Przez chwilę panowała cisza, potem rzutnik zaszumiał i zaklekotał. Na zdjęciu widać było obramowane gładką białą ścianą okno wychodzące na niczym się nie wyróżniającą kompozycję morza, horyzontu i nieba.

- A to, do cholery, co takiego?

- To - objaśniał Horowitz - jest widok z okna w naszej łazience. Hotel stał praktycznie na plaży, jak się możecie zorientować.

Sherri zaciągnęła się papierosem; łuk, jaki zatoczył w półmroku jego rozżarzony koniec, był niczym trajektoria opadającej gwiazdy.

- Może inni mogą. Dlaczego robiliście zdjęcia przez okno łazienki, nie chwytam tego...

- I miejmy nadzieję, że nigdy nie chwycisz - przerwał jej Horowitz. -

Przez ostatnie trzy dni był to jedyny widok, jaki oglądaliśmy.

- Piliście surową wodę, tak? - spytał domyślnie Max.

- Nie - zaprzeczyła Rachel. - Uważaliśmy na to bardzo. Nie pozwalałam mu też jeść taco z tych okropnych straganów. Nie wiem, pewnie złapaliśmy to z powietrza, może dotykając klamek... Nie macie pojęcia, jak tam jest brudno, nawet w Acapulco. Cały kraj cuchnie jak zatłoczony ściek. Nie oczekiwałam oczywiście, że będzie czysto, ale coś takiego! Jak ci ludzie tam żyją...!

- A ja uważam, że było bardzo romantycznie - orzekł Horowitz.

- Poza tym - dodał Max - czy można sobie wyobrazić prawdziwy romantyzm bez odrobiny plugastwa?

Przez głowę przemknęła mu myśl, że właśnie się zdradził, nikt jednak ze zgromadzonych nie mógł nawet podejrzewać, jaki wydźwięk miały dla niego

te słowa. Był jak opętany swoją tajemnicą. Nie powiedział nikomu o Norze, nie dał nawet odczuć, że związany jest z kobietą, a co dopiero, że owa kobieta była na swój sposób równie obca, niebogata, nieokrzesała i nie dbająca o higienę, jak pierwsza lepsza zacofana wieśniaczka w Meksyku.

Pracowała tego wieczoru, co było mu na rękę - nie będzie musiał spowiadać się z tego, co i gdzie robił w czasie jej dyżuru, ani też wymyślać usprawiedliwień, dlaczego nie zabrał jej ze sobą.

Siedzieli w domu Klugmanów w Olivette; Rachel uznała, że jej nadal odnawiane i meblowane mieszkanie nie nadaje się jeszcze do podejmowania ludzi, Sherri więc, która w przeciwieństwie do Rachel nie umiała zajmować się gośćmi, musiała z konieczności podjąć się zorganizowania spotkania. Klugmanowie dogryzali sobie cały wieczór; przy stole wymiana ledwie maskowanych uderzeń nabrała tempa pucharowego meczu tenisowego. Horowitzowie czuli się niewyraźnie, tymczasem Max obserwował Klugmanów z nieprzyjemnym wrażeniem człowieka przyglądającego się w lustrze własnej nie najpiękniejszej twarzy.

- No, w każdym razie... - mówiła Rachel - trudno znaleźć coś romantycznego w miodowym miesiącu spędzonym w toalecie, możecie mi wierzyć.

- Pomyśl tylko - rzucił wtedy Klugman do żony. - Ktoś miał podróż poślubną jeszcze bardziej przesraną niż nasza.

Nikt się nie roześmiał.

Rzutnik pokazał kolejne przezrocze.

- A tu widzicie, jak pocieszaliśmy się po powrocie do St. Louis, oczywiście po dniu odpoczynku. Drugi miesiąc poślubny, można powiedzieć.

Reklamowa tablica na tle ciemnego nieba obwieszczała: „Motel u Cindy - materace wodne, filmy, gorące kąpiele, przystępne ceny.

- Naprawdę tam byliście? - spytał Klugman. Rachel zachichotała.

- Nie mam nawet pojęcia, skąd Neilowi przychodziły do głowy takie pomysły...

Horowitz pokazał następne zdjęcie.

- A tu, proszę państwa, nasz pokój w całej okazałości. Wodne łóżeczko, na nim obfitość czarnej pościeli, ultrafioletowe światła i cały zestaw strategicznie umieszczonych luster. Patrząc teraz na lustro zupełnie inaczej.

Można się przed nimi nie tylko golić...

- I żebyście widzieli, co oni puszczali w telewizji! - wtrąciła Rachel.

- Spodziewaliśmy się, oczywiście, że będą mieli coś tylko dla dorosłych,

ale mało nie zemdląłem, gdy włączyłem telewizor. Tam było... no, cały szmeer.

- Ile płaciłeś za pokój? - spytał Klugman.

- Widziałeś reklamę: „Przystępne ceny”...

- Co ty na to, Sherri? Pewnie byłoby taniej niż wizyta u seksuologa - zwrócił się do żony.

Nie odpowiedziała ani słowem.

Nora, myślał, tarzałaby się z radości w takim świństwie, on też wziąłby w tym ochoczo udział. Jeszcze miesiąc temu podobny pomysł byłby równie dla niego niewyobrażalny jak podróż na Marsa, teraz jednak odnotował w pamięci, że powinien to z nią omówić. Mogłaby nawet zabrać swoją kolekcję atrap, dopiero by się zabawili!... Poprawił się nerwowo w fotelu i sięgnął po swój kieliszek z winem.

- Ja nie... naprawdę tam pojechaliście? Nie wierzę! - mówiła Sherri.

- W czasie miodowego miesiąca?

- To była zabawa, Sherri - odparła Rachel. - Może perfidna, choć kto wie, czy w sumie nie najlepsza.

- Ale tak przecież nie można! W każdym razie nie podczas pierwszego miesiąca. To tak, jak byście... bo ja wiem, kpili z małżeństwa, czy coś takiego.

- Nie przesadzaj, Sherri, już prawie dwa lata jestem z Neilem, więc to nie jak za...

- Dobrze, możecie myśleć, że jestem pruderyjna, ale wydaje mi się, że miesiąc poślubny należy traktować poważniej.

- Sherri ma rację - orzekł Klugman i pociągnął spory łyk whisky. -

Miodowe miesiące to nie zabawa. Nasz z pewnością nie był, chyba że ktoś miał ochotę nas obserwować. W gruncie rzeczy małżeństwo to też nic śmiesznego. Tragedia być może, ewentualnie tragikomedia, ale absolutnie nie...

- Możesz pokazać następne? - Sherri zwróciła się do Horowitza.

- I kto to mówi! - rzekł do niej Klugman. - Żeby tak krzyknąć „następne” po każdym zdjęciu! Czy to nie denerwujące?

- Wypiłeś za dużo i teraz robisz z siebie głupka.

- Au contraire. Kto uważa, że robię z siebie głupka? Ręce w górę, przegłosujemy to.

- Przestań, proszę.

- Co mam przestać?

- Gadać.

- Nie bardzo chyba mogę, nie? Podejmujemy przecież gości, a przyjęło się, że przy takich okazjach sporo się gada. To część...

Sherri wstała gwałtownie: wysoki, ponury cień o zapadniętych oczach.

- Przykro mi - powiedziała. - Musicie mi wszyscy wybaczyć... - I wyszła bezgłośnie z pokoju.

Rachel i Sherri pocieszały się wzajemnie w kuchni na górze, gdy Klugman, Horowitz i Max, w wyłożonej drewnem piwnicy, gdzie przeszli pod pretekstem partyjki bilarda, garbili się nad szklanym blatem niskiego stolika wciągając w nozdrza cienkie rządki kokainy, czego domagał się natarczywie Klugman. Dla Maxa nie było to pierwsze doświadczenie z narkotykiem, ale po raz pierwszy zgodził się brać w tym udział nie opierając się zbytnio. Jedną lekkomyślność pociągała drugą, rezonował, ale czymże był nos pełen kokainy w porównaniu z zachłyśnięciem się Norą?

W skali szaleństw niczym prawie. W czasie pierwszej rundy Klugman wyrecytował nudnawy panegiryk na cześć wybornej jakości skrywanego w plastikowym pojemniku na filmy białego proszku: wyciągnął go od jednego ze swych klientów, neurologa, który uznawał tylko klinicznie czysty towar. Na blacie stołu usypywał teraz nowe, równe rządki narkotyku. Wręczył Maxowi zrolowany dolarowy banknot, mówiąc: -

Rozluźnij się jeszcze...

- Dzięki, ale chyba mi już wystarczy.

- „Umiar-we-wszystkim” to dzisiejsza dewiza, tak?

Nie wiedzieć czemu poszedł na tę przynętę. Wziął prowizoryczną rurkę i wzruszywszy ramionami pochylił się, by wciągnąć dwa rządki.

Horowitz zaczął nerwowo szarpać gęstego wąsa. Spoglądał na zamknięte, dzięki naleganiom Klugmana, drzwi do piwnicy.

- Słuchaj no - powiedział - jak ty potrafisz utrzymać to w sekrecie przed Sherri? Ile ty tego w ogóle bierzesz?

- Odpowiadam na pierwsze pytanie. - Klugman przejął od Maxa zwiniętą dolarówkę. - Nie wiem, czy ona wie. W Bogu nadzieja, że nie. A odpowiedź na drugie: pewnie za dużo. - Pochylił się i wciągnął głęboko proszek.

Max stał z rękami w kieszeniach, zamiast kręgosłupa miał palącą go rozgrzaną neonową lampę. Wsparł się o brzeg stołu bilardowego.

Szaleńczo kolorowe plakaty, jakimi obwieszona była piwnica, zdawały się obrazować krzyk.

- Nie uważasz, że to cholernie szczeniackie - rzucił do Klugmana - takie

skrywanie przed żoną tajemnych ciągotek?

- Au contraire - Klugman powtórzył znów swoją ulubioną chyba frazę. -
Oszukiwanie partnera jest odwieczną tradycją wśród dorosłych. -

Podniósł

nagle wzrok, mrugając czerwonymi, okrągłymi oczyma, i uciszył ich. -
Zdaje się, że ktoś schodził na dół, słyszeliście?

- Gestapo - skwitował Horowitz. - Koniec zabawy, Anno Frank.

- Ty się śmiejesz, ale Sherri urwałaby mi jaja, gdyby coś wyczuła.

Max przełknął kwaśny osad pozostawiony przez narkotyk i spojrzał uważniej na Klugmana. Myślał o nim zwykle jak o wiecznym siedemnastolatku, podnieconym mądrali, jakim był w szkole; teraz nagle zobaczył go - zgarbionego nad swym cennym skarbem, świecącego płamą łysiny na czubku głowy - jakim był w rzeczywistości: zawiedziony, zbliżający się do trzydziestki mężczyzna, niebezpiecznie wypalony uczuciowo. Czy można było obwiniać o to Sherri? Czy też Klugman sam był sobie winien, wykorzystując jedynie żonę jako przyrząd do autobiczowania? A może osiągnąłby ów pełen nerwowości, nieszczęsny stan niezależnie od tego, w kim byłby zakochany? Pchnął bilardową kulę po stole i spojrzał znów na Klugmana.

- Czemu z nią jesteś? - zapytał.

Klugman uśmiechnął się i zmarszczył nos: - Nie kapuję.

- Dlaczego jesteś z Sherri? Nie lubicie się wzajemnie, to widać przecież...

- Nie macie innego tematu? - rzucił Horowitz.

- Zaraz, czekaj, to dobre pytanie. - Klugman kiwał potakująco głową. -

Dobre pytanie, cholera, Max, doskonałe. No, dlaczego jesteśmy wciąż razem? Co za diabelski urok trzyma mnie przy niej? - Pochylił się nad stołem, przytknął jedno nozdrze i kichnął. Wyprostowany opadł na sofę obok nadętego i zdenerwowanego Horowitza. Uniósł w górę brwi. - Nie jej kuchnia, bo nie potrafi gotować. Poczucie humoru też nie, bo nie ma żadnego. Uroda... Nie, panowie, to jaja, przecież moja żona wygląda jak cierpiąca na depresję żydowska geś. No to pewnie seks? - Wciągnął powietrze nosem i głośno przełknął. - Taak, z pewnością. Seks. Jestem z nią, bo wciąż istnieje szansa, że kiedyś, któregoś pięknego dnia, Sherri znowu da mi dupy.

- Kochasz ją?

Klugman przeczeszał palcami swoje gładkie włosy.

- Daj mi sekundę na zastanowienie - odparł.
- Czemu nie zejdziemy z tego tematu? - spytał Horowitz.
- A co w nim złego? - odpowiedział pytaniem Max.
- Ach, dajże spokój, przecież to nie twój pierdolony interes!

Horowitz również pokazał mu się w zmienionym świetle: nieustannie odgrywana udręka grubasa, intelektualnego, wykpiwającego samego siebie, banity, zawsze stanowiła jakże mile widziany, uzupełniający kontrapunkt dla jego postaci szczęściarza, lepszego z ich dwójki, teraz zrzucona została niczym stara skóra: odrodzony Horowitz, bez zmartwień i strachów, zdawał się być gotów do zaakceptowania bezmyślności średniego wieku w błogim otoczeniu swoich ruchomości, powszechnego poważania i miłości doskonale dobranej żony.

Nagle poczuł przyływ zdecydowanej niechęci do przyjaciela.

- Więc o czym wolałbyś rozmawiać, Horowitz? Obgadaliśmy już twoje nowe mieszkanie, nowe meble, nową przyczepę turystyczną, waszą podróż do Meksyku, co jeszcze zostało? Wzorek na waszym nowym serwisie?

Horowitz kiwnął się na sofie do przodu.

- Co cię, do cholery, ugryzło, Max?
- To kokaina - wzruszył ramionami.
- Nie, to nie kokaina! Coś się z tobą dzieje... tylko co?

Dociekliwość Horowitza zmroziła go niczym powiew lodowatego wiatru. Zaraz go rozgryzą. Nie ukryje się niczego przed kimś, kogo się zna od dwudziestu lat. Wciągnął powietrze i zdecydował się wyprzedzić następny cios.

- Poznałem... kogoś.

Oczy Horowitza zrobiły się okrągłe.

- Kobietę?

Wzdłuż kręgosłupa czuł delikatne muśnięcia kokainy.

- Nie, marynarza. Ma na imię Olaf, wielki, żyłasty Norweg...
- Max, jak długo to się ciągnie?
- Od jakiegoś czasu.
- Ile trwa jakiś czas?
- Poznałem ją tej nocy, kiedy urządziłeś przyjęcie.
- Gdzie?
- W barze.
- Jakim barze?
- Co to ma za znaczenie, w jakim barze?

- Max, nie wierzę, nie mogę uwierzyć! Od ponad miesiąca masz kobietę i słowem o niej nie pisałeś? Dlaczego, do diabła?

- Ponieważ - wypuścił nie kończący się oddech - nie będzie wam się podobać.

Rozdział jedenasty

Zagłębił się w pracy, niczym pokutujący mnich w swojej celi. Na zewnątrz, w świecie, którym rządziła Nora, panowało szaleństwo, chaos i nieposkromione instynkty - średniowieczna, gnębiona plagami Europa, zacofana i pogrążona w ciemnościach, bliska zapadnięcia scena, na której procesje biczowników okładały się do krwi, wściekłe psy stadami uganiały się po ulicach, heretycy płonęli na stosach, szaleńcy nosili korony, a brudna i pijana tłuszcza urządzała orgie na pałacowych schodach, w miejskich fontannach czy na ołtarzach słynnych katedr. Tu jednak, w bezgłośniejszym samotni biurowego pokoju czy w pełnym ciszy i napięcia studiu nagrań znajdował oddalenie, kontemplację, poświęcenie, miłą sercu dyscyplinę.

Poza pracą jego życie służyło jedynie zaspokojeniu zmysłowej żądzy, praca jednak - wymyślanie haseł, narady z grafikami, omawianie zasad kampanii czy montaż reklamy radiowej do wymaganych 59,5 sekundy - dawała pokrzepiającą, banalną satysfakcję z rytmu i umiaru. Nieważne, że programy, które przygotowywał, były w większości bzdurne i głupie - liczyła się praca i w pracy, przynajmniej chwilowo, odnalazł znów siebie.

Okres poszukiwania nowego szefa reklamy przez Fidelity Federal okazał się, zgodnie z przewidywaniami Rosemary, czymś w rodzaju roboczego miodowego miesiąca. Keller, odchodzący niebawem na emeryturę, praktycznie rzecz biorąc oddał całą kontrolę w ręce Rosemary, dzięki czemu Max mógł wreszcie pracować z nią bez konieczności ciągłego opowiadania się klientom. Rosemary pozwoliła mu po raz pierwszy opracować i przygotować samemu telewizyjną reklamówkę.

Chodziło o specjalną ofertę sreber stołowych, którą zaprezentował posłużwszy się wyłącznie ostrymi zbliżeniami wystawnego przyjęcia, przyciętymi do trzydziestosekundowego fragmentu Vivaldiego. Oddał się tej pracy z takim samozaparciem, że przez dwie noce spał samotnie u siebie - opierając się skutecznie na leganiom Nory - by móc stawiać się na poranne zdjęcia świeży i wypoczęty. Końcowy produkt był tak gładki, pełen blasku i płynnego rytmu, jak to zaplanował. Rosemary zadowolona była do tego

stopnia, że wynegocjowała dla niego kolejne dwa tysiące podwyżki. Czuł, że przynajmniej zawodowo dopisywały mu i forma, i szczęście. Miodowy miesiąc skończył się jednak dwa tygodnie przed Dniem Dziękczynienia: Rosemary, w skórzanej kurtce z futrzanym kołnierzem, z policzkami zaróżowionymi od chłodu, weszła do jego pokoju obwieszczając, że wraca właśnie z pierwszego spotkania z nowym szefem reklamy w Fidelity, niejaką Stephanie Deluc, kobietą w wieku trzydziestu paru lat.

- Szkoda, że wybrali babę - powiedziała.

- Brzmi to ciut antykobieco, nie uważasz?

Wzruszyła ramionami i opadła na krzesło, wbijając głowę w futro kołnierza.

- Bo tak się akurat składa, że kobiety, które dochodzą w tym fachu do kierowniczych pozycji, zbyt często okazują się wyjątkowymi jędzami.

Pewnie w tym zdominowanym przez mężczyzn terenie trudno nie stać się Lady Makbet, gdy już dochrapiesz...

- A co w takim układzie powiesz o Rosemary Powers?

Uśmiechnęła się.

- Ja jestem zbyt wyrozumiała. - Wyciągnęła paczkę Bałkan Sobranie. - Mogę?

Podsunał jej stojącą na biurku czystą popielniczkę.

- Co to za kobieta?

- Kierowała produkcją w Ralston Purina. Nie mam pojęcia, za co konkretnie odpowiadała, pokarm dla psów, pasza dla świń czy coś zupełnie innego, ale wiem, że do jej obowiązków należały pertraktacje z D'Arcy agencją pięćdziesiąt razy większą od naszej, w czym się z pewnością orientujesz. - Wydmuchnęła kątem ust kolumnę dymu. - Od samego początku uważa zatem, że teraz ma do czynienia z paroma niedoświadczonymi pętakami.

- Dała ci to do zrozumienia?

- Nie, oczywiście że nie.

- Więc co każe ci tak myśleć?

- Byłabym idiotką, gdybym miała myśleć inaczej.

- Dobrze, a jakie osobiste wrażenie sprawiła na tobie?

- Bardzo energiczna, bardzo opanowana, bardzo serio. Ma dyplom z Tulane...

- Tulane? To przecież moja stara almamater.

- Ach tak? Doskonale, pamiętaj, żeby o tym wspomnieć. Albo ja sama

wspomnę. Choć z pewnością nie uczyli was ci sami profesorowie... Jak ona mówi, Max, ty musisz ją usłyszeć! Chodzący podręcznik marketingu.

„Impuls” i „granica faz” przybierają w jej ustach formę czasownika...

Gdzieś tam strach cię ogarnia... Aha, w poniedziałek mamy spotkanie, które w jej mowie nie jest żadnym spotkaniem, a „ukierunkowującą konferencją”.

- Czy ja też mam się impulsować na tej ukierunkowującej konferencji?

- Tak. Wychwalałam cię pod niebiosa, ale proszę, udawaj cudowne dziecko i siedź cicho. Nie podejrzewam, byś miał powiedzieć coś głupiego, chodzi mi tylko o to, że będziemy na nie znanym dotąd terenie i dlatego będę ci wdzięczna, jeśli wypowiedzi pozostawisz mnie albo Spindlerowi.

Zdusiła papierosa i opadła jeszcze głębiej na krzesło; z dłońmi wbitymi w kieszenie kurtki, krótko ostrzyżoną rudą głową i rozstawionymi szeroko kolanami siedziała jak przerośnięte, nadąsane dziewczusysko.

- Jedno mnie martwi - powiedziała. - Boję się, że zdążyliśmy się już zniechęcić. Powinieneś być widzieć te nasze podchody... Szczerzyliśmy się do siebie, jak para klaunów, aż mnie jeszcze szczęka boli. A najgorsze... -

Roześmiała się kręcąc głową jakby w niedowierzaniu.

- Co było najgorsze?

- Ona okrutnie poci się pod pachami.

- Żartujesz! - roześmiał się również.

- Brzmi nieprawdopodobnie, wiem, ale słuchaj: wchodzę do sali, ona stoi w towarzystwie Kellera, O'Briena i połowy całej rady, chluba miasta, królowa balu - swoją drogą bardzo atrakcyjna kobieta - i od razu coś czuję.

No, myślę sobie, któryś z tych chłopów albo gaz się gdzieś ulatnia, czy nie daj Boże ja sama, aż tu do mnie podchodzi sama Deluc w swym świetnie skrojonym kostiumie, podaje mi rękę i wątpliwości się rozwiewają: to ona fatalnie pachnie. Max, nie mogłam wprost uwierzyć, ba, dalej nie wierzę.

No bo jak? Może śpieszyła się rano i zapomniała dezodorantu, może ma jakiś problem z gruczołami. Uderzyło mnie to w każdym razie jako coś bardzo, bardzo dziwnego.

Przypomniał sobie gwałtowną woń, jaką roztaczała Nora. Czy to możliwe, by Stephanie Deluc pojawiła się w swoim biurze prosto z lunchu w Białym Pałacu?

- Nie mogę się już doczekać spotkania - powiedział.

- W poniedziałek poczujesz, czym to pachnie - odparła.

Zaczął jej przynosić upominki, ale Nora okazała się być osobą, którą

niełatwo zadowolić. Kwiaty nie wywierały na niej, o dziwo, specjalnego wrażenia. Kupił najpierw geranium, potem, rzucając jakby wyzwanie pamięci Janey, stokrotki, wreszcie tuzin róż. Przyjęła je wszystkie z pełną uprzejmości rezerwą. Później dopiero powiedziała mu, że kwiaty były jednym z ulubionych sposobów Jacka Cromwella na odzyskanie jej łask po okresie, kiedy traktował ją jak śmieć; skojarzenie, niestety, pozostało.

Słodycze za to były absolutnym pewniakiem: szalała na widok ziemnych orzeszków w karmelu, białej czekolady, mieszanki bakaliowej, a zwłaszcza wiśni w czekoladowej polewie, zabierając się do nich bynajmniej nie ze skrywanym zmieszaniem należnym dorosłej kobiecie, lecz z niczym nie poskromioną zachłannością dziecka.

Gdy podarował jej kremową jedwabną bluzkę z kolekcji Halstona (nawet na wyprzedaży, gdzie ją znalazł, kosztowała sześćdziesiąt dolarów), była uradowana i zasmucona jednocześnie. Powiedziała z żalem, że nie ma niczego, co mogłaby z nią nosić. „To nie noś w ogóle niczego” - odparł i niewiele później już kochali się na zaśmieconej podłodze jej pokoju, on nagi, ona tylko w nowej bluzce. W dniu, kiedy otrzymał podwyżkę, pojechał do jubilera i kupił jej parę maleńkich kolczyków z czarnego koralu. Sprawdzał długo uchwyt, by upewnić się, że będzie mogła bez kłopotu obracać je w uszach w chwilach zmieszania. Widział, że była nimi wzruszona. Założyła je wraz z jedwabną bluzką, gdy pojechali do jego mieszkania, gdzie czekały już na nich para homarów i dwie butelki szampana w kubelku z lodem.

Nie była jeszcze u niego. Odsuwał dotąd zaproszenie, tłumacząc sobie tę opieszałość w symboliczny sposób: gdy raz przekroczy próg jego świata, nie będzie już odwrotu. Kiedy więc wreszcie ujawnił jej istnienie Horowitzowi - pozostawiając i tak większość szczegółów jego wyobraźni -

nie było już powodu, dla którego nie miałby uchylić całkowicie kwarantanny. Ciężar, jakim stawało się zatajanie istnienia Nory, jak i ciężar winy odczuwanej przez niego z tego powodu, stawał się nie do zniesienia; gotów był już pozbyć się go i pozostawić wypadki ich naturalnemu biegowi. Bał się jednak o nią: gdy ich związek przestanie być tajemnicą, Norę otoczy ciekawość, spekulacja, może nawet kpina... właśnie kpina. Nie była ślepa i nawet mając go u boku, załamującego krzywe spojrzenia niedowiarków i ich pobłażliwe uśmiechy, z pewnością dostrzeże wszystko; nie był pewien, czy okaże się dość wytrzymała, by sobie z tym poradzić.

To jednak była sprawa przyszłości; w tej chwili, posuwając się na zachód wzdłuż Czterdziestej Autostrady, z Norą palącą papierosa na siedzeniu obok,

był zwyczajnie zadowolony z jej odwiedzin, ciekaw reakcji, jakie nie znane dotąd otoczenie w niej wywoła, i rozradowany wizją pójścia z nią do łóżka, w którym pościel jest - wiedział to na pewno - czysta. Zastanawiał

się przez chwilę, czy długo będzie musiał ją namawiać do spróbowania homara; niczym rozpieszczone dziecko, obawiała się wziąć do ust coś obcego, przynajmniej gdy chodziło o potrawę.

Przeszukiwała stacje samochodowego radia, aż wreszcie znalazła rozgłośnię nadającą muzykę country. Niespodziewanie zapytała go, czy widział kiedykolwiek którąś ze sztuk Arthura Millera. Całkowicie zaskoczony, roześmiał się.

- Nie nabijaj się ze mnie - powiedziała.

- Cóż znowu, dlaczego miałbym się nabijać? Zadziwiłaś mnie po prostu. Skąd nagle Arthur Miller?

Wzruszyła ramionami, potem zaczęła poprawiać pas bezpieczeństwa: przestała się już wyklócać o jego zapinanie. Wreszcie odezwała się: - No, był mężem Marilyn, nie? A że jesteś nauczycielem, więc powinieneś o tym wiedzieć. I jeszcze się zastanawiałam, czy widziałeś jakąś jego sztukę.

- Owszem.

- Dobrze?

- Jedna jest naprawdę wspaniała, Śmierć komiwojażera. Miałem ją nawet w programie moich wykładów.

- Była kiedyś w telewizorze?

- Wiele razy.

- Może ją oglądałam i nawet o tym nie wiem... - Spojrzała na niego uważnie. - A czy pokazują ją, no wiesz, w prawdziwym teatrze? Nigdy nie byłam w prawdziwym teatrze.

Czuł, jak serce zaczyna bić mu mocniej; nie mogła być, bo skąd?

- Będziemy przeglądać gazety - powiedział - i jeśli znajdziemy jakieś przedstawienie, na które będziesz miała ochotę, wybierzemy się razem, dobrze?

- Z przyjemnością - odparła, ale siedziała wciąż poważna, głęboko coś analizując. - Arthur Miller był Żydem, wiesz?

- I co z tego?

- Nic, tylko ci mówię. - Zaciągnęła się papierosem i zaczęła wyglądać przez okno. Słońce zachodziło tuż przed ich oczyma. - Arthur Miller był

bardzo dobry dla Marilyn, wiesz? Podtrzymywał ją zawsze, gdy nie mogła sobie sama dać rady; gdyby nie on, pewnie umarłaby dużo wcześniej.

- A tak o mało go nie zabiła.
- Skąd to wiesz?
- Czytałem o niej niedawno.
- O niej?
- Bo nie masz niczego innego do czytania w toalecie poza numerami Glamours i Cosmopolitan.

- To przepraszam bardzo. - Wcisnęła się prawie w drzwi po swojej stronie.

Prowadził w milczeniu, słuchając Merle Haggard. Nora była w dziwnym nastroju, drażliwa i nieobliczalna, prawie wszystko zatem, co mówił, mogła odebrać opacznie.

- Pewnie masz u siebie całą kupę książek - odezwała się.
- Można to pewnie nazwać kupą - przyznał.
- Masz jakieś takie, żeby mi się podobały?

Spojrzał na nią.

- Książki?

- A co innego?

- Chcesz pożyczyć jakąś książkę?

- Może. Znaczy się tak, jeśli masz coś, co by mi się według ciebie podobało.

Spokojnie, nie szalej, powiedział sobie; nie chciał jej teraz odstraszyć swoim uniesieniem.

- Skąd nagle taka ochota? - zapytał.

- Wcale nie nagle, myślałam o tym już od jakiegoś czasu. Głupia przecież nie jestem; mogę nie znać wielu rzeczy, tego się nie wypieram, ale żebym była głupia, to nie. Jezu, spróbuj tylko pogadać z niektórymi ludźmi z mojej pracy...! Albo z tymi typami, co z nimi kręciłam. Nigdy w życiu nie widziałeś takiej durnej hołoty. Przy nich czuję się prawie jak geniusz.

Oni też to tak biorą, wiedzą, że mam od nich wszystkich więcej o tu, w głowie. Ale z tobą jest zupełnie inaczej. Cholera, przy tobie czuję się tak samo głupia, jak cała reszta. Max, tego się nie da znieść! Więc zaczęłam myśleć i wymyśliłam, że pewnie powinnam zacząć czytać... znaczy się, na inne tematy, niż MM. No i uznałam, że ciebie muszę spytać, i tyle.

Miał ochotę rzucić się na nią z pocałunkami, był jej głęboko wdzięczny.

- Przecież to fantastyczne! Przejrzemy książki .od razu, jak przyjedziemy do mnie, co ty na to?

- Spokojnie, kotku, spokojnie - powiedziała. - Nie rób z tego tylko

programu obowiązkowych lektur.

- Dobrze - zgodził się. - Tak jak będziesz chciała.
- Po prostu nie popychaj mnie.
- Nie będę.

W głowie układał już jednak listę tytułów, jakie powinna przeczytać.

Salinger na początek: szybki i zabawny, nie znudzi jej. Choć może lepiej byłoby zdać się na jej gust i podsunąć coś bardziej romantycznego:

Wichrowe Wzgórza czy Jane Eyre albo nawet Przemięło z wiatrem -

bardzo dobry pomysł. Fascynacja, jaką otaczała MM, może pchnąć ją ku historiom pięknych, tragicznie kończących kobiet w typie Anny Kareniny czy Madame Bovary. Nie widział poza tym powodu, aby, przygotowana przez niego, nie miała wziąć się za Szekspira: sztuka Romeo i Julia stanowiłaby idealną introdukcję. Szekspir przywiódł mu na myśl Tennessee Williamsa, Czechowa i Shawa, Shaw zaś przypomniał mu Pigmaliona... i tu zdecydowanie przerwał rozmyślenia. Nora nie chciała, by robił z niej kogoś innego; chciała po prostu pożyczyć parę książek. Czyżby był już tak naiwnym intelektualistą, by oczekiwać, iż sama konfrontacja z literaturą dokona cudownego przeobrażenia? Lecz jeśli rzeczywiście?... Co będzie, jeśli któregoś ranka zbudzi się obok niego, pełna jeszcze Dumy i uprzedzenia z minionej nocy i cudownie przemieniona w światłą kobietę o nienagannych manierach? Czy dalej będzie jej wtedy chciał?

Skręcili w drogę prowadzącą do osiedla, gdzie mieszkał; w płaskim, zanikającym świetle przejechali obok kortów tenisowych, budynku klubowego, basenu pływackiego i sztucznego stawku z kaczkami grupującymi się w jednym jego końcu. Zaparkował poniżej solidnie wyglądających domów, rozciągniętych w szeregu ponad nimi na pociętej ścieżkami z kolejowych podkładów skarpie. Starła się usilnie, wyczuwał to, nie robić wielkich oczu.

- Niezła okolica - rzuciła z wymuszonym uśmiechem i z papierosem w ustach wysiadła z auta.

Wspinali się do jego mieszkania długim ciągiem betonowych schodów.

Szedł tuż za nią, w zapadającym zmroku zachwycając się znów majestatycznością

jej
pośladków,
podrygujących

miarowo

przy

pokonywaniu kolejnych stopni. Owych kilka tygodni nauczyło go miłować jej zbyt wielki tyłek jako rzeczywiste - bardziej nawet niż tajemne mięśnie jej waginy - ucieleśnienie jej płci: siedlisko, by użyć tego słowa, jej kobiecości, jej niewieściej mocy. Uwielbiał brać ją od tyłu, podpierając brzuch poduszką, zaciskając dłonie na jej płaskich piersiach, między palcami czując grube brodawki; w tej dogodnej pozycji ogrom jej ciała i przepastność wnętrza sprawiały, iż czuł, że łączy się jak gdyby z czymś potężniejszym, bardziej ogólnym niż Nora sama, jednocześnie w każdym calu równie kobiecym: okolicą, ziemią z jej ogromem, z planetą całą. I gdy wybuchał w jej wnętrzu, był pewien, że chodzi przy tym nie tylko o seks, a o zachowanie gatunku: rzucając nasienie w płodną żyzność jej łona, podświadomie rozumiał, jak nigdy z Janey, iż poczęcie dziecka jest naprawdę możliwe. Nie miało to najmniejszego sensu, podobnie jak większość silnych, instynktownych reakcji, jakie wyzwalala w nim Nora: dwudziestoczteroletnia Janey gotowa była do macierzyństwa, ta zaś zapewniała go, że mając czterdzieści jeden lat nie może już zająć w ciążę.

Złapał ją za pośladek, gdy stanęła na ostatnim podeście. Odtrąciła gwałtownie jego dłoń - niepodobne do niej, zwykle lubiła tego typu zaczepki. I, znów nietypowo, niewiele miała do powiedzenia, gdy oprowadzał ją po mieszkaniu. Zmrużywszy oczy, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, obejrzała kominek, kryte parkietem podłogi, błyszczącą, idealnie zorganizowaną kuchnię pełną nowoczesnych sprzętów, balkon, z którego rozciągał się widok na staw; mosiężne łoże w sypialni, całe piętro będące właściwie otoczonym drewnianą balustradą strychem, otwartym niczym atrium nad ogromną bawialnią. Na jej twarzy odbijała się cała gama wzruszeń: podziw, zazdrość, groza... przez moment nawet szyderstwo. Nie przypuszczała, że jest tak bogaty: dla niej wszystko to oznaczało bogactwo. Zmieszany jej reakcją, próbował osłabić wrażenie tej rzucającej się w oczy obfitości mówiąc, że mieszkanie aż prosi się o sprzątnięcie, ale prychnęła tylko pogardliwie, że chyba upadł na głowę.

Oparła dłonie o poręcz i skierowała spojrzenie w dół, na kominek, podrygując lekko pośladkami.

- Ile płacisz za to mieszkanie, jeśli mogę spytać?

Gdyby podobne pytanie zadał mu ktoś z jego kręgu, odpowiedź nie sprawiłaby mu trudności. Nie chciał jednak wywyższać się, mówiąc prawdę.

- Nie powinnaś mnie o to pytać - odparł.

- Dlaczego?

- No bo... - nie potrafi znaleźć przekonującego argumentu. - To osobista sprawa.

Parsknęła swoim pohukującym śmiechem i uderzyła dłonią o poręcz.

- Kotku, to już szczyt wszystkiego! Kutasa wpychać mi po gardło, sama już nie wiem, ile razy, to proszę bardzo, ale powiedzcie, ile cię kosztuje mieszkanie, to za bardzo osobiste, cholera! Nie wiedziałam, że pieniądze są dla ciebie taką świętością.

- W porządku. - Wymienił jej sumę.

Znieruchomiała.

- To już ze wszystkim?

- Nie.

- Noo, niech mnie drzwi ścisną...! - Odwróciła się, by spojrzeć na niego.

- To ile ty właściwie wyciągasz w tej agencji?

- Tyle, że wystarcza mi spokojnie na zapłacenie mieszkania.

- I proszę, nawet nie masz jeszcze trzydziestki. Jak tak dalej pójdzie, to nieźle będziesz dziany, co?

Wzruszył ramionami.

- I wszystko to oczywiście przepuścisz, cały ten grosz, mam rację?

- Jeśli rzeczywiście tak będzie, dlaczego nie miałbym cieszyć się życiem?

Teraz ona wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się moim gadaniem, jędza ze mnie wyłazi. Nie wiem nawet, jak się człowiek czuje, kiedy mu wreszcie starcza pieniędzy, i pewnie dlatego tak się wywnętrzam.

Oceniała wszystko realistycznie: ich związek nie mógł rokować żadnej przyszłości, nigdy więc nie mieli cieszyć się wspólnie tym, co posiadał; jego pieniądze były jego pieniędzmi i tyle. Poczul się jednak nieco zirytowany, że tak całkowicie akceptowała rzeczywistość; czyżby w ich związku on miał być romantykiem?

- Napijesz się czegoś? - zapytał.

- A ty?

- Z ochotą. To specjalna okazja.

Zeszli na dół. Gdy ze szklankami w dłoniach wyłonił się z kuchni, znalazł ją przed półką z książkami, pochyloną przy odczytywaniu tytułów na grzbietach.

- Przeczytałeś wszystkie?

- Większość.

- To co byś mi w takim razie polecił?

Rozejrzawszy się, wymienił Panią Bovary, Wichrowe Wzgórze i fanę Eyre, krótko i przystępnie, miał nadzieję, opowiadając fabułę każdej z nich. Nie przekonał jej widocznie do żadnej, bo przeglądała dalej tytuły.

Wreszcie podała mu podniszczony tom w broszurowym wydaniu.

- Myślisz, że mi się to spodoba? - spytała.

Trzymała w ręce Przygody Hucka Marka Twaina.

Gdy przyjechał do niej następnego wieczoru, telewizor - cud nad cuda - milczał. Pomyślał, że bierze kąpiel, ale łazienka była pusta. Znalazł ją w sypialni, rozpartą na kopcu poduszek, okrytą do pasa złocistym prześcieradłem, zaczytaną w Przygodach Hucka. Jedną ręką trzymała książkę, drugą obracała czarny koleczyk. Przyglądał jej się przez chwilę z ojcowską niemal satysfakcją, czekając aż uświadomi sobie jego obecność.

Nie odrywała się jednak od lektury.

- Nora!

Podniosła wzrok.

- O, Max, jak się masz! - Uśmiechnęła się do niego i machnęła książką. - Czytam właśnie.

- Jak ci się podoba?

- Dobrze. Wiesz, zawsze myślałam, że to historia dla dzieci, ale to nieprawda. Jest pełna znaczeń. Ten Twain całkiem dobrze opisuje ludzi.

Wspiął się na rozkołysany materac i przez zimną tkaninę prześcieradła przycisnął twarz do jej łona. Poruszyła gwałtownie udami i szarpnęła się do tyłu.

- Nie - powiedziała.

- Nie?

Pamiętał, że ani razu do tej pory nie odmówiła jego seksualnym awansom.

- No właśnie - rzuciła. - Nie zwracaj mi teraz tym głowy.

- A co byś powiedziała na małą, ale sprawnie wykonaną patelnię?

Roześmiała się.

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego nie?

- Bo nie mam ochoty.

- Dobrze, więc na co masz ochotę? Mam ci może przyłożyć parę klapsów albo coś? Czy też chcesz, byśmy wzięli wibrator...

- Mam teraz ochotę - przerwała mu - dowiedzieć się, co się stanie dalej.

- Odłożyła otwartą książkę na łóżko i zaśmiała się. - Biedaku, wyglądasz jak mały skarcony szczeniak. Ale nie możemy myśleć tylko o seksie, prawda?

- Gdy pożyczałem ci książkę, do głowy mi nie przyszło, że będę tego żałować...

- A może lepiej przyniesiesz mi coś do picia?

- A potem co?

Skrzywiła się.

- Nie mam pojęcia. Może byś sobie znalazł coś do czytania?

Rozdział dwunasty

Potrójne uderzenie gromu wstrząsnęło oknami gabinetu i przygasiło na moment światła. Max, Rosemary, ich szef Spindler i Stephanie Deluc z Fidelity spojrzeli po sobie oderwawszy się od porozkładanej dokumentacji.

- Mamy zdaje się całkiem niezłą burzę - powiedziała Stephanie i zaśmiała się krótko. - Mówię oczywiście o pogodzie...

Spindler, łysy jak kolano, w wymiętym niebieskim garniturze, chrząknął i uśmiechnął się z przymusem; widać było, że jest już zmęczony ciągnącym się od dwóch godzin ciężkim spotkaniem. Rosemary uśmiechnęła się również, ledwo odsłaniając zęby; podniosła zapalonego papierosa z popielniczki tak przepełnionej niedopałkami, że Max musiał się bezustannie powstrzymywać od jej opróżniania - obie paliły jak wściekłe.

Rosemary miała na sobie szary, prosty w kroju kostium, gdy Stephanie wyglądała niczym słodkie, wymuskane kobieciątko w jasnokremowej plisowanej sukience z wielką kokardą pod szyją i zebranym ciasno stanem akcentującym krągłość jej obfitego biustu; ze swą lalkowatą urodą i nienaganną cerą mogłaby uchodzić za piękność, gdyby nie żabi wytrzeszcz zbyt wielkich oczu. I ów trudny do wyobrażenia, delikatny niczym oddalone dźwięki muzyki zapach, wyczuwalny mimo jej perfum: mdląca organiczno-metaliczna mieszanka, jaką daje pusta puszka po zupie... Poza tym była tak doskonała, tak wyrachowana, kremowo chłodna, że ta niezwykła woń była jedyną cechą przypominającą mu, że Stephanie była niewątpliwie człowiekiem.

Zapaliwszy nowego papierosa, Stephanie orzekła: - Przejdźmy może teraz do części poświęconej środkom masowego przekazu.

Była to specjalność Spindlera, zaczął więc sprawozdanie swym

mrukliwo-skrzypliwym, łatwym do naśladowania głosem; każdy niemal w agencji potrafił nieźle go imitować. Spindler miał już sześćdziesiąt osiem lat i był właściwie na emeryturze, choć przychodził do biura, kiedy miał

ochotę, niczym zegarmistrz zaglądający do swego warsztatu po to tylko, by upewnić się, że wszystkie dawno przez niego nakręcone mechanizmy nadal chodzą zgodnie. Samo prowadzenie agencji i wszelkie związane z tym sprawy przejęli jego dwaj wspólnicy, Ralph Arnold i Jerry Greenblatt, z którymi współpracowała Rosemary, Spindler zaś pojawiał się zwykle, gdy trzeba było dokonać jakiejś specjalnej prezentacji czy też wziąć udział w szczególnie ważnym - jak to właśnie - spotkaniu.

Stephanie podziękowała mu, gdy skończył swoje omówienie metod stosowanych w różnych kampaniach Fidelity przez ostatnią dekadę, i spytała, czy uważa, że jego analiza jest wyczerpująca.

Spindler skrzywił się.

- Oczywiście, że nie. Jeśli miałbym przygotować dla pani kompletny zestaw wszystkich rozwiązań, jakie zastosowaliśmy od chwili przejęcia Fidelity, musiałyby pani pewnie czekać do przyszłego wtorku.

Stephanie uśmiechnęła się znowu. Uśmiechała się właściwie nieprzerwanie przez cały czas spotkania, a jednak Max nie mógł pozbyć się odczucia, że ostatnie dwie godziny przesiedziała z mocno zagniewaną twarzą.

- Jedna rzecz dziwi mnie szczególnie - mówiła. - Mianowicie, dlaczego nie ma żadnej wzmianki na temat objęcia kampanią żaków.

- Żaków? - nie zrozumiała Rosemary.

- Studentów szkół wyższych - wyjaśniła Stephanie poprawiając wstążkę u szyi. - Czy jest jakiś specjalny powód, John, dla którego ta właśnie część populacji nie znalazła się w pana analizie? Czy też było to zwykłe przeoczenie?

Spindler wymienił spojrzenie z Rosemary.

- Nie braliśmy nigdy studentów pod uwagę - wyjaśnił - z tej prostej przyczyny, że nie mają pieniędzy.

- Niezupełnie, z pewnością mają jakieś fundusze, gdyż w przeciwnym razie nie mogliby studiować, nieprawdaż?

Przez chwilę panowała cisza. Max, milczący dotąd zgodnie z prośbą Rosemary, zdecydował się jednak odezwać: - Ja na pewno nie miałem żadnych za moich studenckich czasów.

Dobrze było, jeśli potrafiłem utrzymać na koncie setkę.

- Ale miałeś konto, prawda? I jeśli nie otworzyłeś go w Fidelity, to musiałeś to zrobić gdzieś indziej... mam rację?

- Tak, oczywiście.

- Widzicie więc - Stephanie zwracała się teraz do wszystkich. -

Zapominając o żakach, oddaliście po prostu tę część rynku konkurencji.

- E tam! - rzucił Spindler. - Niech sobie biorą tę część. Równie dobrze można koncentrować się na dziadach z torbami.

Rosemary pochyliła się do przodu składając dłonie, jak do modlitwy - jego gest, rozpoznał go od razu; poczuł wyraźnie jej zakłopotanie.

- Wydaje mi się, Stephanie, iż John chciał powiedzieć, że fundusze zainwestowane w dotarcie do studentów nie dałyby się usprawiedliwić otrzymanym profitem - powiedziała, świadomie lub nieświadomie, nie potrafił tego ocenić, przejmując napuszony styl Stephanie.

- Rozumiem - powiedziała Stephanie. - A jakie statystyczne badania wspierają ten wniosek?

- Wyłącznie zdrowy rozsądek - odparł Spindler.

- Jeśli decyduje się pan trwonić pieniądze klientów na podstawie domysłów, John, to w porządku, tym niemniej istnieje również coś takiego jak intensywne i surowe badanie rynku, nieprawdaż? - Zamknęła teczkę z materiałami. - Pozostaje zatem faktem, iż zrezygnowaliście z całej grupy społecznej bez przeprowadzenia wcześniej najprostszyc choćby badań. W poniedziałek chciałabym zatem otrzymać raport waszego działu analiz...

- Nie mamy działu analiz - przerwał jej Spindler.

- Rzeczywiście. Pamiętam, że wspominałaś mi o tym, Rosemary, prawda? Jednocześnie zapewniałaś mnie, że wasza agencja dysponuje wszelkimi środkami do prowadzenia kampanii klientów takich jak Fidelity Federal. Moje pytanie: w jaki sposób pogodzić te dwie sprawy?

- Zajmowaliśmy się Fidelity przez ostatnich dziesięć lat - zauważył Spindler.

- Biorę pieniądze za to - odparła Stephanie ze sztucznym uśmiechem - by martwić się o dziesięć następnych lat.

Rosemary zapewniła ją, że z początkiem tygodnia otrzyma żądane sprawozdanie.

- Oczywiście będziesz musiała zaangażować kogoś z zewnątrz do przeprowadzenia badań? - upewniła się Stephanie.

- Oczywiście - przytaknęła Rosemary.

- Doskonale. I żeby nie było nieporozumień: to twoje wyłącznie

zmartwienie. Ja chcę otrzymać tylko końcową analizę.

Rosemary nie przestała się uśmiechać, w jej oczach jednak zaczynał tlić się ogień: Stephanie obwieściła im właśnie, że koszt owego bezsensownego przedsięwzięcia będą musieli ponieść sami.

Przeszli do omówienia zestawu materiałów reklamujących Fidelity Federal, nad czym Max biedził się desperacko przez ostatnie dwa dni.

Stephanie przerzuciła szybko projekty ogłoszeń prasowych bez słowa komentarza, w czasie projekcji okazywała brak uwagi graniczący z niegrzecznością, wszystkim się zdawało, że przygląda się raczej żaluzjom, smugom papierosowego dymu czy własnym wypolerowanym paznokciom niż ekranowi monitora, na którym migają reklamowe filmy; gdy z taśmy magnetofonowej dobiegały teksty reklamowej kampanii, obfitujące w chwytliwe, częściowo jego autorstwa slogany, siedziała obojętnie niczym staruszka, która wyłączyła właśnie swój aparat słuchowy. Kiedy ich prezentacja dobiegła końca, stwierdziła jedynie, że uważa prace za „warte zastanowienia”, po czym otworzyła swój notes i zmieniła szybko temat.

Chciała, okazało się, przedyskutować czekającą ich w zimie promocję pledów Cannona.

- Jak się orientujecie, będzie to nasz pierwszy, można rzec, dziewiczy projekt przygotowywany razem i pragnę równie mocno jak wy, by wypadł rzeczywiście wybornie. Uważam zatem, że w związku z tym powinniśmy notować wszystko...

A więc o to chodziło. Ich kreacja - częściowo jego kreacja - została całkowicie i z pogardą odrzucona. Nie warto było nawet o niej mówić.

Przez ostatnie dwie godziny wychodził ze skóry, by nie osądzać jej pochopnie, ale teraz, widząc zamykające się i otwierające lalkowate usteczka, pedantycznie drobiazgowo, ptasie ruchy rąk, kokardę, której biel zaczynała pulsować mu w oczach, pojął, iż tak bardzo pochłonęło go uczucie nienawiści do Stephanie Deluc, że nie usłyszał ani słowa z jej przemowy. Zorientowanie się, o co jej chodzi, zabrało mu parę chwil.

Miała, mówiła właśnie, swój własny koncept promocji pledów: należało przekazać wrażenie rozgrzewającej satysfakcji, jaką dawała klientom pewność, że ich oszczędności były bezpieczne z Fidelity Federal, oraz odczucie przytulnego ciepła, z jakiego słyneły pledy Cannona.

- Jednym ze sposobów rozpracowania tematu może być hasło typu „Szczęście ci pled ogrzeje, a kasę Fidelity Federal wierzeje”. Podoba mi się to, że obie idee wspierają się wzajemnie, jak i to, że sprzedajemy produkt i

usługi na podstawie tej samej percepcji. Co o tym myślicie? Oczywiście, ostateczną wersję, dobór słów, sformułowania zostawiam wam, ale koncepcyjnie wydaje mi się to, no, jedyne, nie sądzicie?

Złożyła ręce niczym uczennica, która po raz kolejny popisała się bezbłędną odpowiedzią, i czekała na ich reakcję. Zdawała się nie widzieć, iż wszyscy siedzieli z twarzami tak kamiennymi, jak żałobnicy umęczeni szczególnie nudną i banalną mową pogrzebową. Nikt nie chciał odezwać się pierwszy.

- Max? Niewiele dziś mówiłeś...

Rzucił okiem na Rosemary: wpatrywała się uparcie w swój żółty notatnik; wiedział, że nie ma co oczekiwać od niej pomocy. Wzruszył ramionami.

- Chcesz naprawdę wiedzieć, co myślę?

- Oczywiście.

- To odgrzewane kluski.

Wyglądała, jakby uśmiech zastygł jej na twarzy.

- Doprawdy? A co właściwie rozumiesz przez „odgrzewane kluski”?

Czy rzeczywiście nie pojmowała znaczenia tych słów?

- To coś, co słyszało się już wcześniej milion razy - odparł. - Wiesz, dwadzieścia lat temu, kiedy Charles Schulz wyskoczył z czymś podobnym, to było oryginalne, ale...

- Ale przecież ja świadomie powtarzam ten stary motyw! Chyba to widzisz?

Rosemary rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Oczywiście - przyznał. - Z całą pewnością.

- Poza tym nie miałeś właściwie okazji, by solidnie się nad tym zastanowić, prawda?

- Nie, dopiero co powiedziałaś nam...

- A zatem sugeruję, byś pomyślał nieco, nim rzucisz się do przedwczesnych sądów. A co pan o tym myśli, John? - zwróciła się do Spindlera.

Spindler wzruszył szerokimi ramionami.

- Zgadza się całkowicie z Maxem. Szablonowa robota.

- Rozumiem. Rosemary?

Rosemary zdusiła troskliwie papierosa.

- Myślę, że to pomysł, który z pewnością da się rozpracować - odparła. - Dobry punkt wyjścia.

Rosemary zachowywała się najbardziej rozważnie i ulegle z całej ich trójki, w tym momencie jednak zaczynało to przypominać płaszczenie się.

Nieprzyjemnie było patrzeć, jak się poniża; nie pasowało to do niej tak samo jak jej prosty, szary kostium bibliotekarki, za którą przebrała się tego ranka.

- Cieszę się, że przynajmniej jedno z was potrafi dostrzec zalety mojego pomysłu - powiedziała Stephanie. - Zawsze, oczywiście, można narazić się na zarzut, iż jakaś kampania przypomina „szablonową robotę”, jak pan to określił, John, ale tylko i wyłącznie wtedy, gdy rozpracowanie samego pomysłu nie sięga nawet przeciętnej. Wasza więc w tym teraz głowa -

zwróciła się do Rosemary i Maxa - by stworzyć świeże, podniecające i zachęcające rozwiązania artystyczne; gdy to się uda, nie sędzę, byśmy musieli się bać o odgrzewanie klusek czy kopiowanie szablonów. Mówiąc obrazowo, piłka jest po waszej stronie kortu.

- Czyli tam, gdzie powinna być - zauważyła Rosemary. - I jedno mogę ci obiecać, Stephanie: z całą pewnością będziesz z naszych rozwiązań zadowolona, jeśli nawet nie zachwycona.

- Doskonale, lubię takie podejście. Muszę was jednak ostrzec: wymagam perfekcji od samego początku. Od moich współpracowników oczekuję bezwzględnie tylko nadzwyczajnych wysiłków i takich samych rezultatów.

Wymagam tego od siebie samej i zakładam, iż tak długo, jak długo trwać będzie nasza współpraca, mogę spodziewać się po was identycznego podejścia do sprawy. I jak długo wszyscy będziemy tego przestrzegać, nie widzę żadnych problemów.

Przekazawszy im swoje troskliwie skrywane pogróżki Stephanie zamknęła notes, wstała zza stołu - w nozdrza uderzył go delikatny smrodek - i obdarzyła ich kolejnym uśmiechem. Jej białe zęby były idealnie równe, jak klawisze fortepianu.

Spodziewał się, że Stephanie weźmie ich nie zwlekając do galopu, tymczasem - zadziwiająco jak na perfekcjonistkę, którą się mieniła - postanowiła rozpocząć swe urzędowanie w Fidelity od wzięcia ponadtygodniowego urlopu, by wygrzać się wraz z mężem na Bahamach.

Zostawiła jednak rozporządzenie, by w dniu jej powrotu do biura oczekiwał ją skończony i kompletny projekt kampanii Cannona. Problem, z jakim musiał się uporać, przypominał zadanie alchemika: z mulistej papki szkolnego nieomal pomysłu Stephanie uzyskać szykowne i niezwykle kształty. Przez dwa dni nie zajmował się niczym innym, zonglując

rozmaitymi słowami: komfort, ciepło, wygoda, bezpieczeństwo - aż zaczęły tracić znaczenie; z magazynów Fidelity przywiózł cały bagażnik pleców i rozkładał je na podłodze swego biurowego pokoju w najróżniejszych kombinacjach, przechadzając się wśród nich, siadając, wreszcie okrywając się jednym, by niczym zmarły czekać na dzień sądu, aż znak dany z nieba każe mu zasiąść do pisania... czekał jednak na próżno.

Trzeciego dnia tej udręki przełamał się i wypluł kilka haseł; nie były na poziomie konkursowym, ale spełniały przynajmniej zadanie, rzucił się więc jak szatan do przygotowywania rysunków. Stephanie żądała trzech szkiców do każdej reklamy - szykował cztery albo pięć. Przy odrobinie szczęścia uporają się z ostateczną wersją hasła do poniedziałku, co akurat pozwoli grafikom wykończyć projekty i scenopisy obrazkowe przed czwartkowym Dniem Dziękczynienia. Ku jego zaniepokojeniu, jedynym problemem, jaki nieoczekiwanie napotkał, była Rosemary.

Poniedziałkowe spotkanie, zdaje się, wybiło ją z rytmu. Cały prawie wtorek i środę spędziła poza biurem; gdy w którymś momencie zajrzała do niego, wzruszyła tylko ramionami na jego uzalenie i spytała, czy oczekiwał czegoś innego. W czwartek miała serię narad z nowym klientem. W piątek rano zostawił na jej biurku plik swoich szkiców i co godzinę dzwonił do niej pytając, czy już zdążyła je przejrzeć, wymawiała się jednak za każdym razem. Wreszcie o wpół do szóstej wieczorem, kiedy wszyscy pakowali się już i zbierali do domu, poprosiła go, by przyszedł do jej gabinetu. Zastał ją nieomal leżącą w fotelu, ze słuchawkami na uszach. Uniosła wskazujący palec, dając mu znak, by czekał.

Z rękami w kieszeniach przechadzał się po pokoju, aż wreszcie Rosemary skończyła słuchanie muzyki i wróciła do siedzącej pozycji.

- Requiem Mozarta - rzuciła po zdjęciu słuchawek. - Znasz?

- Owszem.

- Tak przygnębiające, że nawet nie pomaga.

Milczał wymownie.

- Wybacz - powiedziała - ale nie rzuciłam jeszcze okiem na twoje projekty.

- Dlaczego?

- Dlaczego nie usiądziesz?

- Bo mnie krew zalewa! Co się z tobą dzieje? Nie wiesz, że musimy skończyć ten zaszary projekt z początkiem tygodnia? Odcisków sobie na dupie narobiłem, a ty nawet palcem nie kiwnęłaś, żeby mi pomóc.

Przekonany byłem, że mieliśmy się uzupełniać przy tej robocie.

- Zgadza się.

- Więc czemu tak się tu wylegujesz?

- Nie złość się, proszę, mimo że masz powody.

- Nie złość się, ale weź wreszcie do ręki tę cholerną teczkę, której nie podniosłaś przez cały dzień z biurka, i przeczytaj moje teksty.

- Zajmiemy się tym - odparła.

- Kiedy?

- Jutro.

- Jutro jest sobota.

- Więc będziemy pracować w sobotę.

- Czemu nie wzięliśmy się za to wczoraj albo nawet dziś?

- Ponieważ nie chciało mi się i olałam to, czyli zachowałam się nieprofesjonalnie. Max, proszę, nie bądź taką skałą. Zabierzemy się do tego i skończymy, ale nie dzisiejszego wieczoru. Tyle możesz mi chyba darować.

Troska wyparła irytację; usiadł w fotelu po przeciwnej stronie biurka.

- Rosemary - powiedział - nie możesz pozwolić, by ta kobieta tak ci dawała w kość.

- Jaka kobieta?

- Stephanie Deluc.

- A, La Machina...

- Kogo innego mógłbym mieć na myśli?

Pokręciła głową, wpatrzona ponad nim gdzieś w przestrzeń. Jej zamglone oczy były zmęczone.

- Należy ci się wyjaśnienie mojej... apatii. Moja współmieszkanka, kochanka czy jak ją chcesz nazwać, zostawiła mnie w zeszłym tygodniu.

Zdaje się, że nie bardzo potrafię sobie z tym poradzić... Byłyśmy razem przez trzy lata, rozumiesz, dla mnie coś niebywałego. I teraz chyba... kulę się w sobie.

- Dlaczego odeszła?

- Znudzona, jak przypuszczam. Była bardzo młoda, niewiele w gruncie rzeczy starsza od ciebie, i myślę, że po prostu nie miała już dłużej ochoty na dzielenie życia ze zdesperowaną lesbiją w średnim wieku, która bynajmniej nie robiła się młodsza.

- Dajże spokój, Rosemary!

- Nie, Max, to prawda. Tak czy inaczej powinnam być na to lepiej

przygotowana. Oczywiście czułam, że kryzys się zbliża, ale to wciąż jak zjazd tą szaleńczą kolejką w lunaparku: wspinasz się w wagoniku do góry, wiesz, że zaraz będziesz leciał w dół, więc zapierasz się rękami i nogami, ale potem mimo wszystko wrzeszczysz na całe gardło. - Otworzyła pudełko papierosów. - Oto, co daje mi w kość. La Machina oczywiście pozostaje problemem i z pewnością nie będzie on malał z upływem czasu, ale w tej chwili tak mnie zżera smutek, że gównu mnie obchodzi cała reszta.

Wybacz mi, Max. Nie powinnam dopuścić, by odbijało się to na tobie.

Miał ochotę podejść i objąć ją, ale byłoby to naruszeniem granic ich stosunku. Jak bardzo wczuwał się w jej sytuację! Sam też przecież siedział w wagoniku kolejki, wiedział, co go czeka i wiedział, że niezależnie od tego, kto kogo zostawi, to on będzie wrzeszczeć.

Gdy w sobotę spotkali się znowu w agencji, Rosemary starała się zachowywać zupełnie normalnie. Skoncentrowana wyłącznie na projekcie, nie wspomniała ani słowem o ich rozmowie z poprzedniego wieczoru.

Pracowali jak za starych dobrych czasów uzupełniając się wzajemnie, doskonale zgrana para fachowców, i projekt posuwał się gładko do przodu.

Późnym popołudniem udało im się prawie nadgonić stracony wcześniej czas. Dopiero w drodze do Nory uświadomił sobie, że Rosemary zdradziła się jednak z gnębiącym ją nadal cierpieniem: przez całych sześć godzin, jakie spędzili w biurze, nie sięgnęła ani razu po słodycze.

Do czwartkowego święta Dziękczynienia pozostało pięć dni: najwyższy czas, by zaplanować jak, sam czy razem z nią, ma zamiar je spędzić.

Odsuwał decyzję unikając telefonu: u Nory nikt nie był w stanie go znaleźć, by zaprosić na uroczysty obiad, w agencji zaś poprosił recepcjonistkę, by przejmowała wszystkie kierowane do niego telefony; posłusznie przekazywała mu coraz bardziej nerwowe prośby zostawiane przez jego matkę i Rachel Horowitz.

Izolacja, w jakiej żyła Nora, była częścią problemu. Nie utrzymywała kontaktu z rodziną, nigdy nie wspominała o istnieniu żadnych przyjaciół, w związku z tym nie miała więc gdzie spędzić świątecznego wieczoru, chyba że zabrałby ją ze sobą. Przed oczyma miał dwa równie nieprzyjemne obrazy: Nora przy stole pośród jego znajomych, usiłująca znieść krzyżowy ogień ich badawczych pytań, i Nora siedząca samotnie w jakiejś drugorzędnej

restauracji

nad

talerzem
rozmrożonego

indyka

i

ziemniaczanego puree z paczki, przepelniona całkowicie słuszną nienawiścią do niego. Ta druga wizja była tak okropna, że okazała sięomalże silniejsza od jego tchórzostwa;omalże, ale niezupełnie. Nie potrafił sięzmusić do podjęcia decyzji, gdy cztery dni przed obchodami dopadła go wreszcie, choć całkiem przypadkowo, Rachel Horowitz.

Wybrał się z Norą na zakupy do dużego sklepu Schmucka, niedaleko nowego mieszkania Horowitzów. W Dogtown był jeden obskurny magazyn, ale uparł się, by jechać parę mil dalej do Schmucka, gdzie było czyściej, taniej i lepszy wybór. Dzień spędzony w biurze wykończył go, więc gdy odebrał ją z Pałacu, zmęczoną i zirytowaną godzinami dyżuru, ścięli się od razu. Nie robili dotąd wspólnie zakupów do domu i okazywany przez nią brak jakiegokolwiek w tym metody przeraził go: brała, co popadło, nie sprawdzając nawet cen.

Czekał, aż weźmie z półki pudełko Anacinu i wrzuci do wózka, po czym wyciągnął je z powrotem ignorując jej rozdrażnione sapnięcie.

- O co chodzi? - spytała, ujmując się pod boki.

- Już ci mówię. Anacin kosztuje dwa dolary pięćdziesiąt dziewięć, a weź to pudełko zwykłej aspiryny. Dziewięćdziesiąt dziewięć centów i trzy razy więcej pastylek. Dlaczego więc Anacin jest o tyle droższy?

- Sądzę, że jest lepszy.

- O to chodzi, żebyś tak właśnie myślała.

- Komu o to chodzi?

- Tym, którzy odpowiadają za zbyt. Wiesz, jaki środek przeciwbólowy lekarze naprawdę przepisują najczęściej? Aspirynę, zwyczajną aspirynę.

Reklama zawsze była jedną wielką bujdą, ale to już kosmiczna granda.

- Cholernie interesująca opinia jak na faceta z branży...

- Bo praca w agencji otworzyła mi oczy - wyjaśnił, popychając do przodu wózek. - Każdy mieszkaniec tego kraju powinien choć raz wybrać się na zakupy w towarzystwie człowieka zajmującego się reklamą.

- Musiałby być chyba masochistą - stwierdziła, zaskakując go znów użyciem określenia, które zdawało się wykraczać poza ramy jej słownika.

- Dla ciebie wszystko w tym sklepie to granda.

- Prawie wszystko - zaznaczył zatrzymując się przed półką z makaronami.

Wybrała pudełko spaghetti American Beauty i celując nim w niego jak pistoletem spytała: - Jakies zastrzeżenia?

- Niemarkowy jest równie dobry.
- Jezu, ależ ty czasem potrafisz być nudny!
- Nora, dlaczego się upierasz przy niepotrzebnym wyrzucaniu pieniędzy?

Masz jakiegoś bogatego wujka, o którym nic nie wiem?

- To moje zasrane pieniądze i mogę z nimi zrobić, co mi się żywnie podoba, tak czy nie? - Czerwona kraciasta chustka, wydatne kości policzkowe i zaciekły upór w twarzy upodobały ją do starej przekupki, która mogłaby się z nim gwałtownie kłócić na jakimś lewantyńskim bazarze.
- Ja akurat wolę spaghetti marki American Beauty.

- Wydaje ci się tylko, że wolisz.
- Oczywiście tylko dlatego, że znowu nabrałam się na reklamę?
- Otóż to.

- Więc mam to gdzieś! Gówno mnie obchodzi, czy się dałam nabrać.

- Wrzuciła opakowanie do wózka i wskazała je palcem. - Spróbuj tylko wziąć to do ręki!... Mamy już twój bezimienny papier toaletowy i bezimienną aspirynę, a ja teraz chcę moje spaghetti American Beauty i w dupie mam, czy ze mnie zdzierają pieniądze. Oddam ci tych zasranych osiem centów różnicy, jeśli ma ci to poprawić samopoczucie!

- Nie potrafię pojąć, że ktoś tak biedny, jak ty, może po prostu brać rzeczy z półek bez zastanowienia, niczym szympanś z cyrku.

- Aha, więc jestem szympansem.
- Tego nie powiedziałem.
- Nie? To pewnie mi się zdawało.

Pohamował gniew i przeszedł do regału z kawą, gdzie zaczął uważnie porównywać ceny. Czuł, jak stojąc za jego plecami kipi złością.

- Max, mógłbyś wybrać wreszcie jakąś kawę? Wyjdźmy stąd w końcu, do cholery, w życiu nie siedziałam tak długo w sklepie.

- Z całą pewnością nie wybiorę jakiejś kawy.

- Słuchaj, cały dzień byłam na nogach w tym moim bajzlu i nie mam najmniejszej ochoty sterczeć tu dłużej, gdy ty będziesz obmacywał każde zasrane opakowanie. Jestem wykończona, nogi mnie bolą, a ty tylko starasz się doprowadzić mnie do szału.

- Staram się zaoszczędzić trochę twoich pieniędzy.

- Żyd z ciebie wylazł, tyleś się nastarał.

Zaskoczony był, jak bardzo go to zabolalo; zwykle nie reagował na podobne docinki, tym razem jednak padło to z jej ust. Stała jakby zakłopotana i wybita z równowagi w opustoszałym akurat przejściu, jedną

ręką podtrzymywała łokieć drugiej, którą obracała koleczyk w uchu. Po raz pierwszy ten jej odruch wydał mu się równie pociągający, jak rozdrapywanie rany; w gruncie rzeczy nie robiła wszak nic innego: gmerała w świadomie okaleczonym płatku ucha. Jej brudnożółta bluzka, obszarpana wojskowa kurtka i wypłowiałe džinsy sprawiały wrażenie włożonych rozmyślnie; podobnie zniszczone odzienie mogła nosić lesbijka, by uniknąć męskich zaczepek. W płaskim świetle zawieszonych u sufitu lamp jej makijaż krzychał niczym barwy wojenne. Wyrysowane kreski brwi wyglądały szczególnie żałośnie. Poczul ogarniający go wstręt.

- Co ty tak... czemu mi się tak przypatrujesz?

- Czy ty w ogóle wiesz, co przed chwilą powiedziałaś?

- O tym Żydzie? Jezu, żartowałam tylko.

- Bzdura. Właśnie skakaliśmy sobie do gardła.

- Czy ty naprawdę myślisz, że nie cierpię Żydów? Skoro tak, to czemu jestem z tobą?

- Nie w tym rzecz.

- Jasne, to przecież lubisz mi powtarzać: nie w tym rzecz, nie w tym rzecz...

- Rzecz w tym, że się poniżasz, kiedy mówisz jak antysemitka.

Nie poniżyła się oczywiście, zaledwie pokazała poziom, na jakim żyła.

- Nie wiem nawet, co to ma znaczyć: „antysemitka”. Coś przeciw Żydom, tak?

- Tak.

- No więc, przykro mi. W porządku? Co mam jeszcze zrobić? Upaść na kolana i lizać ci buty?

- Możesz sobie darować - powiedział. - Upadłaś już dostatecznie nisko. Wbili w siebie spojrzenia.

- W tej chwili cię nie lubię - oznajmiła.

- Ja ciebie też.

- Ale ja nie lubię tego, że cię nie lubię. A ty, czuję, masz frajdę, gdy mnie nie lubisz. - Objęła się ramionami i odsunęła od niego parę metrów.

Rachel Horowitz, popychająca wyładowany z czubem wózek, skręciła w tym momencie w ich przejście.

No więc dobrze, pomyślał, został złapany. Poczul pełne ulgi wyczerpanie, jakie musi czuć zdemaskowany wreszcie szalbierz. Miał już dość ukrywania się.

Rachel była zaokrąglona, zaróżowiona i zadowolona. Miała na sobie

irchowy płaszcz z lisim kołnierzem i nową od czasu spotkania u Klugmanów fryzurę, starannie ułożoną gęstwą drobniutkich kasztanowych loczków.

- Max Baron! - wykrzyknęła, po czym przeszła z wózkiem obok Nory, nie zwracając na nią żadnej uwagi. Ale też dlaczego miałyby przyjść jej do głowy, że między nim a tym niechlujnym babskiem, które akurat znalazło się koło niego w sklepowym przejściu, mógł istnieć jakikolwiek związek?

Nie powiedział przecież Horowitzowi niczego poza tym, że Nora istniała i że z jej istnieniem wiązały się jakieś problemy.

Zdażył rzucić na nią jeszcze raz okiem - odsunęła się dalej, z założonymi rękoma stała przed regałem z kawą, udając niczym kiepski prywatny detektyw, że zajęta jest właśnie wybieraniem gatunku - gdy Rachel zaczęła go ścisnąć.

- Max, gdzieś ty się podziewał? Martwiliśmy się już o ciebie jak wariaci, Neil i ja. Złapać cię nie można, a chcieliśmy cię zaprosić na Dziękczynienie.

- Klepnęła go nieprzyjemnie mocno po ramieniu. - No, co się z tobą działo przez cały tydzień?

- Nie mieszkam prawie w domu - wzruszył ramionami.

- Bo jesteś u tej tajemniczej kobiety, o której mówił mi Neil?

- Mhm.

- Musisz ją przyprowadzić, rozumiesz? Umieramy wszyscy z ciekawości! Aha, i zaprosiłam od razu twoją matkę. Nie masz chyba nic przeciwko temu, co? Zwróć tylko na nią uwagę, żeby nie wymyśliła czegoś...

- Rachel, daj spokój, przecież wiesz, że nie jestem jej opiekunem.

- Tak ci się tylko zdaje. Ale najważniejsze, żebyś przyszedł ze swoją przyjaciółką. Przyjdiesz?

- Chcesz ją poznać? - zapytał.

- No oczywiście, przecież o niczym innym nie mówię!

Chciał przywołać Norę, ale kiedy odwrócił się w jej kierunku, w przejściu nie było już nikogo. Improvizując zaczął tłumaczyć, że jest już mocne spóźniony na spotkanie ze swą nową „dziewczyną”, przeprosił za gwałtowną ucieczkę, uściskał Rachel w nadziei, że to załatwi sprawę. Nic z tego Rachel wymogła na nim słowo honoru, że przyjdzie na obiad z Norą i w ten sposób, choć pełen wątpliwości, przypieczętował swą obietnicę.

Począł, aż wózek Rachel zniknął mu z pola widzenia i zaczął szukać Nory. Dopiero przy chłodziarkach pełnych mrożonek zorientował się, że nie ma jej w ogóle w sklepie. Czekala z niecierpliwością na okazję, b) wyjść jak najprędzej, i rzeczywiście wyszła; może kręciła się po parkingu może

próbowała jazdy „na łebka” do domu. Będzie musiał ją dogonić stracił już cenny czas, a teraz stał tu z wózkiem pełnym sprawunków. Może chciała, by było to dla niego pogładową lekcją: nienawidziła jego praktyczności dyktowanej zdrowym rozsądkiem, nie znajdowała dla niego zastosowania, i znikając chciała wymóc na nim, by zostawił te starannie wyselekcjonowane dobrą, goniąc za nią. Jeszcze czego, pomyślał i ustawił się z wózkiem w kolejce.

Diabelskie moce sprzyściły się oczywiście przeciw niemu: poprzedzające go dwie staruszki poruszały się z irytującą rozważą żółwi; gdy wreszcie dotarł do kasy, kasjerce zabrakło dolarówek i godziny minęły nim wróciła z nowym plikiem. W końcu okazało się, że komputer nie mógł odczytać kodu na wybranej przez Norę paczce spaghetti, kasjerki znów godzinami szukała kierownika, wieczność trwało, nim ten powróci do niej z poprawną ceną.

Wybiegł ze sklepu przyciskając do piersi kilka toreb ze sprawunkami. Znów nie było słońca, szósty dzień z rzędu zaciął drobny deszcz, samo chody na parkingu przypominały stado zagapionych w jednym kierunku krów, ściśniętych żałością razem dla utrzymania ciepła. Nie potrafił zgadnąć, gdzie mogła być Nora, poszedł więc prosto do auta.

W ciemnych okularach na nosie siedziała za kierownicą. Ciemne okulary... Przeraziła go ich irracjonalność. Przeniósł ciężar toreb na drugie ramię i zapukał w szybę. Odczekała na tyle długo, by poczuł, że robi mi łaskę, po czym otworzyła swoje drzwi.

- Czemu nie otworzysz tylnych? - spytał, wskazując trzymane torby.

W milczeniu wygięła się ponad siedzeniem i spełniła jego prośbę; więcej nie miała zamiaru mu pomagać. Mało nie rozsypał wszystkiego, balansując dziwnie przy próbie samodzielnego otwarcia drzwi na całą szerokość, ale w końcu zwałił jakoś torby na siedzenie. Spojrzał ze złością na obwiązaną chustką głowę - nie można było zapominać, ile premedytacji tkwiło w jej zachowaniu, a to pełnym agresji, a to znów biernym. Musiała niczym szachista planować trzy-cztery ruchy naprzód, by układ okazał się równie dla niego niewygodny jak teraz, gdy zmuszony był dokonywać cyrkowych wyczynów. Mało tego, potrafiła to tak zaaranżować, że obiektywnie rzecz biorąc nie sposób się było do niej przyczepić: otworzyła mu przecież drzwi, a jeśli mimo to dalej trudno mu było się pozbierać, to czemu nie poprosił o pomoc?

Siedziała już na miejscu pasażera, nim wsiadł do auta. Wnętrze było

duszne, ale oczywiście zapaliła papierosa. Poprosił ją, by uchyliła okno po swojej stronie. Odczekała, aż wydmuchany przez nią dym doszedł jego twarzy, po czym opuściła lekko szybę.

- Dziękuję - rzucił przez ściśnięte gardło.

Nie odezwała się. Jej pozbawiona wyrazu twarz rysowała się profilem na tle mokrej od deszczu szyby, przeciwsłoneczne okulary wciąż irytowały go swym bezsenssem. Przy niebie tak pochmurnym kazały myśleć o teatrze odstawanym przez obłąkańca, w słoneczne popołudnie przechadzającego się po deptaku w kaloszach i z parasolem. Spytał, czemu je włożyła.

- Bo tak mi się podobało - odparła.

- Zauważyłaś, że nie ma słońca?

- Co ty nie powiesz!

- Wiesz, że zachowujesz się jak dzieciak?

- Poprawiam się. Niedawno byłam szympansem.

- Dlaczego zostawiłaś mnie w ten sposób? – zapytał.

Przysunęła się ciasniej do drzwi.

- Nora, proszę, rozmawiaj ze mną!

- Po co mam z tobą gadać? Każda nasza rozmowa kończy się tym, że mówisz mi coś złośliwego.

Czy zarzut był prawdziwy? Wystarczająco, by zapragnął pojednania.

Nie potrafił się jednak przełamać; deszcz bębnił monotonicznie o dach, siedzieli znosząc wzajemną obecność.

- Słuchaj... - zaczął. - Wiesz, kim była ta kobieta, z którą rozmawiałem?

- Nie przypuszczam.

- To Rachel Horowitz, żona Neila, mojego najlepszego kumpla.

- Nie do wiary.

Powstrzymał wybuch złości.

- Chciałem was właśnie poznać, ale gdy odwróciłem się do ciebie[^] przepadłaś.

- Może nie miałam ochoty, byś mnie przedstawiał.

- Ale to moja dobra znajoma.

- Nie paliłeś się jakoś do przedstawiania mnie twoim dobrym znajomym.

- Wiem, wiem, ale to się zmieni.

- A może ja nie chcę, żeby to się zmieniło? Może nie interesuje mnie poznawanie twoich przyjaciół z West County? Nie przyszło ci to do głowy? Poza tym nie lubię tej grubej baby.

- Przecież w ogóle jej nie znasz!

- Ale wyczuwam ludzi.

- Opowiadasz bzdury. Jak możesz twierdzić, że jej nie lubisz, skoro nie zamieniłaś z nią nawet słowa?

- Ponieważ jestem pewna - powiedziała patrząc na niego - że ona nie będzie mnie lubić. I daj mi wreszcie do cholery spokój!

A więc o to chodziło: nie gniew pogonił ją ze sklepu, a obawa, jak oceni ją Rachel. Poczuł, że mięknie mu serce, a jednak gest, jaki wykonał, był impulsywny i gwałtowny: zerwał jej z twarzy okulary. Nie mylił się, niestety. Oparta sztywno o drzwi, syknęła: jej oczy były czerwone, spuchnięte, podkrążone, ślady rozmazanego tuszu sięgały policzków.

Nigdy dotąd nie widział jej płaczącej, zastanawiał się nawet, czy kiedykolwiek płakała. Robiła to, oczywiście, jak każdy człowiek zdolny do normalnych uczuć, tyle że ukrywała to przed nim. Być może grała tu również rolę jej próżność: musiała wiedzieć, jak wygląda łkając.

Nie starała się zakryć twarzy czy odebrać mu okularów, patrzyła tylko na niego przygnębiona.

Ze schowka na drobiazgi wyciągnął paczkę chusteczek higienicznych i przysunął się do niej. Poddała się, nieruchoma, nie odrywając swych spuchniętych oczu od niego, gdy ścierał jej z twarzy załzawiony makijaż.

Wciągnął w nozdrza woń tłustego mięsa i cebuli, trzymającą się jej nadal po pracy w Pałacu. Inni, pomyślał, po wielu latach od czasu swego jedyne wielkiego romansu odnajdują przypadkiem, w tłoku lotniska czy na jakimś przyjęciu, cień szczególnego dla tamtych chwil aromatu i cierpią wciąż żywy smutek po utraconej miłości; jego erotyczne epifanie wywoływać będzie zawsze zapach smażonej cebuli. Szarpnęła się lekko, gdy wycierał jej twarz.

- Sama to mogę zrobić...

- Ale ja chcę.

- Pan Czyścioszek, zapomniałam - skwitowała. - Jak ty możesz w ogóle na mnie patrzeć?

- Bogiem a prawdą, z trudem. Wyglądasz jak wyciągnięty z wody szczur.

- Nie ma co gadać, potrafisz być uwodzicielski...

- Nie ruszaj się.

- Max? - Tak?

- Zachowałam się jak idiotka, przepraszam.

- A ja przepraszam, że byłem taki śmiertelnie serio - powiedział.

- Chciałabym, żebyśmy się w ogóle nie kłócili.

- To chyba niemożliwe.

- Dlaczego?

Złożył chusteczkę w taki sposób, by nie zabrudzona część była na wierzchu.

- Nie wiem - przyznał.

- Więc co ma z nami być? Mamy się dalej tak ciągle szarpać?

- Na to się chyba zanosi.

- I nie masz nic przeciwko temu?

- Myślę, że gotów jestem płacić każdą cenę.

- A jeśli ja nie?

Nie odpowiedział; metodycznie ścierał dalej jej makijaż.

- Czego ty ode mnie chcesz, Max?

- Chcę, byś była ze mną tak długo, jak się da.

- Dlaczego?

- Bo cię kocham.

- Ale dlaczego?

- Cholera, nie mam pojęcia.

- Ja też nie.

Gdy skończył, spytała go ironicznie, jak teraz wygląda.

- Jak Nora Cromwell - odpowiedział.

W drodze do domu zaprosił ją na świąteczny obiad u Horowitzów.

Opierała się, ale w końcu udało mu się ją przekonać. Prawdę powiedział, i tak nie miała dokąd pójść.

Rozdział trzynasty

W niedzielę zadzwoniła z Nowego Jorku Judy, siostra Nory. Nawet telefon od nieżyjącego Charleya nie zdziwiłby go bardziej: całe zachowanie Nory wskazywało na to, że wszyscy członkowie rodziny pomarli, i tak w gruncie rzeczy ich widział, zepchniętych w jakąś mroczną rzeczywistość piekła, na wieki izolowanych. Judy, okazało się, jechała wraz z poślubionym przed dwoma miesiącami Bobem do Kansas City, by spędzić tam święto z jego rodzicami; w środę mieli być w St. Louis i Judy chciała wiedzieć, czy będą mogli przenocować u siostry, bo nie bardzo stać ich było na motel. Nora zgodziła się bez chwili namysłu, a teraz pluła sobie z tego powodu w brodę. W ciągu ostatnich dziesięciu lat widziały się tylko raz, na pogrzebie Charleya; życzenia świąteczne składane przez telefon stanowiły jedyną formę kontaktu.

- Max, przecież ja jej prawie nie znam - mówiła do niego. - A poza tym mi się nie podoba.

- Dlaczego, coś jest z nią nie w porządku?

- Dlatego, bo ma nie po kolei w głowie. Bez przerwy wychodzi za mąż, to jedna rzecz. Sama nawet nie wiem, ilu już miała chłopów. Każdego trzyma nie dłużej niż nowy samochód, potem wymienia go na kolejny model. A wiesz, z czego żyje? To specjalistka od fortuny.

Siedziała obok niego wsparta o poduszki, pachnąca świeżo po kąpieli, w swej nowej, różowego koloru koszuli nocnej, którą kupił jej - jak zwykle na wyprzedaży - w filii Neiman-Marcus. Podciągnął ramiączko opadłe z jej opalonego ramienia.

- Jak to „od fortuny”? Pracuje na giełdzie?

Spojrzała na niego.

- Przepowiada przyszłość, rozumiesz? Jak jakaś Cyganka. Wróży z ręki, kładzie tarota, czyta z gwiazd, itepe, byle tylko jakiś głupiec zapłacił.

- Naprawdę?!

Prychnęła tylko.

Nie dawał właściwie wiary okultyzmowi i nadprzyrodzonym historiom, choć generalnie rzecz biorąc skłonny był opierać się każdemu systemowi, który zarzucał się przyczynowości na ludzki żywot; jeśli wierzył w cokolwiek, były to przypadki.

- Próbowала kiedyś wróżyć ci z ręki albo coś w tym stylu? - zapytał.

- A jakże! Żebyś zobaczył, jakie cuda wyprawiała na pogrzebie! Ludzie ustawiali się do niej w kolejce. Dusza stypy, słowo daję. Gdy zaczęła rozdawać swoje zasrane wizytówki, mało jej nie wyrzuciłam na zbity pysk.

Ta miała tupet, w życiu czegoś takiego nie widziałam!

- Ale czy ona traktuje to poważnie?

Wzruszyła ramionami.

- Nawet gdyby tak było, i tak nie dam się jej tknąć.

- Dlaczego?

- Bo to, jak i kiedy zdechnę, jest ostatnią rzeczą, jaką chciałabym wiedzieć.

Nadchodzące odwiedziny Judy stworzyły mu doskonały pretekst, aby zabrać się do generalnych porządków. Herkulesowa niemal praca, w dodatku niepotrzebnie użył tego określenia w rozmowie z Norą: chciała wiedzieć, na czym polegała praca Herkulesa; opowiedział jej, zmuszony przy tym wspomnieć historię stajni Augiasza, co z kolei doprowadziło do

nieuniknionego porównania ze stanem jej mieszkania.

- Pieprzysz jak chory na umyśle - powiedziała na to. Westchnął tylko i sprzątał dalej. Wyszorował podłogi, odkurzył dywany, zmył ściany, drzwi, okna, całą bez wyjątku kuchnię łącznie z piecykiem. Zabrało mu to całe prawie poniedziałkowe i wtorkowe popołudnie; pomagała mu niechętnie i od niechcienia, wykorzystując każdą okazję, by uwolnić się i od tego: leżała godzinami w wannie, przypominała sobie, że nie ma papierosów i wychodziła po nowe, w poniedziałek zdecydowała, że musi oddać wreszcie samochód do warsztatu, by naprawiono w nim tłumik. Kiedy wróciła, wymógł na niej, by wyczyściła przynajmniej wnętrze lodówki, a gdy skrytykował ją za byle jaką pracę, zagrała rolę męża-pantoflarza poniewieranego przez żonę-sekutenkę krzycząc, że wreszcie ma jej dać spokój, i trzasnąwszy drzwiami wybiegła z domu. Późnym wieczorem zadzwoniła z McCausland Tap, wstawiona i pełna skruchy, namawiając go, by przyłączył się do niej; odmówił, tłumacząc się zbytnim zmęczeniem po godzinach sprzątania.

We wtorek przepadła na cały prawie wieczór u fryzjera. Kiedy wróciła, wsparty pod boki przyglądał się właśnie wysprzątanemu pokojowi: misja spełniona, stajnia Augiasza błyszczała czystością. Weszła cicho do mieszkania i stali teraz oboje zwróceni ku sobie, nieruchomi, nie wierząc własnym oczom: mieszkanie, jakiego nie знаła zapewne od lat, sterylne i szpetne niczym pokój w Holiday Inn i Nora, jakiej nie widział nigdy.

Kazała sobie zrobić trwałą ondulację, jej proste czarne włosy spadały teraz bujną gęstwą drobnych loczków aż na łopatki. Wyglądała dzięki temu młodziej, prawie dziewczęco, i gdy tak stała obracając swój kolczyk, z lekko otwartymi w zadziwieniu ustami, pomyślał, że nigdy dotąd nie była tak zwyczajnie i autentycznie piękna.

Gdyby ubrała się odpowiednio i nie przesadziła z makijażem, pewnie mogłaby nawet zaskoczyć czwartkowych gości Horowitzów.

Pociąg do mężczyzn młodszych i niższego wzrostu musiał być wspólny dla żeńskiej części jej rodziny: przez trawnik, zaparkowawszy właśnie mikrobus, szła szeroka w ramionach, uśmiechnięta pełną gębą olbrzymka z kokiem pszenicznych włosów, okryta jaskrawożółtą suknią przypominającą bezkształtny namiot; za nią dreptał drobny, zgarbiony, zahukany z wyglądu młody człowiek z końskim ogonem i w kombinezonie, przynajmniej, jak go oceniał Max, pół głowy niższy, parę kilo lżejszy i z dziesięć lat młodszy od swojej żony. W późniejszej rozmowie wyszło na jaw, że Bob rzucił

marynarkę handlową wkrótce po poznaniu Judy na Manhattanie, gdy szukał u niej porady, i od sześciu miesięcy był bez pracy. Był równie małomówny, jak ona gadatliwa, zbyt gadatliwa, kipiąca wręcz natarczywą żarliwością, która Maxowi kojarzyła się z konwertytami. Między siostrami nie było zupełnie podobieństwa: czekoladowe oczy Judy osadzone były w okrągłej, płaskiej, małpiej nieco twarzy. Wysoka i prosta jak topola, w swej sukni wydawała się nie mieć wcale bioder. Ale, zadziwiające, brzmiała zupełnie jak Nora: ta sama prowincjonalna śpiewna intonacja, taka sama szorstkość niskich tonów głosu - pobyt w Nowym Jorku zdawał się nie mieć na to wpływu.

Judy starała się zachowywać jak kochająca siostra, nie zauważając, mimo pretensji do jasnowidztwa, że podczas ogólnych wstępów i pokazywania domu Nora trzymała się z chłodną rezerwą.

- Wspaniałe mieszkanie! - wykrzyknęła w pewnym momencie Judy.

- Przynajmniej czyste - zauważyła Nora. - Załatwiłam sobie osobę do sprzątania.

- No, tobie to dobrze!

- Nie masz nawet pojęcia... - skwitowała jej słowa Nora, prowadząc całą grupę do pokoju, gdzie zaproponowała im, niespodziewanie używając tego słowa, „koktajle”.

Bob poprosił o piwo, Judy najpierw nie chciała niczego, potem zdecydowała się na szklankę wody z lodem.

- Wiesz, że nie piję od... no, będzie już pewnie piętnaście lat? - powiedziała.

Nora wyglądała na zaszokowaną. - Naprawdę?

- No tak, skąd miałabyś wiedzieć, skoro nie gadamy ze sobą. To wstyd, że nie utrzymywałyśmy żadnego kontaktu.

- Doprawdy wstyd - przyznała Nora i wyszła przygotować napoje.

Bob, z dłońmi opartymi na kolanach, siedział na przyniesionym z kuchni krześle, jakby się bał, że może je połamać. Max zastanawiał się właśnie, co powiedzieć, by gość się rozkręcił, gdy Judy złapała go za przegub ręki, pociągnęła w kierunku sofy i usadziła obok siebie. Nawet w tej pozycji musiał zadzierać głowę, by dojrzeć jej twarz. Pachniała bzem i zakurzonym wnętrzem samochodu, którym przyjechała.

- Misiaczkule, gdzie u Boga ojca ta moja siostra na ciebie wpadła? -

Patrzyła na niego rozpromieniona i kręciła głową. - Coś mi się wydaje, że jej sposób postępowania wreszcie się zmienił. Muszę oczywiście

przygotować diagram, wtedy dopiero będę absolutnie pewna, ale gotowa jestem się założyć, że jej księżyc wyszedł spod wpływu Saturna dokładnie w dniu waszego poznania.

- Tak myślisz?

- To jedyne sensowne wytłumaczenie.

- A dlaczego akurat Saturn ma być taki zły?

- Nie akurat Saturn, to planeta jak wiele innych. Ale jego wpływ może być bardzo negatywny i długotrwały. Podlega mu wiele złych cech: melancholia, upór, uzalanie się nad sobą...

Nora wniosła do pokoju tacę ze szklanką wody, puszką piwa i napojami dla nich dwojga. W jej wódce z tonikiem pływał plasterk limony, a cienka skrzyżowana skórka cytryny dodawała smaku jego whisky, rozkosze, jakimi nigdy dotąd nie zawracała sobie głowy. Wzruszył go ten drobny ukłon w stronę elegancji.

Judy przechyliła się, by przyjąć podaną jej szklankę; opadłszy z powrotem, ujęła jego rękę. Dłoń Judy była szeroka i ciepła. Zwróciła się do Nory: - Kochanie, gdzieś ty go znalazła?

- W katalogu wysyłkowym Searsa - odparła Nora, pobudzając tym siostrę do wybuchu śmiechu, aż zatrzęsła się sofa. Puszka z piwem powędrowała do Boba, whisky trafiła w ręce Maxa; Nora usiadła na fotelu naprzeciw sofie i skrzyżowała nogi z przesadną wytwornością. - Tak... -

westchnęła.

- No właśnie - zawtórowała jej Judy. - Jak to dobrze znowu cię zobaczyć!

- Ciebie też.

- Dasz wiarę? Ile to już lat?

- Od pogrzebu Charleya.

- A, tak. Rany boskie, ależ to kawał czasu!

- Rzeczywiście.

Zapadła cisza. Bob wychylił piwo.

- To naprawdę wstyd, żeśmy się nie kontaktowały.

- Wstyd.

- Wstyd i hańba, nic innego. W końcu jesteś moją jedyną siostrą na tym świecie... A George albo Gene czy któryś z chłopaków, wiesz coś o nich?

- Nie - przyznała Nora. - Niestety.

- Ja też nie, muszę przyznać. Też szkoda.

Nora zgodziła się z nią, po czym znów zapadła cisza.

- Prawdę mówiąc - odezwała się w końcu - tak dawno już z nimi nie

rozmawiałam, że chyba nic nie miałabym im do powiedzenia.

- Pewnie że tak. Między siostrami jest oczywiście inaczej. Siostry zawsze się rozumieją, to już wrodzone.

Coś, gdzieś, uległo zmianie: Nora uśmiechała się nadal do Judy, lecz w oczach miała śmiertelny chłód, oddalający spojrzenia siostry niczym jednostronne lustro.

- Pomyśl tylko, ile miałybyśmy do obgadania - powiedziała Judy.

Nora zdawała się rzeczywiście rozmyślać o tym przez chwilę. Uniosła jedną brew.

- Na przykład?

Judy zaśmiała się i pogroziła jej palcem.

- Okropna jesteś, wiesz? Ale zawsze miałaś taki cięty humor. Mała jeszcze byłaś, a już miałaś języczek, ho-ho...

- Czyżby?

- O tak, moja droga.

- Pamiętam tylko, że cały czas panicznie się bałam.

- No popatrz. Czego się tak bałaś?

- Taty. Albo mamy. Zależy, które było w pobliżu, czy które było pijane.

- Ach, przesadzasz, Nora. Były złe czasy, jak w każdej rodzinie, ale były też i dobre.

- Tych nie pamiętam - orzekła Nora.

- Ależ oczywiście, że pamiętasz. Zapomniałaś już, jak chodziliśmy wszyscy z sankami na Art Hill? Cała rodzina i każdy się doskonale bawił?

Nie powinnaś być tak negatywnie nastawiona, moja droga.

Nora zmarszczyła czoło. - Rzeczywiście, przypomniałaś mi, teraz pamiętam saneczkowanie na Art Hill.

- Sama widzisz. A jak tata śpiewał? Pamiętasz, jaki miał piękny baryton?

- Nie.

- Kochana moja, przecież on wyśpiewywał jak skowronek!

- Opowiadaj dalej. Chcę sobie przypomnieć dobre czasy.

Judy machnęła ręką.

- Nie, naprawdę, Nora, chyba nie masz zamiaru gadać dzisiaj o przeszłości?

- Właśnie, że mam. - Spojrzała znad brzegu szklanki.

- Nie dzisiaj, moja miła. Tak mało mamy czasu dla siebie...

Nora podniosła znowu szklankę do ust, po czym przerzuciła jedną nogę przez oparcie fotela, rozsiadając się w bardziej naturalnej dla siebie pozycji.

- O czym my w ogóle możemy gadać, jeśli nie o przeszłości?
- Nie wiem, o wszystkim i o niczym, po prostu. Wiesz, wyglądasz naprawdę dobrze.
- A, dziękuję. Ty też.
- Zawsze ci się tak kręciły włosy?
- Nigdy mi się nie kręciły. Zrobiłam sobie trwałą.
- No popatrz, a przysięgłabym...
- Nie pamiętasz? Miałam tak proste i czarne włosy, że tata nazywał mnie Pocahontas.

- Kochanie, mieliśmy zdaje się dać dzisiaj spokój przeszłości.
Nora spojrzała na nią z czystą ciekawością. Bob trzasnął głośno kostkami dłoni. Spytała go, czy ma ochotę na następne piwo, i podniosła się, gdy rzucił: - Tak, psze pani.

Judy odwróciła się znów do Maxa.
- Właściwie jak długo jesteście razem?
- Niecałe dwa miesiące - odpowiedział.
- Patrzcie tylko! Przecież to tyle, ile my po ślubie.
- No i co ty na to? - Posłużył się jedną z ulubionych fraz Nory.
- Powiedz mi tylko jedno, Max. Kiedy się urodziłeś?
- W pięćdziesiątym szóstym.
- Nie, miesiąc i dzień.
- Dwudziestego drugiego sierpnia.
- Lew, oczywiście! A Nora to Koziorożec. Teraz jasne, dlaczego tak wam dobrze razem. Koziorożce ciągną do Lwów, jak pszczoły do miodu, wiedziałeś o tym?

- Absolutnie mnie to nie dziwi - odparł.
Judy zaśmiała się potrząsając głową.
- Teraz przekonana jestem, że jej księżyc rzeczywiście uwolnił się od Saturna.

Nora wręczyła Bobowi nową puszkę piwa i niefrasobliwie klapnęła na fotel z typowo młodzieżowym luzem, najwyraźniej porzucając rolę wytwornej pani domu. W ręce trzymała szklankę pełną świeżo nalanej wódki.

- Nora - odezwała się wtedy Judy - musisz mi koniecznie powiedzieć, jak ci teraz idzie w życiu.
- Doskonale - wyjaśniła krótko.
- To cudownie. A praca jak?

- Wybornie.
- Czym to ty się zajmujesz?
- Gastronomia.
- Prawda, wspominałaś coś o tym, gdy rozmawialiśmy w czasie ostatnich świąt. A jeśli chodzi o romantyzm - Judy mrugnęła do Maxa - to widzę sama...
- Rzeczywiście?
- Nora, to prawdziwy skarb, nie mam żadnych wątpliwości. A co ty robisz, Max?
- Pracuję w reklamie.
- Nieee, naprawdę? Spec od reklamy! Nora, gwiazdy ci muszą sprzyjać!
- Nie chcę nic słyszeć o gwiazdach - powiedziała Nora.
- Kochanie, iść przez życie bez zrozumienia wpływu zodiaku to jak przekraczać kontynent bez pomocy mapy...
- Nie mam teraz ochoty na astrologię, czytanie z ręki czy jakieś inne twoje brednie. Nie chcę cię obrażać, Judy, po prostu nie jestem w nastroju.
Judy przyjęła jej słowa bez żadnych protestów: - W porządku, nie będę cię męczyć. Co jeszcze możesz mi o sobie opowiedzieć?
- Może to - oznajmiła Nora - że wzięłam się ostatnio do czytania.
- O!
- Max wykladał kiedyś angielski i pomaga mi teraz wybierać lektury.
- Wspaniale!
- Skończyłam właśnie Przygody Hucka. Napisał Mark Twain...
- Ale to książka dla dzieci! Tomek Sawyer i reszta...
- To wcale nie książka dla dzieci, jeśli chcesz wiedzieć. To satyra, moja kochana - łypnęła w jego kierunku. - Sama to powinnaś przeczytać, bo to o oszustach, łgarzach i hipokrytach.
Zorientował się, że pojęła znaczenie swoich słów dopiero wtedy, gdy skończyła mówić; patrzyła teraz pustym z przerażenia wzrokiem.
Judy nie straciła jednak nic ze swej zapalczywości... bądź też nieświadomości. Odwróciła się w stronę męża i obwieściła: - A tu proszę, mój Bob. Przyczyna mojego szczęścia przed wami, na tym krześle.
Bob wykrzywił się, pochylił głowę i odstawił palec od puszeki.
- Nie uwierzycie nigdy, jak się spotkaliśmy. Powiedz im, Bob.
- Gównu tam, ty lepiej opowiadasz. Klepiesz przecież jak nakręcona.
Judy roześmiała się. - No, nie będę się zapierać. Może dlatego tak dobrze się dogadujemy. Ja wystarczam za nas dwoje, gdy idzie o gadanie, co, Bob?

- Zatem jak? - spytał Max.

- Słuchajcie - zaczęła Judy opierając dłonie na kolanach. - To było tak.

Przyszedł do mnie pewnego dnia z kolegą, który był już jednym i moich klientów, też marynarz, Todd McGuinness, radziłam mu od lat. Spytałam więc Boba, czy też chce, żebym mu wróżyła z ręki, ale nie, On dziękuje, nie wierzy w cały ten hokus-pokus, zupełnie jak Nora. Zaczęliśmy jednak rozmawiać i co się okazuje? Ze Bob pochodzi właśnie i St. Louis. Mało tego, akurat stąd, z Dogtown. Słuchasz, Nora? Wiesz, gdzie on wyrósł?

Nawet nie trzy przecznice dalej od naszego domu, dokładnie na Yale, niedaleko McCausland.

- Patrzcie tylko - rzuciła Nora.

- Wiesz, co znaczy słowo „synchronizacja”? Znaczący zbieg okoliczności, i tu z całą pewnością to akurat miało miejsce. Przypadki nie istnieją, jedynie ubytki w naszym pojmowaniu mechanizmu wydarzeń.

Kazałam mu więc dać rękę, za darmo chciałam to zrobić, i co zobaczyłam w jego dłoni, jak myślicie?

- Co? - spytał Max.

- Siebie!

Bob parsknął śmiechem.

- I gapi się na mnie jak cieleń i mówi: Bob, ty na pewno się ze mną ożenisz. No i wiecie co?

- Co? - spytał znów.

- Pierdolisz, powiedziałem!

Roześmieli się wszyscy. Bob śmiał się najgłośniej.

- Potem oczywiście - dodała Judy - mieliśmy romans nie z tego świata, a w niecałe cztery miesiące później pobraliśmy się.

- Wiecie, co jest najśmieszniejsze? - Bob wciąż chichotał. - Że nigdy się nie dowiem, czy rzeczywiście było to w mojej dłoni, czy tylko wrobiła mnie w ten ślub.

- Och, Bob!

- Tak jak jej teraz mówię... - Dwa piwa, okazało się, wystarczyły zupełnie, by przywrócić mu mowę. - Ja mówię, tyś jest ta wróżka, nie?

Więc kiedy, do cholery, mam dostać robotę? Ale nie, psze pana, tego mi nie może powiedzieć, ani słoweczka. Przestań się objajać, mówi, nie pij tyle, módl się i czekaj. To ja się pytam: co to, kurwa, za przepowiadanie przyszłości?

- Ale, Bob, wszędzie teraz jest ciężko - broniła się Judy.

- Wszędzie, wszędzie! Gównu mi to mówi!

- Piwo jest jeszcze w lodówce - wtrąciła Nora widząc, że Bob perorując zgniótł opróżnioną puszkę - jakbyś chciał. Wiesz, gdzie kuchnia? Z holu w lewo i znajdziesz.

Kiedy Bob zniknął, Judy starała się zbagatelizować jego słowa.

- Problemy, gadanie - rzuciła lekko, jakby doświadczenie nauczyło ją iż tak naprawdę problemy nie są problemami. Ciśniej obciągnęła wokół kolan swoją pozbawioną fasonu suknię. - Teraz chyba nareszcie twoja kolej, Nora. Musisz mi opowiedzieć wszystko o sobie i Maxie.

Nora wbiła wzrok we wnętrze pustej szklanki.

- Ale co chcesz wiedzieć?

- Wszystko, kochanie. Na przykład, jak się poznaliście?

- I tak cię to nie obchodzi.

- Oczywiście że tak.

Spojrzała na siostrę: - Więc dobrze. Poderwałam go w barze którejs soboty, tu u nas, w Cousin Hugo's. Znasz tę knajpę, regularna speluna.

Byłam na bani, on był na bani, podobał mi się, więc wzięłam go do domu i wciągnęłam do łóżka. I z jakiegoś dziwnego powodu, sama nie wiem, przychodzi wciąż po więcej. Masz ochotę jeszcze czegoś się dowiedzieć?

Wychodząc minęła Boba, który wpadł do pokoju z kolejną puszką w ręce. Max przeprosił towarzystwo i poszedł za nią do kuchni. Nalewała wódkę trzęsącą się ręką.

- Czemu się tak zachowujesz?

- Max, wybac, ale naprawdę nie zniosę tego! Co ja mogę tej kobiecie powiedzieć? Nic! I nie cierpię, kiedy nagle stara się być taka intymna, rodzinna...

- Na litość boską, Noro, przecież to twoja siostra!

- Ale ja jej nie odbieram jako siostry! Nie pamiętałam już wcale, że mam jakąś rodzinę, i nagle spada mi jak grom z jasnego nieba ta pyskata wariatka z jej obleśnym wypierdkiem, na motel nawet nie mają, taka bryndza, i ja mam udawać, że ją kocham?

- Udawaj - powiedział. - To tylko jedna noc.

- Z jakiej racji?

- Bo jest twoją siostrą. I będzie to prostsze dla ciebie niż taka podjazdowa wojna. A poza tym, co ci teraz pozostaje? Wyrzucisz ją?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, w końcu spytała: - Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że się dzisiaj upiję?

- Jak chcesz, byle byś przeżyła noc.
- Serio, Max? Nie chcę, żebyś łypał na mnie ze wstrętem przez cały wieczór.

- Noro, przecież jestem z tobą...

- Jesteś?

- Nie czujesz tego?

Przyciągnęła go do siebie w mocnym uścisku.

- Jesteś dla mnie bardziej rodziną niż ona, bardziej niż ktokolwiek.

Wiesz?

Kolację przygotowywał sam. Pozostał, wskutek jej nalegań, przy „normalnych” daniach: świeża sałata, pieczone ziemniaki, brokuły w sosie serowym, steki z polędwicy wołowej. Nora postawiła szklankę obok talerza, jadła z wilczym apetytem i nie odzywała się prawie słowem, jemu zostawiając rolę gospodarza. Spróbował ośmielić Boba, co mu się niestety udało: przez resztę kolacji musieli wysłuchiwać obscenicznego i pełnej goryczy recytacji żalów wymierzonych przeciwko służbie na statkach handlowych („Banda dupków bawiła się w marynarkę i wszystko, kurwa, musiałeś wytrzymać, choćby ci jaja puchły”); gdy Bob wreszcie się uspokoił i w milczeniu zabrał do swego stęka, Max uczynił to samo. Judy, zauważył, jadła z taką samą zachłannością, jak Nora; może był to podświadomie przenoszony strach z czasów dzieciństwa, gdy na stole nie starczało dla wszystkich. Po kolacji odkryli, że dla Boba zabrakło już piwa.

Nora natychmiast zaoferowała się pójść po nową porcję, Judy stwierdziła, że Bob i tak już wystarczająco wypił, Bob zaś zasugerował jej, by zamknęła dziób i nie wtrącała się do jego spraw. Nora upierała się, że wyjście po piwo nie sprawi jej żadnego kłopotu, bo i tak kończyły jej się papierosy, a poza tym potrzebuje więcej toniku, i w końcu udało jej się wypchnąć szwagra za drzwi; gotowa była spędzić z nim jakiś czas, byle tylko uniknąć towarzystwa siostry.

Judy nie zwlekała długo z propozycją powrócenia mu z ręki. Przystał na to bez oporu, bo ciekaw był, po pierwsze, jak się to odbywa, po drugie zaś w ogóle był ciekaw. Powiedziała, że będzie jej potrzebne mocne światło, przyniósł więc z sypialni lampę i ustawił ją na kuchennym stole.

- Robił ci to już ktoś przede mną?

- Nie.

- Najważniejsze to odprężyć się. Ja muszę się teraz znowu skupić, więc bądźmy przez chwilę cicho.

Jego dłoń zdawała się nie mieć wagi, tak lekko spoczywała w ciepłe jej ręki. Pochyliła się w jego kierunku, oddech wypuszczany przez nozdrza stał się jeszcze wolniejszy, bardziej rytmiczny. W ostrym świetle lampy oglądał czubek jej głowy: skojarzenia, jakie mu się nasunęły, tyczyły uprawy: okrągłość czaszki to ziemia, włosy to łany równo zasianego zboża, naga skóra pomiędzy nimi to ugór. Tak mógł widzieć to jastrząb.

Zacząła mówić:

- W twoim życiu ściera się wiele sprzecznych sił. Widzę dużo bólu, ale widzę również dużo radości.

Siedział spokojnie, luźny i odprężony. Nie spodziewał się usłyszeć niczego innego.

- Początki miałeś skromne. Widzę niewielki dom... Ale widzę także znacznie większy. Daleko zaszedłeś. To dlatego, że jesteś inteligentny, pracujesz solidnie i masz wyobraźnię. Widzę pieniądze, ale przychodzą i odchodzą. - Jej sposób mówienia zmienił się: przepadła śpiewna intonacja typowa dla Missouri, zdania toczyły się teraz równo. - Twoja natura ma dwie strony, które są we wzajemnym konflikcie. Jesteś pełen namiętności, ale boisz się tej pasji, chcesz móc ją kontrolować. Za bardzo polegasz na swoim rozsądku. Potrzeba ci więcej wiary. - Rytm jej oddechu zwolnił się jeszcze bardziej. - Na twoim życiu ciążyą bardzo kobiety. Widzę starszą niewiastę, jednocześnie dziecko, twoją matkę, o którą troszczysz się na różne sposoby i która cię zarazem denerwuje przez obowiązki, jakie ci narzuca. Okaż jej więcej uczucia... Widzę inną starszą kobietę, w woalce. I widzę Norę. Kochasz ją, ale czegoś się boisz. Nie masz dla niej miejsca w swoim życiu. Widzę cię najpierw po jednej jej stronie, potem po drugiej. I widzę wesele.

Zwolniło to trochę dziki rytm, z jakim waliło mu serce; kolejny zastrzyk sceptycyzmu: Judy wyraźnie posługiwała się wróżeniem z ręki do kojarzenia małżeństw. Ożenek z Norą był równie prawdopodobny jak to, że wyrośnie mu druga głowa.

- Widzę inną kobietę, młodą, ale nie ma jej po tej stronie. Coś jest złego z jej karkiem...

Wyrwał dłoń z jej ręki i wstał.

Skupiła powoli niewidzący wzrok.

- Nie chcesz, żebym mówiła dalej?

- Skąd o tym wiedziałaś? - zapytał.

- O czym, misiaczku?

Usiadł znowu, skrzyżował ciasno ręce na piersiach. Nie wspomniał

nigdy Norze tego szczegółu, że Janey zginęła przetrąciwszy sobie kark. Żadna z nich nie mogła tego wiedzieć, a ta jednak wiedziała. Poza tym, cała reszta, którą Judy znała, a której znać nie miała prawa. Skąd na przykład mogła wiedzieć, że od czasu spotkania na cmentarzu Sara Roth jawiła mu się zawsze w czarnej woalce? Podszedł do kuchennej lady i nalał sobie whisky. Nie miał ochoty zmuszać się do zastanowienia; perspektywy były zbyt zatrważające.

Judy poklepała go po ręce, gdy usiadł znów obok niej przy stole.

- No, już - pocieszyła go. - Nie zamartwiaj się tak. Niektórzy reagują w ten sposób przy pierwszym posiedzeniu.

- Myślałem, że to bujda - przyznał. - W gruncie rzeczy dalej chcę tak myśleć, ale...

- Nie poznasz smaku, póki nie spróbujesz, czyż nie?

Przepadła gdzieś posępna wyrocznia, obok siebie miał znów łaknącą towarzystwa, nieszkodliwą, trochę pomyloną siostrę Nory.

- Poza tym nie masz się czego obawiać - mówiła. - Nigdy nie mówię ludziom, czego lepiej nie powinni wiedzieć. Staram się przekazywać im tylko dobre wiadomości. Gdy widzę coś bardzo złego, zwykle zatrzymuję to dla siebie. Wiesz, że kiedy Charley był ledwie oseskiem, czytałam Norze z ręki i od razu, już wtedy, wiedziałam, jak on zginie? Nic jej oczywiście nie powiedziałam, przez wszystkie te lata trzymałam to w sekrecie. Ale naprawdę widziałam go, rozumiesz? Widziałam, jak leżał pod wodą dokładnie w tym miejscu Des Peres, gdzie go znaleźli trzynaście lat później.

- Charley zmarł na białaczkę... - rzucił bez przekonania.

- Boże mój kochany! - Aż ścisnęła go za rękę. - To tak ci to Nora powiedziała?

Zabił go nadmiar alkoholu, barbituranów i brudnej wody, jaka wypełniła mu płuca, gdy czternastoletni utonął w Des Peres, plugawym lokalnym ścieku. Przepływa on pokręconym korytem z północy na południe St.

Louis, w niektórych odcinkach głęboki jak rynsztok, w innych, zależnie od opadów, pozwalający pływać. W miejscu, gdzie znaleziono Charleya, niedaleko Arsenał Street, woda sięgała ledwie do pasa. Judy widziała chłopaka tylko dwa razy w życiu, ale poznała, że był trzymającym się na uboczu, ponurym, pełnym goryczy dzieckiem, znieważanym przez ojca i właściwie zaniedbywanym przez Norę, która okazała się być pozbawioną cierpliwości i troski matką... wyobraził to sobie bez trudu. Nie dowiedział się jednak niczego więcej, gdyż Nora i Bob pojawili się zbyt szybko,

trzaskając drzwiami i śmiejąc się z czegoś na całe gardło.

Nie wspomniał jej o tym, co powiedziała mu Judy, ani też nie miał zamiaru mówić jej, że zna prawdę. Był to jej sekret, który, jeśliby chciała, mogła mu zdradzić, poza tym dla niego przestał być sekretem. Teraz chciał jedynie, by ufała wystarczająco jego uczuciu, na tyle, by podzielić się z nim tajemnicą. Naleganiem z pewnością nie mógł tego osiągnąć.

W nocy zachowywała się dziwnie. Być może wiązało się to z faktem, że nie spali w swoim łóżku: Judy i Bob zajęli sypialnię, Max, odsunawszy niski stolik i telewizor, rozłożył sofę w bawialni. Nora weszła do pokoju naga - kiepski pomysł, gdy w domu byli goście; po jej chwiejnych krokach poznał, jak bardzo była pijana. Padła obok niego i bezceremonialnie położyła się na wznak. Nie był pewien, czy miało to oznaczać zachętę do seksu, czy też nie: dotychczas nie spotykał się z tak całkowitą biernością z jej strony, poza tymi przypadkami, gdy on rozpoczynał grę, dobierając się do niej językiem. Zrobił to i teraz, bezzwłocznie zagłębiając się w bogatych zawiłościach jej sromu, gdy nagle jej uda zeszywniały w odmowie.

Usiadła prosto, ujmując jego twarz w dłonie.

- Nie tak. Czy możesz mnie po prostu wypierdolić? - powiedziała.

- Teraz zaraz?

- Tak.

Czekała ze stoickim spokojem, niczym posłuszna wiktoriańska żona.

Wszedł w nią z trudem... była dziwnie ciasna. I, po chwili, kolejna niespodzianka: milczała jak zakłeta. Myślał najpierw, że peszą ją Judy i Bob śpiący w pokoju obok, ale nie tłumaczyło to jej otwartych oczu i miękkiego, błagalnego prawie spojrzenia.

- Max - powiedziała, gdy poczuł, że zaczyna dochodzić. - Max, coś ci chcę powiedzieć...

- Co? - udało mu się wydobyć z gardła.

- Chciałabym...

- Co?

- Chciałabym mieć z tobą dziecko.

Przez absurdalny moment chciał tego samego. A potem wytrysnął swym beżużytecznym nasieniem.

Rozdział czternasty

Śniło mu się, że prowadził je obie, Janey i Norę, na świąteczną kolację, jaką Horowitzowie wydawali w nowym mieszkaniu. Wielkie niczym sala

balowa, wypełnione było głównie zaproszonymi gośćmi. Nie mógł sobie przypomnieć, co za bezmyślność kazała mu przyprować obie kobiety na to samo przyjęcie, ale było już za późno - stały obok niego, każda trzymając go pod ramię - i nie sposób było się z tego wycofać. Kłopoty zaczęły się, gdy usiłował przedstawić je tłumowi obcych, mijanych postaci, które go konfundowały. Nie mógł sobie dać rady z rozróżnieniem obu kobiet, przedstawiał Janey jako Norę albo Norę jako Janey, niebawem pomylił już zupełnie aktualną kochankę z byłą żoną, żyjącą z umarłą.

Konfuzja przerodziła się w panikę, prezentacje stawały się coraz bardziej nieudolne, aż wreszcie spostrzegł, że nie towarzyszyły mu dwie kobiety, których tożsamości rozpaczliwie się doszukiwał, ale jedna, wpatrująca się teraz w niego z taką piekącą nienawiścią, że jej żar wyczuwał na twarzy.

„Nie pamiętasz nawet, kim u diabła jestem”, powiedziała Janey głosem Nory... i przebudził się przy wtórze jej równomiernych pochrapywań.

Bob i Judy wstali, okazało się, wcześniej. Nie było ich już, gdy zwałół się o dziewiątej z łóżka. Nastawił w kuchni kawę; czekając pomyślał, że Judy pewnie zostawiła jakąś kartkę - znalazł ją opartą o łabędzią popielniczkę stojącą na laminowanym blacie stołu. Koperta była nie zaklejona; opierał się pokusie przez chwilę, po czym przeczytał kartkę: Kochana,

Strasznie się cieszę z naszego spotkania i z tego, że pozwoliłaś nam przenocować. Dbaj o siebie i dbaj o Maxa - to prawdziwa perła. Jeśli będziesz kiedykolwiek czegoś potrzebować, pamiętaj, że nasze drzwi stoją dla ciebie otworem.

Zawsze twoja

Judy

Pod spodem był numer telefonu i nowojorski adres. Poczł
rozczarowanie brakiem czegoś konkretniejszego: podglądacz, który
wspił

się do oświetlonego okna sypialni po to tylko, by zobaczyć podstarzałą
kobietę w szlafroku prasującą męzowskie koszule. Czego jednak oczekiwał?
Przyznania się do tego, że opowiedziała mu o Charleyu?

Jakichś

okropnych

przepowiedni
dotyczących

ich
związku,

a

przeznaczonych tylko dla Nory?

W kopercie znalazł jeszcze kartę wizytową z napisem „Judy Neidermeyer - Fachowe porady” otoczonym amatorską, ręcznie rysowaną obwódką z gwiazd i księżyców. Nie zastanawiając się dlaczego to robi, wsunął ją do portfela.

Z pokoju dobiegł go głos Nory proszącej o wodę. Napełnił ozdobioną komiksową postacią szklankę i zaniósł jej: siedziała naga pośrodku sofy, z powiekami zapuchniętymi od nocnego pijaństwa i lokami trwałejskołtunionymi teraz i zmierzwionymi. Jego ukochana. Zamknęła oczy przełykając wodę.

- Judy pojechała - oznajmił.

- Chwała Bogu.

- W pewnym sensie polubiłem ją.

- Och, ona zupełnie oszalała na twoim punkcie - stwierdziła oddając mu szklankę. - Zawsze leciała na małolátów. A jak ci się podobał jej nowy mąż? Jezu, ta to potrafi wybierać!...

- Zostawiła ci kartkę - powiedział.

- Co napisała?

- Słucham?

Zmrużyła lekko oczy patrząc na niego.

- Nie udawaj tylko takiego niewiniątka. Dobrze wiem, jaki z ciebie wścibski typ.

- Rzeczywiście?

Wybuchnęła śmiechem.

- Cholera, a co było za pierwszym razem? Przetrzęsnałeś chyba każdą szufladę w mieszkaniu.

- A mnie się zdawało, że byłem uosobieniem sprytu i tajemnicy...

- Kryłeś się jak orkiestra na paradzie.

Przysiadł obok niej na brzegu sofy. Westchnęła, położyła mu rękę na karku.

- Czuję się niepewnie - przyznała.

- Masz na myśli dzisiejszą kolację?

- Tak. Naprawdę chcesz mnie zabrać?

Przysunął się do niej, objął grube fałdy talii i pocałował w ziejące nieświeżym oddechem usta.

- Naprawdę.

Później, gdy przygotowywali się do wyjścia, spytała go, czy nosi przy sobie zdjęcie Janey.

- Nie. Dlaczego pytasz?

Węzeł krawata wykręcił mu się dziwnie. Rozsupłał go i spojrzał w jej kierunku: naciągała właśnie pończochę na grube udo.

- Ciekawa po prostu jestem, jak wyglądała. Znaczący wiem, że była blondynką, miała niebieskie oczy i w ogóle wszyscy uważali ją za cudo, ale nie potrafię jej sobie wyobrazić, jej twarzy, rozumiesz? Jaki miała nos na przykład?

Odwrócił się do lustra.

- A skąd mam u diabła wiedzieć. Nos jak nos.

- Żydowski?

- Nie. W ogóle nie wyglądała na Żydówkę.

- A cyc miała duży?

Znów zawiązał źle krawat.

- Owszem - przytaknął - duży. Nora, o co ci chodzi?

- Pytam tylko.

- Ale dlaczego akurat teraz?

- Bo chcę mieć jakie takie pojęcie, do kogo mnie będą dziś przyrównywać.

- Nikt nie będzie cię porównywać z Janey.

- Głupi jesteś - odparła.

Miała na sobie kremową jedwabną bluzkę, prostą brązową spódnicę, buty specjalnie na niskich obcasach; wyjątkowo delikatny makijaż był jakby telepatyczną odpowiedzią na jego niemą prośbę.

Prezentując się w ten sposób, pomyślał, mogła zaprzeć dech w piersiach.

Czuł zdenerwowanie, ale jadąc z nią do matki starał się, głównie ze względu na nią, zachowywać lekko i pogodnie. Przygotowywał ją na spotkanie:

- Nie daj się nabrać na jej wygląd - zaznaczył. - Pod tą pięćdziesięciosiedmioletnią fasadą bije serduszko sześćoletniego trutnia.

Bądź po prostu cierpliwa.

- Będę po prostu naturalna - odparła. - Dzisiaj będę po prostu sobą wobec wszystkich.

- Doskonale.

- Wszyscy dostaną stuprocentową, naturalną Norę Cromwell, a jak im się nie będzie podobać, to mogą się wypchać.

Miał nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy coś innego. Najbardziej obawiał się pretensjonalnie dobrych manier w stylu, jaki zaprezentowała pierwszej nocy w Cousin Hugo's.

Ku jego zdumieniu obie kobiety nabrały do siebie od razu wzajemnej sympatii. Gdy matce minął już wstępny szok wywołany ujrzeniem syna w towarzystwie starszej od niego kobiety, a być może jakiegokolwiek po prostu kobiety (powiedział jej tylko, że przyjdzie z „kimś znajomym”), zagłębiła się z Norą w rozmowę, która swobodą paplaniny przywodziła na myśl sąsiedzkie plotki, wymieniane nad siatką ogrodzenia. Fakt, że Nora wtórowała matce opowiadającej o swych dolegliwościach, przełamał

wszystkie lody:

- ...no i mój doktor, ten Dorfman, mówi mi, że to tylko czerniak, ta plama na skórze na plecach. Ale to może się uzłośliwić, mówi.

- Boże mój, pani Baron, to okropne!

Nie był specjalnie przerażony tym, co usłyszał, jako że matka opowiadała o tym czerniaku przez ostatnie dwa lata, nie godząc się jednak na jego usunięcie, bo, jak podejrzewał, straciłaby wtedy temat do rozmów.

- I co polecił pani zrobić? - pytała Nora.

Matka nachylała się do nich z tylnego siedzenia. Zabójcza woń jej perfum neutralizowała prawie smród palonego przez Norę papierosa.

- Powiada, że powinnam to usunąć, ale nie ma pośpiechu, tak powiada.

Że to ja mam zadecydować. Może sobie pani wyobrazić? Ja mam podejmować poważne decyzje za lekarzy! To przecież mogę wziąć od razu nóż i sama się zoperować!

- Mamo - powiedział - jeśli mówi, że od ciebie zależy termin, to znaczy, że twój stan go nie martwi.

- Z tego, co widzę, on nie chce operować, bo myśli, że mu nie zapłacę.

Portfele... o tym tylko lekarze teraz myślą.

- No i czy to nieprawda? - włączyła się Nora. - Wie pani, że już są szpitale, gdzie pani nie przyjmą, jeśli nie ma pani pieniędzy? Tak jest!

Człowiek może dostać zawału na środku izby przyjęć, a go nie wezmą.

Sama widziałam w telewizorze.

- Bez pieniędzy - westchnęła matka - na tym świecie traktują cię jak kryminalistę.

- Amen - skwitowała Nora.

- A kto ma dziś pieniądze, jak nie kryminaliści właśnie?

- Święte słowa! Mówię pani, pani Baron, biednemu zawsze wiatr w oczy.

Orientuje się pani, że ceny w sklepach w gorszych dzielnicach są wyższe niż w lepszych? - Wiedziała to od niego. - Cały system, wszystko jest przeciwko tobie, jak jesteś biedny.

- Poza Reaganem - wtrącił. - Najlepszy kumpel biedaków.
- Nie chcę mówić o polityce - zaznaczyła Nora.
- Ani ja - dodała matka.
- Cholera, brzmiałyście jak para marksistowskich agitatorek - orzekł.

Przez chwilę panowało milczenie: żadna z nich nie miała pojęcia o czym właściwie mówił. Wkrótce jednak zaczęły znów debatować, jak niebezpieczne stało się mieszkanie w mieście - nieważne, że Nora nigdy nie troszczyła się o zamknięcie drzwi - obie wspierające się i potakujące sobie wzajemnie raz za razem. Dźwięk ich głosów koił go niczym ptasie trele; zapomniał na parę minut o swych obawach.

Pokój, poza małym koniem na biegunach, pustym łóżeczkiem dziecięcym i kojcem, odznaczał się dwoma kłócącymi się ze sobą wzorami tapet, w miejscu zetknięcia krzyczącymi niczym walczące armie: po jednej stronie kursowały żółte i niebieskie lokomotywy objuczone wagonikami, po drugiej króliczki o ludzkiej postaci skakały przez sznurek, zrywały stokrotki, gonіły motylki lub nachylały się ku sobie w słodkich i niewinnych całuskach. Dziecko już teraz jest rozpieszczone, pomyślał, choć Rachel nie była nawet w ciąży.

Oglądając nowe mieszkanie Horowitzów mało znajdował w sobie życzliwości dla ich jawnego, niczym nie usprawiedliwionego zbytku.

Musieli z całą pewnością zapożyczyć się po uszy, mimo iż Rachel zarabiała w biurze podróży, gdzie pracowała, niewiele mniej od Neila; prawie wszystko jednak było nowe i kupione po ślubie; luksus owego pokoju dziecięcego in potentia, dywany, tapety, meble w bawialni, sypialni i jadalni z najlepszego sklepu w całym mieście, kompletne wyposażenie video, ogromne pudło kuchenki mikrofalowej i wspomniany nieustannie, stojący w garażu campingowy mikrobus, zadatek, na który ofiarowali w prezencie ślubnym rodzice Rachel. Wyczuwał coś fałszywego w tej beztroskiej chciwości; wydawało mu się, że dojrzał nie zauważoną wcześniej skazę na osobowości Horowitza. Ale to nie Horowitz się zmienił, a on sam. Wszak i on, i jego przyjaciele oczekiwali zawsze takiego właśnie luksusu; z całą pewnością dorobił się wraz z Janey niemało równie drogich rzeczy, a i jego własne mieszkanie na Kirkwood trudno byłoby nazwać zapuszczoną rudera. Ale zmieniła się perspektywa, z jakiej patrzył

obecnie: to efekt wszystkich tych dni i nocy spędzonych u Nory.

Kuchennym stołem był teraz dla niego niewielki kwadrat pokrytego plamami laminowanego blatu; stereo zastępował plastikowy niebieski gramofon ustawiony na chybotliwej skrzynce ze sklejki; telewizor był wysłużonym gratem o skaczącym czarno-białym obrazie: krzesła nosiły ślady niedopałków, fotele miały postrzępione obicia. Podobna normalność, typowa dla uboższych warstw, nie była mu bynajmniej obca: wizja dzieciństwa, powracająca co niedzielę, gdy odwiedzał matkę w jej zaniedbanym domu.

Horowitz zajmował się gdzieś inną grupą gości; w pokoju dziecięcym była tylko ich czwórka: Rachel, Nora, on i jego matka.

- Słodki ten pokój - mówiła Nora, ściskając jego ramię. Od chwili, gdy weszli do mieszkania, nie przestawała go dotykać, trzymając mu rękę na biodrze, dłoń w dłoni czy udo przy udzie, jak gdyby bała się przerwać przenikające ich prądy.

On zaś, ku swemu zdumieniu, był znacznie mniej spięty niż się spodziewał. Mimo wszystkich obaw scena, której tak się lękał, okazała się, gdy już wreszcie przez nią przebrnął, wcale nie tak straszna, jak sobie wyobrażał. Czuł się dziwnie zobojętniały. Zaskoczenie i zmieszanie, jakie malowało się na twarzach Klugmana i Sherri przy wzajemnych prezentacjach, mało go zaniepokoiło, nie obraziła go też sztuczna, przesadna uprzejmość Horowitza. Jeśli nie podobała im się kobieta, z którą przyszedł, mogą się wypchać, pomyślał słowami Nory. Owa obojętność przeniosła się nawet na nią - nie będzie kontrolować jej zachowania, była dorosła i gdy chciała, potrafiła się sama obronić. Ten nieoczekiwanie osiągnięty spokój umysłu rozzuchwiał go nieco; czuł się jakby wychylił

dwie albo trzy szklaneczki, do czego nie miał jak dotąd okazji: nikt im nic nie proponował do picia; prawdopodobnie, domyślał się, czekano, aż napatrzą się do syta na wszystkie świecidełka ze skarbca Horowitów.

- Podoba mi się zwłaszcza ten koń - mówiła Rachel. - Czyż nie jest cudowny? Ma prawie sto lat.

- Coś podobnego! - rzuciła Nora.

- Ale tapeta jest niedobrana - jego matka zwróciła się zaniepokojona do Rachel, jak gdyby ta sama o tym nie wiedziała.

- To pomysł Neila - zaśmiała się Rachel. - Potrafi być czasem tak ekscentryczny... Uparł się, że skoro myślimy o dzieciach, a teraz właśnie odnawiamy mieszkanie, to powinniśmy od razu zrobić i ten pokój. Ale

oczywiście nie wiemy, co będzie pierwsze, chłopiec czy dziewczynka, więc daliśmy dwa wzory.

- Jak chłopak to pociągi, a jak dziewczynka to króliczki, tak? - upewniła się matka.

- Właśnie. Zakleimy po prostu ten niewłaściwy.

- A jeśli urodzi się zniewieściały chłopak? - spytał.

Rachel szturchnęła go w ramię, po czym zaciągnęła ich do pustego łóżeczka i kazała spróbować materac. Okazało się, że był wypełniony wodą.

- No i co wy na to? - odezwała się Nora. Ograniczała się do uwag niemal całkowicie pozbawionych jakiegokolwiek treści.

- Mówi się, że ma to być podobno zdrowsze dla dziecka - tłumaczyła Rachel. - Śpią lepiej i nie budzą się tak często. Poza tym ma niwelować groźbę nagłej śmierci w łóżeczku.

- Max słowem nie pisał, że jesteś w ciąży! - wykrzyknęła matka.

- Nie jestem, droga pani, planowaliśmy tylko z Neilem na przyszłość. Ubawiliśmy się pysznie, muszę powiedzieć.

- Wybraliście już uniwersytet dla potomka? - spytał.

Rachel zmrużyła ciemne błyszczące oczy.

- Co cię dzisiaj ugryzło?

Poprowadziła ich potem przez lśniącą kuchnię w dół do garażu, gdzie oświetlany pojedynczą gołą żarówką niczym tajemna, wciąż nie gotowa broń, stał ich nowy mikrobus. Szary jak biurowy regał, wyposażony był -

Rachel pokazywała to każdemu z nich osobno - w trzy rzędy wyściełanych foteli tworzących po rozłożeniu ogromną kanapę, kolorowy telewizor na obrotowej nodze, kwadrofoniczny system akustyczny, małą kuchenkę i równie małą lodówkę oraz chowany w podłodze barek. Przepych ten zdawał się zdumiewać Norę bezgranicznie; posłusznie oglądając wskazywane przez Rachel elementy wyposażenia powtarzała jedynie puste zwroty typu „No proszę” czy „Spójrzcie tylko”. Cóż innego jednak, pomyślał, można powiedzieć, gdy jest się biednym kocmołuchem z południowych slumsów, któremu uprzywilejowana Żydówka z West County łaskawie prezentuje posiadane dobra? Coś się jednak nie zgadzało w jego ocenie: Rachel robiła po prostu wszystko, by zająć gości; była przez cały czas wyjątkowo miła dla Nory i z pewnością nie próbowała wywołać u niej skrępowania. Poza tym wiedziała o Norze tyle co nic... dla niej mogła być dziedziczką wielkiej fortuny.

Skrzyp schodów obwieścił pojawienie się Horowitza; schodził do nich

powoli w obszernym szarym golfie, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni.

- Dlaczego nikt nie ma nic do picia? - spytał żonę.

Rachel nie potrafiła ukryć zakłopotania wywołanego najmniejszą choćby krytyką jej postępowania. Zaczerwieniła się, jej ciemne oczy zabłyśły.

- Oprowadzałam wszystkich po mieszkaniu, Neil. Nie jestem w stanie podołać wszystkiemu na raz.

- W porządku, nie ma sprawy, pytałem tylko. - Horowitz objął ramieniem jej obfitą talię. - Więc kto chce się napić?

- Ja z całą pewnością - powiedziała Nora. Była to jej pierwsza jednoznaczna wypowiedź od momentu przybycia na kolację.

- Na co ma pani ochotę?

- Wódka z tonikiem, jeśli pan pozwoli.

Horowitz złożył ukłon, jak kelner i zwrócił się do matki Maxa: - Edith? A czym ty się dzisiaj urzniesz?

Matka roześmiała się. Horowitz mówił do niej po imieniu od dzieciństwa.

- Wiesz dobrze, że nie mogę pić - powiedziała. - Mój lekarz...

- Lekarz? Jaki lekarz?

- Wiesz przecież, Dorfman!

- Dorfman? Ten konował? Co on się tam zna! No chodź, Edith -

Horowitz otoczył ją ramieniem. - Chodź, skujemy się dzisiaj we dwoje i pogadamy o starych dobrych czasach! - Ścisnął ją mocniej, wywołując tym jej chichot.

Zazdrościł Horowitzowi jego naturalnego, pełnego życzliwości zachowania w stosunku do matki. Neil potrafił bez trudu sprawić, że młodniała, czuła się doceniana - jemu brakowało tej umiejętności.

Oczywiście Horowitzowi było łatwiej; nie był jej synem.

- A więc kieliszek białego wina - mówił Horowitz. - Co ty na to i Edith?

W porządku? Jeden kieliszek cię nie wykończy.

I

- No dobrze - zgodziła się matka. - Ale maty kieliszek. j - To rozumiem! - orzekł i zwrócił się do Maxa. - Whisky z wodą, tak? i - Tak.

Horowitz machnął ręką w kierunku samochodu.

- Co o tym myślisz?

- To... z pewnością to jest coś.

- Mówiłem? Kocham to cholerstwo! Złazę tu prawie co wieczór, żeby po prostu posiedzieć sobie w środku.

- Tak naprawdę - przyznał - to podoba mi się brak ostentacji. Po rewolucji każdy z nas będzie miał taki samochód...

Dowcip nie wypalił: Horowitz zmarszczył brwi i szarpnął wąż.

- Przyniosę coś do picia - powiedział.

Kręcili się wśród gości, zadziwieni monotonią kierowanych do niej pytań: jak długo znała Maxa? Jak się poznali? Czym się zajmowała? Czy zawsze mieszkała w St. Louis? Jak jej się podobało przyjęcie? Nora, wzmocniwszy się kilkoma wódkami z tonikiem, klepała wkrótce odpowiedzi z tak radosną pewnością siebie, że nikt nie mógł podejrzewać, iż mówi nieprawdę. Łgała jednak jak najęta. Nie mógł pojąć motywacji takiego postępowania, jako że kłamstwa te tak bliskie były prawdy i tak niewiele ją upiększały, że z pewnością nie mogły zmienić wyobrażenia, jakie mieli o niej indagujący. Nie wydawała więc hamburgerów w Białym Pałacu, a sprzedawała kosmetyki w Famous-Barr - jak na szczeble społecznej drabiny, ten był zdecydowanie niski. Jeśli wierzyć jej wersji, poznali się rzeczywiście w barze, ale zastąpiła jawną mierność Cousin Hugo's sekretną lichotą Culpepper's na Central West End, gdzie, wyobrażała sobie zapewne, można było spotkać znanych ludzi wysiadujących w oczekiwaniu na podryw. Jack Cromwell doczekał się w końcu dawno zasłużonej śmierci: Nora przedstawiała się jako wdowa. W

całym tym łgarstwie tkwiło coś agresywnego; a może była to defensywa?

Tak czy inaczej zdawało się wypełniać ją poczuciem siły, bo jej nieśmiałość z początkowych godzin zniknęła bez śladu. Zapewne powinien był wziąć ją na bok i natrzeć jej uszu za te kłamstwa, które musiał potwierdzać, sam wdając się w to oszustwo. Nie miał jednak zamiaru bawić się dzisiaj w jej ojca. Starał się nawet, całkiem świadomie, nie liczyć, ile zdążyła już wypić.

Jedno wszakże powinien był rzeczywiście zrobić: ostrzec ją, by, nim zacznie rozmowę z Klugmanami, zmieniła szczegóły swej historii; pech

chciał, że Sherri pracowała w Famous-Barr w dziale zakupów. Natłok gości i kanonada pytań spowodowały jednak, że nie udało mu się złapać jej samej choć na chwilę, gdy więc Sherri i Larry dopadli ich w kuchni, mógł

tylko trzymać ją za rękę obserwując całą scenę.

- Gdzie pani sprzedaje kosmetyki? - pytała Sherri.

- W Famous-Barr.

- Doprawdy? - Sherri oparła się obok męża na ustawionej centralnie elektrycznej kuchni. Palcami skręcała i rozkręcała delikatny złoty łańcuszek zdobiący jej długą gęsią szyję. - W którym sklepie?

Nora puściła dłoń Maxa i chwyciła go z tyłu za pasek.

- South County - odparła.

- Co pani powie? - rzucił Klugman. - Sherri też pracuje w Famous. Co to, zmowa jakaś?

- Ach, pani też? - Nora nie przestawała uśmiechać się do Sherri zaciskając przy tym mocniej rękę na pasku. - No proszę, jaki mały świat!...

- Jak długo pracuje pani z nami?

- Och, niecały tydzień.

- Aha... - Sherri popijała jakiejś brunatnej barwy napój: z doświadczenia wiedział, że była to dietetyczna pepsi. Nie piła nigdy niczego innego, nawet

innego

dietetycznego
napoju.

Poczęstowana,
odmówiłaby

wybierając wodę. - Kogo pani reprezentuje?

- Słucham?

- Czyje produkty pani sprzedaje?

- Chanel - powiedziała Nora zadzierając brodę do góry.

- Chanel?

- A pani kogo reprezentuje? - Nora zadała pytanie Sherri, nim ta zdążyła otworzyć ponownie usta.

- Nikogo. Jestem w dziale zakupów.

- Ach tak? A co pani kupuje?

- Konfekcję dziecięcą.

- Konfekcję dziecięcą. Coś podobnego!

Sherri bawiła się łańcuszkiem przypatrując się Norze. Półokrągłe cienie pod jej oczami stały się jeszcze wyraźniejsze w płaskim świetle kuchennej lampy.

- Gdzie pani pracowała przed przyjściem do nas, jeśli mogę spytać?

- Rozmaicie. Ostatnio w gastronomii.

- A z nami jest pani od tygodnia i sprzedaje pani kosmetyki Chanel, tak?

- Co ty ją tak maglujesz? - wtrącił się Klugman.

- Po prostu jestem ciekawa, Larry. Czy to nie dziwne - powiedziała wpatrując się w Norę - że sprzedaje pani tak drogie produkty, choć jest pani dopiero na stażu?

- Chce pani poznać sekret mojego powodzenia? - odparowała Nora.

Sherri mrugnęła powiekami jakby w zastanowieniu.

- No proszę, słucham...

- Nikt tak nie obciąża kutasa jak ja - rzuciła Nora, po czym wyszła razem z Maxem z kuchni.

Zatrzymał ją w holu, obok kolekcji oprawionych fotografii ze ślubu Horowitzów; jako drużba figurował na wielu z nich.

- Nora, dzisiaj musisz się zachowywać poprawnie.

- Nic innego przecież nie robiłam, dopóki ta małpa nie zarzuciła mi kłamstwa. Ma szczęście, że jej ślepiów nie wydrapałam.

- Ale przecież kłamiesz.

Wzruszyła ramionami i wypła łyk koktajlu.

- Po co to robisz?

- Co?

- Wciskasz każdemu taki kit.

Dotknęła w paru miejscach fryzury jakby sprawdzając jej trwałość.

- Nie mam ochoty, by ktokolwiek myślał, że ma mnie w garści.

Obserwował fazy, przez jakie przechodziła: wyciszona i nieśmiała na początku, bezczelna i lekkomyślna w miarę zapoznawania gości ze swym zmyślnym życiorysem, jeszcze inna teraz, gdy stał w męskim kółku przysłuchując się nieformalnemu konkursowi na najbardziej tłusty dowcip, ona zaś krzątała się w kuchni wraz z Rachel, jej siostrami, matką i ciotką Sophie, popiskując i wymachując rękami jak kobieta, która prawdziwy spokój ducha odnaleźć może tylko w zajęciach domowych. Stanął w kuchennych drzwiach. Kobiety kręciły się niczym pszczoły w ulu, cudem jakimś nie wpadając w każdym momencie na siebie, nie deptając sobie po palcach, nie parząc rąk o garnki czy nie upuszczając na podłogę półmisek. Jedna tylko kobieta nie dostosowała się do reszty: Nora, jak obcokrajowiec nie obeznany z lokalnymi przepisami ruchu, kluczyła i wymijała kuchenną gęstwę. Jedyna z papierosem, jedyna ze szklanką w dłoni - co ona w ogóle robiła tam, pośród tych władczych, kompetentnych żydowskich matron, które w gruncie rzeczy i tak ją ignorowały? W pokoju, pomiędzy mężczyznami, byłaby w środowisku bardziej sobie właściwym, prześcigając się z nimi w opowiadaniu sprośnych historyjek.

Widział, jak zabierała się do robienia rzeczy, które nie potrzebowały jej uwagi bądź zrobił je już wcześniej ktoś inny: otworzyła szeroko piekarnik, by sprawdzić, jak piecze się indyk - matka Rachel kazała go czym prędzej zamknąć; znalazła gdzieś gąbkę i zaczęła wycierać do sucha sąsiadujący ze zlewozmywakiem blat - za moment znowu zmoczyć go miała woda; uchyliła aluminiową folię okrywającą rondel z dymiącą potrawką, zajrzała do środka, po czym ostrożnie zacisnęła folię wzdłuż brzegu naczynia; wyjęła z lodówki salaterkę z piklami i oliwkami i postawiła ją na stole -

skarcona znów przez matkę Rachel, wzruszyła ramionami i ze śmiechem odstawiła salaterkę do lodówki. Jedynie Rachel zdecydowała się ją czymś zająć: przyniosła ogromną miedzianą formę z zimnym auszpikiem, pokazała Norze srebrny półmisek, na który miała go przełożyć, i wróciła do swoich czynności. Nora marszcząc czoło ułożyła najpierw liście sałaty, potem zaczęła wydobywać galaretę z takim namaszczeniem, jakby miała do czynienia z materiałem wybuchowym. Gdy na tacy stała już solidna piramida

auszpiku, pochwyciła spojrzenie Maxa; nie wiedzieć czemu zaczerwieniła się.

Wrócił do towarzystwa w pokoju.

- Zaraz wam powiem, dlaczego Departament Stanu jest proarabski - mówił Horowitz senior. - Ponieważ siedzi w nim, tak samo jak we wszystkich poprzednich, cała banda antysemitów.

- Znowu zaczynasz - powiedział do ojca Horowitz.

- Nie zgadzasz się?

- Nigdy się z tobą nie zgadzam.

- Mądrała. Gdybyś choć słuchał, może byś się czegoś nauczył.

- Dlaczego uważa pan, że są tam sami antysemitami? - spytał Max. Nora trzymała go pod ramię. Przysłuchiwała się z uwagą dyskusji, co go zdumiało, bo rozprawiano o polityce. Jedyne blask jej niebieskich oczu śledzących twarze rozmówców zdradzał, że przez ostatnie dwie godziny piła bez ustanku.

- Wystarczy, panie Baron - odparł Horowitz-senior - przypatrzeć się bliżej historii. Prezydent Stanów Zjednoczonych zawsze był bardziej proizraelski niż Departament Stanu, nawet Eisenhower, ten zaprzaniec.

Gdyby rządzić miały typy z Foggy Bottom*, dawno już nie byłoby Izraela.

*Dawna nazwa terenów w okolicy rzeki Potomac, na których mieści się Departament Stanu.

Patrząc na Horowitza-seniora, niskiego, szczupłego sześćdziesięciolatka o wypieszczonych dłoniach i szlachetnej wąskiej twarzy, trudno było sobie wyobrazić, iż mógł spłodzić coś równie gargantuicznego i niedbale zebranego w całość, jak jego syn. Horowitz-ojciec prowadził sklep z odzieżą na Delmar Loop. Był głównie samoukiem; Horowitz-syn nie oglądał za czasów dzieciństwa telewizji, ojciec nie godził się na posiadanie odbiornika i zastanie całej rodziny, czyli jedynaka z rodzicami, jak siedzą zagłębieni w fotelach, każde z książką w ręku, nie było niczym niezwykłym. Max pamiętał dobrze ten widok. W czasie studiów młody Horowitz zaczął mówić o domu „biblioteka”.

- A ten facet, który jest szefem Pentagonu? - spytała Rachel. - Jakżeż on się nazywa, Weinstein? Przecież to Żyd?

Horowitz pokręcił głową. - Weinberger - sprostował. - I nie stoi na czele Pentagonu, złotko. Jest ministrem obrony. I nie jest Żydem.

- Jesteś kochana i mądra dziewczyna - Horowitz-senior zwrócił się do

swojej synowej - ale mogłabyś od czasu do czasu sięgnąć po gazetę. Nie umiera się od tego..

- Dobrze już, przepraszam! - powiedziała Rachel.

To Nora specjalizowała się w tego typu odpowiedziach, nie będących odpowiedziami.

Horowitz-senior klasnął nagle w dłoń.

- O to mi właśnie chodzi: Weinberger! Największy antysemita pomiędzy nimi! I dlaczego niby miałyby być inaczej? Całe życie taszczy ze sobą jak garb to żydowskie nazwisko. Całe życie pan Weinberger męczy się, by przekonać swoich błękitno-krwistych koleśków z wiejskiego klubu, że jest czysty, że jego papiery są w porządku, że jest jednym z nich - i cały czas wie, że połowa z nich wciąż wierzy, iż za pnem jego genealogicznego drzewa schował się jakiś żydowski przodek. Biedak nie jest w stanie wygrać. Nawet nasza Rachel myśli, że Weinberger jest Żydem, choć nie ma pojęcia, co to właściwie za postać.

- Czy mógłbyś przestać? - rzuciła Rachel.

- Staram się tylko pokazać, w czym rzecz - odparł jej teść. - Nie próbowałem bynajmniej stroić sobie żartów twoim kosztem. - Wrócił do przerwanej wywodu: - Oczywiście, że facet nie cierpi Żydów. Wszystkie te niesłuszne podejrzenia, jakie spotykały go przez całe życie, wystarczą, by każdego zamienić w antysemitę. Jak zatem może się zemścić?

Sprzedając samoloty Arabom. Oto, w paru słowach, wasz Caspar Weinberger.

- Wie pan - powiedział uśmiechając się Max - dawno nie słyszałem tak wspaniałej sofistyki. Ale tak czy siak to czysta spekulacja. Skąd pan może wiedzieć, co dzieje się w ciemnych zakamarkach umysłu Weinbergera?

- Znam się na antysemitach - odparł Horowitz-ojciec.

- Ale to słaby argument.

- Takie właśnie lubi - skwitował Horowitz-syn.

- Mam pytanie... - wtrąciła Nora, zwracając się do Horowitza-ojca.

Uniósł brwi niczym nauczyciel, którego najsłabszy uczeń zgłasza się niespodziewanie na ochotnika. - Tak?

- Jeśli wszyscy ci ludzie, o których pan mówi, pracują z prezydentem Reaganem, to czy myśli pan, że Reagan też jest przeciwny Żydom?

- Pani... musi mi pani wybaczyć, moja droga, ale zapomniałem pani imienia. Nie mam zupełnie pamięci do imion.

- Nora.

- Niech więc pani posłucha, Noro: nie wierzę, że nasz biedny skołowany prezydent nienawidzi Żydów osobiście, choć jestem przekonany, że większość jego personelu tak. Pewien jestem również, że Reagan nawet się nie orientuje, iż kierunek jego polityki jest czasem antysemitki, podobnie jak nie rozumie, że jego własna administracja jest rasistowska.

- A zatem jest.

- Co?

- Przeciwny Żydom.

- No tak, podejrzewam, że muszę się z panią zgodzić.

- To w takim razie kto według pana nie nienawidzi w tym kraju Żydów? Horowitz-ojciec zastanowił się przez chwilę.

- Żydzi.

- Nie wszyscy - poprawił go Horowitz-syn.

Nora uśmiechnęła się do starszego pana i upiła łyk ze szklanki.

- Dla pana zatem muszę być antysemitką - powiedziała.

Bezpośredniość stwierdzenia i brak w nim wyrzutu opóźniły zapewne reakcję zebranych, szybko jednak dotarł do nich sens jej słów. Horowitz-senior spojrział na nią ze śmiertelną powagą.

- Nie powinna pani mówić czegoś takiego nawet w żartach - odparł. - Nikomu z nas nawet do głowy nie przyszło coś podobnego.

Roześmiała się w odpowiedzi.

- Przyszło, przyszło, musiało. Czy to nie pan mówił przed chwilą, że każdy, kto nie jest Żydem, musi ich nienawidzić? No i proszę, złapał mnie pan, bo Żydówką z całą pewnością nie jestem.

W jej tonie nie było nic nieprzyjemnego. Nie zdawała sobie zupełnie sprawy z powagi, z jaką odbierano jej słowa. Dla niej był to tylko spór o logikę rozumowania. Max objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, odsunęła się jednak nieznacznie.

- Droga pani - orzekł Horowitz-ojciec - zebraliśmy się tu, by wspólnie spożyć świąteczny posiłek i wszyscy są jednakowo mile widziani.

Zostawmy więc całą tę dyskusję i po prostu cieszymy się razem, zgoda?

Nie wystarczyło jej to jednak.

- Powtarzam tylko to, co sam pan powiedział: jeśli jedynymi, którzy nie nienawidzą Żydów są Żydzi, a ja Żydówką nie jestem, więc muszę ich nienawidzić, czyż nie?

Max siedział z zapartym tchem. Gdzie nauczyła się tej arystotelesowej argumentacji?

Nawet
Horowitz-senior

ze

swym
szczególnym
zamiłowaniem do posługiwania się w argumentacji przesłankami musiał
rozpoznać sylogizm. Zapędzony w kozi róg własnego mędrkowania,
starszy pan westchnął, przymknął na moment oczy, a otworzywszy je
spojrzał uważnie na Norę.

- Dobrze - powiedział. - Czy pani nie cierpi Żydów?

Wybuchnęła śmiechem.

- Max jest o tym przekonany - odparła trącając go ramieniem. - Cholera,
pojęcia nie miałam, co znaczy „antysemitka”, dopóki mi nie zarzucił, że nią
jestem...

Jej uśmiech zaczął gasnąć, aż znikł zupełnie; dłoń powędrowała do
jednego z czarnych koralików, jakby stamtąd oczekiwała pomocy.

Wszyscy znieruchomieli jak portretowana na obrazie grupa.

Nora usiłowała dalej pozostawać w towarzystwie, ale świadomość
popelnionej gafy wytrąciła ją z rytmu i znowu wpędziła we wcześniejsze
zakłopotanie. Większość gości, z kolei, traktowała ją z coraz bardziej
widocznym chłodem i rezerwą - czysta przyzwoitość dyktowała pytania i dla
czystej przyzwoitości Nora udzielała uprzejmych acz nic nie znaczących
odpowiedzi. Siedziała apatyczna, gdy Horowitzowie po raz kolejny
opowiadali ze szczegółami swe meksykańskie przygody; dziwnym
sposobem, jakby była niewidzialna, pominięto ją przy oglądaniu
ilustrujących relację zdjęć i dopiero Rachel wcisnęła jej fotografie,
zorientowawszy się w sytuacji. Nora obejrzała je po kolei przy
akompaniamencie niezbędnych ochów i achów zazdrosnego podziwu, ale nie
była już w stanie dotrzymać wszystkim kroku - podniosła się gwałtownie,
zostawiając na kanapie stos rozrzuconych zdjęć. Nie poszedł

za nią uznając, że nie potrzebowała w tej chwili jego troskliwości, a on
nie miał ochoty jej okazywać. Znalazł ją później siedzącą razem z jego matką
w pustej jadalni u szczytu ogromnego owalnego stołu. Może było to całkiem
naturalne, że te właśnie kobiety stworzyły swoją własną, niezależną od reszty
towarzystwa dwuosobową grupę - wszak nikt nie palił

się zbyt do konwersacji z jego matką. Nie wiedział, o czym
rozmawiały, ale wyczuwał otaczającą je aurę konspiracji - dwie dziewczynki
dzielące się sekretami. Odszedł, nie przeszkadzając im.

Rachel zbliżyła się do niego.

- Jak się czujesz?

- W porządku. Bardzo miłe przyjęcie.

- Lubię ją, Max.

- Naprawdę? - rzucił zdumiony.

-

Oczywiście.

dłaczego
nie?
Może

jest
trochę
inna,

niekonwencjonalna, ale co z tego? Wszyscy chcieliby, żeby każdy zachowywał się dokładnie tak, jak oni, jakby sami byli akurat doskonali. A ona jest miła, taka bardzo kochana...

Jej ocena była jak zwykle przesadnie entuzjastyczna, ale mimo to poczuł radość. A także zaskoczenie, że to właśnie Rachel przyszła do niego z komplementem, nie zaś Horowitz, jego najlepszy przyjaciel, i że to Rachel okazała się bardziej wielkoduszna i obdarzona wyobraźnią. Horowitz, jak się teraz zorientował, konsekwentnie go dziś unikał.

Współ z indykiem wielkim jak młody struś wjechała na stół żurawina w dwu odmianach, trzy rodzaje nadzienia, słodkie ziemniaki z korzeniami prawoślazu i bez, świeża sałata, troskliwie wyłożony przez Norę auszpik, zestaw pikli, fasolka szparagowa polana sosem śmietanowym i ozdobiona talarkami cebuli, koszyki z upieczonym przez Rachel razowym chlebem; w rogu, naprzeciw świątecznego indyka, stanęła ogromna, aż błyszcząca od galarety szynka Baumanna (wkład Maxa, umożliwiony przez agencję Spindlera) ozdobiona plasterkami ananasa i wiśniami moczonymi w maraschino. Deser trzymany był ciągle w kuchni. Przy stole nie było jednak krzeseł, wszyscy jedli na stojąco bądź szukali miejsca, gdzie można było przysiąść. Nora wraz z matką zdecydowały się walczyć z tłumem i gniotły się teraz w kolejce, zachwycając się głośno zastawionym delicjami stołem. Nie cierpiał takiego bezsensownego czekania, przeprosił je więc i wyszedł do holu, gdzie zaczął przyglądać się ślubnym fotografiom. Wtedy to Klugman wepchnął go do łazienki i zamknął za nimi drzwi.

- Odbiło ci?!

- Dzisiaj w Betlejem wesoła nowina... - zanucił Klugman.

- Zwariowałeś?

Klugman siedział już na toalecie wyciągnąwszy swój czarny pojemnik na filmy i małą łyżeczkę, która służyła mu do serwowania kokainy.

- Tak się uchlałem - stwierdził - że jeśli nie pociągnę, zrzynam się zaraz na moją starą. - Wciągnął porcję narkotyku lewym i prawym nozdrzem osobno, po czym podał mu łyżeczkę.

Pokręcił przecząco głową, przysiadając na brzegu wanny. Klugman wzruszył ramionami i sam zażył resztę.

- Chciałem ci powiedzieć - wyznał opadając na opuszczoną klapę toalety

- że lubię tę twoją dziewczynę... Jak ma na imię? Nora?

- Tak.

Klugman kichnął, potem zamrugnął. Jego oczy wyglądały jak wilgotne marmurowe kulki.

- Jest w porządku. Ma w sobie coś... zwierzęco pociągającego. Prawdę powiedziawszy, należy do takiego pokroju kobiet, w jakim ja się zwykle zakochuję, nie ty. Jak żeś ty ją, kurwa, w ogóle znalazł?

- Czekaj, co to znaczy „pokroju kobiet, w jakich ja się zakochuję”?

- Mam dziwaczne gusta - obsuwający się z kibla Klugman wyglądał jak porzucony gałgankowy pajac. - Jak nie pogardzam babą choć trochę, to mnie po prostu nie podnieca. Zawsze tak było. Weź taką Janey, kurwa, Max, nawet by mi nie stanął przy takim chodzącym ideale! Ale kobieta w typie Sherri... sam nie wiem, co to jest. Jak gość, który leci tylko na kaleki... Coś musi być nie tak, coś musi szwankować, żeby mi się kutas dźwignął... - Uśmiechnął się. - Obrzydliwe, nie uważasz?

- Myślisz więc, że ja nią pogardzam?

Klugman machnął ręką. - Ale skąd! Nie mówię przecież o tobie, tylko o sobie. Chociaż tego właśnie nie rozumiem: trudno mi sobie wyobrazić dwóch bardziej różnych facetów. I w tym - roześmiał się - jest całe jajo.

Max wstał.

- Na pewno nie chcesz?... - spytał go Klugman.

- Na pewno - odparł. Wiedziony odruchem położył dłoń na łysym czubku głowy przyjaciela. - Nie ćpaj tego za dużo - dodał otwierając drzwi.

- Zepsujesz sobie tylko apetyt.

Tłok przy stole przerzedził się. Nałożył raczej skromną porcję na talerz i wchodząc z nim do pokoju wpadł na matkę i Norę zmierzające do stołu po dokładkę. Nora uszczypnęła go ukradkiem w pośladek, gdy matka wbiła w niego wzrok.

- Gdzieś się podziewał? - wykrzyknęła.

- Byłem w toalecie.

- Siedzimy tam z tyłu na sofie, na tych poduszkach; nie pozwól nikomu zająć tego miejsca.

- Będę go bronić do upadłego - obiecał.

Usiadł na jednej z poduszek, plecami oparty o tył wielkiej półokrągłej kanapy, i zaczął jeść. Za sobą usłyszał głos Horowitza-seniora: - ...a jego żona! Co to była za urocza kobieta, nie do uwierzenia! Słodka jak małe kociątko! Gdy umarła, płakałem jak dziecko. A Neil jak to przeżywał! Można

było myśleć, że to, uchowaj Boże, jego własna żona!

- Przecież mógł wybrać spośród młodszych - odezwała się jakaś starsza niewiasta.

- Z pewnością. To bardzo przystojny młody człowiek.

- Co więc widzi w takiej kobiecie? Przykro mi to mówić, ale ona robi na mnie wrażenie szmucike.

Odłożył talerz. Trudno byłoby znaleźć w jidysz bardziej dosadne określenie: „szmuc” oznaczało brud, „szmucike” to dosłownie „brudni”, „brudasy” - ci, którzy nie mogli lub nie chcieli żyć w czystości. Żałośni goje, biała nędza... Nie wiedział, dlaczego poczuł się tym tak bardzo dotknięty, sam przecież wystarczająco często określał Norę w myślach jako kocmołucha. Stracił jednak całkowicie ochotę i na jedzenie, i na samo przyjęcie. Chciał teraz tylko złapać je obie i wyjść stąd.

Położył talerz na pustym krześle, poszedł do kuchni i nalał sobie whisky; nie dodawał lodu, chciał poczuć rozchodzące się gorąco alkoholu.

Wychylił szklaneczkę jednym haustem, kiedy do kuchni wtargnął Horowitz.

Spostrzegł Maxa dopiero po otwarciu lodówki.

- Nie widziałeś tu gdzieś czasem salaterki z żurawinami? - spytał.

Patrzył, jak Max znowu napełnia szklankę. - Co ty wyprawiasz, siedzisz tu sam i pijesz? Idź coś zjeść.

Przełknął whisky i skrzyżował ręce na piersiach.

- Co myślisz o Norze? - zapytał.

Horowitz zmarszczył czoło.

- Co myślisz o mojej dziewczynie? - powtórzył.

- Rany boskie, Max, pojęcia nie mam! Ledwo miałem czas, żeby coś do niej zagadać.

- Nie zawracaj głowy, jakieś wrażenie musisz przecież mieć!

Horowitz skubnął wąs.

- No - rzucił - dzieckiem nie jest.

- Zgadza się. Co jeszcze?

- Max, słuchaj, przepraszam cię, ale złapałeś mnie naprawdę w najgorszym momencie. W dupie mi się gotuje, tyle mam na raz do zrobienia, więc pogadajmy o tym później, dobrze? - Schylił się, by pogrzebać we wciąż otwartej lodówce. - Aha, tu cię mam, ty świnió!

Z salaterką żurawin w ręce skierował się do drzwi. Max zastąpił mu drogę.

- O co ci znowu chodzi? - spytał Horowitz.

- Wychodzę ci naprzeciw.

- Bo...?

- Bo mnie unikasz.

- Max, na litość boską, muszę to zanieść na stół! Nie zmuszaj mnie, żebym ci nastąpił na nogę!

Nie ruszył się.

Twarz Horowitza pociemniała.

- Więc co chcesz usłyszeć? Ze jest zachwycającą, fascynującą i wspaniałą istotą i że nic mnie bardziej nie cieszy, niż widok was dwojga razem? Nie, tego ci nie powiem. Nie będę cię bujał.

- Mów więc prawdę.

- Dobrze, kurwa, dowiesz się prawdy: boję się o ciebie. Kiedy wszedłeś z nią dzisiaj, uwieszoną na twoim ramieniu, pierwszą rzeczą, jaka mi przyszła do głowy, było to, że robisz sobie jaja, słowo ci daję. Bo to tak nieprawdopodobne, dlatego. Co ty masz w ogóle wspólnego z taką kobietą? Przecież ona jest... no, nie wiem sam, jak z tych powieści Caldwell'a albo coś w tym rodzaju. Nie rozumiem, co w niej widzisz, nie wiem, co kombinujecie razem i nie mam bladego pojęcia, co ci się w głowie roi. No i dlaczego muszę ci to mówić?... - Spojrzał na trzymaną w dłoni salaterkę, jakby miał ochotę cisnąć nią o ścianę. - Chcesz się ukarać, poniżyć, nie wiem, ale coś w tym jest chorego... Nie gniewaj się, Max, czuję się jak kompletny dupek mówiąc ci to wszystko.

- W porządku, naprawdę - rzucił cicho. - Prędzej czy później i tak byś mi to powiedział.

- Nie chcę, żeby to spieprzyło naszą przyjaźń.

- Ani ja.

- Max... - Oczy Horowitza były mokre. - Co się z tobą dzieje?

Rozpoznanie było nieskomplikowane.

- Zakochałem się - wyznał.

Nora, ze szklanką w ręce, opierała się o gzyms kominka, matka przysiadła obok na składanym krześle; z trzymanego na kolanach talerza zbierała resztki indyka - jadła zawsze niebywale wolno. Stał za Norą i pocałował ją w ramię.

- Dobry wieczór kochanemu panu - powiedziała. - Nie zgadniesz, o czym właśnie rozmawialiśmy.

Matka zaśmiała się: - Opowiadałam pani Norze, jaki to z ciebie był

czyścioszek, kiedy byłeś mały. Meszuge na punkcie czystości, taki byłeś.

- Co to znaczy meszuge? - spytała Nora.

- Szalony. Zwariowany. - Matka podniosła do ust mikroskopijny kęs indyka. - Nie tylko ścielił co rano swoje łóżko bez przypominania, ale jeszcze przychodził ścielić moje! Słyszała pani kiedyś coś podobnego?

Dziesięcioletni chłopak szorujący na kolanach podłogę w kuchni dlatego, że chciał! Kto da wiarę? Ale taki był Max. Nie wiem, może miał to po ojcu. Jego papa był niezły picuś, trzeba przyznać. Ja to nie, trochę brudu mi nie przeszkadza.

- To zupełnie jak ja, pani Baron - orzekła Nora. - Max poświadczy, że nie jestem najporządniejszą osobą na świecie.

Oczywiście, nawet wprost przeciwnie. Była jedną ze szmucim, kobietą wyjętą z Caldwell, którą przyprowadził na przyjęcie dla żartu.

Powiedział, że chce już iść do domu.

Matka otworzyła szeroko oczy.

- Ale nie skończyłam jeszcze jeść!

- To pójdziemy, gdy skończysz.

- Wiesz, że nie mogę jeść szybko! Moje trawienie... brzuch mnie zaczyna boleć, gdy jem szybko! Czemu mnie tak zawsze gonisz?

- Wyjdziemy, gdy skończysz - powtórzył.

Nora spojrzała na niego.

- Czemu chcesz już iść?

Powiedział jej, że czuje się zmęczony, że nie ma już ochoty, ale nie to było prawdziwym powodem. Doskwierało mu dotkliwe pragnienie, by być tylko z nią, znaleźć się w jej domu, w innym świecie, na ostrowie wodnego łoża, gdzie byli zakotwiczeni.

Rozdział piętnasty

Poruszyła się obok niego, materac zafalował wzburzony.

- Nie gniewaj się, że zrobiłam z siebie taką idiotkę - powiedziała.

Odwrócił się do niej i zanurzył twarz w jej włosach.

- Bzdura, byłaś wspaniała. Naprawdę. Poza tobą nie ma nic godnego wspomnienia z tego przyjęcia.

- Założę się, że jeszcze długo mnie powspominają.

- No i co z tego?

- Nie obchodzi cię, co myślą twoi znajomi?

- Kiedyś byłem pewien, że tak, ale prawdę powiedziawszy... mało.
- Wprawiliam cię jednak w zakłopotanie...
- Jeśli ktoś mnie peszył, to Horowitz i cała reszta tych pozbawionych wyobraźni nudziarzy. Przynajmniej dałaś im trochę do myślenia.
- Kto wie, może zawsze powinienes brać ze sobą takiego dziwoląga jak ja na twoje przyjęcia. Żeby mieli o czym myśleć, trochę ożywić atmosferę...

- Daj spokój.
- Będę musiała jeszcze kiedyś ich oglądać?
- Nie, jeśli nie będziesz miała ochoty.
- Nie mam.

Leżeli obok siebie w milczeniu.

- Więc co masz zamiar w końcu zrobić? - spytała po chwili. - Schowasz mnie do pudełeczka i będziesz wyjmować, żeby się pobawić, jak nagle ci się zachce?

Nie odpowiedział. Za oknem hordy psów z Dogtown ujadły i skowytały w oszalałym chórze. Zamruczała włączona grzałka wodnego materaca.

- Tęsknię już za tobą - powiedziała.

Wiedział doskonale, o czym mówi; nie było sensu udawać, że jest inaczej.

- Czekał - poprosił.
- Za każdym razem, gdy się kochamy, leżę potem zastanawiając się, ile razy jeszcze...

- Noro, mamy czas.
- Ile?
- Może więcej niż nam się wydaje.

Uderzyła płasko dłonią w materac - pod plecami przeszły mu fale.

- Przestań tak gadać, do cholery! Robię wszystko, co mogę, żeby nie zwariować zupełnie na twoim punkcie, a ty powiesz coś takiego i tracę znów głowę! Nie mamy czasu, kochany. Nie pasuję do ciebie, do twojego życia, niedługo sam to dostrzeżesz i zostawisz mnie z dnia na dzień. Nie mów więc do mnie tak, jakbym była głupia.

- Nie jesteś wcale głupia.
- Odejdiesz, potem znajdziesz sobie młodziutką ślicznotkę, która skończyła studia, wie, jak się zachować i w towarzystwie nie będziesz miał z nią kłopotu. I zanim się zorientujesz, stanę się tym wariackim wybrykiem z przeszłości, o którym wstyd ci będzie nawet myśleć. Nie opowiadaj mi tylko, że nie mam racji. Mam.

- Nie masz - odparł. Ale kiedy tak leżał w zacierającym kontury mroku, na chybotałej powierzchni wodnego materaca, pod którą pulsowało ogrzewanie, nietrudno mu było sobie wyobrazić, że znajduje się na tratwie niesionej w dół rzeki ku nagłemu, nieodwołalnemu upadkowi w nicość. -

Boję się, że będę cię musiał oplakiwać - wyznał głośno.

- Na pewno będę wtedy jeszcze żyła.

- To tylko pogarsza sprawę.

Podciągnęła się i wsparła na łokciu. Jej oczy błyszczały czarno w ciemnościach.

- Więc dlaczego nie poprosisz mnie o rękę?

Aż jęknął.

- No? Dlaczego?

- Bo wtedy - odparł - najpewniej byśmy się pobrali.

- A skąd nagle ta pewność, że powiedziałabym „tak”?

- A nie powiedziałabyś?

- Czy nie po to właśnie masz pytać? Żeby się dowiedzieć, co powiem?

Westchnął i położył dłoń na luźnych fałdach jej brzucha.

- Nie będę cię o to prosił, Nora.

Wróciła do poprzedniej leżącej pozycji.

- Tak jak bym tego nie wiedziała - odparła.

Leżąc w ciemnościach, zaczął rozmyślać nad ożenkiem: możliwość, którą należało przynajmniej rozważyć. Nora Cromwell z Dogtown i Max Baron z Kirkwood wstąpili dziś w związek małżeński podczas cywilnej ceremonii, jaka miała miejsce w Maplewood, Missouri. Panna młoda ubrana była w niekonwencjonalny acz pociągający roboczy fartuch koloru nieba z żółtymi wypustkami, którego szyk podkreślały dodatkowo utrzymana w tym samym stylu czapka z daszkiem i świeżo wyprane tenisówki. Przyjęcie weselne odbyło się w restauracji Biały Pałac na rogu Grand i Gravois w St. Louis; twierdzono zgodnie, iż było wyjątkowym sukcesem. Podano frytki, mleczne napoje owocowe i małe hamburgery z czystej wołowiny, czarująco serwowane w niewielkich kartonowych pudełkach. Po odbyciu podróży poślubnej na Antarktydę, szczęśliwa para zamierza osiedlić się na stałe po ciemnej stronie Księżyca...

Zaśmiał się, aż zachlupotało łóżko.

- Co cię tak śmieszy? - zapytała.

Przekręcił się w jej stronę i pocałował suche usta.

- Nic - odpowiedział.

Za oknami gabinetu Stephanie, znajdującego się na dziesiątym piętrze budynku Fidelity Federal, wirowały gęsto pierwsze tego roku płatki śniegu.

Wewnątrz pokoju również przeważała biel: szerokie biurko z wybielanego drewna, fotele, na których rozsiedli się z Rosemary, były połączeniem chromu i biało wyprawionej skóry; ściany, wciąż nagie, wyglądały niczym wielkie zagruntowane na białą płótna: wszystko bardzo chłodne, bardzo eteryczne, doskonale, pomyślał, pasujące do osoby o równie bezkrwistym usposobieniu jak Stephanie. Jediną ciepłą, organiczną rzeczą była jej niebywała woń.

Nie zapowiedziała widocznie sekretarce, by ta nie przełączała rozmów, w związku z czym aparat odzywał się co parę minut. Stephanie podnosiła słuchawkę i zmuszała ich do maskowania zniecierpliwienia podczas długich konwersacji, jakie prowadziła z każdym rozmówcą.

- ...w takim razie - mówiła - spróbuj rzeźnika w West County. Przykro mi oczywiście, że sprawiam ci tym kłopot, Loretta, ale przypomnij sobie, co się działo, gdy próbowałaś podsunąć panu Deluc gorszą cielecinę. Otóż to... Doskonale... Koło siódmej... Dobrze, do widzenia.

Stephanie odłożyła słuchawkę i, słowem nie przeprosiwszy za przerwę, wróciła bez entuzjazmu do rozłożonych na biurku projektów. Z urlopu na Bahamach przywiozła wspaniałą opaleniznę, która niestety jeszcze dobitniej podkreślała wytrzeszcz jej oczu. Tego dnia miała na sobie suknię barwy lawendy i tym razem z kokardą u szyi; kokardy stanowiły zdaje się jej znak rozpoznawczy, podobnie jak muszki noszone przez niektórych szefów. Wyciągnęła powoli papierosa z pudełka, marszcząc wciąż brwi nad projektami.

- Nie powinnaś trzymać nas w takiej niepewności - odezwała się Rosemary.

- Zastanawiam się właśnie, czy rzeczywiście mam wystarczającą liczbę rysunków, by móc wybrać spośród nich.

- Jeśli pamiętasz, Stephanie - wtrącił - prosiłaś o trzy rozwiązania każdej koncepcji. Dostałaś po cztery.

Stephanie wzruszyła ramionami.

- Żaden ci nie odpowiada? - spytała Rosemary.

- No nie, w większości są w porządku, te hasła też można użyć, jeśli odrzucić parę nieudanych sformułowań...

- Jakich nieudanych sformułowań? - zapytał.

Rosemary rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, ale Stephanie roześmiała

się tylko.

- Tekściarze! Nie spotkałam jeszcze takiego, który nie czułby się jak primadonna. Ale to pewnie wiąże się z zakresem pracy, prawda?

Udało mu się odpowiedzieć również uśmiechem.

- Na przykład tu - otworzyła teczkę - w trzeciej reklamie radiowej, tuż pod koniec tekstu: „Za pledem Cannona rozejrzyj się, bo jego cena już rozgrzeje cię”.

- Co w tym nieudanego? - zapytał.

- Zakończyłeś zdanie zaimkiem.

Odczekał chwilę, by upewnić się, że Stephanie mówiła poważnie.

Uśmiechała się jednak triumfalnie jak po zdobyciu punktu.

- Nie ma w tym nic złego - odparł.

- Chodziłeś do szkoły, prawda?

- I uczyłem też przez trzy lata w szkole.

- Naprawdę? Więc kto jak kto, ale ty z pewnością powinieneś wiedzieć, że nie kończy się zdania zaimkiem.

- To zasada, która jakoś nie przekonuje mnie - odparł. Słuchała wpatrzona w niego, bez słowa. - Churchill odpowiedział w ten sposób, gdy jemu ktoś zwrócił uwagę, że kończy zdanie zaimkiem. Upieranie się przy tej starej regule sprawia tylko, że trzeba dokonywać werbalnych akrobacji.

Zresztą chyba nie to, czy forma jest przestarzała, ma tu znaczenie...

Rosemary dotknęła jego ramienia - jednoznaczny sygnał, aby natychmiast przerwał; gasiła właśnie papierosa stukając nim wytrwale o dno kryształowej popielnicy na biurku.

- Muszę powiedzieć, Stephanie, że uwaga Maxa jest słuszna. Hasło straci wigor, jeśli zastosujemy stare zasady gramatyki.

- Nie zgadzam się. Zapominacie, że większość naszych odbiorców to ludzie powyżej czterdziestu pięciu lat. Lwia część dobrze pamięta tradycyjne reguły i, jeśli odejdziemy od owych reguł w naszej kampanii, zauważą to natychmiast i poczują się urażeni. Hasło można tak przestawić, by było jednocześnie potoczne i gramatycznie poprawne.

- „Bo jego cena już rozgrzać chce - powiedział.

- No proszę, widzicie? Sami potwierdzacie moje zdanie.

- Ale, Stephanie, posłuchaj tylko dobrze! W tym nie ma takiego uderzenia, to jest bardziej płaskie!

Stephanie zgasiła papierosa.

- Obawiam się, że tracimy czas. Wymuskanie szczegółów koncepcji

graficznej tej kampanii możemy sobie zostawić na później. Teraz...

- Czy mam przez to rozumieć, że nie godzisz się na żaden slogan kończący się zaimkiem?

- Wydawało mi się, że nie pozostawiłam co do tego wątpliwości.

- „Pewność i wygody błam Fidelity Federal gwarantuje wam”. Jak to niby wykręcić?

- Max... - rzuciła Rosemary.

Pohamował się, uspokoił skaczącą mu ze zdenerwowania nogę.

- Przepraszam - powiedział.

Stephanie skinęła lekko głową.

- A zatem, jeśli pozwolicie, chciałabym teraz ocenić całościowo wasze rozwiązania. - Opadła na oparcie fotela, wzdychając. - Każdy z projektów może być użyty, bez wątpienia... ale żaden mnie, potocznie mówiąc, nie rajcuje.

- Czego im brak? - spytała Rosemary.

- Pasji. Ikry. Czegoś rzeczywiście chwytliwego. - Jej uśmiech nabrał otwartości: miała podzielić się z nimi tajemnicą. - Wiecie, nie spędziłam całego tego czasu na Bahamach, wylegając się tylko na słońcu.

Przemyślałam solidnie naszą kampanię i w końcu doszłam do przekonania, że hasło, które podsunęłam wam na samym początku, najlepiej spełni zadanie.

Rosemary dokonała heroicznego wysiłku, by jej twarz wyrażała nadal zainteresowanie.

- Masz na myśli: „Szczęście ci pled ogrzeje”?

- „A kasę Fidelity Federal wierzeje” - dodała Stephanie. - Wsłuchajcie się tylko! Przecież przekazuje to naszą myśl z werwą większą niż którykolwiek z tych projektów, nie czujecie tego? „Szczęście ci pled ogrzeje, a kasę Fidelity Federal wierzeje”. Cały czas dźwięczy mi to w uszach. Jest w tym coś nieuniknionego, prawda?

Z całą pewnością, pomyślał, to przecież twoje hasło.

W powrotnej drodze do biura Rosemary, przebijając się w śnieżycy przez korek, uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Zdziwiasz mnie. Nie pamiętam, byś był choć raz niegrzeczny wobec kogokolwiek, a tu proszę, nagle odszczekujesz Stephanie jak jakiś gburowaty sztubak na połajance u kierownika szkoły. Co cię tak nagle napadło?

- Wkurzyła mnie ta baba - powiedział. Szybkość, z jaką przejmował wyrażenia Nory, była przedziwna. Ich związek zaczynał przypominać

Pigmaliiona granego wspan: w miarę rozwoju akcji profesor Higgins odkrywa, iż mówi londyńską gwarą; pod koniec ostatniego aktu sztuki stoi już na rogu ulicy sprzedając kwiaty.

- Mnie też ona denerwuje, ale nie może to usprawiedliwiać braku profesjonalnego podejścia.

- Czy profesjonalizm nie oznacza ochrony klienta przed jego własną głupotą?

- Max, posłuchaj: La Machina czeka tylko na nasze potknięcie. Sam widzisz, jak stara się nam utrudnić życie, choćby ten termin, który nam dała! Wie doskonale, że przesiedzimy nawet całą noc, byle tylko skończyć wszystko do jutrzejszego popołudnia, i wciąż liczy, że gdzieś tam, będąc stale pod presją, zrobimy jakiś głupi błąd. Bo tylko tego potrzebuje: jedno, jedyne przeoczenie czegoś albo złe odczytanie jej instrukcji, jakie będzie mogła wskazać swym przełożonym, i już może zacząć robić nam koło dupy. Musimy być wzorem doskonałości. I kampania również musi być doskonała, według jej wyobrażenia.

- To znaczy?

- Zręczna miernota.

- Nie lubię mieć do czynienia z miernotą, Rosemary.

- Ale pracę lubisz mieć?

- Szczęście - powiedział wchodząc do sypialni późnym wieczorem - pled ci ogrzeje.

Ściągnął foliowe opakowanie z grubego pledu w ciepłym kolorze, który kupił tego dnia po niższej cenie w Fidelity, i rzucił go w poprzek łóżka.

Pled opadł miękko na koc, pod którym, podciągnąwszy go aż pod brodę, Nora czytała Życie na Mississipt. Mieszkanie było jak zwykle wymarzone, termostat nie przekraczał morderczych dziesięciu stopni Celsjusza.

Parokrotnie już chciał jej pomóc w zapłaceniu rachunku za ogrzewanie, skoro i tak w końcu dzielił z nią mieszkanie, uparcie jednak odmawiała przyjęcia jego łaski. Próbował więc inaczej, namawiając ją, by na czas zimy zgodziła się przenieść do jego mieszkania na Kirkwood - tu odmawiała argumentując, że miałyby za daleko do pracy, a poza tym nie czułaby się dobrze w tak „szarym” miejscu. Zostali zatem w Dogtown, marznąc i opatulając się w trzy warstwy ubrań, gdy nie rozgrzewali się wzajemnie w łóżku. Zaczęła nosić po domu swoją wojskową kurtkę, szafę zapchał jej swoimi swetrami.

- No proszę - odezwała się, aby obejrzeć nowy pled. - Czy to nie ładne?

- Ładne to za mało powiedziane - rzucił zmęczonym głosem. Usiadł na

brzegu łóżka i zaczął się powoli rozbierać. - Masz tu przed sobą, moja droga, ciepły, cudowny, wygodny, miękki, nieziemsko piękny pled produkcji Cannona i będzie twój, gdy tylko zdeponujesz przynajmniej pięć setek na koncie oszczędnościowym w Fidelity Federal. - Buty klapnęły o podłogę.

- Biedactwo - westchnęła masując mu ramiona. - Zdaje się, że wreszcie zrobili ci wodę z mózgu.

- Muszę się czegoś napić - stwierdził.

Wstała, by przynieść mu whisky.

Rozbierał się dalej powoli. Niósł właśnie marynarkę do szafy, gdy potknął się o jej torebkę, rozsypując przy tym prawie całą jej zawartość na środek pokoju. Zaklął bez złości i przyklęknąwszy zaczął zbierać po kolei wszystkie drobiazgi. Czuł się tak zmęczony, że nie chciało mu się nawet dokładnie oglądać chowanych rzeczy: grzebień, szczotka do włosów, tampony, drobne monety, podręczny zestaw do makijażu, kredka do warg, woda kolońska Charlie (dziwne, że używała wody o takiej właśnie nazwie i równie dziwne, że nie zauważył tego dotychczas), pomięte chusteczki higieniczne, kilka opakowań ketchupu z Pałacu, brelok z kluczami ozdobiony kosmatą różową łapką zajęczą, dodatkowa paczka winstonów i zdjęcie, na widok którego zamarło mu nieomal serce.

Sam je robił, w czasie weekendu spędzonego razem z Janey w schronisku nad Lake of the Ozarks. Leżała na deskach drewnianego moła wchodzącego w ciemnozieloną wodę jeziora; w dwuczęściowym kostiumie kobaltowego koloru, wspierała się na łokciach spoglądając w obiektyw kamery wyzywającym wzrokiem kpiącej dziewczyny z okładki. Zwykle nie patrzyła w ten sposób, ale dla jakichś powodów przybierała taką pozę, gdy ktoś ją fotografował. Słońce koronowało promieniście jej złote, nie zmoczone jeszcze kąpielą, włosy; ciało niemal tak doskonałe w proporcjach, tak kształtne, że można było zwątpić w jego istnienie.

Zapomniał już prawie o potędze prawdziwego fizycznego piękna i teraz, patrząc na jej wizerunek, czuł, że słabnie.

- Znalazłeś coś ciekawego?

Stała w drzwiach ze szklanką jego whisky, brzeg grubej flanelowej koszuli nocnej wciąż falował nad jej stopami.

- Skąd to masz?

Łyknęła z jego szklanki i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Od twojej matki, dała mi - odparła.

- Kiedy?

- Na przyjęciu w Dniu Dziękczynienia.
 - Ale dlaczego?
 - Przecież ci mówiłam, że chcę zobaczyć jej zdjęcie.
 - To nie tłumaczy, po jakiego diabła trzymasz je w torebce!
- Patrzyła na niego bez słowa.
- Noro, chyba pytałem o coś? Po co nosisz to zdjęcie ze sobą?
 - Nie wiem.
 - Masz je przy sobie od blisko tygodnia i nie wiesz, dlaczego?
 - Po prostu chciałam je mieć.
 - Ale po co? Żeby w nie szpilki wbijać?

Zamierzyła się na niego szklanką pełną alkoholu, ale w ostatnim momencie powstrzymała się, nie wypuściła szklanki z dłoni, tak że jedynie whisky niemal go dosięgła miękkim łukiem i rozprysnęła się wsiąkając w dywan.

Wycofała się do holu; pobiegł za nią, złapał ją za przegub.

- Nora, przepraszam, ja... no, wytrąciło mnie to zupełnie z równowagi, gdy znalazłem jej zdjęcie w twojej torebce. Nietrudno to chyba zrozumieć? Skinęła głową.
- Po co ci w ogóle było potrzebne to zdjęcie?
- Chciałam po prostu zobaczyć, jak wyglądała, a jak już zobaczyłam, to...

Nie wiem, chciałam być pewna, że jej nie zapomnę.

- Ale dlaczego?
- Podniosła na niego wzrok.
- Bo próbuję cię traktować poważnie.

Nie bardzo wiedział, jak ma to rozumieć. Aby pojąć sens, musiałby jednak zapuścić się w obszary jej psychiki, której dziś nie miał wytrwałości ani odwagi sprostać.

- Wracaj do łóżka - powiedział.
- Mogę zatrzymać zdjęcie?
- Pod warunkiem, że schowasz je tak, bym go nie znalazł.

A później, gdy przekraczał już granicę snu, usłyszał jej słowa: - Boże, ale ona była piękna...

- Kto?
- Twoja żona.
- Mhm.
- Musisz ją pewnie dalej kochać.
- Janey nie żyje.

- No - orzekła - w tym przynajmniej jestem od niej lepsza.
To go w pełni rozbudziło.

- Nora, to nie jest żadne współzawodnictwo. Ani nie musisz wyglądać jak Janey, ani zachowywać się jak ona, żebym cię kochał. Bądź po prostu sobą, w stu procentach normalną Norą Cromwell.

- Musiałeś zupełnie oszaleć, kiedy zginęła...

- Oszalałem.

- Wiem.

- Skąd?

- Bo związałeś się ze mną - odparła.

Telewizyjna reklama promocyjnych pledów Cannona miała opierać się na

wywiadach

przeprowadzanych

ze

zwykłymi,
przeciętnymi

mieszkańcami. W szary i mokry grudniowy poranek stanął więc ze swoją ekipą na rogu Siódmej i Olive, wypytując przechodzących obok ludzi, co rozumieci przez szczęście. Po południu Rosemary zasiadła obok niego w studiu pomagając mu wybrać odpowiednie ujęcia. „Szczęście to dostać trochę grosza za to nagranie”, odpowiedział całkiem zabawnie staruszek w czapce z nausznikami, ale Rosemary odrzuciła go, ponieważ był za sprytny. - Ma zostać kit, sacharyna i sama łagodność - stwierdziła, czym oczywiście wykluczyła większość ujęć. Co najmniej trójka indagowanych przyznała, że szczęściem dla nich byłaby główna wygrana krajowej loterii.

Powtarzały się nieustannie wypowiedzi o pieniądzach, miłości, karierze zawodowej, odrzucane przez Rosemary jako zbyt prawdziwe. Elegancko ubrana młoda kobieta powiedziała po chwili namysłu: „Świat bez bólu” - nawet on musiał przyznać, że nie mogli tego użyć. Były również wypowiedzi uznane przez Rosemary za „religijne”: święta przez cały rok na okrągło (był to wszak okres przedświąteczny), powszechne zbratanie, życie z Jezusem, nigdy więcej bomby. Nikt nie powiedział ani słowa na temat ciepłych koców, nie mówiąc już o radości, jaką mogło dać oszczędzanie w Fidelity Federal. Wreszcie taśma skończyła się.

- Zupełnie, całkowicie, absolutnie zmarnowany dzień zdjęciowy - orzekła wtedy Rosemary. - Powinieneś ich był przygotować, cholera!
- Mielіśmy zdaje się szukać naturalności...
- I guzik to dało. La Machina z pewnością na to nie pójdzie.

Potrzebujemy wypowiedzi jakby żywcem przeniesionych z obrazków Rockwella.

- Ludzie nie myślą jak na obrazkach Rockwella.
- Pomyślą, jeśli im zapłacimy.

Następnego ranka znów stał z tą samą ekipą na tym samym rogu zadając ludziom to samo pytanie; tym razem jednak bezwstydnie czytał im odpowiedzi, jakich mieli udzielić, powtarzając bez przerwy, że najpóźniej za trzy tygodnie dostaną czek na sumę liczoną według stawek aktorskich, jeśli tylko uda im się odegrać przekonująco i naturalnie swoje role. Duch współpracy nie opuszczał odtąd chodnika.

Gotowy film wyglądał następująco: ujęcie zaczyna się od błękitnego tła. Nałożony tekst zamyka się w klatce: „Co ty uważasz za szczęście?”

Przejdźcie ostrym cięciem do średniego planu kobiety w grubym płaszczu i okularach słonecznych. Kobieta: „Cały podolek kocią”. Przejdźcie ostrym cięciem do planu mężczyzny w średnim wieku w kapeluszu: „To proste: placek z anansem, jaki piecze moja żona”. Przejdźcie do roześmianej Murzynki z okrągłą twarzą. Kobieta: „Szczęście dla mnie? Laaato!”

Przejdźcie do starszej paniusi o żywych oczkach. Staruszka: „Proste, szczęście to wygodny koc!” Rozmycie planu do reklamowych zdjęć koców, pledów, poduszek itp. Nałożony głos: „Otóż, w Fidelity Federal szczęście to ciepły pled... koce Cannona, pledy i nie tylko, wszystko po rewelacyjnie niskich cenach albo w prezencie. Wystarczy zdeponować minimum pięćset dolarów na koncie oszczędnościowym w Fidelity Federal i wybierać spośród cudownie pięknych produktów firmy Cannon.

Zapewniają zawsze taką samą wygodę, jak świadomość, że wasze oszczędności są szczęśliwie ulokowane w największej koncesjonowanej kasie oszczędnościowo-pożyczkowej stanu Missouri”. Powrót ostrym ujęciem do żywookiej staruszki: „Szczęście ci pled ogrzeje, a kasę Fidelity Federal wierzeje!” Zaciemnienie.

Reklama wydała mu się tak odpychająca, że z trudem zmusił się do jej oglądania w czasie nakładania postsynchronów i robienia kolejnych kopii.

Rosemary zauważyła, że u każdego diabetyka film wywoła pewnie nagły wzrost poziomu insuliny. Komentarz Stephanie nadszedł w formie telegramu: „Reklama Cannona prima! Murowany pewniak! Tak trzymać!”

W połowie następnego tygodnia kampania wystartowała w telewizji.

Znalazł ją zwiniętą przed telewizorem, otuloną obszarpaną wojskową kurtką, okręconą w talii ciepłym pledem z Fidelity. Na stoliku zgromadziła najpotrzebniejsze rzeczy: chusteczki higieniczne, papierosy, torbę ziemniaczanych chrupek, kubek gęstego cebulowego sosu i szklanekę wódki z tonikiem. Była tak blada, że pomyślał najpierw, iż musi być chora; przypatrzwszy się jej bliżej, zorientował się, że ta bladość wiąże się z brakiem makijażu; nawet nie narysowała sobie brwi. Szara, nie pocieszona, królowała nad swymi delicjami, księżniczka z bajki umierająca na melancholię. Nie powitała go ani słowem, gdy wszedł i zamknął za sobą drzwi, nie opierała się ani nie zbliżyła, gdy podniósł ją za brodę i, całując, wciągnął jej słony, chrupkowy oddech (ukłuło go przypomnienie trzynastoletniej Janey)... zaledwie dała się pocałować.

- Wyglądasz jak strzep człowieka - powiedział do niej.

Wzruszyła ramionami nie odrywając oczu od telewizora.

- Masz ochotę porozmawiać?
- Nie jestem w nastroju do rozmowy.
- Dobrze, do czego zatem?
- Do oglądania telewizji.
- Nora, dobrze się czujesz?
- Znakomicie - odparła ostro.

Powiesił kurtkę i wrócił do niej, przysiadając obok na sofie i naciągając na kolana skrawek pledu. Podzieliła się z nim niesprawiedliwie oddając tę małą część dopiero po naleganiach. Na ekranie leciała akurat Wyspa Gilligana.

- Wolałbym, żebyś ze mną porozmawiała - powiedział. - Masz ochotę posłuchać, jaki paskudny dzień miałem w biurze?
- Niespecjalnie.
- A masz coś przeciwko temu, że się o ciebie oprę?
- Rób, co chcesz.

Przytulił się usiadłszy obok, zakłopotany i upokorzony tą potrzebą bycia blisko Nory nawet gdy robiła się jędzowata, dziecinna czy irytująco odległa bądź, jak w tej chwili, łączyła wszystkie te trzy cechy. W takich właśnie momentach gotów był uwierzyć, przychyłając się do zdania Sary Roth, Horowitza i podobnych im heroldów konwencjonalnego zdrowego rozsądku, że jego uczucie nie było wcale miłością, a symptomem choroby psychicznej. Musiał chyba oszaleć, by kochać taką kobietę, myśleć o niej w podobny sposób i wciąż wierzyć, że ją kocha. Ale wierzył. Chciał zwinąć się w kłębek w ciepłe jej pachy i przespać tam całą zimę. Zamiast tego oglądał razem z nią w milczeniu telewizyjny program.

Gilligan, okazało się, wpadł na wyspie na kanibali (uczernieni biali aktorzy z kościanymi ozdobami w nosie), ale nie był w stanie przekonać innych rozbitków, że to prawda. Gdy próbował ostrzec Skippera, Profesora czy Mary Ann przed mierzącymi w ich plecy włóczniami, kanibale przepadali w gęstwie plastikowego listowia, nim „ofiary” zdążyły odwrócić się i rozejrzeć. „Widzi pan sam, Gilligan - mówił Profesor stukając się w czoło - klasyczny przypadek gorączki tropikalnej”.

- Nora, jak ty możesz oglądać te brednie?
- Lubię to - burknęła.

Na ekranie pokazała się reklama Cannona.

- O, masz tu film, który robiłem w zeszłym tygodniu.
- Ten?

Ożywiła się: z rozchyłonymi ustami pochyliła się bliżej czarno-białego ekranu. Fakt, że prace jej przyjaciela można było zobaczyć w telewizji, był dla niej źródłem nieustającego podziwu i odnosiła się do jego filmów - także najgłupszych, najbardziej kiczowatych - z absolutnym szacunkiem, czego nawet natrzęsając się z tych prac nie był w stanie zmienić. Oglądana teraz reklama pledów Cannona wydała mu się tak okropna, sztuczna i ubliżająca ludzkiej inteligencji, że zawstydził się Nory. Gdy ekran zamarł, odwrócił się do niej, podniósł brwi i strząsając popiół wymagowanego cygara zapytał głosem Groucho Marxa, co dla niej jest szczęściem.

Szarpnęła się, jakby boleśnie ją uszczypnął, a potem spojrzała na niego z wyrazem tak głębokiego, przejmującego bólu, że przez chwilę nieomal uwierzył, iż zapytał po to tylko, by z niej szydzić. Wstała gwałtownie i z wilgotnymi oczyma wyszła z pokoju. Pod wojskową kurtką nie miała nic poza majtkami. Zamarznie, pomyślał i chwyciwszy szybko koc poszedł za nią do kuchni.

Siedziała przy małym laminowanym stole, zajęta zapalaniem papierosa.

Jej szerokie uda pokrywała gęsia skórka. Podał jej pled; owinęła się nim bez słowa. Usiadł naprzeciwko.

- O co chodzi?

- O nic.

- Co ci się dzisiaj przydarzyło?

- Nic wartego gadania. To samo, co wczoraj.

- Wczoraj nie byłaś przygnębiona.

Wypuściła powoli dym. - A kto mówi, że dzisiaj jestem? - Ja.

Wzruszyła ramionami. - Więc dobrze - odparła. - Może jestem.

- Co cię tak przygnębia?

Rozejrzała się po kuchni bez przekonania.

- Zima, nie cierpię jej. Z całego serca. Nie znoszę śniegu, nie lubię tego, że w domu robi się tak cholernie zimno, nie cierpię ponurego nieba.

Nienawidzę zimy i tyle.

Czuł, że zmyśla.

- Co jeszcze cię gnębi?

- Święta. Zawsze nie znosiłam świąt. - Podciągnęła wyżej pled. - Gdy jeszcze byłam mała, Boże Narodzenie oznaczało, że będę musiała oglądać starych, jak szykują największy ochłaj w roku. Prawdziwa zabawa, możesz mi wierzyć... A teraz jestem za biedna, żeby urządzać święta jak każdy inny. Wiesz, co dostałam w zeszłym roku pod choinkę? Nic.

Najmniejszego gówna, poza szynką z mojej knajpy. - Spojrzała na niego.

-
Pewnie musisz myśleć, że jestem jakąś okropną babą, bo tak mówię o świętach.

- Żydzi nie obchodzą Bożego Narodzenia.

- Jeden zero dla nich. - Jej usta drżały.

Nagle przypomniał sobie coś.

- Kiedy zginął Charley?

Wpatrywała się w koniec papierosa.

- Wiem, o czym myślisz, ale to nie to. Charley zmarł w lecie.

Nie była to zatem rocznica śmierci syna. Coś jednak bez wątpienia opłakiwała, w tych sprawach był ekspertem.

- Smutno ci, że... ostatniej nocy rozmawialiśmy...

- O ślubie, myślisz? A gdzie tam! Chyba musiałabym zupełnie upaść na głowę, żeby chcieć wyjść za ciebie.

- Więc to nie nasz związek cię gnębi?

Nie odpowiedziała.

- To tylko zima i nadchodzące święta, tak?

- Tak.

- Nie wciskaj mi kitu, Nora.

Uderzyła dłonią o blat, aż klasnęło.

- Mam ochotę wciskać ci kit, więc będę! - krzyknęła. - Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz, że niby masz prawo wiedzieć o mnie wszystko, każdziuteńką rzecz? Należę do ciebie? Nie! Do nikogo nie należę!

- Noro, na litość boską...

- Co?

- Co cię tak żre?

- Nic! - Wstała pozwalając, by pled opadł na podłogę. - Nic, nic, nic, nic, nic! Rozumiesz? Przestajesz mnie wreszcie przesłuchiwać? I matkować mi w ten sposób? Przysięgam Bogu, zesrać się można z chłopem łąącym za babą tak jak ty! Odetchnąć mi nawet nie wolno! Odpierdol się wreszcie, dobrze? Zostaw mnie choć raz samą!

Rozdział szesnasty

Nie przeszkadzał jej, gdy siedziała w wannie; chodził wściekle po całym mieszkaniu, zaczynał czytać jakiś magazyn, by po chwili go odrzucić,

przerzucał kanały telewizji, gapił się przez okno na siny od mrozu świat, wreszcie dał za wygraną i w kuchni zrobił sobie mocną wódkę z tomkiem.

W połowie szklanki znów o czymś pomyślał. Przeszedł korytarzem i otworzył drzwi do łazienki.

Leżała rozluźniona w parującej wodzie, z kolanami sterczącymi wyżej głowy.

- Jedno pytanie - zaznaczył - i natychmiast wychodzę.

- Co znowu?

- Kiedy masz urodziny?

Opadła jeszcze głębiej w wodę.

- Jutro - odparła.

Przypomniawszy sobie dwudzieste piąte - ostatnie - urodziny Janey: stała naga przed sypialnianym lustrem oplakując przemijanie urody. Jej skóra, twierdziła, zaczyna się już robić sucha, w kąciakach oczu i ust pokazywały się zmarszczki, pośladki opadały, piersi robiły się obwisłe. Wszystko oczywiście były czystą fantazją, ale im bardziej podkreślał dojrzałość jej piękna, tym bardziej odrzucała świadectwo własnych oczu: majętny sknera, rozpaczający nad samą możliwością ubóstwa. Oglądana od tej strony, zdawała się być rzeczywiście tak płocha i płytka, jak lubiła przedstawiać ją matka; potrafiła nawet obwieścić, że dla niej życie właściwie już się skończyło; nieważne, że akurat miała wtedy rację. A zatem, powiedział

sobie, jeśli widmo starości wpędziło w panikę dwudziestopięcioletnią Janey, to Nora, w przeddzień swych czterdziestych drugich urodzin, miała niezaprzeczalne prawo do chwilowego obłąkania. Być może dlatego nie chciała kochać się z nim ostatniej nocy i odpowiadała tego ranka ponuro samymi monosylabami. Bał się jednak, że to nie było wszystko. Bał się, że zobaczyła ich przyszłość tak samo ostro, trzeźwo i beznamiętnie, jak musiała zobaczyć w lustrze swą własną, starzejącą się twarz. I cóż mogła dostrzec? Nic... ich przyszłość przypominała pusty ekran kinowy, gdy zamarły już złudzenia i zapaliły się światła na widowni. Gdyby nie brakowało mu odwagi, powinien w prezencie urodzinowym dać jej posmakować rozstania. Zamiast tego jednak chciał przy pomocy uczucia przekupić czas.

Szczyście mu sprzyjało; przeglądając rano w biurze Post Dispatch znalazł w programie Tivoli Pół żartem, pół serio. Zadzwoił do niej do restauracji, by zaśpiewać zwrotkę „Happy birthday”. Miał absolutnie drewniane ucho, więc te jego żalosne wysiłki wywołały tylko skąpy wybuch jej śmiechu.

- Jesteś wariat, przysięgam.

- Jak się dzisiaj czujesz?

- Stara i zużyta.

- Jeśli jesteś taka stara i zużyta - powiedział - to skąd w takim razie przy tobie ten dwudziestosiedmioletni kochanek?

Zadał jej, jak ostatni głupek, pytanie, nad którym z pewnością musiała się zastanawiać. Nie odezwała się.

- Kiedy wracasz dziś do domu?

- Koło piątej.

- Przyjadę o szóstej; włóż tę jedwabną bluzkę i brązową spódnicę, w których byłeś u Horowitzów. Idziemy dzisiaj na miasto.

- Bo ja wiem... Nie mam nastroju do wychodzenia.

- To go nabierz.

- A gdzież to się wypuszczamy?

- Tego - zaznaczył - akurat ci nie powiem.

Wyszedł z biura o piątej, narażając się na pełne wyrzutu spojrzenie Rosemary - równo z dzwonkiem wychodzą tylko recepcjonistki i sekretarki, powtarzała mu nieraz - i pojechał odebrać pudełko wiśni w czekoladzie i butelkę Stolicznej, dwukrotnie pokonując w tym celu popołudniowy ścisk na ulicach. Wybrał specjalnie takie drobne upominki, gdyż nie chciał wymuszać na niej czegokolwiek przynosząc coś bardziej wartościowego. Owa świadoma niefrasobliwość zdawała się odnieść pożądaną skutek: po połknięciu kilku wiśni i szklanki czystej wódki z lodem („Smakuje prawie jak mleko”, zachwyciła się) Nora wróciła do siebie i, jakby chcąc tego dowieść, pociągnęła go na podłogę, by, niezbyt wygodnie, nadrobić czas zmarnowany ubiegłej nocy w łóżku. Można nią było równie łatwo manipulować, jak jego matką; wystarczyło tylko pamiętać, że w gruncie rzeczy obie były jak małe dziewczynki, które przybrały postać dojrzałych kobiet. Mimo wszystko nie był tego tak absolutnie pewien: za każdym razem, kiedy sądził, że ma klucz do psychiki Nory, odkrywał, że nie otwiera on niczego.

Zasypywała go pytaniami w czasie jazdy na Delmar Loop, ale uparcie odmawiał ujawnienia planów. Gdy zobaczyła wreszcie tytuł filmu na frontonie kina, spojrzała na niego zagadkowo, wybuchnęła swym huczącym śmiechem i zanuciła mu ramiona na szyję, przysyłając mu całkowicie szybę.

- Chryste Panie, Nora, czy ty chcesz nas zabić?!

- Kochany jesteś - powiedziała. - Wiszę ci dmuchanie...

Tivoli było jedynym w mieście kinem powtarzającym klasyków ekranu, jedynym także miejscem, gdzie w barku można było dostać lemoniadę, colę i herbaty ziołowe. Ciżbę w przedsionku stanowili głównie niechluję w typie wykładowców

uniwersyteckich

zadziorne
punkci:
mało

prawdopodobne, by znał tu kogokolwiek. Tym niemniej przyłapał się na mimowolnym, ukradkowym sprawdzaniu, czy w tłumie nie znajdzie się ktoś, kto mógłby go rozpoznać. Objął ją ciaśniej w talii, ale jej nieoczekiwane ciepło sprawiło, iż wstyd palił go jeszcze bardziej. Zakładał, a przynajmniej miał nadzieję, iż przyjęcie u Horowitzów raz na zawsze wypędzi z niego diabła strachu, że ktoś go zobaczy razem z Norą, ale jego haniebne tchórzostwo okazało się tkwić znacznie głębiej, niż się spodziewał. Kiedy, kiedy wreszcie uda mu się przełamać to wstydlive zahamowanie? Co na przykład miał zamiar zrobić w przyszłym tygodniu, kiedy do działania zmusi go tradycyjna reduta organizowana w biurze przed świętami? Znow skłamać udając, że musi tego wieczoru pracować dłużej? Usiąść z nią i wytłumaczyć jak dziecku, że nie bierze jej ze sobą dla jej własnego dobra, bo jeśli u Horowitzów czuła się skrepowana tym, że odstaje od reszty towarzystwa, to w zgęstce mydlkowatych reklamarzy najprawdopodobniej przepadnie z kretesem? Czy też przyzna się otwarcie do uczucia, przełknie gorycz zaprzepaszczonej reputacji i przedstawi Norę nieufnemu zgromadzeniu, Rosemary, klientom i wszystkim zebranych?

Spytał ją grubym głosem, czy ma ochotę na prażoną kukurydzę.

- Nie - odparła. - Chyba się już zaczyna... - Pociągnęła go, pełna dziecięcego wręcz entuzjazmu, do przyciemnionego wnętrza.

Widział Pół żartem, pół serio już wcześniej, ale dopiero teraz zobaczył, że było to coś więcej niż bardzo dobry film, a Marilyn Monroe była czymś więcej niż bardzo dobrą aktorką. Miał nieprzepartą ochotę wchłaniać jej obraz - zapominając o scenariuszu czy nawet grze samej - dzięki jakiemuś magnetyzmowi, który z niej emanował, cudownie wyważonemu brakowi równowagi między jej kobiecą wrażliwością a siłą. I przy tym jej zadziwiająca cielesność... Mógł nieomal sięgnąć poprzez czerń i biel płaskiego ekranu, by otoczyć jej giętką kibić. Była - podobnie zresztą jak Nora - skupiona w sobie i zwarta.

Dotknął przegubu jej ręki, ale nie zareagowała, przeniesiona do innego świata. Siedziała wyprostowana sztywno przez cały seans, skrzyżowane ramiona zamknęła na piersiach, i gdy spoglądał na nią od czasu do czasu, widział, że jej usta poruszają się bezgłośnie, towarzysząc słowo w słowo dialogom. Nie śmiała się, gdy śmiano się na ekranie: była w siódmym niebie,

tak wyrafinowanym, że nie docierał tam humor. Gdy ujął jej dłoń, jej palce zacisnęły się ciasno wokół jego, ale, wyczuwał, był to zaledwie fizyczny odruch, gest spoza obszaru jej skupienia; była ujarzmiona.

Na ekranie Marilyn - lekko pomyłona, zmysłowa, anielica o cudownym ciele - stała w drzwiach pokoju Tony'ego Curtisa mówiąc: „To ja, Sugar”.

Nora westchnęła.

Wsunął dłoń pod połę jej płaszcza i zaciśniętą wepchnął między nogi.

- Czy wspominałem ci już kiedyś - spytał - jak wariacko jestem w tobie zakochany?

Ujęła zdecydowanie jego dłoń i odsunęła na oparcie fotela.

- Oglądaj film, dobrze? - powiedziała.

Ale na ustach miała delikatny uśmiezek szczęścia.

- Była po prostu nie do wytrzymania, gdy kręcili ten film - mówiła.

- Spóźniała się regularnie dwie-trzy godziny, a gdy wreszcie przychodziła na plan, nie potrafiła powtórzyć tekstu, najprostszyc kawałków. Pamiętasz ten moment, gdy wchodzi i mówi: „To ja, Sugar”?

No więc potrzebowali prawie pięćdziesięciu ujęć, zanim zrobiła to poprawnie. Mówiła: „Sugar, to ja” albo coś w tym stylu. Wreszcie reżyser, Billy Wilder, musiał jej to napisać na papierze i trzymać przed nią, żeby mogła przeczytać. Wyobrażasz sobie coś podobnego? - Przerwała, by włożyć do ust papierosa, nim jednak zdążyła go przypalić, kelner błysnął

zgrabnie zapalniczką. Spojrzała na niego rozbawiona. - Przyjdzie czas - obwieściła mu - że pobiję pana w te klocki... - Kelner uśmiechnął się grzecznie i odszedł. Podniosła kieliszek beaujolais, uznanego przez nią wcześniej za „całkiem niezłe”, przełknęła spory łyk i mówiła dalej: - Ale nie to jest najbardziej zadziwiające. Cały czas, kiedy kręcili ten film, była w takiej depresji i tak struta środkami nasennymi, że ledwo się w ogóle ruszała. Ale w każdej książce, jaką o niej czytałam, twierdzą, że była to jej najlepsza rola. Bo była. Sam widziałeś, jak wspaniale grała, prawda?

- Tak - zgodził się. - Była niebiańska.

Uśmiechnęła się do niego promiennie. Przy stole zatrzymał się inny kelner i z wprawą magika wykonał całą serię czynności: napełnił znów kieliszek Nory, podrywając potem zgrabnie szyjkę butelki do góry; usunął małą porcelanową popielniczkę z niedopałkami, z kieszeni smokingowej marynarki wyjął czystą i ustawił ją przy łokciu Nory; dwoma pociągnięciami metalowej sztabki sprzątnął okruchy rozsypane obok talerzyka z grzankami; jednym ruchem ręki skorygował ułożenie jej sztućców tak, by znów znalazły

się pod właściwym kątem do jej talerza.

Czekała, aż się oddali, po czym spojrzała na Maxa i zakrywając usta wierzchem dłoni zachichotała.

- Wygląda, jakby wszyscy tu byli z klanu Maxa Barona - stwierdziła.
- Każdy taki pedancik jak ty...
- Przyjemnie dostawać za to pieniądze - odparł.

Siedzieli w Tony's; wokół nich kelnerzy w smokingach przemieszczali się w natężonej ciszy sali gładko i bezszelestnie jak duchy. Gdy był tu ostatnim razem, nie doczekał się na wejście do sali restauracyjnej; Janey skończyła właśnie studia, przyszli tu we dwójkę, ale zrezygnowali z siedzenia przy barze w oczekiwaniu na wolny stolik i pojechali do Białego Pałacu na rogu Grand i Gravois. Nora już tam wtedy pracowała i wcale niewykluczone, że to ona właśnie sprzedawała im frytki, kefiry i hamburgery.

W owym zbiegu okoliczności tkwiła jakaś potworna ironia, w tej chwili jednak nie potrafił przypisać jej najmniejszego choćby znaczenia.

Naprzeciw ich stołu, za głową Nory, wisiał solidny żyrandol wieńczący klatkę schodową (starszy kelner wprowadził ich do sali wspinając się po tych schodach tyłem z nieprzeniknioną, pozbawioną uśmiechu twarzą); jej profil lśnił na tle tej migoczącej kuli światła. W St. Louis nie było lepszej, z całą pewnością zaś droższej restauracji niż Tony's, tym niemniej Nora przyjmowała to z właściwą, jak uważał, miarą zachwytu i sarkazmu.

Trzech kelnerów podjechało ze stolikiem, na którym przyrządzać mieli sałatę. Z oddaniem akolitów asystujących w celebrowaniu mszy podrzucali, wykładali, przyprawiali i wreszcie wydali porcje zieleniny.

Przypatrywała im się ze źle skrywanym grymasem, aż wreszcie odjechali wraz ze swym stolikiem, po czym ujęła widelec do sałaty - troskliwie ułożony przez jednego z kelnerów po właściwej stronie jej talerza na wypadek gdyby, broń Boże, nie znała odpowiednich do dania sztuców - i zaczęła jeść.

Zabrał się już za swoją sałatę, leciutko zaledwie smakującą wyborną słodką oliwą z oliwek, gdy unosząc głowę zauważył, że po drugiej stronie sali, tuż za nisko wiszącym żyrandolem, wstawiała właśnie od stołu kobieta, której chłopięca figura i krótko przystrzyżone rude włosy skojarzyły mu się natychmiast z Rosemary. Żołądek skurczył mu się, serce skoczyło do gardła: Rosemary odwróciła się, szukała teraz czegoś w torebce. Obok niej podnosiła się Stephanie Deluc i niski tęgi mężczyzna z silnym zarostem.

Siedzieli po drugiej stronie żyrandola cały ten czas, teraz właśnie

wychodzili. W panice chciał opuścić po prostu głowę i udać, że ich nie widzi; nie, Rosemary wciąż mogła go zauważyć i podejść do stołu. Wstał.

- Przepraszam cię na chwilę - rzucił.

- Gdzie idziesz?

- Zaraz wrócę.

Przekroczył salę z walącym upiornie sercem i podszedł do gości Rosemary.

- No proszę, o wilku mowa... - powiedziała. Wyglądała wyjątkowo sztywno w zielonej aksamitnej sukni. - Właśnie cię obgadywaliśmy.

- Mam nadzieję, że na serio.

- Jak zwykle piałam na twój temat... Stephanie nie muszę ci przedstawiać, to jej mąż, Ralph Deluc. Max Baron, mój najlepszy tekściarz.

Przywitał się z Delucem, pękatym, wyjątkowo nieefektywnym partnerem dla niewiasty hożej, jak Stephanie - kolejna rysa na przedziwnym pancerzu, jakim była osobowość tej kobiety - po czym uściśnął dłoń Stephanie.

Deluc skinął karłą głową w jego stronę, mówiąc: - Stephanie twierdzi, że jest pan wyjątkowym artystą słowa.

W odpowiedzi wzruszył ramionami ni to zaskoczony, ni to zażenowany.

- Jak kolacja? - zapytał.

Stephanie roześmiała się, podnosząc dłoń do kołnierza czarnej, wyszywanej cekinami sukni.

- Grzech, po prostu grzech - odparła. - Po takim posiłku człowiek czuje, że właściwie powinien teraz zrobić parę dobrych uczynków.

Rosemary dotknęła jego ramienia.

- A ty co tu robisz? Nikt normalny nie myśli nawet o przyjściu tutaj, chyba że na koszt firmy... - Wywołało to uśmiech ze strony Stephanie i jej męża. - Gdzie twoja przyjaciółka?

Serce, ściśnięte dotąd, rozprężyło się. Powstrzymał się od spojrzenia w stronę Nory.

- Jest w toalecie - odparł.

- Co za zakichane szczęście! Chciałabym ją wreszcie poznać.

Deluc stukał znacząco w szkiełko zegarka.

- Musimy się śpieszyć.

- Powiedzieliśmy dziewczynie, która została z dziećmi, że będziemy przed godziną - tłumaczyła się Stephanie.

Wyobrażenie, jakie miał dotąd o niej, zachwiało się znów i rozmyło: Stephanie jako matka nie przyszła mu nigdy do głowy.

Jej mąż poruszył niecierpliwie tłustym karkiem i dodał: - Bardzo mi było miło pana poznać, Max. Niech pan się dalej tak stara.

- Będzie, będzie - rzuciła Rosemary mrugając. - To ma już zaklepane!

- Trzymaj się, Max - pożegnała go Stephanie.

Odwrócili się, zeszli schodami w dół, zniknęli za wielkim żyrandolem.

Kiedy wrócił do stołu, Nora siedziała z namarszczonymi brwiami.

Talerza z sałatą już nie było, stał tylko znowu pełny kieliszek. Palcami obracała kolczyk.

- Max? - Opuściła dłoń na obrus. - Kim byli ci ludzie?

Potknął się, odsuwając od stołu krzesło, natychmiast pojawił się pomocny kelner.

- Dziękuję - rzucił do jego pleców.

- Max?

- Tak?

- Co to za ludzie?

„Po prostu ludzie, których znam”. Czemu miałby sobie nie ułatwić?

„Państwo Schmendrick z ich śliczną córeczką Lucille”. Skąd miałaby znać prawdę? Zamiast tego jednak, narażając się wręcz na jej furię, powiedział

Norze prawdę:

- Moja szefowa. Rosemary Powers.

- Która to była?

- Ta rudowłosa.

- W porządku, a ta reszta?

Przełknął łyk wina: smakowało goryczą.

- Kobieta to Stephanie Deluc. Opowiadałem ci o niej, klientka naszej agencji z Fidelity, La Machina, jak nazywa ją Rosemary. A facet był jej mężem.

Zaczęła znów obracać koralowy kolczyk. Kelner pochylił się nad jego porcją sałaty. Kazał mu ją zabrać.

- Czemu mnie nie przedstawiłeś?

Sala jakby się zapadła o kilka cali.

- Ja, bo... Śpieszyli się, bardzo.

- Aha.

- Stephanie, okazało się, powiedziała w domu, że będą wcześniej...

- Rozumiem.

- A jej mąż wyglądał, jakby mu się paliło pod nogami. Nora?

- Co?

- Właściwie nie opowiadałem ci zbyt dużo o Stephanie, prawda?

Słuchaj, niesamowita sprawa! Z jednej strony to zupełny robot, ale równocześnie ma w sobie coś takiego, jakieś specjalne...

Znowu opuściła dłoń patrząc gdzieś w bok. Przez moment mógł dostrzec sferyczną okągłość jej gałki ocznej... mrugnęła, powierzchnia oka zwilgotniała. Spojrzała na niego błyszczącymi oczyma.

- Czemu mnie nie przedstawiłeś? - spytała znów. - Nie kłam, Max.

Powiedz.

- Ja... sam nie wiem.

Przypatrywała mu się przez chwilę. Sięgnęła potem po butelkę beaujolais, uprzedzając sunącego już w jej kierunku kelnera.

- Kurwa, sama sobie poradzę! - poinstruowała go.

- Jak pani sobie życzy - odparł ten z krzywym uśmiechem i oddalił się.

Napełniła swój kieliszek po sam brzeg. Opróżniła go jednym dużym łykiem, jakby to była woda. Spojrzała potem na niego z uderzającą, przerażająco smutną jasnością.

- Kończę dziś czterdzieści dwa lata - przypomniała. - Uważasz mnie za kretynkę?

- Nie, absolutnie nie.

- To dobrze - orzekła. - Miło, że to nam się udało ustalić.

Położyła torebkę na stole. Podniosła się potem z krzesła, odrzuciła zmiętą serwetkę na obrus i śmiałym krokiem przemierzyła salę, zmuszając kelnera do odsunięcia jej z drogi wózka z deserami. Nie zwalniając kroku doszła do schodów i po chwili zniknęła za wielką błyszczącą kulą żyrandola.

Czekał na nią. Czekał, gdy wydawano z namaszczeniem ich dania: jego nadziewane przepiórki, jej specjalnie przyrządzony stek; czekał, a kolacja robiła się zimna. Kazał zapakować sobie nie tknięte dania i poprosił o rachunek; ujrzawszy sumę, odsunął go, zamówił podwójną whisky z lodem i czekał dalej.

Ale Nora nie pokazała się już więcej przy stole.

Udało jej się przekonać jakoś szatniarkę i dozorcę parkingu, by wydali jej płaszcz i jego samochód bez okazywania kwitów: oba miał dalej w kieszeni kurtki. Taksówką dojechał do domu - volvo stało zaparkowane na podjeździe z kluczykami w stacyjce, ale sam dom był, nieoczekiwanie, zamknięty, a jej przerdzewiały chevrolet znikł.

Zadzwonił do niej po powrocie do swojego mieszkania; potem

wydzwaniał tak przynajmniej dziesięć razy na dobę, aż wreszcie, trzeciego dnia udręki, nagrany głos poinformował go, że numer został wyłączony z sieci. Za każdym razem, gdy jechał do Dogtown, jej dom wyglądał

dokładnie tak samo, jak ostatniej nocy: zamknięty, milczący i obojętny na jego tęsknotę jak grobowiec. Odwiedził też Biały Pałac. Powiedziano mu, że już tam nie pracowała: przyszła w poniedziałek rano i po prostu wymówiła. Czy podała jakiś powód? Nie. Mówiła coś o planach na przyszłość? Nic. Dobrze, czy zwolniła się tylko na jakiś czas, czy też zostawiła restaurację na dobre? Nikt tu nie zwalnia się na trochę, usłyszał; raz wychodzisz, więcej nie wracasz.

W końcu się rozchorował, w gruncie rzeczy był nawet z tego zadowolony: niedomaganie ciała powinno być wszak odbiciem gorączkowego, pełnego bólu i mdłości stanu jego duszy. W ciągu kilku dni jednak, nieomal wbrew sobie, poczuł się lepiej i po pracy postanowił po raz ostatni, jak sobie przyrzekł, pojechać do jej mieszkania.

List przyklejony był do zewnętrznej ścianki czarnej skrzynki pocztowej, którą niecały miesiąc temu wkopał w trawnik przed domem. Nie podchodził już nawet do drzwi - nie było jej, ta pewność jakby go uspokoiła. Stał przez chwilę z kopertą w dłoni, z której nie zdjął nawet rękawiczki, patrząc jak śnieg pokrywa trawnik i dach domu. Wrócił do samochodu, włączył silnik i powoli rozerwał kopertę.

Patrzył na nie znany mu właściwie charakter pisma. Jedynym posiadanym przez niego śladem jej ręki był oddarty róg kartki z notesu z jej imieniem i numerem telefonu, jaki zabrał ze sobą po ich pierwszej spędzonej wspólnie nocy. Zdziwiony był długością listu: dwie gęsto zapisane strony. Jej charakter przypominał mozolne starania dziecka, zborne na początku, rozchwiane potem i krzywe; najpewniej popijała w trakcie pisania. Na górze umieściła datę, formalne rozpoczęcie i zakończenie znalazły się we właściwych miejscach. Zwykle nie przykułoby to jego uwagi, ale w jej liście... Serce mu się krajało: w jakiś sposób udało jej się wygrzebać dawno zapomniane szkolne regułki, by posłużyć się nimi przy pisaniu, jak gdyby bała się, że wystawi jej ocenę. Nie chciała, by wziął ją za nieuka nawet w tym ostatnim liście.

20X111983

Kochany mój,

Będę już daleko gdy przeczytasz te słowa. Nie mogę ci powiedzieć gdzie jadę, bo jak cię znam, to byś pojechał za mną. Mogę ci tylko powiedzieć że

jestem w porządku i będę miała dobrą opiekę. Więc się nie martw. Ja się o ciebie nie martwię. Dasz sobie doskonale radę. Wszystko pójdzie teraz lepiej gdy już ci nie zatruwam życia. Znajdziesz sobie miłą dziewczynę która będzie uczciwa i nie będziesz się musiał jej wstydzić i założysz rodzinę i zapomnisz o mnie całkiem (jeśli jesteś bystry).

Bardzo mi ciężko idzie pisanie i wiem, że to kładę. A także wypięłam trochę bo inaczej bym nie napisała tego listu.

Przepraszam cię że tak cię zostawiłam w Tony's. Byłeś dla mnie taki dobry i słodki tyle razy i nie zasługiwałeś na to. Ale zrozumiałam kiedy mnie nie przedstawiłeś swojej szefowej i tamtej parze że nigdy nie będziesz mógł wprowadzić mnie w swój świat tak do końca (przypuszczam że wiedziałam o tym wcześniej ale nie aż tak - rozumiesz co mam na myśli?) więc musiałam po prostu odejść. Ja cię za to nie potępiam. Nigdy nie pasowałam do twego otoczenia i nie było sposobu żebyś to zmienił więc tak jak teraz to będzie najlepiej. (Choćbyś mi nawet nie wierzył.) Brak mi ciebie już teraz Max, cholernie. Czuję się okropnie i ty pewnie też i strasznie mi przykro. Nie uwierzysz ale robię to dla nas obojga i gdybym ci powiedziała gdzie jestem to by nam było jeszcze trudniej więc nie powiem.

Coś ci muszę zdradzić: nakłamałam o Charleyu. Nie był wcale taki dobry i kochany jak ci mówiłam. Był skurwiel od początku do końca zupełnie jak ja i Jack, złośliwy dzikus i nigdyśmy się nie mogli dogadać.

Nie lubiłam go nawet gdy byt jeszcze mały. Siedział w nim diabeł.

Zaczynając w wieku jedenastu lat sięgnął po narkotyki, a jak miał trzynaście utonął w rzece De Pere. Znaleźli barbiturany i alkohol w jego krwi. To najgorsza rzecz jaka mi się przydarzyła i nigdy tego nie zapomnę jak długo żyję. Czasem myślę, że zrobił to żeby się na nas odegrać Jacku i mnie i gdyby tak było naprawdę to bym się wcale nie dziwiła. Byliśmy dla niego okropni i gówno zrobiliśmy żeby go poządnie wychować. Wcale nie byłam lepsza od Jacka, tylko inaczej. Nigdy nie byłam dobra dla nikogo (łącznie z tobą), ale teraz spróbuję zrobić wszystko co w mojej mocy żeby się zmienić i być inna. Tak czy owak Charley to jedyne co ci nakłamałam (cała reszta jest prawdziwa).

Teraz też mogłabym kłamać i wymyślić jakieś miejsce gdzie jestem albo jakieś powody po co wyjechałam, co by nie były prawdziwe. Ale nie chcę żeby były między nami żadne kłamstwa. Więc nie powiem nic. Któregoś dnia będziesz się cieszył że tak zrobiłam. Nie pasowałam do twojego życia i mogłam je tylko zepsuć.

Nie myśl nigdy przenigdy że cię nie kocham. Kocham cię teraz i kochałam cię zawsze i będę cię kochać tak długo jak żyję. Żebyś mnie tylko nie nienawidził.

Twoja

Nora

Część trzecia

Rozdział siedemnasty

Znowu przeorganizował swoje życie. Po raz kolejny poddał się codziennemu reżimowi Wielkiej Literatury, przedzierając się przez pozostałe mu utwory Szekspira, by wpaść potem w ciemne nurty Dostojewskiego, którego nastrój ponurego fatalizmu pasował doskonale do stanu jego ducha. Zaczął znów co piątek zbierać się z resztą paczki u Horowitzów (Klugman przeprowadzał rozwód, który nikogo nie dziwił, Rachel była szczęśliwie brzemienna, Horowitz zaś pełen samozadowolenia zdawał się wkraczać w wiek średni), każdej niedzieli zaś sumiennie rozlokowywał się w domu matki, gotów wytrzymać jej histerię i infantylizm, na ogół po prostu ignorując ją. Twardo opierał się kobiecym umizgom, szczególnie, jak mu się zdawało, nachalnym od chwili rozstania z Norą: czyżby woń rozbudzonego seksu wciąż była wyczuwalna? Udało mu się zachować zakonną dyscyplinę i nie umawiał się z nikim, zbyt głęboko zraniony, by ryzykować nowy związek. Dzień spędzał pracując jak furia, nocą borykał się ze swymi smutkami. Czasem sam już nie wiedział, kogo albo co opłakuje: zmarłą Janey, Norę, której nie było, czy też to swoje zagubione „ja”, to właśnie, które cieszyło się życiem, radowało zachciankami i które, rozdrażnione niczym odtrącony amant, zwinęło manatki i zostawiło go. W gruncie rzeczy cały czas wiedział dokładnie, co kazało mu przemierzać bez końca parkiet mieszkania i przewracać się w łóżku z boku na bok: Nora nie chciała odejść, a on ciągle jej pragnął.

Kiedyś wiosną Rosemary zaciągnęła go do O'Connell's i tam, w restauracyjnej niszy, zmusiła wreszcie do opowiedzenia historii jego tajemniczego romansu. Czuł się dziwnie mówiąc o tym. Nawet teraz ów okres w jego życiu, tak znaczący, tak szczególny, intensywny, nie związany z niczym, co przeżył przedtem lub potem, zdawała się oddzielać niezmiernie przestrzeń od życia, jakie prowadził obecnie. Można było pomyśleć, iż wrócił dopiero co z długiej wyprawy w jakieś dziko egzotyczne tereny - australijskie dale, mroźną tundrę Mongolii, wilgotne dżungle Borneo - i teraz, cztery miesiące później, znowu w jakimś, dobrze znanym otoczeniu trudno było wprost uwierzyć, że w ogóle gdzieś się kiedyś wybrał. Doprawdy, wszystkie

ślady, jakie pozostały mu po niej, były w pewnym sensie niebytem: dziura na półce między książkami, gdzie przedtem stały Przygody Hucka i Mark Twain w podręcznym wyborze, nie zamieszkały dom w Dogtown, restauracja, w której już nie pracowała, pożegnalny list bez zwrotnego adresu.

- Nie przychodzi ci do głowy, gdzie mogła pojechać? - spytała Rosemary.

- Nie. Widzisz, cały problem w tym, że nie znam nikogo spośród jej znajomych poza siostrą w Nowym Jorku.

- Dzwoniłeś?

- Tak, ale Judy też nie miała od niej żadnej wiadomości.

- Mogła kłamać.

- Nawet jeśli tak, niczego to nie zmienia.

- A co z jej domem? Dziwne to, muszę ci powiedzieć, że kobieta, która ma tak niewiele, zostawia w końcu jedyną rzecz, która stanowi jakąś wartość.

- W lutym, ostatni raz, kiedy tam byłem, widziałem tablicę „Na sprzedaż”. Próbowałem dowiedzieć się czegoś od pośrednika, ale nie chciał mi niczego powiedzieć.

- Normalne. Próbowałeś detektywów?

Spojrzał na nią znad brzegu szklanki. Łyknęła swoją whisky, opadła na wyściełane oparcie i wzruszyła ramionami.

- Po to chyba są, nie uważasz?

Pokręcił głową.

- Zrozum, ona nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Wiedziała, jak mnie szukać. Ale świadomie tego nie zrobiła.

- Do tej pory.

- Ona odeszła, Rosemary.

Tego wieczoru Rosemary miała na sobie kostium lewackiej intelektualistki: rudawy golf, brązowa skórzana kurtka, czarny beret.

Oparta niedbale na skrzyżowanych na stole ramionach wpatrywała się w swoją whisky.

- Lubiłabym ją - powiedziała.

- Ty... ją?

- Ja, psiarew! A czemu nie? Pewna jestem, że bym ją lubiła. Dlaczego nigdy mnie z nią nie poznałeś?

Wahał się przez chwilę.

- Prawie ci się to udało. - Zaczął opowiadać to, czego dotychczas nie kwapił się zdradzić: o wieczorze w Tony's, kiedy udał, że Nora odeszła od stołu, gdy faktycznie przyglądała im się z drugiego końca sali.

Wyznanie nie sprawiło mu żadnej ulgi, nadal czuł palący go z nie słabnącą siłą wstyd.

Rosemary przypatrywała mu się marszcząc czoło.

- Biedactwo - westchnęła na koniec. - Aleś to sobie spieprzył...

Wypił whisky do końca.

- Nie przyznałeś się więc do niej.

- Można to tak określić.

- A ona wiedziała, tak?

- I teraz uznałeś, że sobie już nie wybaczysz, prawda?

Coś ścisnęło go za gardło.

- Wydaje mi się, że pewnych spraw nie sposób sobie wybaczyć.

- No, zawsze możesz spojrzeć na to z katolickiego punktu widzenia.

Piotr zaparł się swojego najbardziej oddanego nauczyciela trzy razy i z całą pewnością nie trafił za to do piekła.

- Nie jestem świętym Piotrem - odparł. - A jeśli Nora miałaby być Chrystusem... no, to mamy kłopoty.

Rosemary wybuchnęła śmiechem i skinęła na kelnera, by przyniósł następną kolejkę.

- A jeśli byś się jej nie wstydził? - spytała. - To co wtedy?

- Może bym ją poprosił o rękę.

- Ciekawe, dlaczego nie wytrzymała aż do twoich oświadczeń.

- Bo nie miałem zamiaru jej się oświadczać.

- Bo się jej wstydziłeś...

- Tak. Boże, musimy do tego wracać?

- To zdaje się sedno całej sprawy, tak czy nie? - Sięgnęła przez stół i ścisnęła go za rękę. - Przepraszam cię. Akurat ci potrzebne, żebym to ja właśnie miała wpędzać cię w jeszcze większe poczucie winy. Zmieńmy temat.

- Nie, nie, rozmowa o niej z tobą to ulga. Wszyscy widzą ją tylko jako projekcję mojej nerwicy, a ciebie interesuje ona sama.

- Już ci mówiłam, że polubiłabym ją.

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Bo była biedna, miała gównianą robotę, bez żadnych widoków na przyszłość, a mimo to nie pozwoliła, żebym ją utrzymywał. Bo cię hucpiarsko uwiodła. Bo... bo poza tym starczyło jej odwagi i przenikliwości, by cię zostawić właśnie wtedy.

- Lubisz ją, bo mnie zostawiła?

- A ty nie? - Uśmiechnęła się do niego.

Zaskakujące, wywracające wszystko pytanie. Ale... tak, on też. Z całą pewnością okazała więcej odwagi i przenikliwości podejmując taką decyzję, niż sam był w stanie okazać wówczas, a zapewne i teraz.

Wyglądała wspaniale, godna podziwu, groźna, gdy maszerowała przez restauracyjną salę potrącając niemal stojące na jej drodze sprzęty, zdecydowana odejść z jego życia.

Z pewnością była to jej najlepsza chwila.

W kwietniu Stephanie Deluc znowu ogarnął zapał twórczy, którego wynikami uznała za stosowne podzielić się z Rosemary, Maxem i Spindlerem w czasie pośpiesznie zwołanej narady w swoim śnieżnobiałym gabinecie na dziesiątym piętrze budynku. Miała tego dnia kokardę koloru nieba, a delikatny zapaszek, jaki wydzielala, przypominał niesiony z daleka smród palonej gumy.

- Powinam była przynieść ten artykuł do biura - mówiła. - Swoją drogą dziwi mnie, że nikt z was nie czytał Wieku Reklamy z bieżącego tygodnia.

- To zwykle ostatnia pozycja na mojej liście spraw do załatwienia - rzucił Spindler, uśmiechając się uprzejmie.

- To źle, John. Pisma fachowe, a Wiek Reklamy przede wszystkim, są najlepszym sposobem na dotrzymywanie kroku najświeższym trendom występującym w naszym fachu. To specjalnie ważne na rynku tak izolowanym, jak St. Louis. Tak czy owak, nazwa, jaką autorzy nadają tej nowej tendencji w sztuce, moim zdaniem nazwa doskonała, to „reklama realna”. Jej celem jest... Max? Czyżbyś miał jakiś specjalny powód do śmiechu?

Rosemary ostrzegła go wyraźnie przed zbyt częstym wrywaniem się z nieproszonymi komentarzami podczas spotkań ze Stephanie, ale nie był w stanie już się opanować. Im dłużej miał do czynienia z tą kobietą, tym głębiej zachodziła mu za skórę.

- Posłuchaj sama - powiedział. - „Reklama realna”, przecież to brzmi prawie tak samo, jak „biały Murzyn”, nie uważasz?

- Czyli?

- To antynomia, sprzeczność. Nigdy nie podejrzewałem, że reklama ma coś wspólnego z rzeczywistością.

Rosemary zamknęła z trzaskiem swoją zapalniczkę.

- Może pozwolisz Stephanie wypowiedzieć się do końca? - powiedziała.

- Dziękuję ci - rzuciła Stephanie. - A zatem... - złożyła przed sobą dłonie niczym grzeczna uczennica. - Film, o którym mówi artykuł, to reklama anacinu pokazywana ostatnio w telewizji. Widzieliście go z pewnością, ale na wszelki wypadek krótko przypomnę: górnik, w dużym zbliżeniu, niczym nie upiększony, włosy rozczochrane, zlepione potem, twarz umorusana pyłem. Mówi burkliwie, zacinając się - jasne, że nie jest to sztuczny i gładki głos aktora - coś w tym mniej więcej stylu: „Gdy boli mnie głowa, nie mogę sobie pozwolić na żadne półśrodki. W mojej robocie to niemożliwe. Ból chwyta dokładnie tu - pokazuje miejsce na czole - i wtedy potrzebny mi jest pewny środek. Natychmiast. Dlatego biorę anacin.

Bo w mojej robocie nie ma się co z bólem głowy certolić”. Tak to z grubsza wygląda. Film całkowicie przykuwa naszą uwagę, jako że raz przynajmniej mamy rzeczywistego człowieka opowiadającego nam w rzeczywisty sposób o problemie, który każdego z nas dotyka. Zamiast cukierkowego tła, jakie zazwyczaj towarzyszy reklamowym tekstom, mamy tu bezpośredni, codzienny obraz rzeczywistości i ponieważ nasz sposób prezentacji jest tak wiarygodny, widz nabiera zaufania do reklamowanego produktu. Dla mnie to zupełnie nowe i świeże, kreatywne podejście, szalenie ekscytujące, muszę wam powiedzieć! Ciekawa jestem, jak uda nam się w jego ramach rozpracować temat „Bezpieczeństwo i zabezpieczenie” w najnowszej kampanii Fidelity Federal... - Obdarzyła wszystkich swoim wystudiowanym uśmiechem i czekała.

Rosemary zdusiła papierosa. - Pozwól, że zagram tu rolę advocatus diaboli. Sposób prezentacji, o którym mówiłaś, współgrał doskonale z tym konkretnie produktem, zgoda: nie ma nic pięknego w bólu głowy. Ale jak to ma działać w wypadku Fidelity?

- Właśnie chciałam o tym mówić. Moim zdaniem będzie pasował jak ulał. Kim są nasi klienci? W przeważającej większości starsi lub starzejący się ludzie, przestraszeni możliwością utraty życiowych oszczędności. Nie chcą podejmować ryzyka, nie mają ochoty spekulować. Pamiętają czasy kryzysu, wiedzą, jak trudno jest przewidzieć cokolwiek w życiu. Ich zmartwienie jest realne - a my mamy realne wyjście z kłopotu. U nas ich pieniądze są bezpieczne. Oszczędności ubezpiecza do stu tysięcy FSLIC

Insurance, stopa procentowa jest gwarantowana. Wydaje mi się, że potrafimy zareklamować rzetelność naszego podejścia w sposób nie przegadany, a zarazem osadzony mocno w rzeczywistości. Czego zatem oczekuję od was, to filmu tak prawdziwego, tak bezkompromisowego, tak

dosadnego, że aż poczuje się jego smak w ustach. I jeśli nam się to uda, program będzie nas zdecydowanie odróżniać od wszystkich innych finansowych instytucji.

Rosemary wygładziła spódnicę i wykrzywiła usta w uśmiechu.

- Jeśli pozwolisz, Stephanie, pozostanę jeszcze przez chwilę adwokatem diabła. To prawda, że ogromną większość naszych pieniędzy wpłacają ludzie starsi, którym leży na sercu bezpieczeństwo ich oszczędności.

Wydaje mi się jednak, że naszym zadaniem jest upewnić ich, pokrzepić w wierze, że dopóki są z nami, nie ma się co bać złego wilka. Po co ich straszyć?

- Zaskakujesz mnie, Rosemary. Myślałam, że szcycisz się opinią niezależnego twórcy. Kampanie, które przygotowywałaś dla browaru Vandemana na przykład, tyle lat temu - przecież one przełamywały masę utartych reguł, choćby to wymienienie marki piwa - wszyscy uważali je za prawdziwe kamienie milowe. Chcesz mi teraz powiedzieć, że zabrakło ci ducha? Nie interesuje cię już podejmowanie twórczego ryzyka, tak mam to rozumieć?

- Oczywiście, że nie.

- Czy uważasz zatem, że potrafisz przygotować reklamę telewizyjną według nakreślonych przeze mnie wzorów?

- Jeśli to kolejne zadanie, tak.

- To jest kolejne zadanie - potwierdziła Stephanie.

Wnętrze: podrzędna jadłodajnia. Na pierwszym planie lada, talerz z resztkami jedzenia; z tyłu ruszt, rzędy zup w puszkach, ekspres do kawy itp. Kamera na kobietę w średnim wieku ubraną w splamiony strój roboczy, która sprząta talerze. Nie można jej określić jako atrakcyjną, nie jest również nieatrakcyjna czy też bez wyrazu: ostre, charakterystyczne rysy, szerokie usta, kruczoczarne włosy spięte w kok, z którego wymyka się kilka luźnych pasemek. Gruby, niedbale położony makijaż. Wygląda na zmęczoną, jej ruchy są coraz mniej precyzyjne. Mówi z ledwo wyczuwalną, miękką intonacją prowincji, tym niemniej jest to akcent St.

Louis, jego południowych dzielnic: Dogtown albo South Side. Widać po niej, że sporo w życiu przeszła, ale pod powłoką niechlujstwa kryje się swoista godność, bojowość i trzeźwość spojrzenia. Mówi do kamery swobodnie - widz staje się klientem jadłodajni - nie przerywając przy tym obowiązków.

KOBIETA: Jedno mogę o sobie powiedzieć: daję sobie radę. Choć łatwe

to nie jest, Bóg mi świadkiem. (Kończy wycieranie lady i rzuca na ruszt hamburgera.) Ale udaje mi się odłożyć trochę z poborów, czasem wpadną alimenty i już jakieś oszczędności są. Niedużo, ale to całe zabezpieczenie, jakie mam na świecie. A ja już dobrze wiem, jaki ten świat może być niepewny. (Wraca do swego miejsca za ladą, podnosi zostawionego w popielniczce papierosa i zaciąga się.) Dlatego trzymam oszczędności w Fidelity Federal. Dają najlepsze procenty, a co ważniejsze, moje pieniądze są ubezpieczone do stu tysięcy poprzez FSLIC, rządową instytucję. (Najazd kamery.) Jasne, że oszczędzanie w Fidelity nie załatwiło wszystkich moich problemów, gdzie tam! Ale przynajmniej tym nie muszę sobie łamać głowy. A dla takiej, jak ja, kobiety to naprawdę ważne. (Stop-klatka z jej twarzą, zamyślony wzrok skierowany gdzieś poza kamerę, napis „Fidelity Federal”. Nałożony głos: „Fidelity Federal... pewność w niepewnym świecie”. Zaciemnienie.)

Porwany inspiracją, dał się ponieść fali uniesienia i winy: słowa płynęły samorzutnie, zapełniały wkręcony w maszynę żółty arkusz papieru.

Podniósł się gwałtownie z krzesła, przeszedł nerwowo po swoim pokoju; usiadł znowu i przeczytał cały tekst: dokładnie to, czego chciała La Machina. Wyjdzie doskonale, jeśli tylko uda mu się znaleźć właściwą aktorkę; dzięki jego świadomej i pełnej osobistego zaangażowania reżyserii film zabłyśnie realizmem. Gdyby spodziewał się, że Nora wciąż jest gdzieś w St. Louis i mogłaby przypadkiem natknąć się na gotową reklamę, odrzuciłby pomysł natychmiast. Była jednak daleko, tego był pewien, i w żaden sposób nie mogło jej przyjść do głowy - gdy z papierosem w ustach szła po Pennsylvania Turnpike czy mrugała zalotnie do komiwojażera w jakimś barze w Phoenix albo drapała się w łokieć czekając na resztę przy kasie sklepu w Monterrey - że wykorzystał ją tak bezwzględnie, zamienił

bliską sercu wizję na twardą gotówkę, odczuwając teraz wątpliwy triumf obrazoburcy. Na duszy przybywało mu czarnych plam: nie dość, że zdradził ją, gdy byli razem, to jeszcze gotów był sprzedać ją teraz. Ale...

dlaczegoż by nie? Jego cierpienie powinno czemuś służyć.

Wykorzystywał

je tylko do czegoś konstruktywnego. I czy nie było to, poza wszystkim, tradycyjne źródło sztuki?

- Też mi, kurwa, sztuka - stwierdził głośno wyciągając arkusz z maszyny.

Biegł prawie do gabinetu Rosemary; chciał oddać jej projekt, nim sam zacznie walczyć z wątpliwościami.

Rosemary studiowała tekst przez dłuższą chwilę, po czym zdjęła okulary, uniosła arkusz do góry i dziabnęła w niego palcem: - To ktoś, kogo znam? - spytała.

Od: Stephanie Deluc

Do: John Spindler, Rosemary Powers, Max Baron Dotyczy: „Realna reklama” jako środek zjednujący klienta Brawo! Lepiej nawet, niż przewidywałam! Wszystkim wam należą się gratulacje za wysoki poziom projektu i jego absolutną wiarygodność.

Bohaterka

od

samego
początku

sprawa
wrażenie

klasycznej

przedstawicielki

swojej

grupy
społecznej,
będąc
równocześnie

zdecydowaną indywidualistką. Nie jest to osoba, którą chciałoby się znać osobiście, tym niemniej możemy wierzyć jej słowom: autentyczna, doświadczona, pozbawiona sentymentów prosta wyrobница, która „przeszła już swoje” i „mówi, jak jest”. Doprawdy natchnione rozwiązanie! Bardzo jestem tym przejęta i zdążyłam już was pochwalić na zebraniu zarządu.

Pytania i wątpliwości:

1.

Czy bohaterka nie jest zbyt niechlujna? Czy jej fryzura musi mieć na przykład owe luźne kosmyki? W tekście mowa jest o „splamionym”

stroju, co to oznacza, wielkie plamy ketchupu czy coś innego? Nie powinna być zbyt nieporządna: niebezpieczeństwo w przypadku postaci tego typu polega na tym, że wydać się może wtedy, po prostu odpychająca.

Równocześnie nie można wymuskać jej tak, by przestała być wiarygodna. Starajcie się to wyśrodkować.

2.

Palenie odpada. Pokazanie bohaterki palącej papierosa w chwili wygłaszania reklamowego tekstu nie wchodzi w ogóle w grę. Negatywny wydźwięk takiego ujęcia może być ogromny. Musicie znaleźć dla niej jakąś inną czynność przykuwającą oko widza w końcówce filmu. (Mogłaby na przykład odwinąć listek gumy i zacząć żuć - dopracowanie detali zostawiam całkowicie wam.)

3.

Zastrzegam sobie ostateczną decyzję przy wyborze aktorki. Nie może to być osoba znana już w branży, jeśli będziecie musieli szukać w Chicago, zmieścimy to spokojnie w budżecie. Sugeruję tymczasem, abyście zaczęli jak najwcześniej testy kandydatek, wybrali dwie albo trzy i pokazali mi ich profesjonalne życiorysy.

Wchodzimy na ekrany 1 maja. Na piątek muszę mieć gotową kasetę z filmem, by pokazać ją na posiedzeniu zarządu. Dajcie mi, proszę, znać, gdzie i kiedy będziecie kręcić, chcę odwiedzić was na planie. Jeszcze raz wszystkiego naj...! Dobra robota!

Stephanie Deluc

Elisabeth Ritter, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, sześćdziesiąt jeden kilogramów wagi, kasztanowe włosy, zielone oczy, odgrywane postacie w wieku od trzydziestu do czterdziestu dziewięciu lat, spojrziała raz jeszcze na scenariusz, po czym zwinęła go w rulon, skrzyżowała ramiona

i
podeszła

do
przeciwległego
końca
długiego
stołu

konferencyjnego, przy którym siedziała Rosemary. Zmrużyła oczy, odrzuciła głowę do tyłu i wyrecytowała z tajonym optymizmem w głosie: „Jedno mogę o sobie powiedzieć: daję sobie radę. Choć łatwe to nie jest, Bóg mi świadkiem”.

- Uhm... Elisabeth?

Przerwała w pół kolejnego zdania.

- Co było niedobrze?

- Może zbyt... powiedziałbym, zadziornie - zwrócił się do niej Max.

- Chciał pan chyba, żeby było zadziornie.

- Owszem, tak, ale powściągliwie zadziornie, rozumie pani? To nie ma być teatr klasyczny.

Elisabeth skrzywiła się i kiwnęła głową, przyjmując z profesjonalnym spokojem kolejny mimowolny afront ze strony kolejnego reżysera, który nie potrafił powiedzieć, o co mu chodzi.

- Powściągliwie zadziornie - powtórzyła.

- Kobieta jest wykończona - mówił. - Całe życie ją wykończyło. Ale wciąż jest twarda, wciąż się nie daje, bo po prostu nie może... rozumie pani, w czym rzecz? Może być trochę ospała, ale w zdecydowany sposób.

- Ospala w zdecydowany sposób - powtórzyła znów za nim Elisabeth.

Tarł obu wskazującymi palcami nasadę nosa.

- Spróbujmy jeszcze raz i zobaczymy, czy nie wyjdzie lepiej - powiedział.

Siedząca za nim Rosemary westchnęła i zapaliła następnego papierosa.

Elisabeth przeszła przez tekst nie zatrzymywana. Gdy skończyła, uderzyła o udo zrolowanym arkuszem i potrząsnęła głową z wściekłością.

- Byłam za ostra, wiem to! Czułam, że jestem za ostra.

- Ależ było w porządku - rzuciła Rosemary z uśmiechem.

- Prawie już to miałam - stwierdziła Elisabeth. - Mogę spróbować jeszcze raz?

- Boję się, że nie mamy już czasu. Ale dziękujemy pani, Elisabeth. Po południu podejmiemy decyzję, zawiadomimy panią o wyniku.

Wręczyła im najświeższy zestaw swoich zdjęć i życiorys artystyczny, którymi jej agencja jeszcze nie dysponowała, i wyszła życząc rezolutnie

„przyjemnego wieczoru”. Owe zuchowate pożegnania stawały się równie przygnębiające, jak same testy. Zaczął znów masować nos.

- Ta była czternasta - oznajmiła Rosemary. - Co pozytywnego możesz powiedzieć?

- Bardzo miła osoba, jak mi się zdaje - orzekł nie odejmując dłoni od twarzy.

- Max, jest prawie piąta, a my nie posunęliśmy się od południa o krok!

- Żadna się nie nadawała.

- A co powiesz o... - Rosemary przeglądała listę nazwisk w swym złotym bloku. - O, tu, Claudia Resnick. Ta była według mnie dobra.

- Zbyt nonszalancka. Jak podstarzały wodzirej.

- Dobrze. A czemu nie Lynette-jak-jej-tam?

- Steiner. Jest ze Wschodniego Wybrzeża, Rosemary.

- No to co?

- Nie złapie nigdy lokalnego akcentu, choćby ze skóry wylazła.

Słyszałaś zresztą, jak to wyglądało. Brzmiała jak Scarlett O'Hara.

Zdusiła papierosa.

- Posłuchaj: szukamy aktorki, która ma zagrać rolę w telewizyjnej reklamie. Reinkarnacja twojej przepadłej kochanki nas nie interesuje.

Mylili się jednak: w gruncie rzeczy szukali Nory czy najbliższego jej wcielenia. Widział siebie samego, przyglądającego się absurdalnej paradzie ufnych aktorek imitujących, świadomie albo nie, kobietę, którą kochał; z całą pewnością jedno z najbardziej żenujących i dziwacznych doświadczeń, jakie przeszedł w życiu. Czuł się podobnie jak królewicz z bajki, który obejrzał już każdą niewieścią stopę w królestwie i zrozpaczony tracił teraz nadzieję, że uda mu się znaleźć tę jedyną, na którą pasować będzie szklany pantofelek - w tym wypadku raczej brudna tenisówka - stopę należącą do jego tajemniczo zaginionej ukochanej. Testy ciągnęły się już przez cztery godziny i czuł, że nie zniesie widoku jeszcze jednej napalonej aktorki imitującej groteskowo Norę. Zaczynał żałować, że w ogóle wymyślił taką właśnie reklamę.

- Następna? - zwrócił się do Rosemary.

- Katy McCormick. Naprawdę bardzo dobra, Max.

- Wiem, znam ją.

- Rzadko pokazywana w telewizji, a takiej właśnie szuka La Machina.

- Za młoda.

- Max...

- Nie ma nawet trzydziestki, a kobieta w reklamie...

- Max, do cholery ciężkiej! - Rosemary uderzyła dłonią o stół. - Brakuje nam czasu, brakuje nam aktorek, a mnie zaczyna brakować cierpliwości!

Gdy poparłam ten film, obiecywałeś mi solennie, że nie dopuścisz, by przeszkadzały ci osobiste uczucia. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- To dobrze. Spróbujemy z Katy, ale proszę, oceniał bez uprzedzeń.

Katy okazała się zdecydowanie najlepsza z całej grupy. Miała właściwy akcent (powiedziała im, że dorastała w South St. Louis), a jej charakteryzacja, lekko tylko przywodząca na myśl Norę, była sama w sobie przekonująca.

Późnym popołudniem Rosemary przedłożyła Stephanie zestawy zdjęć i życiorysy Katy i dwóch wybranych aktorek. Stephanie wykazała się rym razem dobrym okiem i wskazała Katy.

- Koniec do niczego - orzekł Max.

Dan Green, reżyser, którego wziął do pomocy z Technivision Studios, kiwnął głową, szarpnął końce sumiastych wąsów i skrzyżował ramiona przysyłając światłomierz zwisający mu z szyi. Zmarszczył brwi, przypatrując się Katy.

- Powinna mieć jakieś zajęcie - powiedział. - Coś, coś drobnego...

- Papieros? - podsunęła Katy. Palila właśnie, oparta o ladę przed fałszywym rusztem ustawionym na tle dekoracji udającej ścianę z zatłuszczonych płytek. - Potrafię to dobrze pokazać - dodała.

- Nie wchodzi w grę - stwierdził Max. - Palila w oryginalnej wersji, lecz klient odrzucił to. Ma być absolutnie prawdziwa, ale tylko w pewnym sensie.

- Przypuszczam, że drapać się między nogami też mi nie wolno - powiedziała Katy.

- Proszę cię bardzo, drap się, ile chcesz - rzucił Dan. - Tyle że tego nie nagramy. - Podszedł bliżej i zaczął oglądać ją ze wszystkich stron niczym zagadkową rzeźbę.

Miała na sobie zszargany niebieski kombinezon (brud i plamy osiągnięto deptając go na podłodze studia), ciemnokasztanowe włosy zebrane były w kok, z którego wysuwało się kilka luźnych pasemek. Głębokie, purpurowe cienie na powiekach, mocno podkreślone rzęsy i pozbawiona cielistego podkładu twarz - pomysł Katy, co w sztucznym świetle przydawało skórze bladości. Dodała sobie lat umiejętnie kładąc cienie i linie, podobnie jak Nora miała silnie zarysowaną szczękę i wysokie kości policzkowe, ale Max potrafił dostrzec tylko dystans między rzeczywistością a jej imitacją. Grała,

jak dotychczas, całkowicie opanowana i z pełną świadomością, a z akcentu tak przypominała pierwowzór, że słuchając jej odczuwał wręcz zakłopotanie. Tym niemniej Dan miał rację: czegoś tu brakowało.

- Coś, no, coś... - powtarzał reżyser kręcąc koniec wąsa.

I nagle miał: przecież było to oczywiste, ale niczym ołówek zatknięty za ucho, przegapione. Max podszedł do niej z kołującym sercem. Zwróciła się profilem w instynktownym popisie: lewy płatek ucha miał pośrodku maleńkie wgłębienie.

- Ma pani przekłute uszy, prawda? - zapytał.

-Tak.

- A kolczyki ma pani przy sobie?

- Zostały w garderobie.

- Proszę je przynieść.

Miały kształt małych różyczek. "Wy tłumaczył jej, o który dokładnie moment mu chodziło, i zrobili próbę. Gdy zbliżała się do końca swego tekstu, podniosła dłoń do ucha i zaczęła w roztargnieniu obracać kolczyk; oszołomiony wprost gwałtownym triumfem i przyływem pragnienia widział, że w tym jednym geście zawierała się cała Nora.

Poczuł niespodzianie atak mdłości. Usiadł w płóciennym krześle reżysera i wciągnął głęboko powietrze; miał niepowstrzymaną ochotę, by wyrwać się ze studia.

- To jest to - stwierdził Dan.

- Wiem.

Dan zwrócił się do kamerzysty: - Kręcimy.

Zdjęli całość w jednej nakrętce. Dan mierzył czas.

- Dwadzieścia dziewięć i pół sekundy - obwieścił pokazując stoper. -

Coś takiego, panie i panowie, nazywamy w branży cudujęciem.

Z końca studia, przestronnego i szarego niczym lotniczy hangar, dobiegł ich stukot obcasów na betonowej podłodze: do planu zbliżały się szybkim krokiem Rosemary i Stephanie Deluc. Teoretycznie Stephanie przysła tu jako gość Rosemary, ale to ona właśnie kroczyła z blokiem pod pachą jako pierwsza. Podniósł się z krzesła i przedstawił ją ekipie; Rosemary znali wszyscy doskonale. Stephanie załatywała lekko kurzem rosołem.

Wiedział, że przyjdzie na plan, nie spodziewał się jej jednak tak szybko i teraz czuł, błędnie oczywiście, że nie powinno jej interesować to, co się tu dzieje. Nie było to nic nowego: gdy na planie pokazywał się klient, aktorzy i ekipa techniczna traktowali go równie podejrzliwie, jak grupa dysydenckich

artystów traktować musiała państwowego cenzora w czasie nie zapowiedzianej inspekcji.

Rosemary, z rękami założonymi na plecach, oceniała knajpianą dekorację.

- Czyż nie w takiej jadłyśmy właśnie lunch? - zwróciła się do Stephanie.

- Raczej mało przypomina Cafe Balaban - odparła tamta, śmiejąc się i poprawiając kokardę u szyi. Uderzyło go nieprzyjemnie, że specjalnie rzuciła nazwę tej drogiej restauracji, by zaimponować wszystkim.

Odwróciła się do niego. - Nie pozwól nam przeszkadzać w pracy twórczej -

rzuciła. - Róbcie dalej swoje, a Rosemary i ja będziemy się przypatrywać. Wzruszył ramionami i wymusił na twarzy uśmiech.

- Już?

- Mieliśmy szczęście.

- Ale wynajęliśmy przecież studio do piątej! Nie masz zamiaru dopracować w tym czasie filmu do perfekcji?

- Czasem można zepsuć poprawiając - powiedział.

- A czasem można nie spełnić zadania śpiesząc się niepotrzebnie - uśmiechnęła się chłodno. - Poza tym miałam nadzieję, że będę mogła podsunąć parę pomysłów...

- Max może mieć rację, Stephanie - włączyła się Rosemary. - Bywa, że na planie wszystko akurat gra i można zdjąć całość za drugim czy trzecim, a nawet pierwszym ujęciem, widziałam już takie przypadki. Obejrzyjmy to, co zrobione i wtedy będziemy mogły powiedzieć, czy trzeba kręcić dalej.

Stephanie odwróciła się do Greena.

- Możemy zobaczyć materiał?

- Ależ oczywiście - odparł i przez mikrofon porozumiał się ze studiem. -

Stan, puść ostatnią nakrętkę. Pamiętaj o dźwięku, chcemy coś słyszeć.

Otoczyli półkolem monitor, Stephanie między Rosemary a Maxem.

- Więc mówisz, że ile to robiłeś?

- Prawie dwie godziny.

- Dwie godziny? Proszę! Może Rosemary nie przesadza, uważając cię za cudowne dziecko, jeśli oczywiście film okaże się bez zarzutu.

- Sama będziesz musiała ocenić - powiedział.

Z trudem tłumił wściekłość w głosie, wątpił, by tego nie zauważyła.

Wbił wzrok w monitor. Usłyszał, jak Stephanie zapala papierosa i zaciąga się krótko. Ekran pojaśniał. Pasma papierosowego dymu nadpłynęło przed

monitor, by rozwiać się po chwili. Stephanie oglądała film w milczeniu, ale siedem albo osiem sekund przed końcem zaczęła gwałtownie przekrzykiwać głos aktorki:

- Co... chwileczkę! Co to jest? Co ona robi?
- Zatrzymaj taśmę - rzucił Dan do mikrofonu.

Film zdążył już dobiec końca. Stephanie okręciła się na pięcie i wymierzyła palec w Greena.

- Chcę zobaczyć jeszcze raz koniec.
- Powtórz drugą połowę, Stan - powiedział Green do mikrofonu. - Spróbuj od 0750.

- Co ci się nie spodobało? - spytała Rosemary.

- Poczekaj chwilę, zaraz sama zobaczysz. - Z głosu Stephanie przebijała złośliwa satysfakcja.

Zacisnął skrzyżowane na piersiach ramiona, serce tłukło mu się pod prawą pięścią.

Taśma cofała się z szumem. Stop-klatka: Katy z półotwartymi ustami i zamkniętymi oczyma. Taśma ruszyła do przodu, Katy szła do lady mówiąc: „...poprzez FSLIC, rządową instytucję”. Zatrzymała się teraz i zmarszczyła w zamyśleniu, po czym lewą ręką sięgnęła do kolczyka w prawym uchu.

„Jasne, że oszczędzanie w Fidelity Federal...”, zaczęła.

- Tu! - wrzasnęła Stephanie wymachując blokiem w stronę ekranu.
- Zatrzymaj - rzucił do mikrofonu Dan.

Znów stop-klatka z unieruchomioną Katy: zamknięte oczy, otwarte usta, palce wiszące u ucha.

- Dobrze - orzekła Stephanie, nie patrząc na Maxa. - Co ona niby ma robić?

- Bawi się kolczykiem - odparł niskim, pustym głosem.
- Dlaczego bawi się kolczykiem?

Czuł, jak mu wali serce. Stephanie, z zaciśniętymi ustami i wybałuszonymi oczyma, wydzielająca spod pach swe sekretne wonie, wydała mu się niemądrą, żałośnie śmieszoną miernotą. Nie czuł przed nią strachu. Usiłowała sięgnąć tam, gdzie nawet nie pozwoli jej się zbliżyć: był jak ojciec osłaniający dziecko przed napastnikiem. Nic nie mogła mu zrobić.

- Zadałam ci pytanie: dlaczego tak się bawi tym kolczykiem?
- Dlatego - odparł.
- Dlatego? Co znaczy „dlatego”? Dlatego że...?

- Dlatego, że ma taki nawyk.

Stephanie zamrugła oczyma.

- Tego nie ma w scenopisie - stwierdziła. - W scenopisie, który zaaprobowalam, nie było w ogóle o tym wzmianki i z całą pewnością nie zgodziłabym się na coś podobnego. To... to odpychające. Równie dobrze mogłaby dłużyć w nosie.

- Powiedziałaś wyraźnie w komentarzu, który nam przysłałaś, że mogę zastąpić wyrzuconą przez siebie scenę z papierosem czymś wybranym wedle mego uznania. Nie pamiętasz już?

- Owszem, zgadza się. Zastąpiłeś, ale nie podoba mi się, chcę, żebyś to usunął.

- Rosemary? - Wpatrywała się w nieruchomą klatkę na ekranie, uparcie unikając jego wzroku. - A co ty o tym myślisz?

Stephanie zrobiła dziwną rzecz: zaczęła szarpać go za rękaw, jak mała zignorowana dziewczynka.

- Nie rozmawiasz o tym z Rosemary, młody człowieku, ale ze mną! Nie będę na ten temat więcej z tobą dyskutować, tylko ci mówię: masz to usunąć. Chyba nie muszę tłumaczyć wyraźniej?

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - usłyszał swój głos. Zaczynał mieć dość. - Film jest skończony, kompletny i doskonały. Wytniesz tę scenę, zepsujesz wszystko.

- Wybacz - rzuciła Stephanie - ale przestaję się orientować, kto tu jest klientem.

- No nie, na litość boską! - W tym zwariowanym momencie uznał, że woli być raczej człowiekiem niż specjalistą od reklamy. - Rzygać mi się chce od twojej głupoty, Stephanie! Nie wiesz, o czym mówisz i nigdy nie wiedziałaś. Nie wykopali cię dotąd z Fidelity tylko dlatego, że agencja, ludzie, z którymi pracujesz, ratują twoją skórę i chronią cię przed twą własną niewiedzą. Chcesz zmienić ten zaszary film, proszę bardzo, ale rób to sama, bo ja i wszyscy tu widzimy jasno, że nie masz najmniejszego pojęcia o swojej robocie! I jeszcze jedno... - Opanowała go szaleńcza, nieziemsko gorączka męczennika idącego na śmierć ku większej chwale czegoś nieznanego. - Śmierdzisz. Brzydko pachniesz. Nikt ci tego nigdy nie powiedział? Cuchniesz, jak stara zardzewiała puszcza po zupie. Jesteś specjalistką od reklamy rozmaitych produktów, prawda? Jak więc to możliwe, że nigdy nie słyszałaś o dezodorantach?

W pamięci zostały mu tylko dwie rzeczy z tego, co nastąpiło potem:

Rosemary odwracająca wciąż wzrok i koszmarne długie lata, jakich zdawał się potrzebować, by przemierzyć całe studio aż do tablicy oznajmiającej wyjście.

- Jak mam ci nie przebaczyć? - mówiła Rosemary. - Zrobiłeś dokładnie to, co chciałam zrobić od piętnastu lat, ale nie umiałam się przemóc. Byłeś bardzo odważny, szlachetny i bezdennie głupi.

- Zastanawiam się właśnie, jak bardzo to było głupie - przyznał.

- Nie bój się, szybko to odkryjesz.

Zgniotła opakowanie sandwicza w kulkę i rzuciła nią do stojącego nieopodal kosza. Siedzieli na ławce w Oak Knoll Park, oddalonym o przecznicę zaledwie od agencji, leniwie obserwując sztuczny staw z zatopioną do połowy w przezroczystej wodzie spiralną chromowaną rzeźbą. Wiosna była w całej pełni: ptaki nie ustawały we wzajemnych nawoływaniach, drzewa wyglądały dziewczęco niewinnie w swej jeszcze skromnej zieleni, trawniki pocętkowane były odpoczywającymi tu w czasie godzinnej przerwy ludźmi i radośnie żółtymi plamami żonkili.

Przypuszczał, że w ciągu najbliższych tygodni czy nawet miesięcy wiele czasu upłynie mu na samotnym wysiadaniu na ławce, miał więc nadzieję, że utrzyma się dobra pogoda: od tego ranka bowiem był bez pracy.

- Nie chciałbym tylko, żeby teraz wszystko skrupiło się na tobie.

- Trzeba było o tym myśleć, zanim nagadałeś tej pindzie - powiedziała kręcąc głową i wzięła go za rękę. - Zapomnij o tym, ja dam sobie radę, ale boję się o ciebie. Spierdoliłeś wszystko, podejrzewam, że sam się nawet nie orientujesz, jak bardzo.

- Mogę ci powiedzieć, kiedy rzeczywiście wszystko spierdoliłem. Kiedy wymyśliłem film, w którym bohaterka, moja kochanka, miała pleść głupstwa o Fidelity. Wtedy właśnie, tak, dokładnie wtedy się skurwiłem.

- I odkupiłeś to wywaleniem z pracy?

Wyciągnął dłoń z jej uścisku, oparł ramiona o kolana.

- Nie wiem, Rosemary. Nie wiem w tej chwili nic, poza tym, że nie żałuję.

- Będziesz.

Podniósł na nią wzrok.

- Jak myślisz, kiedy znowu znajdziesz pracę? Sądzisz, że to będzie łatwe? Pewnie uważasz, że skoro jesteś dobrym tekściarzem, a tych jest zawsze za mało, jakaś agencja rzuci się natychmiast z ofertą, prawda? Nie, mój drogi, tak nie będzie. Mówię ci to wszystko, bo cię bardzo, naprawdę bardzo lubię i

boję się o ciebie. Chciałabym, żebyś wiedział, co narobiłeś, a nie oszukiwał się.

- Mów.

- Obrugałeś klienta. Na dodatek zrobiłeś to w taki sposób i w obecności tylu osób, że całe miasto zna już pewnie tę historię. Spodziewasz się może, że Katy czy ktokolwiek z Technivision utrzyma taki smaczny kęs w tajemnicy? Już za tydzień o twoim wyczynie będzie wiedział każdy dyrektor artystyczny w St. Louis, każdy będzie uważał cię z tego powodu za wspaniałego chłopa, ale żaden nie da ci roboty, nawet gdybyś miał być ostatnim tekściarzem na tej ziemi. Wyrobiłeś sobie błyskawicznie reputację, Max: jesteś fachowcem, który ruga klientów - objęła go ramieniem. - Przykro mi, naprawdę, ale nie chcę, żebyś tracił pół roku na szukanie pracy nie domyśliwszy się tego przedtem.

Wyprostował się.

- Zakładasz wciąż, że wrócę do reklamy...

- Pewnie, a co innego mógłbyś robić?

Wzruszył ramionami.

- Może potrzebują kogoś w Białym Pałacu - powiedział.

Rozdział osiemnasty

W sierpniu, zaledwie na parę dni przed jego dwudziestymi ósmymi urodzinami, zginęła jego matka. Wyliczył później, że dokładnie w momencie gdy dalekobieżny autobus przygniótł ją do zaparkowanego samochodu na Olive Street, on siedział w biurze Harry'ego Fishmana i jego syna, ze znużeniem broniąc telewizyjnej chały, którą spłodził dla nich tego ranka.

- Gdzie pan masz rozum? - krzyczał Fishman. - Gdzie?! Czemu pan nie słuchasz, kiedy ktoś coś mówi? - Starszy Fishman, zgorzkniały, łatwo podniecający się handlowy wyjadacz, pozbawiony elementarnych zasad dobrego wychowania, siedział w swym głębokim fotelu z głową wbitą w ramiona. Stuknął grubym palcem w egzemplarz scenopisu na biurku. - Ja panu mówię, co Randy ma powiedzieć, że my gwarantujemy, słyszysz pan?

My gwarantujemy ceny niższe o dziesięć procent od konkurencji, no i gdzieś pan to wstawił?! To po co ja mam pieniądze wyrzucać na reklamę, jeśli nikt się z niej nie dowie o mojej gwarancji? W chuja mnie pan robisz czy jak?

- To miało być, kurwa, najważniejsze w tym filmie, a ten to, kurwa, pomija - dodał młodszy Fishman, Randy. Oparty o wysoką szafkę biurową,

przypatrywał się nieufnie Maxowi. Z troskliwie ułożoną fryzurą, w drogim dopasowanym garniturze i z cienkim złotym łańcuszkiem na włochatym karku wyglądał jak żydowski sutener.

Wszystkie jego dotychczasowe spotkania z dwójką Fishmanów przeobrażały się w pełną pokrzykiwań rozgrywkę, mimo iż sam nie podnosił nigdy głosu. Podsunęła mu ich Rosemary, wykorzystując informację przedstawiciela któregoś z rozgłośni radiowych; tłumaczyła Maxowi, że są zbyt małymi klientami dla Spindlera, ale wiedział, że zrobiła to, by mu pomóc.

Ustalili na samym początku, że Randy Fishman będzie mówił wprost do kamery. Zrobił już dla nich dwa filmy (tanie amatorskie półminutówki wypełnione okrzykami zachęty, jakie w nocnych programach można spotkać wciśnięte pomiędzy rozmaite komunikaty urzędów miejskich) i Randy okazał się być większą nawet zakałą niż się obawiał. Wskazówki odbierał z ożywieniem palmy doniczkowej, urokiem osobistym przypominał goryla z obstawy, nie sposób było również poprawić jego szczekliwej, jakby obraźliwej dykcji... ale co z tego? Reklamy Fishmanów były tak niewyobrażalną chałą, że nic w gruncie rzeczy nie mogło im już zaszkodzić.

Od opuszczenia Spindlera zajmował się właściwie tylko chałą. Przez krótki czas zastanawiał się nad powrotem do uczenia, ale duma nie pozwoliła mu na ten krok. Robota więc, jaką się głównie zajmował (sporo trafiało za pośrednictwem Rosemary), polegała na kręconych naprędce kawałkach dla sklepów z częściami samochodowymi, magazynów meblowych, podrzędnych handlarzy rozmaitymi wehikułami, upadających restauracji; wszystko to, cała produkcja ostatnich dwóch miesięcy zlała mu się w pamięci w jeden wariacki wrzask. Mimo iż nie gardził nawet tak groszowymi zarobkami, a jego styl życia stał się naprawdę bardzo spartański (wyniósł się z Kirkwood i wprowadził do znacznie tańszego mieszkania na Richmond Heights, niedaleko Dogtown), kłopoty finansowe wciąż się pogarszały. Trzy tysiące dolarów, które miał odłożone w banku, były rezerwą na prawdziwie czarną godzinę i nie chciał jej ruszać.

Tymczasem dobrze było, jeśli wyciągał pół tysiąca miesięcznie, matka wciąż potrzebowała jego wsparcia, więc nie mógł zrobić nic innego, jak tylko siedzieć teraz i wysłuchiwać historycznych obelg - połączonych czasem z deszczem pryskającej śliny - jakimi stary Fishman obrzucał go ze swej strony poobijanego dębowego biurka.

Czekał, aż Fishman skończy, by przypomnieć mu spokojnie, że jego

dziesięcioprocentową gwarancję, podkreśloną głosem niewidocznego spikera, zawierał tekst na końcu filmu.

- Zaraz, cholera, czekaj no pan chwileczkę! - wybuchnął Fishman.

- Randy miał przecież mówić cały tekst, a pan teraz chcesz, żebym znowu wybulił dwie stówki na jakiegoś spikera? Dla tej jednej głównianej linijki? No powiedz mi pan, czy jest lepszy sposób na wyrzucanie pieniędzy w błoto?!

- To normalny skandal, kurwa, ile ci spikerzy dostają - włączył się Randy, najwyraźniej zapomniawszy, że sam nie odmówił wcale zapłaty.

Przypomniał im, że nie było tu wyboru: stawki ustalały związki zawodowe.

- Związki! Banda łobuzów, piraci, kurwa, i nic więcej! - wypowiedział się Randy.

- Ale nie o nich mamy mówić - uciął stary Fishman. - Powiedz mi pan, bo chciałbym wiedzieć, po cholere drugiego spikera, skoro Randy mówi resztę?

Przemyślał oczywiście odpowiedź wcześniej: gwarancja dawana przez Fishmanów była głównym punktem całej reklamy i nie chciał, by Randy zakatował ją na swój sposób. Ale jakie to w gruncie rzeczy miało znaczenie? Śmieć pozostanie śmieciem, niezależnie od wyniku sporu o kolor i kształt kosza na odpadki. Znużony tym wszystkim poczuł się równie stary jak Fishman.

- Wie pan - zwrócił się do niego - jeśli woli pan syna, nie mam nic przeciwko temu.

- Przeciwno? A czemu tu się sprzeciwiać? Tak chcę, tak ma być.

- W porządku - powiedział.

Stojący za nim Randy prychnął jakby chciał powiedzieć: „I niech to lepiej będzie w porządku”. Max odwrócił wzrok w kierunku kojącego błękitu nieba za oknem i nagle owładnęło nim dziwne uczucie.

Wszystko pograżyło się w otchłani - Fishman przy biurku, Randy i szafka, o którą się opierał, on sam razem z krzesłem - fundamenty budynku jakby się rozpląnęły. Znalazł się w oku milczącego cyklonu, jakaś zjawa, kobieca i znajoma, obejmowała go, przytłoczonego doznaniem najczystszej tęsknoty i żalu. To on był obiektem tej tęsknoty i przedmiotem żalu. Ktoś przyszedł się z nim pożegnać.

Raz już, w przeszłości, zdarzyło mu się coś podobnego: prawie dokładnie trzy lata temu, nocą, gdy stał zmywając naczynia po kolacji i obserwując przez kuchenne drzwi, jak błyskawice rozrywają niebo. Takie samo odczucie tęsknoty i żalu - jeszcze nie jego własne - uderzyło go niespodziewanie i

sparaliżowało, zatopiło nieruchome dłonie w pianistych mydlinach, i wiedział, zanim zadzwonił telefon, że coś przydarzyło się Janey.

W tej chwili wiedział tylko, że musi natychmiast jechać do domu. Wstał. Fishman podniósł pytająco brwi.

- Wybacz pan, panie Fishman, ale muszę iść.
- Co pan musisz? O czym pan gada?! Siadaj pan!
- Nie czuję się najlepiej.
- Czyś pan zwariował? Jesteśmy w połowie...
- Muszę iść - powtórzył i wyszedł z pokoju.

Dopóki nie odebrał dzwoniącego w ciasnym mieszkaniu telefonu, przekonany był, że coś, gdzieś, zdarzyło się z Norą.

Jak zwykle, matka była ostatnią osobą, o której pomyślał.

Jej śmierć była równie groteskowa i żałosna, jak jej życie: wybrała się do centrum, by kupić mu kartę urodzinową. Dlaczego zdecydowała się wyprawić właśnie tam po absurdalnie szczeniacką kartę z piramidą chłopięcych skarbów (baseballowym kijem i rękawicą, szkłem powiększającym, procą), jedyny sprawunek znaleziony w torbie na miejscu wypadku, musiało już pozostać tajemnicą, podobnie jak powód jej nagłego pojawienia się w jasnym słońcu tego sierpniowego popołudnia, na drodze dalekobieżnego autobusu, który wykręcał właśnie mozolnie w kierunku swego przystanku. Próby zrekonstruowania sposobu myślenia jego matki były z całą pewnością chybionym zajęciem, ale nie potrafił mimo to ich zaprzestać: być może, kiedy już kupiłszy kartę wyszła ze sklepu i znalazła się na przystanku po drugiej stronie ulicy, zorientowała się nagle, że jej syn nie skończy w czwartek jedenastu lat, a dwadzieścia osiem, że to dorosły mężczyzna. Kupiła zatem niewłaściwą kartę! Powinna była wziąć tę drugą, tę z drewnianą kaczką, będącą przynętą na inne ptaki, i z fajką na pierwszym planie. Ale czy znajdzie ją jeszcze na regale? Czy aby nikt jej tymczasem nie porwał, może była ostatnia? I czy sklepu nie zamykają za dwie minuty? Nie było czasu do stracenia, więc szybko przez ulicę... Albo, pomyślał, pochłoneła ją kwestia mięsa, które chciała zamówić na jego urodzinowy obiad, czy też, jak rozprawi się z tymi łapserdakami z obsługi cmentarza, gdy zobaczy, że wciąż nie uporządkowali grobu Janey - i po prostu zeszła z krawężnika i z tego świata, nie patrząc ani nie zastanawiając się, dokąd idzie. Autobus prowadziła niejaka Sissy Stubbs, Murzynka w średnim wieku. Twierdziła, co trudno było kwestionować, że nie zauważyła nawet, kiedy matka wyskoczyła przed autobus, tłumaczyło to zresztą, dlaczego, gdy matkę

odrzucało już na zaparkowany obok samochód, autobus jechał dalej. Stwierdzono u niej wielokrotne pęknięcie kręgosłupa i mnóstwo najrozmaitszych wewnętrznych obrażeń. Zmarła nie odzyskała przytomności po czternastu godzinach, nad ranem, gdy siedział samotnie popijając kawę w szpitalnej kantine.

Jak przed trzema laty, gdy zmarła Janey, tak i tym razem Horowitz z pełnym oddaniem pomógł mu przejść całą tę próbę: zajął się przygotowaniem pogrzebu, oddał swoje mieszkanie na potrzeby sziwy*, skontaktował go z Sidneyem Sachsem, prawnikiem swego ojca, wypielegnowanym, cichym starszym panem.

*sziwa (jid.) - okres tradycyjnej siedmiodniowej żałoby.

Sachs wyjaśnił mu ze smutkiem, że nie sposób skarżyć przedsiębiorstwo autobusowe o odszkodowanie: wypadek zdarzył się na oczach wielu świadków, twierdzących zgodnie, że matka zachowywała się jakby była w transie, żaden kierowca nie byłby w stanie zareagować odpowiednio szybko, by uchronić ją przed śmiercią. Uznał, że nie warto prowadzić sprawy dalej. Jedyne, czego oczekiwał od przedsiębiorstwa, to zwykłego oddania mu sprawiedliwości, a w tym przypadku to nie on miał rację; ten bezsensowny wypadek matka zawdzięczała wyłącznie sobie samej, jak wszystko w swoim życiu.

Dom matki był magazynem rupieci, jego własne pokoje zaś zbyt ciasne, by organizować w nich sziwę, Horowitzowie oddali więc na tę okazję swoje mieszkanie w Clayton. Dla wygody wszystkich obcięto tradycyjne siedem dni do dwóch; drugiego dnia goście napływali zaledwie cienką strużką i coraz więcej było długich chwil, kiedy siedzieli w pomieszczeniu tylko w trójkę: Rachel, która wpięła we włosy czarną koronkę, Horowitz w ciemnogrnatowym garniturze i Max, nie obuty, jedynie w skarpetkach.

Podczas takich przerw popijali kawę, apatycznie skubali kąski z talerzy pełnych specjałów, które goście składali na dużym owalnym stole w jadalni, i uważnie rozpamiętywali dawne czasy - uważnie, bo o wielu sprawach dotyczących jego matki lepiej było wciąż nie mówić - aż dźwięk dzwonka wywoływał ich znów do korytarza.

W momencie, w którym goście przekraczali próg, rozpoznawał, czuł niczym radar, głębię współczucia, rodzaj żalności, siłę skrępowania, jakie skrywali. Gdy Klugman ścisnął mu dłoń, poczuł, jak jego własny żołądek kurczy się i skręca, tak bardzo Klugman był rozbity swoim rozwodem; skrępowanie Lou Steina, szefa jego matki, niepozornego mężczyzny w

muszce, który przyniósł tacę doskonałych wypieków i wyszedł po niecałych pięciu minutach, napełniło go również skrepowaniem. Gdy nadeszła Rosemary z butelką Wild Turkey (wzruszająco niestosowny podarunek, jako że na stypach w żydowskim wydaniu nie pito nigdy, a tylko jedzono), połączył ich wspólny nurt czystego pewnego uczucia.

Wejście Sary Roth rozbiło go jednak zupełnie. Bliskość, jaką wobec niej odczuwał - podobna zapewne jego więzi z Norą - była dla niego niepojęta, nie mógł się jej wyprzeć. Zaczął łkać w momencie, gdy zobaczył jej porytą głębokimi bruzdami, zmęczoną, piękną niegdyś twarz; przyszła sama (Bill, jak wyjaśniła, wyjechał w interesach), przyniosła pęczek stokrotek. Wciąż płacząc ścisnął ją kurczowo, czując przez skórę, jak mieszały się w niej rozmaite uczucia: smutek wywołany śmiercią, żal, że nigdy nie polubiła jego matki, miłość i troska o niego, stary, znowu żywy ból po utracie Janey. Pamiętał ją z tamtej sziwy, tak podobnej i tak innej jednocześnie, gdy sama siedziała z bosymi stopami na jednym z niskich drewnianych stołeczków żałobnych, obok niej Bill, on sam i jego matka. Starła się przewyciężyć ból, nie dać się, grać dalej serdeczną gospodynią, mimo porażającej rozpacz. Na tym polegała sziwa - zając czymś opłakujących, skupić ich na codziennych drobiazgach - ale Sarze było to obojętne i większość czasu ku ogólnej konsternacji spędziła zamknięta w swojej sypialni. Goście pukali lekko do jej drzwi; niektórych przyjmowała, innych prosiła, by zostawili ją w spokoju. „Nie jestem w stanie znosić teraz tych wszystkich głupków”, powiedziała mu, gdy jako jeden z niewielu dopuszczonych wszedł do sypialni. „Nie potrafię się kontrolować i boję się, że powiem komuś coś, czego będę później żałować”.

Tym razem sytuacja była odwrotna, Sara była gościem składającym wyrazy współczucia; przez następne pół godziny witała uprzejmie tych, których należało powitać i przypominała sobie tych, których należało pamiętać sprzed trzech lat, w końcu wzięła go w kuchni na bok.

- Przydałoby ci się trochę świeżego powietrza - powiedziała. -

Przejdiesz się ze mną?

W odpowiedzi włożył buty.

Pogoda tego niedzielnego popołudnia nie pasowała zupełnie do żałobnego nastroju: niezwykle łagodny jak na to miasto sierpień z życzliwie przyświecającym słońcem i lekko podmuchującym wiatrem.

Wzięła go pod ramię i gdy szli tak w dół Wydown Avenue mijając okazałe drzewa, dostojne rezydencje z czerwonej cegły, czasem jakiegoś

niedzielnego biegacza czy staruszkę wyprowadzającą psa, czuł się jak kaleki, a może nawet już umierający człowiek, którego przybyły w odwiedziny krewniak wziął na krótki spacer wzdłuż szpitala, zanim odda go z powrotem w ręce pielęgniarek. Żadne z nich nie czuło przez dłuższy czas potrzeby mówienia. Wreszcie Sara przełamała milczenie: - Jak się potoczyły sprawy z tamtą kobietą? Nie pamiętam jej imienia.

- Nora. - Wymówienie tych dwóch dźwięcznych, otwartych sylab wciąż było rozdzieraniem rany. Serce ma wiele komór, pomyślał, wystarczająco dużo, aby pomieścić w nich każdą przeszłą i przyszłą miłość, i właśnie poczuł świeży ból w jednej z nich, obok tej wypełnionej bólem już wcześniej, jak gdyby dla zharmonizowania strat. - Zerwała ze mną w zimie - dodał.

- Ona? Tego bym się nie spodziewała.

- Okazało się, że miała więcej odwagi niż ja.

Sara przyśpieszyła nieco kroku.

- A zatem wszystko skończone i spokój? - zapytała.

Najchętniej powiedziałaby „tak”, by zamknąć dyskusję, ale nie potrafił kłamać: do końca utożsamiał się ze swoim uczuciem.

- Chyba dalej ją kocham - przyznał.

- Wciąż masz ją w sercu, to chciałeś powiedzieć?

- Wciąż jej chcę.

- Przejdzie ci - stwierdziła. - Spotkasz inną kobietę, znów się zakochasz i przejdzie ci, zobaczysz. To tylko kwestia czasu.

Polemika z nią niczego nie mogła dać, poza tym z upływem czasu coraz trudniej było mu tłumaczyć - nawet sobie samemu - obsesję, jaką była dla niego Nora: płomień, który wbrew wszelkim prawom fizyki nie chciał

zgasnąć. Nie wspominał jej zresztą w rozmowach. Horowitz, na przykład, odniósł wrażenie, że Max dawno już wyzbył się bzika na punkcie tej postaci rodem z Caldwell, i jego obecny brak zainteresowania kobietami kładł na karb patologicznie wytrwałej rozpacz po Janey.

Szacowała go spojrzeniem.

- Utyłeś...

Instynktownie dotknął wystającego nieco brzucha.

- Zauważyłaś...

- Ile ci przybyło od naszego ostatniego spotkania?

- Siedem, może osiem kilo. - Jednym z nieoczekiwanych efektów tego, że popadł w biedę czy też, że w ogóle opuściło go szczęście, był głód, znacznie silniejszy i trudniejszy do zaspokojenia niż w czasach, kiedy zarabiał

wystarczająco dużo. Twarz mu się wypełniła, a leżąc na wznak mógł podziwiać zaokrąglony horyzont brzucha.

- Niedobrze ci z taką tuszą - orzekła. - Powinieneś się jej pozbyć.

- Może teraz mi się uda. Pamiętam, że po śmierci Janey prawie w ogóle przestałem jeść.

- Ja też. Rozchorowałam się w końcu z tego. - Ścisnęła go mocno za ramię i odetchnęła chrapliwie. - Tak mi przykro, Max. Żal mi ciebie i twojej matki, i tego jej okropnego życia. Ty byłeś jej jedynym dobrem, wiesz?

Poczuł znów łkanie ściskające mu gardło, ale przełknął łzy. Miał już dość płaczu.

- Kochałem ją - powiedział.

- Wiem, że ją kochałeś.

- Ale nie wiesz, że nigdy jej nie znosiłem.

- Ja też nie potrafiłam jej znieść. Ale kto potrafił?

- Horowitz. Janey. - Chciał dodać Norę, ale powstrzymał się.

- Bardzo to zacnie z ich strony. Problem w tym, że nie dawała się lubić.

- Byłem jej synem, powinienem się był nauczyć, jak ją lubić.

- Nie możesz się zmusić do lubienia kogoś ani nie możesz się z tego powodu potępiać.

Nie przysłuchiwał się w gruncie rzeczy jej uwagom; chciał, idąc z nią tą pełną słońca ulicą, wyłącznie mówić.

- Pamiętam jedną Paschę, kiedy Horowitzowie zaprosili nas na seder, musiałem mieć dziesięć albo jedenaście lat. W pewnym momencie, po wstępnych modlitwach, zaczęliśmy dzielić się charośetem; matka Horowitza popełniła, jak się okazało, niewybaczalny błąd częstując wszystkich potrawą z orzechami. Moja matka była przekonana, że nie może jeść orzechów - przyklejały jej się do ścianek jelita czy coś równie głupiego - więc zrobiła okropną scenę z tego powodu. Nie znałaś jej, Sara, gdy była młodsza i wypełniona energią, w każdym razie była wtedy nieporównywalnie gorszą, jeszcze większą histeryczką, zdolną do prawdziwej furii. Próbowałem ją uspokoić, ale to tylko ją rozjątrzyło, aż wreszcie ojciec Horowitza poprosił ją, by wyszła, skoro nie potrafi zachowywać się jak człowiek. No i się zaczęło... Najpierw usłyszał to, co ty wtedy na cmentarzu, że jego gówno śmierdzi tak samo, a za chwilę Neil i ja musieliśmy ją odciągać, bo rzuciła się staremu Horowitzowi z paznokciami do oczu. Wybiegła potem z wrzaskiem na ulicę, rozłożyła się na środku jezdni, wierzgając wściekle nogami, jak dziecko w napadzie histerycznej złości. Sąsiedzi wybiegli zobaczyć, co się stało, a ona

specjalnie dla nich odstawiła taki cyrk, że nie pytaj. Wydzierała się na kierowców, żeby zlitowali się nad nią i skrócili jej męki - i nie zapomnę, jak stałem na werandzie domu Horowitzów pragnąc gorąco, żeby któryś z nich rzeczywiście poszedł za jej radą i skrócił tym samym nasze męki.

Sara, ja nie mogłem znieść, że to naprawdę była moja matka! Chciałem, żeby zginęła.

- Ile, mówisz, miałeś wtedy lat?

- Chyba dziesięć.

- Czy chcesz teraz odpowiadać za myśli dziesięciolatka?

- To nie o to chodzi.

- A o co?

- O... rodzaj jej śmierci. Ze rzuciła się na ulicę.

- No i co z tego?

- Nie wiem. Ale myślę o tym bez przerwy.

- Posłuchaj więc: to oznacza, że twoja matka była typem histeryczki, dla której normalną rzeczą było rzucanie się na jezdnię. Chciałeś, żeby umarła?

- Wiesz dobrze, że nie.

- Więc czemu się gryziesz?

- Bo pogardzałem nią - przyznał. - Kiedy dorastałem, tylko się jej wstydzilem, krępowala mnie, a... - Nagle stanęła mu przed oczami Nora: zupełnie nowe uczucie wstydu rozświetliło obraz mdłym fioletem, ale odegnał wizję; miał teraz mówić o matce - ...a gdy byłem starszy, nic się w gruncie rzeczy nie zmieniło. Nauczyłem się tylko lepiej maskować uczucia.

Ani razu, Sara, ani razu nie odwiedziłem jej z czystej ochoty. Wszystko, co kiedykolwiek dla niej robiłem, robiłem wyłącznie z poczucia obowiązku.

Zatrzymała się, puściła jego ramię.

- I dlatego właśnie tak się torturujesz? Ze wypełniałeś obowiązki wobec matki?

- Nie, chodzi mi o to, co wobec niej czułem.

- A kogo to obchodzi? Twoje uczucia nie mają z tym nic wspólnego.

Doszli do zielonych obrzeży Jackson Park. Przyglądała mu się z założonymi na piersiach rękami, lekki wiatr rozdmuchiwał jej przetykane siwizną włosy.

- Chcę cię o coś zapytać - powiedziała.

- Proszę.

- Czy myślisz, że jeśli Bóg istnieje, to aprobeje nas?

- Nie bardzo widzę, dlaczego miałby to robić... - uśmiechnął się.

- Więc ci coś powiem, co cię może zadziwić. Ja wierzę w Boga. Ale nie w dobrodusznego staruszka, wesołego jak święty Mikołaj, tylko w Boga, który wie, co jest grane. Oczywiście, że nas nie pochwała, bo niby za co?

Ale nas toleruje. Ty i ja jesteśmy tego najlepszymi dowodami. Toleruje nas nie dlatego, że jesteśmy tak cudownym towarzystwem, tylko dlatego, że nas . kocha, a kocha nas, bo jesteśmy Jego. Na tym to polega. Żadnych innych warunków. Wszyscy zwariowali zupełnie na punkcie aprobaty, lubienia ludzi. A przez życie idziesz wszak z ludźmi, których w większości nie możesz sobie wybrać - rodzice, dzieci, przedziwne miłości, czasem jeden albo dwóch przyjaciół - i masz ich obowiązek kochać, bo ci ludzie należą do ciebie. Nie musisz ich na dodatek lubić czy podziwiać albo pochwalać. Jeśli miłość miałaby od tego zależeć, jaką miałaby wartość?

Wiatr nadal rozwiewał włosy Sary. Jej słowa znajdowały w nim właściwy oddźwięk. Miał ochotę usiąść na trawie przytłoczony ich ciężarem, ale wciąż stał naprzeciw niej, ledwo trzymając się na nogach.

- Czy myślisz, że po tych wszystkich latach towarzystwo Billa to dla mnie rozkosz? Przecież to duży dzieciak, kołtun, bez przerwy się powtarza i na ogół nudzi mnie śmiertelnie. Ale jestem z nim, ponieważ go kocham i ponieważ należymy do siebie. Kogo może obchodzić, jak do tego doszło?

Sam wiesz najlepiej, co czułam wobec Janey. Byłam chyba osobą, która lubiła ją najmniej: pyszna, niemądra, okropna materialistka, przewinęła się po prostu przez życie w przekonaniu, iż każda spotkana osoba uważała ją za dar niebios. Denerwowała mnie nieprawdopodobnie, a od czasu, gdy skończyła dwa lata, kłóciłyśmy się bez przerwy. Ale chcę, żebyś wiedział, że nikt, naprawdę nikt nie kochał jej bardziej... i nie kocha. - Głos jej się załamał, podniosła głowę. - Nie przeklinam się za to, że nie lubiłam jej bardziej, nie potrafiłam. Ale kochałam ją i spełniłam wszystkie moje obowiązki wobec niej, co w gruncie rzeczy może oznaczać to samo, gdy się dobrze zastanowić. Kochałeś swoją matkę, wypełniłeś swoje obowiązki i to wszystko, czego w zasadzie można od człowieka oczekiwać. Najpierw rozglądasz się wokół siebie, decydujesz, kto naprawdę do ciebie należy, a potem zachowujesz się, jak trzeba. Na resztę nie masz żadnego wpływu. -

Patrzyła na niego uważnie. - Czy wierzysz w to, co ci mówię, Max?

Rozglądasz się wokół siebie, decydujesz, kto naprawdę do ciebie należy, a potem zachowujesz się, jak trzeba.

Oczywiście, że czepiał się byle czego, ale co innego mu pozostało?

Udało mu się przetrwać jakoś sziwę i wrócił wreszcie do siebie.

Wszystko to, do czego dążył, ułożyło się w konsekwentnym ciągu, jak książki na jego półkach; wziął telefon i wykręcił numer Judy w Nowym Jorku.

Mimo iż Nora okazywała swej siostrze lekceważenie na wszelkie możliwe sposoby, nie można było wykluczyć, że nawiązały jednak kontakt od czasu ostatniego grudniowego spotkania. A jeśli nie, pomyślał, to może uda mu się namówić Judy, by pomogła mu wykorzystując swe nadprzyrodzone moce. W końcu, jeśli potrafiła oglądając jego dłoń dostrzec gdzieś w niebycie Janey ze złamanym karkiem, to odszukanie własnej żyjącej siostry kręcącej się, jak przypuszczał, gdzieś po Ameryce, nie powinno sprawić jej większej trudności. A zatem uległ w końcu: uczucie kazało mu szukać pomocy sił nadprzyrodzonych u wróżki. Może zresztą tak powinno właśnie być, że opętanie tą ignorantką z plebsu zmienić go miało w naiwniaka wiernego odtąd lekturze różnych Anonsów i Skandali, korzystając z ich kuponu mógł w zasadzie zamówić już sobie buteleczkę święconej wody z Lourdes. Tak, coś w tym chyba było. Zbyt często w ostatnich latach miał do czynienia z Nieznanym, by przeczyć teraz jego istnieniu. Już sam fakt, że stracił serce dla kobiety takiej, jak Nora, świadczyć mógł o tym, że więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, niż mogło mu się przyśnić, z całą

jego filozofią. Poza tym, co by to szkodziło zadzwonić do Judy? I tak coraz mniej różnił się od śmiertelnie chorego, który próbuje uzdrowienia przez wiarę. Najgorsze, co mogło się zdarzyć to to, że nie zdarzy się nic.

W słuchawce odezwała się Nora.

Tak bardzo nie spodziewał się usłyszeć jej głosu, że zupełnie zaniemówił.

- Halo - powtórzyła. - Kto mówi?

Nie mógł się teraz zdecydować, czy chce z nią w tym właśnie momencie rozmawiać ani też, gdyby zdecydował się na rozmowę, jakim tonem i w jaki sposób ją poprowadzić, jakimi argumentami się posługiwać.

Czekała.

- Słuchaj no, palancie - nie wytrzymała w końcu - jeśli tylko w ten sposób ci staje, to masz przejebane.

Otworzył usta i zamknął je po chwili. Potem delikatnie odłożył słuchawkę na widełki.

Uznał, że nie ma co jej uprzedzać o swoim przyjeździe. Mogłaby sobie tego nie życzyć, a nie był pewien, czy potrafiłby z pełnym samozaparciem postąpić wbrew jej żądaniu. Po drugie, nie znając jej nastawienia mógł zakładać, że przyjmie go z powrotem, i działać swobodnie. Najlepiej więc

będzie stanąć po prostu pod drzwiami.

Opróżnił swoje konto oszczędnościowe, zamienił całe trzy tysiące na czeki podróżne i zarezerwował lot do Nowego Jorku na najbliższy ranek.

Postępował impulsywnie, a nawet groźnie, wiedział o tym, nie pozostawiał

sobie absolutnie żadnego zabezpieczenia, ale jakie to miało znaczenie? Tam była Nora. Tu zaś nie trzymało go nic.

Rozdział dziewiętnasty

Widział Nowy Jork po raz pierwszy i obserwując teraz, jak przekręca się i odsuwa w srebrzystym blasku za oknem samolotu, pomyślał, jakie to dziwne, że jego niezwykle uczucie przywiodło go aż tu, do tego niebywałego miasta, i jakie to dziwne, że cały ten bezmiar istnieje, z jego punktu widzenia, po to tylko, by gdzieś pośród tych labiryntowych zakamarków dać schronienie Norze. Z ledwością wyobrażał ją sobie w otoczeniu innym niż Dogtown, skłonny był wręcz uważać, że niczym ryba wyjęta z wody przepadnie w obcym środowisku. Z pewnością żyła tu gdzieś jednak, paliła winstony, zajadała swoje odrażające sandwicze, szukała ukojenia przed telewizorem i w żaden sposób nie mogła się domyślać, iż w tym właśnie momencie wisiał na niebieskim niebie ponad wieżowcami, gotując się, aby zstąpić po nią na ziemię niczym anioł.

Czuł gryzący wciąż smutek po stracie matki, ale równoważyło go uniesienie wywołane myślą o bliskim połączeniu z Norą. Wprost płonął uczuciem, jak szczerozłotą siecią zagarniając nim wszystkich, których pozostawił: matkę i Janey, obie bardziej poprzez śmierć niewinne i naturalne; Horowitza i brzemienną Rachel, wytrwale oddanych swej normalności; opuszczonego, nerwowego Klugmana; Rosemary odwalającą nadal robotę, którą pogardzała; Sarę z jej bezsennością i wyrazistym smutkiem. Wszyscy po kolei to dziwadła, beznadziejne przypadki, ale kochał ich właśnie za te słabości. Pozwolił sobie nawet na złudne wyobrażenie, iż darzy uczuciem towarzyszy podróży, tęgawą stewardesę o kaczkowatym chodzie, chrapiącego po drugiej stronie przejścia mężczyznę z różowymi zatyczkami w uszach, nawet przeciągającego słowa pilota, którego twarzy nie znał; miał ochotę porwać mikrofon, obwieścić im, że leci oto z miłosnym posłannictwem, i prosić ich o pobłogosławienie jego misji.

Zamiast tego poprosił stewardesę o sok. Wolałby coś mocniejszego, ale dziś ważne było mieć trzeźwą głowę. Sączył wolno płyn i powstrzymywał

podniecenie, gdy pod nim powoli rozpościerało się i rozświetlało miasto. Pilot zapowiedział, że zbliżają się do lotniska La Guardia. Warkot silników opadł z barytonu w bas, samolot obniżył lot; wszystko się zgadza, pomyślał. Znowu w dół. Droga do Nory prowadziła zawsze w dół.

Dał przesadnie duży napiwek kierowcy i wysiadłszy z taksówki stał z podrózną torbą na rogu Szóstej Alei i Czwartej Ulicy, gapiąc się z otwartymi ustami na karnawał, jakim była West Village latem. Tłumy przewalały się we wszystkich kierunkach z gwałtownością bardziej, wedle jego wyobrażeń, pasującą do ostatnich chwil Pompei, na chodnikach eksplodowały gołębie, wokół panowała kakofonia samochodowych klaksonów: wszyscy zdawali się trąbić dla czystej przyjemności, być może w nadziei, że głośne dźwięki rozluźnią wreszcie potworny zator unieruchomionych w ulicznym tłoku samochodów. Z całą pewnością nie było to St. Louis.

Posuwając się wąskim korytem Czwartej Ulicy zauważył krostowatego młodzieńca sprzedającego za grosze poetyckie tomiki, mima z ubieloną twarzą całującego dłoń mężczyzny w trzyczęściowym garniturze, dwóch spacerujących pod rękę pedryli przebranych w kobiece stroje, każdy z wafłowym rożkiem lodów, orientalnego brzuchomówcę z kukłą na kolanie, kwartet smyczkowy przebijający się przez chrypliwy zgiełk miasta dziwnie bukolicznymi dźwiękami Vivaldiego. Każda restauracja, którą mijał, wypełniona była po brzegi, każde jej okno ukazywało spożywających posiłek, pijących, czytających prasę, gestykulujących opętańczo ludzi. Na wystawie Butiku Różowych Kociaków zobaczył otwarcie wyłożone najrozmaitsze pejcze, bieliznę, którą można zjeść, skórzane akcesoria erotyczne i szereg przesadnie długich i grubych wibratorów sterczących w górę niczym zespół stalagmitów - jeśli jeszcze tu nie trafiła, powinni przyjść tu razem: ucieszyłaby się jak dziecko w sklepie ze słodyczami.

Znakomita większość mężczyzn, których mijał, wyglądała na pedryli: smukli, pieczołowicie wymuskani, beztrósko kręcili w marszu pośladkami.

Każdy gnał w jakimś wściekłym tempie, nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na uliczne światła, żaden z przechodniów nie skupił na nim choć przez chwilę wzroku. Nigdy dotąd nie spotykał podobnie zaaferowanych osobników. Sam, oczywiście, był ożywiony jak wszyscy, głównie dzięki swej misji, ale także dzięki temu, że udzielało mu się ożywienie innych: niebawem gonił z resztą niecierpliwego stada, nie bacząc na broniące mu przejścia światła, aż ujrzał wysoki, piaskowej barwy budynek na rogu Siódmej Alei - adres podany na wizytówce Judy. Na parterze rozgościł się Jimmy Day's Bar

& Restaurant, a wyżej, gdzieś pomiędzy taflami nieprzeniknionych okien, kryła się Nora.

Nagle uzmysłowił sobie jasno szaleństwo całego przedsięwzięcia. Czy wiedział cokolwiek prócz tego, że Judy mieszkała w tym budynku i że wczoraj Nora odpowiedziała na telefon? Nic, absolutnie nic poza tym jednym najważniejszym faktem, że była tu albo że ktoś tu będzie wiedział, gdzie można ją znaleźć... i wpadł w panikę. Stał jak przymurowany na swoim skrawku Sheridan Square, utraciwszy bez mała zdolność poruszania nogami, gdy wokół przepychały się tłumy.

Uświadomił sobie, że bezsensiem byłoby zapukać po prostu do drzwi.

Może jej na przykład nie być w domu; jeśli jest, kto wie, czy nie odsypia kaca bądź też niedomaga w jakiś inny sposób. Powinien najpierw zatelefonować, uprzedzić ją, dać jej czas na przyjście do siebie, nim zobaczy go znów pierwszy raz od ośmiu miesięcy, tyle jej się z pewnością należy. Wszedł do Jimmy Day's. Pomieszczenie charakteryzowały wysokie sufity, moc zieleni i, podobnie jak wiele innych restauracji przy Czwartej Ulicy, okna na całą ścianę, objawiające gości ulicy, a ulicę gościom; Nowy Jork był niezaprzeczalnie miastem wpatrującym się w siebie z zachwytem.

Kelnerka wskazała mu automat w tyle restauracji. Odebrała Judy.

- No nie, świat się kończy! - wykrzyknęła, gdy powiedział jej, kto mówi.

- Max! Nie do wiary! I jakże ty się masz, kochany?

- W porządku, a ty?

- Dobrze, dobrze, lepiej być nie może, zwłaszcza od kiedy znowu jestem samotna.

- Jak to, naprawdę? A co z Bobem?

- Okazało się, że nie spełnia pokładanych w nim nadziei, tak to może określimy. Ale ze mną tak zawsze, tu płacą mi za doradzanie innym, jak mają uniknąć popełnienia błędów, a tu sama, co się obróć, wpadam z jednego głupstwa w drugie... Było, minęło, nie ma się nad czym rozwodzić, zwłaszcza że na pewno nie dzwonisz tylko po to, żeby czegoś się o mnie dowiedzieć?

- Nora odebrała wczoraj u ciebie mój telefon - powiedział nagle.

Nie odpowiedziała nic, wreszcie ciężko westchnęła.

- Musiałam wtedy skłamać, nie gniewaj się. Przysięgłam Norze, że jej nie zdradzę, gdybyś się o nią dopytywał, a wiesz, jak to jest między siostrami...

- Jak dawno jest u ciebie?

- Od przyjazdu z St. Louis.

- A w tej chwili?
- Max...
- Judy, proszę. Muszę z nią porozmawiać.
- Nie gwarantuję, że będzie chciała podejść do telefonu.
- Możesz spróbować?
- Dobrze - odparła. - Poczekaj...

Wydawało mu się, że milczenie w słuchawce przedłuża się w nieskończoność. Oparł czoło o zimny metal aparatu i próbował uciszyć walące serce, jakby to było możliwe. Wreszcie usłyszał kroki, jakiś hałas i ochryply głos: - Max?

- Dzień dobry, Nora...
- Co słychać, Max?
- W porządku.
- Powiedz coś więcej.
- Jestem w Nowym Jorku.

Zamilkła.

- A co u ciebie?
- Zaraz się chyba zesram! Co ty do cholery robisz w Nowym Jorku?
- Przyjechałem cię zobaczyć.
- No nie, to czysta głupota. Nie uwierzę, żebyś tłukł się taki kawał specjalnie dla mnie.
- Dobrze więc, przyjechałem obejrzeć Empire State Building. Zawsze chciałem go zobaczyć, ale pomyślałem, że jak już jestem w okolicy, to...
- Empire State Building stoi na Trzydziestej Czwartej - powiedziała. Wsłuchiwali się w swoje oddechy.
- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - zapytała w końcu.
- Odebrałaś wczoraj mój telefon.
- Ja? Kiedy?
- Ten perwersyjny cichy wielbiciel...
- To byłeś ty? Czemuś nic nie powiedział?
- Nie spodziewałem się ciebie. I... zabrakło mi języka w gębie.
- Czyś ty czasem nie zwariował? Nie masz żadnej sympatii tam w St. Louis?
- Ty jesteś moją sympatią - rzucił przez ściśnięte gardło.
- Nie gadaj czegoś takiego! Czysty idiotyzm! Za dużo się zmieniło, do cholery. Przecież ja mogę być zupełnie inna, a ty nic nie wiesz.
- A jesteś?

- Nie, ale ta sama też nie jestem.

- Ani ja.

Przysłuchiwał się własnemu oddechowi świszczącemu w słuchawce. Nie był przygotowany na podobny opór, to głupota z jego strony. W gorączkowej euforii przenoszącej go z St. Louis do telefonicznego automatu na zapleczu tej nowojorskiej restauracji zignorował ochoczo rzeczywistość: to Nora go zostawiła i to Nora nie próbowała nawiązać z nim kontaktu, choć cały czas wiedziała, gdzie go szukać.

- Nie wydajesz się specjalnie uradowana tą rozmową - stwierdził. Nie odpowiedziała.

- Brakowało ci mnie chociaż? Znów nie odezwała się ani słowem.

- Tęskniłaś za mną? Wdzięczny będę za jakąś odpowiedź.

- Tak. Zadowolony? Tęskniłam.

- Kochasz mnie wciąż?

- Nie pytaj mnie o to.

- W porządku. Coś innego w takim razie: chcesz mnie zobaczyć?

- O Jezu, nie wiem! A gdzie ty w ogóle jesteś?

- Na dole, w Jimmy Day's.

- Niech cię szlag...!

- Co mam przez to rozumieć?

- Że doskonale wiesz, jak przyprzeć człowieka do muru, właśnie to!

- Chcesz się ze mną spotkać czy nie?

- Nie wiem, cholera! Skąd niby mam to wiedzieć, kiedy tak rzucasz się na mnie znienacka! To nieuczciwe, stanąć tak po prostu pod drzwiami!

- Zostawić mnie tak, jak ty to zrobiłaś, też nie było uczciwe.

- Wiem i przepraszam za to. Naprawdę przepraszam. Cholernie było mi przykro, że akurat tak musiałam cię zostawić. Nie wyobrażaj sobie, że tylko ciebie to zabolalo.

- W porządku. I skoro już ustaliliśmy, że cierpieliśmy oboje, chcesz się ze mną spotkać czy nie?

- Nie, jeśli masz zamiar rozmawiać ze mną tym sarkastycznym tonem.

Znów się zaczyna, pomyślał. Zupełnie jak za dawnych czasów.

- Dobrze, posłuchaj, co zrobię. Usiądę przy oknie, zamówię kawę i będę pił, jedna za drugą, aż do zamknięcia lokalu. I jeśli nie przyjdiesz do tego czasu, wezmę taksówkę z powrotem na La Guardię i więcej o mnie nie usłyszysz. To mój plan, a ty możesz teraz zrobić, co ci się żywnie podoba.

Nie odzywała się. Pewien był, że w tej ciszy obraca swój kolczyk.

- Daj mi piętnaście minut - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Machnął ręką na trzeźwą głowę, zamówił czystą irlandzką whisky i dolał połowę do stygnącej kawy. Spojrzał na zegarek: do upływu kwadransa brakowało czterech minut. Mnogość i niecodziennosc scen na Sheridan Square, którym mógł się przypatrywać, przywodziła na myśl średniowieczny jarmark: poprzez szyby ze skrzyżowania dochodził hałas dmących w trąby muzykantów, Murzyn handlował fosforyzującymi zielono kólkami, którymi obwiesił szyję, ramiona i talię, brodaty mężczyzna jeździł na deskorolce.

Odwrócił się znów do stołu i zobaczył Norę.

Stała skrzyżowawszy ramiona przy półokrągłym barze, szukając go wzrokiem po niewłaściwej stronie. Miała na sobie džinsy, wściekle żółtą bluzkę, skórzaną kamizelkę i zdobione kowbojskie buty, które widział po raz pierwszy. Jej połyskujące granatem czarne włosy znowu były proste, zebrane z tyłu w koński ogon. Zbliżyła się do niej kelnerka balansująca na jednej dłoni tacą pełną kieliszków i szklanek; przeginając się zgrabnie i unosząc tacę nad głową, powiedziała coś do niej. Nora odwróciła się, dostrzegła go, na krótki moment podniosła rękę do szyi. Nie pozdrowił jej żadnym gestem. Zrobiła krok w jego stronę i znów ogarnęło go nieodparte szaleństwo: nigdy nie podejście do jego stołu, pomyślał. Prędzej ziemia się otworzy i ją pochłonie, prędzej tajemne moce uniosą ją za włosy przez powalę albo też przepadnie w następnym momencie, jak zjawa, aniżeli świat okaże się tak wielkoduszny, że pozwoli mu znów ją objąć.

I nagle stała przed nim, realna, zdenerwowana, ona. Nawet teraz, po tylu miesiącach bez niej, nie był w stanie powiedzieć, czy jest przystojna. Jej twarz była twarzą Nory i tylko taką oceną mógł ją obdarzyć.

Wstał.

- Ale wariat to z ciebie niezły... - powiedziała.

- Może i tak.

- Nieważne. Witaj w Wielkim Mieście, Max. Dobrze wyglądasz.

- Utyłem.

- Gdzie tam, ledwie ci trochę przybyło i już.

- A ty wyglądasz świetnie.

- Naprawdę? - Dotknęła fryzury nad uchem i nagle uśmiechnęła się do niego. Zapomniał już, jak drobne miała zęby. - Przepraszam za tę sprzeczkę przez telefon.

- Brakowało mi naszych sprzeczek, muszę ci powiedzieć.

- Zawsze byłeś masochistą.

- Czyżby?

- No bo co innego cię trzymało?

Nie powiedział jej, co. Wyczuwał podświadomie, że powściągliwość będzie teraz najlepszą strategią. Wpatrywali się w siebie dalej, milczenie nabierało jakby wymowności. Spięta, sięgnęła machinalnie do kolczyka...

nie mógł się powstrzymać, zrobił niezgrabny krok w jej kierunku. Zadarła brodę.

- Nie - powiedziała. - Nie staraj się mnie dotknąć, proszę.

Zabolało.

- Dlaczego?

- Bo pamiętam, co się działo, gdy mnie dotykałeś.

- Takie to było nieprzyjemne?

- Wiesz dobrze, że nie.

- Więc czemu nie spróbować znów?

- Max, proszę...

- Nawet przyjacielski uścisk, jak po długim niewidzeniu?

Pokręciła głową przecząco.

- Dobrze - rzucił siadając. - I tak nie byłby zresztą przyjacielski.

- Co ty nie powiesz... - Usiadła naprzeciw niego. Po chwili zadała mu jeszcze bardziej kąśliwe pytanie. - To gdzie masz zamiar rozgościć się w Nowym Jorku?

Zerknął na torbę stojącą na podłodze i odparł dyplomatycznie: - To zależy. Właściwie nie zorganizowałem sobie jeszcze niczego.

Nie odpowiedziała zaproszeniem do siebie.

Trzymał się cały czas mocno w garści. Nic jak dotąd nie zostało ustalone. Nie przyjechał przygotowany na walkę, ale jeśli będzie konieczna dla odzyskania Nory, da z siebie w tej walce wszystko. Najważniejsze to nie poddać się przedwczesnej rozpacz, osłabiłoby to tylko jego pozycję.

Wymusił na twarzy uśmiech.

- To co teraz pijasz?

Wiadomość o śmierci jego matki odebrała ciężko. Przez długi czas paliła w milczeniu papierosa, zwrócona pozbawioną nagle napięcia twarzą w stronę ludnego Sheridan Square. Zachodzące słońce pokrywało wszystko nierealną złocistą patyną, jak w Technikolorze. Przez chwilę wydawało mu się, acz nie miał pewności, że jej oczy pełne są łez. Spojrzała na niego w końcu, uniosła swoją wódkę z tonikiem.

- Boże, strasznie mi przykro, Max. Lubiłam twoją matkę, sam wiesz.

Była taka... taka głęboko prawdziwa. Biedaku... Wszyscy ci bez przerwy umierają.

- Nie wszyscy.

- Popierdolone to jakoś... - Westchnęła ciężko.

- Dopiero co mi mówiłaś, że sprawy mają się doskonale.

- I tak wszystko jest zawsze popierdolone. - Przełknęła alkohol i spróbowała uśmiechnąć się. - Ale ja nie mam co narzekać. Rzeczywiście wiecie mi się bez porównania lepiej niż przedtem, to ci mogę powiedzieć.

Chcesz to nie wierz, ale naprawdę idzie mi dobrze. W gruncie rzeczy lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

Zaczęła paplać i rozpląwać się nad urokami Nowego Jorku: - ...nazywa się Bleecker Street Cinema i rzeczywiście jest na Bleecker Street, wiesz, gdzie to jest...

Czyżby

już

zdążyła

przyswoić

sobie
słynny

geocentryzm

nowojorczyków? Skąd miałyby wiedzieć, gdzie w tym mieście jest Bleecker Street?

- ...cudowne miejsce, pokazują tylko stare filmy, nic innego, coś jak Tivoli w St. Louis, ale jeszcze lepsze. Wyobraź sobie, że zaraz pierwszego tygodnia mieli festiwal filmów MM! Trzy dni samych filmów Marilyn!

Wzięłam wolne na całą niedzielę, obejrzałam Jak poślubić milionera i Mężczyźni wolą blondynki, i Słomianego wdowca i przysięgam ci, że było jak w niebie! Jakbym umarła i trafiła od razu do raju. Ale cały Nowy Jork jest zapchany takimi rzeczami i nie musisz nawet mieć pieniędzy. W

Central Park dają darmowe koncerty, wszędzie jakieś uliczne imprezy i jak się chcesz zabawić, to wystarczy wyjść z domu i stanąć na ulicy. W St.

Louis, jak się już ugrzęzło, to koniec, a Nowy Jork to jeden wielki cyrk.

Oczywiście, że bardziej tu niebezpiecznie, naprawdę trzeba uważać, i wszystko jest znacznie uciążliwsze, od zakupów do pójścia na pocztę... A ta okolica jest tak pełna ciot, że czasami chce się rzygać. Ale w sumie warto tu mieszkać. Czuję, że żyję, Max, naprawdę żyję, pierwszy raz.

Zabolało: czy nie czuła się tak, gdy byli kochankami?

Zadawał pytania, ale to ona prowadziła rozmowę, dlatego rezolutnie nie przekraczali „tu i teraz”. Później, pomyślał, mogą omówić nie rozwiązana sprawę przeszłości, a potem... przyszłości. Tymczasem nie czuł się przegrany pozwalając jej trzymać wodze. Poza tym obgadywała swój ulubiony temat: siebie.

- Judy okazała się naprawdę wspaniała - mówiła. - Wiem, że napyskowałam na nią strasznie w St. Louis i prawdę mówiąc dalej uważam ją za specjalistkę od nabijania w butelkę, gdy chodzi o jej astrologię i całą tę resztę, ale od samego początku traktuje mnie jak prawdziwa siostra.

Faktycznie to ona załatwiła mi robotę. Jeden z jej klientów, George Stefanos, ma restaurację, w której teraz pracuję, i Judy właśnie spiknęła mnie z nim. Całkiem niezłe miejsce, muszę ci powiedzieć, zaraz tu blisko, na Czwartej Ulicy, więc pieszo jestem raz-dwa. Taka mała przytulna knajpka, greckie dania, wiesz, gyros, te rzeczy. Usługiwanie do stołu to obmierza robota, pewnie, ale tysiąc razy lepsza niż wydawanie tamtych podsmażanych góvien, naprawdę. A prócz tego z pieniędzmi ze sprzedaży domu nie muszę teraz pracować więcej niż trzy albo cztery razy w tygodniu.

- Ach, więc pozbyłaś się go?

- Był mój, mogłam sprzedać, nie? Jack Cromwell choć raz okazał się

porządny typem. Po podatku zostało mi dziewięć tysięcy! - Opadła na oparcie i uśmiechnęła się do niego szeroko. - No, jak ci się to podoba?

Ona miała pieniądze, a on nie. Świat robił się coraz dziwniejszy.

Poinformowała go potem, że wolny czas spędzała przygotowując się do eksternistycznej matury.

- Możesz mi wierzyć albo nie - powiedziała unosząc brwi - ale wkrótce będę bona fides czterdziestodwuletnią maturzystką.

Z ledwością powstrzymał się przed porwaniem jej w ramiona i zduszeniem w uścisku.

- Nora, to fantastyczne! To... Rany, no, dumny jestem z ciebie!

- Głowę dam, żeś nigdy tego nie oczekiwał, co?

- Nigdy nie wiedziałem, czego się po tobie spodziewać.

- Wiesz, jak na razie to wszystko jest wyjątkowo upierdliwe, tyle ci mogę powiedzieć. Ale Judy mi pomaga, szczególnie w matematyce, i uparłam się, żeby nie popuścić. I słuchaj, nie zgadniesz: chciałabym potem zapisać się na jakiś wydział albo na dwa w City College, znaczy, jak zrobię maturę. Mam już ich prospekty i wszystkie te papiery potrzebne, żeby się zapisać. Wiesz, jaki kierunek myślę robić najpierw? Literaturę angielską! Właśnie to. A co, przeczytałam już całego Twaina, więc część przynajmniej mam już przerobioną, nie? A potem kto wie? Może któregoś dnia będziemy mogli usiąść razem jak dwa takie mędrki i po prostu... -

Przerwała nagle, roześmiała się i pokręciła głową. - Jezu, jak ja potrafię gadać!

Uśmiechnął się do niej, ale nie było mu bynajmniej do śmiechu.

Zmieniła się, i to na lepsze. Niezdrowy klimat Nowego Jorku jej, jak się okazało, wychodził na zdrowie. Wyglądała dobrze, wypełniła się lekko, zaokrągliła nieco na twarzy, jak gdyby zaznaczając w ten dostrzegalny dla innych sposób nową sferę ducha. Nie żałował jej oczywiście tego szczęścia, jakże mógłby, na litość boską, przecież ją kochał! Musiał jednak przyznać, że wszystkie te nowiny składające się na pasmo jej najświeższych sukcesów sprawiały mu ból. Był zazdrosny. Nie potrafił

powiedzieć, czego dokładnie jej zazdrościł, ale przełknąć musiał gorzki fakt: jej radość nie miała z nim nic wspólnego.

Spytał ją zduszonym głosem, czy ucieszyła się z jego przyjazdu.

Ściągnęła usta i odwróciła wzrok w kierunku majaczących tłumów na Sheridan Square.

- To zależy - odparła.

- Od czego?
- Od tego, czego chcesz.
- Wiesz dobrze, czego chcę.

Uderzyła dłonią w stół. - Szlag by cię trafił! Nie wiem, czego chcesz! Pewna byłam, żeś już sobie kogoś znalazł i zapomniał o mnie, a tu proszę, nagle się zjawiasz! Sensu w tym za grosz! Mam swoje życie, rozumiesz to?

Pierwszy raz w życiu mam wreszcie normalne życie i zdechnę, a nie dam sobie tego zabrać. Więc czego chcesz ode mnie? Wiem, że nie masz zamiaru się ze mną żenić, wiem też, że nie możesz zostawić pracy w agencji, więc co ma oznaczać ta cała podróż? Chciałeś po prostu wpaść tu i przelecieć mnie parę razy na pamiątkę starych dobrych czasów czy co?

Stał przed nią, opierając się dłońmi o blat dzielącego ich stołu.

- Chcę tego z powrotem - powiedział.
- Czego?
- Nas.
- Nas już nie ma.
- Skąd ta pewność?
- Bo... - zaczęła sięgając po papierosa i odwracając równocześnie wzrok
- bo... jestem z kimś innym.

Powoli opadł na krzesło.

Spojrzała na niego ze współczuciem wilgotnymi oczami.

- Nie gniewaj się. Przykro mi, żeś musiał zrobić taki kawał drogi, by się właśnie tego dowiedzieć...

Wyczerpanie zmogło go. Cały ten czas bez niej zdawał się być stromym zboczem, które pokonywał, dzisiejsze z nią spotkanie niebotycznym wierzchołkiem, a teraz, gdy wreszcie stanął na szczycie, odkrył, że nie ma tu czym oddychać, o co się oprzeć, na czym spocząć... nie ma niczego poza okrutnym, do kości przejmującym znużeniem i porażką, i jedyne, co chciał zrobić, to zamknąć oczy, zaprzestać walki, wycofać się. Jak gdyby dla powstrzymania tego impulsu otworzył szerzej oczy, mrugając powiekami.

- Myślałem, że mieszkasz u Judy - przyznał.
 - Mieszkałam zaraz po przyjeździe. Ale potem pojawił się George.
 - George?
 - George Stefanos, wspominałam go już, właściciel restauracji, pamiętasz? Sąsiad Judy z tego samego piętra, także jeden z jej klientów.
- Jezu, cały dom właściwie do niej przychodzi! Tak czy inaczej George

ubóstwia całe to gówno: astrologię, tarota, poprzednie wcielenia, piramidy, nie ma rzeczy, na którą nie dałby się nabrać. W życiu nie spotkałam równie przesadnego człowieka. Za każdym razem, gdy wsiada do taksówki, musi się przeżegnać, co może nie jest nawet taką złą rzeczą, jak sobie o tym pomyślę... - Przeszła się uśmiechać, jakby wyczuwając jego cierpienie. -

Siedział właśnie z Judy popijając kawę, tego dnia, gdy przyjechałam. A w niecały miesiąc później przeprowadziłam się do niego.

- Miłość od pierwszego wejrzenia, można powiedzieć - orzekł i wtedy przypomniał sobie, że sam wprowadził się do niej po tygodniu. - George Stefanos. Grek? - Chciał się dowiedzieć, jak gdyby miało to cokolwiek zmienić.

- Tak.

Jak mógł być tak głupi, bezmyślny i egoistyczny, by nawet nie rozważyć możliwości, iż miała jakiegoś kochanka? Była tu od Bożego Narodzenia, kobieta o wielkim seksualnym temperamencie, nie pozbawiona swoistego magnetyzmu, znanego mu aż za dobrze. Opętany od dawna myślą, że Nora nie pasuje do niego, przeoczył zupełnie fakt, że może przecież doskonale dobrać się z kimś innym. Odkrył, że nienawidzi tego nie znanego sobie Greka i pohamował się. Cóż takiego zrobił George Stefanos poza poddaniem się - jak on sam - tej samej tajemniczej pasji? Nie było na świecie dwóch mężczyzn mających ze sobą więcej wspólnego, bratnie dusze dzielące tę samą celę więzienną.

- To dobry człowiek - mówiła Nora. - Oczywiście niepodobny w ogóle do ciebie, znaczy, trudno go nazwać wyrafinowanym. Jest tu właściwie od niedawna, przyjechał z Grecji pięć lat temu, po śmierci żony, i tyrał cały ten czas, jak czarnuch, żeby dojść do tego, co ma. Jezu, żebyś ty widział, jak on pracuje: dwanaście, czternaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Jest solidny, można na nim polegać i chyba mnie naprawdę kocha. I jeszcze jedno: uważa, że nadaję się dla niego. Do ciebie nigdy nie pasowałam i nie cierpiałam tego jak cholera. Ech, nigdy się dla nikogo nie nadawałam, dopiero z George'em...

Musiała chyba dojrzeć jego ból, bo odwróciła nagle wzrok.

- Zapomniałaś powiedzieć o jednym - zauważył.

- No?

- Czy ty go kochasz.

- Pewnie że tak.

- Tak samo jak mnie? .

Wpatrywała się w widmowy tłum na Sheridan Square.
- To trudne pytanie - przyznała.

Nadzieja
błysnęła
maleńkim
światełkiem.

Przełknął
resztę

rozcieńczonego wodą alkoholu ze swej szklanki.

- Zrobisz coś dla mnie? - zapytał.

- Zależy co.

- Poznaj mnie z nim.

- Max, do cholery! Po jakiego diabła chcesz go poznać?

- Chyba jestem ciekawy.

- A jeśli po prostu ci o nim opowiem?

- Noro, proszę: chcę go poznać. Chcę go zobaczyć, zobaczyć was razem oboje. Nie wiem właściwie, dlaczego, może po to, żeby wrócić wiedząc dokładnie, jak wygląda teraz twoje życie, jeśli nie mogę wrócić z niczym innym.

Rozpoczął zatem swoją kampanię. Nie mówił jej wszystkiego, był dwulicowy, grał blefując. Chciał poznać Stefanosa, żeby móc go ocenić i zdecydować, przeciwko komu będzie musiał walczyć. Wiedział bowiem w tym momencie, że nie da za wygraną. Jedyne, co mógł zrobić, to wrócić do St. Louis, zamknąć się w skorupie i trwać niczym żywy trup. Był

rozpaczliwie zakochany, dzięki uczuciu znalazł się w rozpaczliwej sytuacji i myśl o jakimś rozpaczliwym przedsięwzięciu nie dość, że nie przerażała go, ale napełniała swoistym natężonym spokojem. Taki spokój, pomyślał, musiał zapewne opanować opiewaną przez Tennysona brygadę lekkiej jazdy tuż przed pamiętną szarżą pod Balaklavą: nieważne, jakie były jej efekty, nieważne, że dowódcy dający rozkaz do ataku zapisali się w historii jako wyjątkowi głupcy.

Pochylił się do przodu. - Zrobiłem cholerny szmat drogi nie po to, żeby walić teraz głową w ścianę - powiedział. - Nie sądzisz, że mogłabyś mi zrobić tę małą grzeczność?

- Nie prosiłam cię tu, chyba wiesz. - I jakby dla złagodzenia tych słów dodała: - A poza tym, czy nie będziesz się czuł skrępowany widząc nas razem?

- Gorzej już czuć się nie mogę. No, nie upieraj się, Nora. Nie musi wiedzieć, kim jestem, wystarczy, że przedstawiś mnie jako starego

znajomego z St. Louis, jednego z twoich szefów z Pałacu, obojętnie co.

Wiem przecież, że potrafisz zmyślać na zawołanie... Dlaczego miałyby cokolwiek podejrzewać? Wyglądam zresztą bardziej na twojego syna niż na kochanka.

- Dziękuję ci bardzo.

- Czy on jest zazdrosny?

- Nie. A swoją drogą, ciekawe co z niego za Grek. Większość Greków prędzej by zabiła, niż pozwoliła mi choćby spojrzeć na innego mężczyznę.

Ale George nie jest taki.

- Będzie teraz w restauracji?

- Zawsze siedzi w tej knajpie.

- Więc co byś powiedziała na złożenie mu wizyty i wypicie kieliszka ouzo?

Przyglądała mu się przez chwilę.

- Ty naprawdę masz coś nie po kolei, wiesz? - orzekła w końcu.

Rozdział dwudziesty

Cudowny zapach, mieszanina oregano, cynamonu i baraniny skwierczącej na węglu drzewnym, gwałtowne dźwięki buzuki w powietrzu.

Wnętrze mieściło zaledwie siedem czy osiem stolików, każdy zajęty, a wszystkie tak ściśnięte, że goście zdawali się nieustannie trącać łokciami.

Dwaj ubrani na ciemno kelnerzy manewrowali w wąskich przejściach niczym pełne powagi szczury w korytarzach labiryntu. W jednym końcu pomieszczenia była długa, nie lśniąca przesadną czystością kuchenna lada, za którą uwijał się czarny kucharz.

Jeśli zapomnieć o oczywistym dystansie kulturowym dzielącym ją od Dogtown, to restauracja, pomyślał, wygląda jak specjalnie stworzona dla Nory: chaotyczna, prosta, poziomem higieny odbiegająca raczej od amerykańskich norm. Stała teraz obok niego przyciskając torebkę do piersi i przyglądając się wnętrzu z kamienną twarzą. Jeden z kelnerów machnął

do niej przyjaźnie ręką, odpowiedziała krótkim skinieniem głowy. Takiej Nory nigdy nie spodziewał się zobaczyć: pełna królewskiej godności przyjaciółka właściciela całego przybytku, traktująca personel z należną mu chłodną rezerwą. Zapominał oczywiście, ile bólu musiało jej to sprawiać. W normalnych warunkach zachowywałaby się pewnie jak jedna z ferajny: pyskata i beztroska niczym niedorostek-pomywacz z upchniętym w kieszeni dzinsów nie dopalonym jointem. Poprowadziła go do stolika pod oknem,

gdzie pochylony pracowicie nad płachtami popołudniówki siedział samotny mężczyzna o szerokich, mocarnych barach. Odsunięta filiżanka wyglądała przy jego ogromnym ciele jak przeniesiona z serwisu dla lalek. Rękawy białej koszuli podwinęte miał wysoko, za łokcie, różowe kółko łysiny na czubku głowy przywodziło na myśl środek strzelniczej tarczy. Zobaczył, że mężczyzna przesuwając grubym palcem po tekście, wymawiając przy tym bezgłośnie wyrazy w miarę ich czytania.

- George... - powiedziała.

Mężczyzna ruszał dalej ustami, zaczytany w *The Midnight Globe*.

- George, hejże! Malakis.

Nie miał pojęcia, co oznacza to słowo, ale sam fakt, że znała choćby jedną grecką sylabę, że zawędrowała tak daleko, w świat innego mężczyzny, świat zupełnie mu nieznaną, wywołał w nim ból nie mniejszy, niż gdyby był świadkiem ich pocałunku. Zaciśnął dłoń na rączce torby.

George podniósł głowę znad gazety i błysnął białymi zębami w szerokim, ujętym w nawias gęstych wąsów uśmiechu. Przypominał

niepokojąco Horowitza: takie samo ogromne cielsko, poszarpane opadające wąsy, szeroka twarz o ciężkich szczękach, znajome połączenie smutku i dobroci w oczach, czarnych i wilgotnych niczym dojrzałe oliwki. Równie krępujący był jego wiek: mężczyzna musiał już być po pięćdziesiątce.

Oczywiście zgodnie z powszechnym mniemaniem taki właśnie powinien być kochanek czterdziestoletniej kobiety, tym niemniej spodziewał się nie wiedzieć czemu kogoś znacznie młodszego.

- Kto niby ma być malakis? - spytał ją George.

- Ty. Przerwę sobie robi, gdy tu tylu gości...

- A kto tu jest szefem, co? Możesz mi powiedzieć? - Spojrzał czarnymi oczyma na Maxa. - Hej.

- Hej - odparł dziwiąc się, że uśmiecha się przy tym tak naturalnie.

- George, poznaj Maxa. To mój stary znajomy z St. Louis, przyjechał tu z wizytą - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Mężczyzna uniósł się nieco z krzesła i wyciągnął do niego dłoń. Jego uścisk znamionował siłę zdolną ochronić przed huraganem.

- Bardzo przyjemnie poznać - rzucił. - Bardzo przyjemnie.

Max zapewnił go, że on również cieszy się ze spotkania.

- To kłapnijcie. Proszę, siadajcie... - poprawił się George.

Nora wybrała miejsce najbardziej oddalone od nich obu. Z torebki

wyciągnęła paczkę winstonów. Usiadł, postawił torbę obok na podłodze i spróbował przybrać w pełni zrelaksowaną pozycję. George kiwał głową i uśmiechał się. Nora wypuściła gwałtownie dym przez nos.

- Aha... - powtarzał George. - Aha...

- Max przyjechał właśnie niedawno z St. Louis - odezwała się zduszonym wciąż głosem.

- St. Louis, Missouri, tak? - spytał George.

- Zgadza się - odparł.

- Kowboje i Indianie, tak?

- No, niezupełnie, ci byli o wiele dalej na zachód.

- Co ty nie powiesz? Kowboje i Indianie, jasna sprawa! - George uderzył w stół dla poparcia swych słów.

Czyżby Nora nie zdążyła jeszcze zaznajomić go z geografiją? A może nie pisała ani słowem o swym rodzinnym mieście, dawnym życiu? Wcale by go to nie zdziwiło.

- Jesse James. Słyszałeś o nim?

- Pewnie - odparł.

- No więc, powiedz mi teraz: gdzie była jego kryjówka, jak nie w Missouri? Mam rację? A Pony Express? Też Missouri! - George odchylił się do tyłu chichocząc. - Coś tam o tym Dzikim Zachodzie załapałem, nie bój nic! Louis UAmour, czytałeś coś jego? To mój ulubiony pisarz amerykański.

- Eee tam - powiedziała. - Wszystko, co czytasz, to te gówniane brukowce.

- Uczę się z nich języka - George zwrócił się do niego z usprawiedliwieniem. - The New York Times, kto to może zrozumieć? Ale ta - postukał palcem w pierwszą stronę rozłożonej gazety - ta jest łatwiejsza.

- O czym właśnie teraz czytałeś? - spytał go.

- Całun Turyński, znasz sprawę?

- Słyszałem coś niecoś.

- Zdziwiający. Mówią tu, że uczeni są... skonsternowani, dobrze mówię?

- Skonsternowani, dobrze - potwierdził.

- Po prostu nie do uwierzenia.

- Zwyczajne zawracanie głowy, nic innego - włączyła się znowu do rozmowy Nora. Poprawiła się niecierpliwie na krześle. - Moglibyśmy się czegoś napić, George?

- Pewnie, pewnie.

Kiwnął na kelnera. Zamówiła wódkę z tonikiem, Max poprosił o ouzo, George pozostał przy kawie. Jeśli zorientował się w jej ponurym nastroju, nie okazywał tego po sobie, trwając bezustannie w uniesieniu niczym młokos.

Przez
cały

czas

rozmowy
zajęty
był

perfekcyjnym

porządkowaniem stołu dla swych gości, czyniąc to z drobiazgowością, która Maxowi wydawała się nieprzyjemnie znajoma: złożył troskliwie gazetę wygładzając kantem dłoni wszelkie załamania; poprzestawiał garść ustawionych pośrodku stołu przyborów - plastikowe butelki z musztardą i ketchupem, pojemnik na serwetki, cukiernicę, solniczkę i pieprzniczkę - z dokładnością właściwą reżyserowi reklamowego filmu, szykującemu plan do zdjęć; nawet w tej chwili strącał niewidoczne okruchy i rozprostowywał

nie istniejące fałdy ceratowego obrusa w biało-niebieską kratkę. Możesz sobie darować, przestrzegał go bez słów Max, żadne czary ani zaklęcia nie odpędzą złego licha. Już za późno, już jest tu, siedzi przy tym stole. Myślał tak, choć w gruncie rzeczy nie bardzo potrafił wyobrazić sobie siebie jako niebezpiecznego intruza; zdążył już polubić George'a, w tym był problem.

Nora nie przesadziła w swych opowieściach: był rzeczywiście wielkoduszny, pogodny, prostolinijny. A więc, jeśli jemu nie uda się zrealizować swego zamysłu, przynajmniej ona pozostanie w dobrych rękach.

Przyniesiono im trunki. Przełknął łyk ouzo - lodowato zimnego, słodkiego jak lukrecja - i wyprostował się, odsuwając od siebie czarne myśli. Był rzeczywiście przyczajonym wilkiem, groźnym intruzem, niezależnie od tego, czy George mu się podobał.

- Norę śmieszy moje czytanie - powiedział Grek.

- Raczej to, co czytasz - poprawiła go.

- No widzicie?! - Z pobłażaniem łypnął oczami w jej kierunku. - Pani profesor się znalazła. Zrobi maturę, to w przyszłym roku idzie wyżej, a teraz cały czas czyta Marka Twaina. Za głupi dla niej jestem, uważa.

Dobra, niech będzie, mówię do niej, ale teraz ty prowadź restaurację! No i co? Poprowadzisz, jej mówię, i zobaczysz zaraz, jaki to ze mnie głupek! -

Mrugnął do niej. Odpowiedziała bladym uśmiechem.

Tak wariackiego obrotu spraw, Nory karcącej swego przyjaciela za mało wybredny dobór lektur, nie był w stanie strawić tak szybko. Łyknął znów ouzo i zwrócił się do George'a: - Podoba mi się tu. Bardzo tu... domowo.

- Naprawdę? A jadłeś już tu u nas?

- Nie.

- To skąd wiesz, że nie dajemy ostatniego gówna, co? Roześmiali się obaj. George spojrzał w jej kierunku: siedziała wbijając wzrok w neutralną przestrzeń między nimi.

- A tak serio - odezwał się Grek - chcę, żeby tu było przyjemnie. Tylko

świeże produkty, wszystko robimy sami. A poza tym pracuje tu dla mnie najlepsza kelnerka w całym tym cholernym mieście!

- Trele-morele - powiedziała.

- Sam widzisz! Prawdziwa nowojorska hucpa. To lubią klienci.

Usłyszawszy wypowiedziane przez Greka słowo w jidysz odczuł coś w rodzaju kulturowego zawrotu głowy, jaki, przypuszczał, mógł przytrafić się tylko w Ameryce. Przełknął znów łyk ouzo.

- Podoba ci się tu, mówisz?

- Tak, bardzo.

- Zamów nam jeszcze kolejkę, George.

- Tobie dzisiaj nic nie jest, Nora?

- Jestem okej.

- Na pewno?

- Jestem okej.

George wzruszył ramionami i skinął na kelnera. Zaległo ciężkie milczenie. Wypił do końca swój kieliszek. George znowu zaczął strącać niewidoczne okruchy z obrusa. Nora zapaliła nowego papierosa.

- No więc tak - rzuciła. - Max i ja znamy się już kupę czasu.

- Naprawdę?

- Był moim szefem w tej knajpie z hamburgerami, co ci mówiłam.

- Patrzcie, patrzcie! I dalej siedzisz w gastronomii?

- Nie - odparł. - W reklamie.

- Reklama! No proszę! To wysokie loty, mam rację? Uśmiechnął się do Greka ponad pustym już kieliszkiem. Ouzo, szalona restauracja, dźwięki buzuki, sam fakt, że był w Nowym Jorku i że cała ta nieprawdopodobna scena odbywała się w tej właśnie chwili przy stole... wszystko to dziwnie, może nawet niebezpiecznie szło mu do głowy. Żalność ustępowała. Był teraz silny, trudny do uchwycenia, zdradziecki.

- Zgaduję, że przyjechałeś tu w interesach - ciągnął George.

- Nie, właściwie nie. Chyba że nazwiemy to interesem bardzo intymnej natury...

Nora odchrząknęła głośno. George wyglądał na zmieszanego.

- Widzisz, przyjechałem tu z St. Louis w pogoni za kobietą.

Nastroszone brwi Greka powędrowały w górę.

- Aha - rzucił. - Cały taki kawał, aż do Nowego Jorku? Ale powiedz mi: jak to jest, że taki przystojny młodzieniec musi gonić kobietę tak daleko? -

Odwrócił się z uśmiechem do Nory i znowu do niej mrugnął.

Skrzywiona, przełknęła swoją wódkę.

- Chcesz naprawdę usłyszeć całą historię? - spytał go Max.

- Pewnie, czemu nie.

- Dobrze - przytaknął. Postanowił nie patrzeć na nią wcale. - Wydawało mi się, że bardzo się kochamy... a przynajmniej ja byłem bardzo w niej zakochany, to wiedziałem. Ale nie potrafiłem tego uczucia uszanować, George. Stchórzyłem, byłem krótkowzroczny, nigdy właściwie nie doceniałem jej inteligencji. A ona była mądra i, oczywiście, wyczuła to wszystko. Uciekła więc do Nowego Jorku; przyjechałem tu za nią, bo chcę ją za wszelką cenę odzyskać.

- Poważna sprawa - orzekł George.

- Nigdy dotąd nie traktowałem niczego bardziej poważnie - zaznaczył. -

Boję się tylko, że ona tego nie pojmuje, w tym cały problem. Wierzyła, zdaje się, że to jakieś szczeniackie opętanie z mojej strony, chwilowe szaleństwo, i że z czasem mi przejdzie. Ale myli się, George, śmiertelnie się myli... I co do jeszcze jednej rzeczy też się myli: ja sam się zmieniłem.

Nie jestem już tym samym facetem, którego znała w St. Louis. Nigdy już nie odczuje, że jej nie doceniam! I nigdy więcej nie zawiodę jej, jak kiedyś.

Tyle że nigdy nie przekona się o tym wszystkim, jeśli nie będzie mogła sama sprawdzić.

Nad
stołem
przemieszczała
się

powoli

poszarpana

chmura

papierosowego dymu. George wpatrywał się w niego z takim samym skupieniem, jakim obdarzał swoją gazetę.

- Kocha jakiegoś innego mężczyznę? - zapytał.

- Tego naprawdę nie potrafię w tej chwili powiedzieć - odparł i poczuł przez skórę, że posunął się trochę za daleko.

W oczach George'a zajaśniał nieprzyjemny blask. Odwrócił się do niej, odpowiedziała na jego spojrzenie zupełnie pustym wzrokiem. Zwrócił się znowu w jego stronę; wstrząsnąwszy masywnymi ramionami wymierzył w niego swój gruby palec.

- A mógłbyś mi powiedzieć, przyjacielu, kim jest ta kobieta?

Poczuł, rzuciwszy błyskawiczne spojrzenie na jej ściągniętą twarz, że wystarczy tych tortur.

- Ależ oczywiście - odparł. - Pracuje w Macy's, w dziale kosmetycznym. Nazywa się Mildred Rogers.

Wybuchnęła głośnym śmiechem uderzając dłonią o blat.

- George, mówię ci, cały czas tylko o niej gadał. Mildred, Mildred, Mildred, ple ple ple ple. Bidulka, myślałbyś, że nikogo innego nie ma na tym zakichanym świecie, tylko ta Mildred Rogers.

- W tym właśnie rzecz - przytaknął, patrząc jej w oczy.

To wspólne bezczelne łgarstwo, dzięki któremu znaleźli się w chwilowej, ale jednak konspiracji, wytworzyło intymność i podniecenie na poły erotyczne. Wystarczyło poza tym zupełnie, by uśpić najgłębsze podejrzenia George'a. Z szerokiej twarzy zniknęło napięcie, blask oczu złagodniał. Skubnął koniec wąsa.

- No tak... - westchnął, wygładzając przed sobą obrus. - Tak...

- Więc mówię do niego, Max, czemu jej nie zostawisz? Z tego, coś mi o niej opowiadał, nie jest w ogóle warta twojego zachodu. Daj sobie spokój, wracaj do domu, poszukaj kobiety dla siebie, bardziej na twoim poziomie.

To mu właśnie powiedziałam. Ale tak samo mogłabym gadać do ściany.

- Nora nie rozumie - wyjaśnił Max - że namawiając mnie do zapomnienia o tej kobiecie, mogłaby równie dobrze kazać mi się schować w mysia dziurę i tak skończyć. Ona tyle dla mnie znaczy... - Czuł, jak melodramatycznie musiało to zabrzmieć, ale wiedział równocześnie, że Nora, przepadająca za ckliwością stylu country i biografiami tragicznych gwiazd ekranu, z pewnością stanie będzie wdzięcznego odbiorcę tego typu dętej retoryki. Nie czuł zresztą mówiąc to, by przesadzał choć w najmniejszym stopniu.

Zmarszczyła czoło. Powoli zaczęła przesuwać trzymaną między dłońmi szklankę. Chciał bardzo, by spojrzała na niego, ale uparcie nie odrywała wzroku od trunku.

George gorliwie pochylił się ku niemu, wspierając owłosione ramiona na blacie stołu. - Bardzo kochasz tę dziewczynę, nie?

- Bardzo.

- Więc posłuchaj mojej rady. Porozmawiaj z nią. Powiedz jej, co czujesz. Odłóż na bok swoją dumę, rozumiesz? Najważniejsze, żeby się porozumieć! Mam rację, Nora? Nie bądź uparty, przyjacielu.

- George, dzięki. Nie będę, bądź spokojny.

- Czy ty się czasem nie spóźnisz na swoją randkę? - spytała go.

Spojrzał na zegarek.

- No, kochani, zdaje się, że zapomniałem zupełnie, która to godzina.

- Pogadaj z nią - powtórzył George.

- Na pewno.

- Powodzenia, chłopie.

- Dziękuję raz jeszcze, George.

Wstała również, przewieszając pasek torebki przez ramię.

- Zobaczymy się później - rzucił do niej George.

- Niech ci się uda ta noc - odpowiedziała mu i wyprowadziła Maxa z restauracji.

Zdawało mu się, że tłum na Sheridan Square zgęstniał po zapadnięciu zmroku. Prowadziła go w sobie tylko znanym kierunku szybkim, charakterystycznym dla Nowego Jorku tempem, trzymając go pod ramię, gdy przedzierali się pod prąd strumienia nacierających ciał.

- Wściekła jesteś na mnie? - zapytał.

- Boże mój, sama nie wiem. Ale z całą pewnością nigdy nie widziałam, żebyś kogoś traktował z tak cholerną bezczelnością.

- Bo to takie dobre chłopisko. Lubię go.

- A czemu niby miałbyś go nie lubić?

- Ma to, czego ja pragnę...

Przyśpieszyła kroku.

- Aha, a co znaczy malakis?

- Palant, można powiedzieć. Chcesz, żeby cię Grek rozerwał na strzępy, to nazwij go malakis.

- Dzięki za wskazówkę.

- Jezu - prychnęła - nie chciałam go tak bujać, nienawidzę tego! Czasem

jest jak małe dziecko, uwierzy w każdą bzdurę, jaką mu opowiem. To wcale nie jest zabawne skłamać komuś takiemu... Zupełnie jak wyżywać się na bezbronnym.

- A mnie, jeśli chcesz wiedzieć, okłamywanie go sprawiło frajdę.

Spojrzała na niego. - Co się z tobą stało, Max?

- Nie rozumiem cię.

- Zawsze byłeś czysty jak łąza...

- Nikt nie jest czysty jak łąza.

- George jest. To mogę ci od razu powiedzieć.

Wyminęli jeszcze parę osób.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

- Z powrotem do mnie. Mam jakąś gorzałę...

- Nie sądzisz, że wypiliśmy już wystarczająco?

- Nie.

- A nie boisz się tego, co się może zdarzyć?

- Nie pozwolę, by się zdarzyło.

Stanęli wreszcie przed wejściem. Wyciągnęła z torebki przyczepione do niej na łańcuszku kółko obwieszane ciasno kluczami i otworzyła drzwi do westybulu. Następne drzwi, kolejny klucz i znaleźli się w wymalowanym zieloną matową farbą holu, dokładnie naprzeciw windy. Postawił na posadzce torbę i rozprostował palce dłoni, by przywrócić im krążenie. Nora naciskała niecierpliwie guzik windy.

- No, już, chodźże, cholera, no!...

Z westybulu weszło dwóch młodych mężczyzn. Obejmowali się ramionami, wybuchy śmiechu rykoszetem odbijały się od ścian. Jeden z nich, umięśniony niczym goryl, taszczył wypchaną torbę zakupów. Drugi wyglądał jakby dopiero co wrócił z konkursu piękności: gładko ogolona szczęka, złote kółko w jednym uchu, imponująco owłosiona pierś.

Drzwi windy otworzyły się. Weszła do środka i stanęła w głębi skrzyżowawszy ramiona.

- Poczekajcie, błagam! - krzyknął mężczyzna z zakupami. - Czy możecie chwilę poczekać?

Uprzejmy jak zwykle, Max przytrzymał drzwi. Nora skierowała w sufit wzrok pełen przesadnego obrzydzenia. Mężczyźni weszli do windy.

- Ach, dziękujemy wam bardzo - zwrócił się do niego ten z zakupami. -

Uratowaliście nam absolutnie życie. - Drzwi windy zatrzęsły się, zamykając ich w powietrzu przesyconym wonią alkoholu i wody kolońskiej.

Mężczyzna z torbą miał na sobie podkoszulek bez rękawów, ale mimo dobrze umięśnionych ramion nie sprawiał wrażenia zdrowego: twarz miał ziemistą, pokrytą głębokimi dziobami, skóra wokół oczu miała żółtawy odcień. Zachowywał się, jak gdyby dopiero teraz zauważył Norę. -

Och, czyż to nie nasza Królowna z Siódmej Alei? Jak się masz dzisiaj, Nora, kochanie?

- Danny, mówiłam ci już, przestań się wygłupiać z tą zasraną królowną.

- Ależ wiesz wszak doskonale, że to tylko z podziwu dla ciebie, Nora. Jesteś tak oryginalną postacią...

- I kto to mówi...

Danny aż przysiadł w wybuchu śmiechu. Opadł w tył na mocarną pierś Pięknisia udając, że zbrakło mu całkowicie sił, w końcu jednak przyszedł do siebie na tyle, by błysnąć oczami w kierunku Maxa.

- A kogo tu mamy? - zwrócił się do Nory z pytaniem. - Nowy nabytek? Musisz nas koniecznie poznać.

- Nie jest w twoim typie.

- Pozwól mi zgadnąć: twój syn...

- Nie, mój ojciec.

- Niemożliwe! Wygląda wszak jak wykapany Adonis. Na czym polega sekret jego młodości?

- Nikt mu w dupę nie wchodzi.

Danny'ego ogarnął taki paroksyzm śmiechu, że zakupy zaczęły wysuwać mu się z rąk. Winda stanęła, drzwi się rozsunęły. Wyszła dumnym krokiem, podążył za nią złapawszy znów swoją torbę.

- Dobrej nocy, Nora kochanie, pa!

Korytarz wymalowany był brudnobiałą farbą. Cementowa podłoga niosła rytmiczny stukot jej pełnego zniecierpliwienia, szybkiego nowojorskiego kroku.

- Jezu, jak ja nie znoszę tych ciot! Wiem, wiem, to też ludzie, nie próbuj na mnie napadać, ale po prostu ich nie lubię i już! A tu, cholera, mamy chyba w sąsiedztwie światową stolicę pedryli. Słuchaj, możesz sobie wyobrazić, że George, ja i Judy jesteśmy jedynymi normalnymi ludźmi w tym sakramenckim domu? Zrzygać się można! Jasne, niektórych da się łatwo znieść, ale na pewno nie tych, co to muszą ci uparcie przypominać o swoim pedalstwie, jak ten Danny na przykład. - Stali przed jej drzwiami, pochylona usiłowała trafić kluczem w zamek. - I wszyscy z jakiegoś powodu mnie akurat lubią. Zupełne wariactwo...

- To dlatego, że jesteś doskonałym partnerem do takich przekomarzanek - orzekł.

Podniosła na niego wzrok.

Nagle pochylił się ku niej bezradnie i musnął suchymi wargami jej policzek.

- Nie.

- Noro, raz, na miłość boską!

- Nie...

Ale raptem poczuł jej usta na swoich, jej dłonie wbiły mu się pod łopatki, język przeszył mu serce. Pocałowała go z taką gwałtownością, jakby chciała dać upust nagromadzonej złości. Jej woń, jej dotyk zmogły go i przez chwilę zatracił się zupełnie.

Szybko jednak uwolniła się z uścisku i odepchnęła go gwałtownie.

Plecami uderzyła głucho o drzwi.

- Cholera, Max! Niech cię jasna cholera weźmie! - Stała przed nim i odrzuciła zebrane włosy do tyłu. - Czy nie prosiłam cię, żebyś mnie nie dotykał?

- Dobrze ci było! Dobrze ci teraz ze mną było, wiesz sama doskonale!

Czemu mnie odepchnęłaś?

- Z tego samego powodu, dla którego przyjechałam do Nowego Jorku, baranie! Żeby uciec od ciebie.

- Czemu chciałaś uciec?

- Bo nic nas nie może trzymać razem. Czy nie... - Pokręciła głową, jakby chciała się od czegoś uwolnić. - Czy ty nie rozumiesz, że ja jestem dla ciebie nic, koniec, beznadzieja? Czy nie będziesz chciał kiedyś założyć rodziny? Nie chciałbyś prowadzić zwyczajnego życia, mieć dzieci, być jak normalny człowiek?

- Nie sądzę.

- Ale ja wiem! Przysięgam Bogu, że jesteś takim samym gówniarzem jak George! Będziesz tego chciał, Max, a ja ci nie jestem w stanie tego dać.

Gdybym została z tobą w St. Louis, któregoś ranka spojrzalbyś na mnie po przebudzeniu i od razu to skapował. I skoczylibyśmy sobie do gardła.

Wiem, co mówię, Max. Naprawdę nie widzisz, że tak by właśnie było?

- To twój scenariusz, nie mój.

- Kurwa, jak taki inteligentny facet może być takim głupcem?

- Wracaj ze mną do St. Louis, Nora.

Jej związane w ogon włosy znów zaczęły smagać ramiona.

- Przecież ty mnie nawet nie słuchasz! Nawet mnie nie potrafisz przekonać! - Mrugała powiekami, oddychając gwałtownie. - No dobrze, powiedzmy, że wróciłabym z tobą do St. Louis. Co takiego specjalnego możesz mi zaproponować, co lepszego od życia tu?

- Na przykład małżeństwo?

- A, idź w cholerę! Max, skąd ci przyszło do tego pustego łba, że chciałabym w ogóle wyjść za ciebie? Nigdy nie lubiłam małżeństwa. Zawsze byłam do dupy w takim związku.

- George o tym wie?

- Przyzwyczajam go powoli.

- Więc wracaj do St. Louis i po prostu żyjmy razem.

- Mnie tu dobrze. Rozumiesz? Tu mi się podoba i tu zostaję. Nigdy nie wrócę do tego tam zadupia, nie, nie ma siły!...

- Przecież mogę zawsze zorganizować nasze życie inaczej!

- Daj sobie spokój. Zostaję tu z George'em.

- Kochasz go?

- Przestań mnie o to pytać.

- Kochasz go czy nie?

- Jestem z nim. Kocha mnie, jest dla mnie dobry, nie zostawi mnie na lodzie... wystarczy? Po jaką cholere mam odrzucać wszystko dla faceta, który wstydzi się pokazać ze mną w towarzystwie?

A więc tak. Wreszcie dotarła do korzenia, dotknęła odkrytego nerwu.

Teraz on skrzyżował ręce na piersiach. - Zmieniłem się - powiedział. - Coś podobnego więcej się nie zdarzy.

- Tak? A ja jestem Marilyn Monroe! Możesz gadać, co chcesz, dlaczego miałabym ci wierzyć?

Nie miał na to odpowiedzi.

- No więc przypuśćmy, że wracam z tobą. Ile, sądzisz, to jeszcze potrwa? Myślisz, że będziesz mnie dalej chciał za dziesięć lat, gdy ja będę po pięćdziesiątce, a ty nawet czterdziestki nie przekroczysz?

- Tak.

- To tylko słowa, Max! Nic innego, jak piękne słowa. Muszę sobie bez przerwy przypominać, że przecież w tym jesteś właśnie najlepszy, bo w restauracji, to powinieneś wiedzieć, już prawie byłam gotowa wracać z tobą. Gotowa, jak słowo daję!...

- Nora, jak mam cię do kurwy nędzy przekonać o czymkolwiek, skoro nie wierzysz ani jednemu mojemu słowu?! Co mam zrobić? Żyły sobie podciąć

czy jak? Co mam zrobić, Noro?

- Jechać do domu - odparła.

W drzwiach jednego z mieszkań stanął wysoki Murzyn w płaszczu kąpielowym i w turbanie z ręcznika na głowie. W dłoni trzymał puszkę piwa i uśmiechał się do nich.

- Chciałbym tylko powiedzieć - odezwał się - że według mnie robicie to świetnie. Pierwszorzędny, nie do obicia pokaz! Tylko czy moglibyście odstawić to odrobinę ciszej? Właśnie oglądam Grand Hotel i przy was wysiada zupełnie.

- Pierdol się - poradziła mu.

- Czułem, że zrozumiecie... - Murzyn wycofał się w głąb swego mieszkania, zamykając bezgłośnie drzwi.

Odwróciła się znów do niego. - Chyba już lepiej idź - rzuciła tym samym zdławionym głosem, jakim mówiła w restauracji.

- Wciąż mnie kochasz.

- To ty tak myślisz.

- Nie opowiadaj bzdur, Nora...

Zadarła do góry brodę.

- Kiedy... kiedy mnie dotykasz, coś się ze mną dzieje, to przyznaję.

- Tyle wiemy oboje. Mówię o czymś innym.

Tupnęła nogą jak mała dziewczynka.

- Więc dobrze, ale co z tego? Co to zmienia, Max? Czy naprawdę myślisz, że miłość to jakaś czarodziejska różdżka, którą machniesz wte i wte i wszystko od razu się ułoży? My po prostu jesteśmy z dwóch różnych światów i tego nic nie zmieni. - Podrapała się w szyję. - Zostaję tu z George'em. Rozumiesz? Więcej nie będę tego powtarzać.

Słabą pociechą był dla niego fakt, że jej oczy napełniły się łzami.

- Przykro mi, Max, naprawdę. Ale nie mogę dłużej rzucać wszystkiego, co mam, dla kilku twoich pięknych słówek.

Odwróciła się, przekręciła klucz i weszła sama do mieszkania.

Kiedy doszedł znów do siebie - nie miał pojęcia, jak długo był nieobecny, a tym bardziej, co się z nim wtedy działo - miał przed sobą gładką, całkowicie obojętną biel ściany korytarza. Głęboko wciągnął powietrze i powoli zaczął wypuszczać je nosem. Nie będzie wpadać w panikę. Jeszcze nie koniec wszystkiego. Nie miał pojęcia, co robi dalej, ale czuł aż do szpiku kości, że coś robi na pewno. Podniósł torbę i zauważył, że Murzyn w turbanie na głowie znowu stoi w drzwiach swego mieszkania.

- Wiesz co? - rzucił Murzyn.
- Max patrzył na niego bez słowa.
- Greta Garbo nic by ci nie mogła zarzucić.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Katy McCormick, ekranowe wcielenie Nory Cromwell, podniosła dłoń do koleczka w kształcie róży mówiąc: „Jasne, że oszczędzanie w Fidelity Federal nie załatwiło wszystkich moich problemów, gdzie tam! Ale przynajmniej tym nie muszę sobie łamać głowy. A dla takiej, jak ja, kobiety to naprawdę różnica”.

„Fidelity Federal - obwieścił niewidoczny głos - pewność w niepewnym świecie”.

Brandon Black, szef działu artystycznego w Sussman, Sherman & Rice, dwudziestej trzeciej co do wielkości agencji reklamowej w świecie, wcisnął klawisz przewijania na magnetowidzie, przeczesał ręką gęste blond włosy i odsuwając do tyłu swój fotel przyłączył się znowu do Maxa, który siedział w gabinecie za konferencyjnym stołem. Był to właściwie ogromny, wygładzony i wypolerowany pień sekwoi, w obrysie przypominający Australię. Black wyglądał tak, jak zgodnie z wyobrazeniami ludzi reklamy miał wyglądać człowiek reklamy: przystojny urodą posuwającego się w latach modela, w ostentacyjnie wygniecionym drogim niebieskim garniturze, o przenikliwych błękitnych oczach, w których młodzieńcza energia walczyła o lepsze ze słabnącym wyrachowaniem. Zapalił kolejnego papierosa.

- Rozumiem teraz, dlaczego Rosemary Powers tak pana wychwalała - powiedział. - Dobry materiał. Niebanalny. Podobał mi się zwłaszcza ostatni film, ten z tą lampucerą mówiącą do kamery. Wariacki pomysł. Jaką reakcję wzbudził?

- Nigdy nie wszedł na ekran. Klient wycofał go w ostatniej chwili.
 - Wariacki pomysł. Ale podobał mi się.
 - Miło mi - rzucił skubiąc kant spodni. - Nie można go oczywiście porównywać z reklamami idącymi na cały kraj...
 - O czym pan mówi? Co trzy dni wydajemy sto tysięcy na kawałki, które ani śladu tej iskry nie mają. A propos, ile was to kosztowało?
 - Siedem tysięcy.
 - No nie! U was pewnie wciąż można kupić colę za dziesiątkę, co?
- Uśmiechnął się w odpowiedzi. Black wrócił do przeglądania jego prac. Wiedział, że pochwały Blacka musi przyjmować z rezerwą: w ciągu

ostatnich tygodni wszyscy go wychwalali, nikt jednak nie zaoferował mu pracy. Black był ostatnim na liście kontaktów przygotowanej przez Rosemary; jeśli i ta rozmowa nic nie da, od jutra będzie musiał próbować wszystkich agencji po kolei, zaczynając od A. Obserwował, jak Black zamyka teczkę z pracami i odchyła się na fotelu splatając dłonie na karku, po czym przygląda mu się z ukosa ściągając usta.

- Mogę spytać pana o sprawy, które w zasadzie nie powinny mnie obchodzić?

- Niech pan pyta.

- W St. Louis otwierała się przed panem kariera, tak przynajmniej mówiła mi Rosemary. Był pan wschodzącą gwiazdą, wkrótce zwróciłyby na pana uwagę wielkie agencje. Co więc u diabła robi pan w Nowym Jorku?

Wzruszył ramionami. - A co pan robi w Nowym Jorku? Tu przecież ma być szczyt drabiny, czyż nie tak?

- Chce pan znać prawdę? Gdybym miał zaczynać wszystko raz jeszcze, zostałbym w Baltimore. Gruba ryba w małym stawie... a co w tym złego?

To nawet bardziej zabawne, jeśli chce pan wiedzieć. Ale nie o to chodzi.

Bardziej o to, że siedemnaście lat temu, kiedy ja tu przyjechałem, wciąż jeszcze można się było zaczepić. Wszystko żyło, kręciło się, bez przerwy coś się działo, późne lata sześćdziesiąte, wielkie agencje, słynne nazwiska, rozumie pan? Teraz to jedno wielkie, pieprzone bagno... - Nadal spoglądał

na niego znużonymi oczyma. - Czy ktoś panu wytłumaczył, jak tu się rzeczy mają? W naszej branży, ma się rozumieć. Czy zrobił już panu ktoś tę przysługę?

- Może pan, bardzo proszę... - odparł.

- Pieniądze robi się tu zapominając o wszelkiej lojalności wobec kogokolwiek. Każdy tekściarz, grafik czy reżyser, który uważa, że ma jakieś tam zobowiązania wobec swego szefa, to szmuk, nic innego. Po prostu jest zbyt dużo agencji, zbyt dużo możliwości się otwiera. Zaczynasz w jednym miejscu, prowadzisz jednego, dwóch klientów przez rok albo dwa, dodasz jakieś superkolorowe gówno do swoich prac i cześć, przenosisz się do innej agencji. Tak to leci. Siedzisz w jednym miejscu, czekasz na podwyżkę i co dostaniesz? Pięć procent? Ale jeśli pójdziesz gdzie indziej, możesz liczyć na dziesięć, nawet dwadzieścia procent więcej.

Wcale nie jesteś lepszy ani inny. Zarabiasz po prostu dwadzieścia procent więcej niż dzień wcześniej, tylko tyle. Taki cyrk pcheł: każdy skacze w górę, na ukos, do tyłu, w przód. - Black oderwał ręce, by zaciągnąć się głęboko

papierosem. - A zatem, niech mi pan powie, Max: jakich pan ma konkurentów? Nie faceta, który naprawdę potrzebuje pracy ani nie zdolnego młodzika z jakiejś prowincjonalnej dziury, ale szczwanego nowojorskiego profesjonalistę, który ma już za sobą pięć albo sześć agencji, wyciąga spokojnie czterdzieści kawałków i tylko szuka sposobu, jak dostać pięćdziesiąt. I przeciw takiemu właśnie typowi staje pan w szranki.

Przyjął ostrzeżenie Blacka z taką samą rezerwą, z jaką przyjmował jego pochwały. Jeśli zacznie obliczać szanse, załamie się.

- Chciałbym zadać panu jeszcze parę prywatnych pytań - powiedział Black. - Jak długo pan tu jest?

- Siedem tygodni.

- Ile takich rozmów pan odbył?

- Dziesięć, jedenaście.

- I żadnych propozycji?

- Nie.

- Powtórne spotkania?

- Jedno.

- Ale też bez dalszego ciągu?

- Zgadza się.

- Choć materiał się podoba?

- Ogólnie tak.

Black zezował przez chwilę na sufit, po czym spojrzał w jego stronę.

- Mieszka pan u przyjaciół?

- Nie, sam.

- Gdzie?

- Wynająłem umeblowany pokój w hotelu Washington-Jefferson.

- Gdzie to jest?

- Przy Czterdziestej Dziewiątej Ulicy.

- Czterdziestej Dziewiątej Zachodniej?

- Zgadza się.

- A niech to szlag! Bardzo tam przygnębiająco?

- No - powiedział - samobójstwa jeszcze nie popełniłem.

- Ale rozmyślał pan o tym...

- Szczęśliwie nie miałem zbyt wiele czasu na medytacje.

- Ostatnie pytanie i nie zwracam panu więcej głowy: ile ma pan na koncie?

- Koło tysiąca.

Black aż gwizdnął. Rozplótł dłonie i pochylił się do przodu.

- Max, podoba mi się pan. Ma pan duży talent, ale przede wszystkim jest pan facetem z jajami. Bardzo bym chciał coś dla pana u nas znaleźć, ale nie da się. Przykro mi.

Przyjął to spokojnie.

- Trudno - rzucił. - Doceniam, że poświęcił mi pan czas. Chyba dobrze pracowałyby nam się razem. I mnie jest przykro.

Black skinął głową.

- Przyjmie pan ode mnie nieproszoną radę? - spytał.

- Zależy czego będzie dotyczyć.

- Niech pan wraca do siebie - orzekł Black.

Przeszedł dwadzieścia trzy przecznice, dzielące agencję Blacka od jego hotelu, swoim świeżo przyswojonym, pośpiesznym nowojorskim krokiem.

Zapadł już zmrok, mżyło lekko, dzień był nieprzyjemny, jakby to był raczej koniec grudnia niż początek października, ale postanowił chodzić po mieście pieszo, kiedy tylko mógł. Inne sposoby przenoszenia się z miejsca na miejsce były albo odrażające, albo niepraktyczne: metro mogłoby być wymyślone przez Dantego do transportowania potępionych dusz w czeluście piekła; przepełnione autobusy były niewiele lepsze, a nie miał

zamiaru trwonić i tak malejących funduszy na taksówki. Idąc szybkim, niecierpliwym krokiem, przeciskał się energicznie przez wszechobecny tłum na chodnikach, wtapiał się w nieprzyjazny harmider i zgiełk ulicznego ruchu i niczym robak przytłoczony był przez niebotyczne ściany szkła i stali. Ten marsz pomagał mu wczuć się w toczoną walkę, skoncentrować na celu, wzmacniał go i ożywiał niczym kąpiel w łaźni parowej zakończona skokiem do lodowatej wody.

Był to jeden z tych chwytów, jakie świadomie i nieprzerwanie stosował wobec samego siebie. Prawdziwym wrogiem nie było bowiem miasto ani niedostępny światek nowojorskiej reklamy, ani George Stefanos; wrogiem była realna ocena faktów. Rozpamiętywanie niektórych z nich było zabójcze: słowa Nory (z którą przez siedem tygodni, od chwili, kiedy zamknęła mu drzwi przed nosem, nie zamienił ani słowa) wyrażały jej rzeczywiste przekonanie; szanse, jakie miał na znalezienie tu pracy, równały się niemal prawdopodobieństwu wygrania głównego losu w loterii stanowej; nie zostawił sobie żadnego zabezpieczenia, nawet na wypadek nieprzewidzianych okoliczności; pieniądze, a zatem i czas, kończyły się.

Planował czynności, jakie miał do wykonania każdego dnia, z

zawziętością wyrachowanego mordercy. Przy porannej kawie przeglądał na nowo listę kierowników artystycznych rozmaitych agencji, którą dostał od Rosemary: do kogo można się było jeszcze zwrócić, komu przypomnieć telefonem, skąd oczekiwać wiadomości. Sprawdzał stan konta i ustalał co do centa budżet dzienny. Potem sprzątał pokój, doprowadzał się do porządku, zawiązywał starannie krawat i wychodził na zewnątrz, by telefonować z ulicznej budki; w hotelu był tylko jeden automat i paru lokatorów ostrzegło go wyraźnie przed ciągłym blokowaniem aparatu. Po wyczerpaniu możliwości wracał do swego pokoju, by skorygować odpowiednio listę i, jeśli nie czekały go żadne rozmowy, zaplanować, jak spędzi godziny pozostałe mu do końca dnia. Próbował szukać zapomnienia w muzeach, ogrodzie zoologicznym w Central Park, bibliotekach, antykwariatach książkowych. Zdążył się już wybrać na szczyt Empire State Building, odwiedzić South Street Seaport, World Trade Center, siedzibę ONZ i, jakby dla ironii, dział kosmetyków w Macy's. Raz czy dwa razy w tygodniu wysuptywał pieniądze na film - zwykle jakiś podwójny seans w jednym ze studyjnych kin - choć pamięć zaprawiona goryczą kazała mu unikać wszelkich obrazów z Marilyn Monroe. Czasem spędzał popołudnia czytając The New York Times przy filiżance cappuccino w ulicznej kawiarence gdzieś w Upper West Side, nigdy w znacznie bliższej Village, gdzie, niewykluczone, mógłby przypadkiem natknąć się na Norę. Gdy nie pozostawało mu nic innego, przemierzał po prostu ulice swym energicznym, zdecydowanym krokiem. Najważniejsze to wrócić do siebie w stanie krańcowego wyczerpania. Wypijał wtedy dwie kolejki - ani kropli więcej - taniego ginu albo wódki z lodem, podgrzewał sobie coś na maleńkiej kuchence lub zjadał gotowe danie przyniesione z pobliskiej garmażerii, zagłębiał się w jakimś antykwarycznym tomiku, tak że zaśnięcie nie sprawiało mu po tym wszystkim kłopotu, z wyjątkiem niektórych wieczorów.

Sny miał wyraziste, plastyczne, obsesyjne.

Jeden powtarzał się często: przychodził na plan telewizyjnej reklamówki; aktorzy, ekipa techniczna i klient wchodzili już, a on nagle orientował się w panice, że nie ma przy sobie scenariusza i co gorsza nie może sobie nawet przypomnieć, o czym miał być film.

Którejś nocy śniło mu się, że mieszka na ulicy, pośród żebraczek, jakie żyją w otoczeniu starych toreb, zawierających cały ich dobytek, oraz innych bezdomnych dusz o pustych oczach. Grzebał w śmietniku... w poszukiwaniu nie czegoś do jedzenia, lecz całego pliku aktorskich życiorysów

artystycznych, które nie wiedzieć czemu wyrzucił tam z beztroską głupotą. Do poszukiwań przyłączyły się dwie pary rąk, ich palce zetknęły się, podniósł wzrok i zobaczył dwie kobiety w obdartych prochowcach, które wyglądały na obłąkane. Rozpoznał je: matka i Janey.

Dotychczas myślał, że śmierć Janey pozwoliła mu poznać wszystkie odcienie samotności, ale był w błędzie. Miał do czynienia z samotnością innego rodzaju, bezgraniczną i nie do uśmierzenia, która czasem całymi dniami zaciskała się na jego szyi niczym pętla, zadając mu fizyczny ból. Z

nikim się tu nie zaprzyjaźnił. Oprócz Nory, Judy i George'a, którzy nie wiedzieli nawet, że nadal był w Nowym Jorku, jedynymi ludźmi znającymi jego nazwisko byli kierownicy artystyczni odwiedzanych przez niego agencji reklamowych, paru lokatorów i pracowników domu, w którym mieszkał, oraz pełen kurtuazji właściciel antykwiariatu na Dziewiątej Alei, dokąd chodził raz czy dwa razy w tygodniu, aby odnowić swą podręczną biblioteczkę. Bywały dni, w których tak rzadko się odzywał, że kiedy wreszcie prosił o gazetę, sandwich z mieloną wołowiną czy pół litra taniej wódki, rozlegający się niski pomruk brzmiał tak, jakby się dobywał z ust kogoś innego.

Wbrew temu, czego można się było spodziewać, prawie z nikim też nie korespondował. Napisał tylko raz do Horowitza i raz do Sary Roth, oba listy pełne fałszywego optymizmu i zamierzonej dwuznaczności. Nawet listy do Rosemary były coraz rzadsze. Nie miał ochoty ukrywać swego losu ani też przelewać własnych żali na papier; przypuszczał, że zanim przydarzy się wreszcie coś dobrego, pewnie w ogóle przestanie prowadzić jakąkolwiek korespondencję.

Odzywał się skromnie, co przy codziennych pieszych maratonach pozwoliło mu zrzucić niemal całą nadwagę z ubiegłego roku. Czasami przychodziło mu do głowy, że stał się zahartowany i naznaczony szaleństwem, jak każdy urodzony nowojorczyk.

Nie przerwał marszu póki nie stanął pod pionowym neonem hotelu Washington-Jefferson. Ze zmoczonych deszczem włosów ściekała mu woda, odcisk na prawej pięcie palił żywym ogniem. Jutro, powiedział

sobie, będzie musiał pójść do biblioteki na Czterdziestej Drugiej Ulicy, jako że wyczerpał już wszelkie kontakty Rosemary, wziąć spis wszystkich agencji reklamowych w całym kraju i zabrać się systematycznie do pracy.

Od totalnej porażki dzieliła go wciąż cała masa biur i agencji. Przy odpowiedniej wytrzymałości. . ale lepiej teraz o tym nie myśleć, aby nie zapeszyć.-Wziął się w garść, by wytrzymać kwaśny odór grzybiejących ciał i

gnijących dywanów, po czym wszedł do hotelowego holu.

Minął groteskową palmę w wielkiej donicy, parę stojących na rozchwianych nogach foteli, pusty stojak na pisma, rząd białych grzejników, by zobaczyć Carla, jak zwykle przygiętego za recepcyjną ladą.

Carl był pierwszą strażą hotelu. Bez jego przyzwolenia nie mogły mieć miejsca żadne odwiedziny, on też obsługiwał hotelową centralkę. W pokoju Maxa wisiał nad przerdzewiałym zlewem wewnętrzny telefon; niekiedy odzywał się jego brzęczyk i Carl anonsował swym ochryłym głosem, że - o dziwo! - ktoś dzwonił do niego z jakiejś agencji. Zazwyczaj jednak siedział w pokoju odcięty od zewnętrznego świata, niczym larwa zamknięta w kokonie.

Nie sposób było powiedzieć, kiedy Carl sypiał, jeśli w ogóle to robił, jako że zawsze tkwił za swoją ladą, dzień czy noc, z oczami wlepionymi w czarno-biały ekran małego telewizora umocowanego powyżej przegródek na pocztę, z zapalonym chesterfieldem w ustach, niezmiennie zmagając się z atakami kaszlu, które to słabły, to znów się wzmacniały. Kaszel Carla dawał nieprzyjemny, namacalny prawie odgłos rozklejanych siłą płuc. Nie przypominał sobie, by Carl spytany o samopoczucie odpowiedział inaczej, niż lakonicznym: „Jak zawsze”. Z biegiem długich tygodni owa enigmatyczna fraza nabierała w jego uszach szczególnie ponurej głębi.

Zbliżył się teraz do recepcyjnej lady, za którą tkwił Carl, nieodmienny jak muzealne malowidło, wpatrzony w pokrzykujący telewizor, z chesterfieldem dymiącym spomiędzy palców. Charczał i chrząkał w głębi gardła.

- Dzień dobry, Carl - powitał go.

Carl skinął nieznacznie głową.

- Jakaś poczta dla mnie?

Carl pokręcił głową przecząco.

- A jak pan się dzisiaj ma?

- Jak zawsze.

Spojrzał na niego: stara pomarszczona twarz, rzadkie włosy, nos bezkształtny jak niewyrośnięte ciasto. Chciał go zapytać, czy kiedyś nie czuł się tak samo, ale nie zrobił tego. Zgorzkniały staruszek pomyślałby pewnie, że wymądrza się niepotrzebnie.

- Ja też się mam jak zawsze - powiedział i zaczął wspinać się na stęchłe schody, coraz dalej od Carla, rżącego w kolejnym ataku kaszlu.

Za każdym razem, gdy wchodził do pokoju przypominał mu się Raskolnikow przekradający się żałośnie na swą nędzną stancję, stylisko

siekiery sterczące z kieszeni płaszcza, zakrwawiona skarpetka na nodze.

Dla Dostojewskiego jego pokój byłby zapewne wielce inspirujący: mini-lo-dówka, mała kuchenka z jedną działającą płytką, przeżarty rdzą zlew, chybotliwa komoda, łóżko z materacem, który zapadał się z jękiem pod ciężarem ciała, brudne okno wyglądające na brudną ulicę i solidne dębowe biurko, jedyny porządny mebel w całym pokoju. Na końcu korytarza znajdowała się wspólna łazienka wyposażona w jeden prysznic, jedną ubikację, dwie umywalki i dwa pisuary, na dnie których leżały grube białe krążki jakiegoś środka dezynfekującego, dzięki czemu całe piętro zalatywało wonią mocnych pastylek na kaszel.

Zrobił sobie gin z lodem i przysiadł na uginającym się brzegu łóżka.

Dzisiejszy wieczór będzie szczególnie ciężki, czuł to. Brandon Black, co prawda życzliwie zainteresowany, jako pierwszy z potencjalnych pracodawców powiedział mu wprost, że to nie ma sensu. Jego słowa miały wagę wyroku surowego sędziego.

„A jeśli ci się nie uda?”, spytał samego siebie.

I odpowiedział: „Nie chrzań”.

Przełknął łyk ginu.

Za ścianą stary Fischer zaczął kręcić się po swoim pokoju: Roger i Hammerstein mieli lada chwila rozpocząć występy. Były to jedyne nagrania, jakich słuchał Fischer. Cztery albo pięć razy w tygodniu, mniej więcej koło ósmej wieczorem, zaczynał się koncert: Oklahoma!, South Pacific, The King and I, The sound of music. W którymś momencie, jak zdążył się zorientować, Fischer musiał zapadać w sen ukołyszany ich staromodną łagodnością, jako że ostatni utwór ciągnął się powtarzany automatycznie przez całą noc.

Dziś był to Carousel.

Słuchał przez chwilę, wstał, by znowu nalać sobie ginu, usiadł z powrotem na brzegu łóżka i słuchał dalej. Sam zaczynał poddawać się działaniu tych sentymentalnych dźwięków: przy słowach: „Nie będziesz już spacerował samotnie” bliski był płaczu i wtedy przyszło mu do głowy, że być może przydałby mu się właśnie teraz taki długi, oczyszczający szloch.

Ale nie pozwolił sobie na to.

Restauracja była wypełniona tylko w połowie, wydawała się jakby mniejsza i bardziej brudna niż podczas jego ostatniej wizyty przed blisko dwoma miesiącami. To złudzenie spowodowane było chyba światłem październikowego dnia, które przenikało przez okna i wypełniło wnętrze mgławicami kurzu, rozjaśniając tłuste smugi na szklanym przepierzeniu

ponad kuchennym stołem i ujawniając pominięte przy sprzątanii kąty. Nie dostrzegł nigdzie George'a ani Nory. Z podwieszonych u sufitu głośników zamiast dźwięków buzuki dobiegała knajpiana aranżacja Yesterday, tęsknie ciągnięta przez zespół smyczkowy.

Kelner z cienką kreską węża na górnej wardze chciał wiedzieć, na ile osób ma nakryć jego stolik.

- Na jedną - odparł. - Czy Nora Cromwell pracuje dzisiaj?

- Jasna sprawa.

- Może mnie pan posadzić w jej części?

Kelner zaprowadził go do małego stolika w niszy przy oknie, gdzie George Stefanos studiował przy ich pierwszym spotkaniu egzemplarz The Midnight Glohe, i wtedy zapytał: - Kogo mam jej...

- Nikogo, chcę jej zrobić niespodziankę - przerwał mu z uśmiechem i usiadł.

Kelner wręczył mu podniszczoną kartę. Odłożył ją na bok i nerwowo omiół wzrokiem wnętrze.

Szare dwuskrzydłowe drzwi rozchyliły się i z kuchni wyszła Nora, w jednej ręce trzymając składaną podstawkę, na uniesionej dłoni drugiej balansując duży owalny półmisek z daniami. Obróciła się i dostrzegła go.

Zawahała się, oczy straciły blask, półmisek zachybotał niebezpiecznie.

Opanowała się na tyle, by podejść do stolika, przy którym siedziało trzech mężczyzn w ciemnych garniturach. Jednym ruchem ręki rozstawiła podstawkę, pochyliła się i położyła półmisek, przez ramię rzucając spojrzenie w jego stronę. Z kieszeni fartucha wyjęła bloczek, sprawdziła zamówienie i zaczęła wydawać dania obchodząc stół dookoła. Coś się rozlało czy może to ona sama coś przewróciła - nie widział dobrze ze swego miejsca - wyciągnęła ścierkę i wycierała obrus przed jednym z gości, który uśmiechnął się szeroko do swoich kompanów i przyciągnął ją za łokieć, a gdy pochyliła głowę, rzucił jej coś do ucha. Jej odpowiedź

wywołała wybuch śmiechu. Zostawiwszy pusty półmisek, podeszła do jego stołu tak ostrożnie, jakby brodziła w wodzie, niepewna czy po paru krokach nie wciągnie ją głębia.

Miała na sobie białą bluzkę, czarną muszkę zawiązaną pod szyją, czerwony fartuch i czarną spódnicę. Włosy upięła w kok grożący lada moment rozsypaniem. Oczy nadal pozbawione blasku przytłaczał nazbyt niebieski makijaż. Usta miała zaciśnięte, szczękę prawie kwadratową. Nie bardzo wiedział, jak ma odczytać wyraz jej twarzy. Dotknęła muszki u szyi,

skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła na niego bez słowa.

Przełknął mocno ślinę, jakby chciał, aby serce, które podeszło mu do gardła, wróciło na swoje miejsce, i rzucił: - Witaj, Nora.

- Witaj... - Jej głos był ledwo słyszalny.
- Nie masz zamiaru przyjąć ode mnie zamówienia?
- Czego chcesz? - spytała podejrzliwie.
- Butelkę najlepszego szampana.
- U nas nie ma szampana.
- Nie szkodzi. Pogratuluj mi. Znalazłem dzisiaj pracę.

Jeden z mężczyzn siedzących przy stole wychylił się na krześle, by dać jej znak.

- Jeden z twoich gości chyba coś chce - zauważył.

Nadal mu się przypatrywała.

- Gdzieś ty się podziewał przez cały ten czas?
- Byłem tu, w Nowym Jorku.
- Jak długo?

- Właściwie od czasu, kiedy widziałem cię po raz ostatni.

Mężczyzna usiłował zwrócić jej uwagę, strzelając nad głowę palcami.

Mrugnęła za każdym trzaskiem, nie odwracając jednak wzroku od Maxa.

- Co mam rozumieć przez „właściwie”? - zapytała.

- Musiałem pojechać na parę dni do St. Louis - odparł. - Wiesz, zapłacić za mieszkanie, oddać meble do magazynu, takie tam drobiazgi. Ale poza tym byłem w Nowym Jorku.

- Nora! - zawołał wreszcie głośno mężczyzna.

Odwróciła się gwałtownie i podeszła do ich stolika. Mężczyźni mówili coś, śmiejąc się. Zapisała zamówienie, po czym wepchnęła bloczek do kieszeni fartucha i wróciła znowu do Maxa.

- Naprawdę dostałeś pracę? - spytała.

- Naprawdę.

- Jaką?

- Reklama.

- Czyli to, co robiłeś w St. Louis?

- To, co robiłem w St. Louis - powtórzył. - To mała agencja, jak na tutejsze warunki, ale w sumie to nawet lepiej. Będę więcej zarabiał i znacznie więcej będzie ode mnie zależało, niż gdybym startował od zera w dużej agencji. Szef wydaje się być bardzo przyjemny... A wiesz, zabawne, on też jest z St. Louis; może to jeden z powodów, dla których mnie zatrudnił.

Miałem cholerne szczęście, Nora. Przez jakiś czas wyglądało, że będę musiał spakować manatki i wracać.

Odwróciła wzrok i znowu spojrzała na niego, jakby zdziwiona, że jeszcze tu siedzi.

- To cały czas tu byłeś?

- Tak.

- A teraz, jak już znalazłeś pracę w agencji, masz zamiar tu zostać?

- Jutro zaczynam szukać porządnego mieszkania.

- To gdzieś ty dotąd mieszkał?

- W umeblowanym pokoju. Na Czterdziestej Dziewiątej Ulicy.

- Czterdziestej Dziewiątej Zachodniej?

- Zgadłaś... - Uśmiechnął się.

Jej lewa dłoń powędrowała do kolczyka: miała w uszach te z czarnego koralu, które podarował jej w St. Louis.

- Dlaczego to wszystko robisz, Max?

- Bo zabrakło mi już pięknych słów.

Obracała dalej kolczyk.

- Posłuchaj - zaczął. - Chciałbym to wszystko z tobą uczcić dziś wieczorem, jeśli zechcesz, ugotuję jakąś kolację. Nic ekstra, w tej mojej niby kuchni niewiele da się zrobić. Ale na pewno będzie miło, obiecuję.

Odczytał wreszcie wyraz jej twarzy: była przestraszona.

- Nie mów teraz tak czy nie - zaznaczył. Zapisał na serwetce adres i telefon swojego hotelu. - Zastanów się. O której kończysz?

- O szóstej - powiedziała głosem tak cichym, że ledwie ją usłyszał.

- Na ósmą będę gotowy.

- Max...

- Nie. Teraz nie mów nic. Zastanów się.

Podsunął jej serwetkę. Opuściła wreszcie dłoń.

- Wyglądasz świetnie - rzucił stojąc już. - Podoba mi się zwłaszcza ta muszka.

Wyszedł.

Myślenie o realiach było nadal jego wrogiem. W pokoju próbował poświęcić się przygotowaniu kolacji ze skupieniem buddyjskiego mnicha, odsuwając na bok wszystko, co nie było bezpośrednio związane z wykonywanymi czynnościami. Czasem jednak pojedyncze myśli przenikały w głąb. Co kazało mu się spodziewać, że - jak przewidywał jego desperacki plan - Nora opuści George'a, zwłaszcza teraz, gdy była już z nim tak długo?

Skąd przyszło mu do głowy, że jeśli rzeczywiście się zjawi, to nie będzie to tylko gest czystej przyjaźni? Co się stanie, jeżeli znowu go odrzuci, zatraskując mu przed nosem jego własne drzwi? Co wtedy? Co zrobi jutro?

Zajmie się tym, co zostało, powiedział sobie i nadal przygotowywał kolację. Chciał najpierw upichcić coś na tej żalösnej kuchence, ale uznał, nie mając praktycznie miejsca na przygotowanie potraw, że lepiej będzie kupić różne zimne mięsa w dobrych delikatesach. Jego Nora, Nora, jaką znał, tak czy owak jadała byle co na zimno. Rozłożył na talerzu plastry rozmaicie przyrządzonej wołowiny, szynki, pastrami i mostku, na drugim zaś sery, w tym także amerykański, gdyby nie chciała jeść innych. Obok chleb: żytni, pumpernikiel i znowu specjalnie dla niej biały chleb grzankowy. Kupił nawet słoik majonezu, by nie brakowało jej niczego. W

lodówce chłodziła się butelka Stolicznej i szampan. Stół był nakryty, pozostawało tylko zapalić świece.

Usłyszał brzęczyk telefonu. - Pan Baron?

- Tak.

- Jakaś dama chce się z panem widzieć... - Carl zaniósł się w tym momencie długim kaszlem. Kiedy odzyskał wreszcie oddech, dokończył. -

Niejaka Mildred Rogers.

- Dziękuję panu, Carl. Proszę jej powiedzieć, że już schodzę.

Wiedział, że teraz nie musi się śpieszyć.

Zaczął zapalać świece.

Document Outline

- [Część pierwsza](#)
 - [Rozdział pierwszy](#)
 - [Rozdział drugi](#)
 - [Rozdział trzeci](#)
 - [Rozdział czwarty](#)
- [Część druga](#)
 - [Rozdział piąty](#)
 - [Rozdział szósty](#)
 - [Rozdział siódmy](#)
 - [Rozdział ósmy](#)
 - [Rozdział dziewiąty](#)
 - [Rozdział dziesiąty](#)
 - [Rozdział jedenasty](#)
 - [Rozdział dwunasty](#)
 - [Rozdział trzynasty](#)
 - [Rozdział czternasty](#)
 - [Rozdział piętnasty](#)
 - [Rozdział szesnasty](#)
- [Część trzecia](#)
 - [Rozdział siedemnasty](#)
 - [Rozdział osiemnasty](#)
 - [Rozdział dziewiętnasty](#)
 - [Rozdział dwudziesty](#)
 - [Rozdział dwudziesty pierwszy](#)